

ALAFAIR

BURKE

DZIEWCZYNA, KTÓRA ZNIKNEŁA

Tłumaczył Maksymilian Tumidajewicz

*Tytuł oryginału Long Gone*



*Dla Davida Thompsona*

*Pocałunek*

Alice Humphrey wiedziała, że ten pocałunek zniszczy jej życie.

– Wie pani, co mówią o obrazku i tysiącu słów.

Uniosła oczy, spoglądając na mówiącego. Jego nazwisko brzmiało Shannon, imienia nie zapamiętała. To był ten o spłowiałych, rudych włosach. Twarz zarumieniona, lekko podpuchnięta jak u pijaka.

Siedzieli tak, że patrzył na nią z góry. Nie czuła się z tym najlepiej. Miała wrażenie, że jest mała. Osaczona. Odtworzyła w pamięci kroki, które ją tu doprowadziły. Czyżby ktoś celowo tak ustawił te krzesła?

Shannon i jego partner – jak mu tam, Danes? – stali zgarbieni na chodniku przed jej domem, opatuleni w płaszcze, ściskając kurczowo kubki z gorącą kawą. Wszystko w ich wyglądzie wołało, by zaprosić ich do środka. Jakby dla kontrastu Alice była zgrzana i mokra pod swetrem, który naciągnęła na siebie po ćwiczeniach na rowerku. Gdy rozmawiali na ulicy, skrzyżowała ramiona, usiłując zatrzymać ciepło wewnątrz swego ciała. Przy każdym oddechu pojawiały się obłoczki pary, stopniowo pokrywając jej twarz wilgocią.

Oczy Shannona długo wodziły od drzwi jej mieszkania do kluczy, które ścisnęła w dłoni, nim wreszcie wyraził swe myśli słowami.

– Możemy wejść do środka?

Przyjaźni. Uprzejmi. Taktowni. Tacy byli jeszcze wczoraj rano. Zaledwie dobę temu. A dokładniej – około trzydziestu jeden godzin temu. Wtedy powiedzieli, że być może się z nią jeszcze skontaktują. Jednak teraz pojawili się na chodniku przed jej domem bez żadnego ostrzeżenia.

– Pewnie, chodźmy na górę.

Weszli za nią do kuchni. Nalała sobie szklankę wody. Im też zaproponowała, ale odmówili, po czym usadowili się na stołkach barowych. Ona wybrała krzesło przy stoliku śniadaniowym dla dwóch osób, zapędzając się w ten sposób w kozi róg – zarówno metaforycznie, jak i dosłownie. Był to zresztą oczywisty wybór. W jej małym mieszkaniu nie było innego miejsca, w którym mogłaby usiąść przodem do swoich niezapowiedzianych gości.

Rozpięła sweter i pomyślała, że jednak powinna była wziąć prysznic przed wyjściem z siłowni.

Rozmowa rozpoczęła się niewinnie, naturalnie. Na schodach ponarzekali trochę, że powinni więcej ćwiczyć. Tylko kilka dodatkowych pytań, powiedział Shannon.

Ale w jego tonie było coś nowego. Nie był już tak przyjacielski, uprzejmy ani taktowny. No i fakt, że przyszli bez zapowiedzi. Chociaż Alice skończyła trening pół godziny wcześniej, jej serce nadal waliło, a pot perlił się na czole. Może była to podświadoma reakcja, wytworzona przez seriale o policjantach, ale od razu wiedziała, po co tu przyszli. A raczej nie tyle po co, bo tego nie mogła wiedzieć, ale po kogo. Jeszcze przed pocałunkiem wiedziała, że przyszli tu po nią.

A później zaczęły się pytania. Jej finanse. Jej rodzina. Niekończące się „proszę nam

opowiedzieć jeszcze raz”. O tym, jak poznała Drew Campbella. O tym artyście. O tej wizycie w Hoboken. Jakby za pierwszym razem jej nie uwierzyli.

Ale dopiero kiedy zobaczyła ten pocałunek, zdała sobie sprawę, że za chwilę jej życie legnie w gruzach.

Gest, którym Shannon podsunął jej zdjęcie, był tak niewinny. Grube palce przesunęły po sosnowym blacie błyszczącą fotografię w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć niemal z gracją.

Spojrzała na kobietę na zdjęciu i rozpoznała samą siebie. Przymrużone powieki, wysunięte wargi, przyciśnięte czule do kącika ust mężczyzny. Wyglądała na szczęśliwą. Zrelaksowaną. Ale sielskość sceny ze zdjęcia nijak nie osłabiła panicznej reakcji, która przeszła Alice od siatkówki oka aż do dna żołądka. Wciągnęła haust powietrza, by powstrzymać narastającą falę nudności.

– Wie pani, co mówią o obrazku i tysiącu słów.

Zdołała oderwać wzrok od zdjęcia na tyle, by spojrzeć krótko na detektywa Shannona. Jego banalne stwierdzenie zadźwięczało w jej uszach przy akompaniamencie werbla przyspieszonego pulsu. Znowu spojrzała na fotografię. Nie ulegało wątpliwości, że widoczny na niej mężczyzna to Drew Campbell. I chociaż jej pamięć krzyczała w proteście, Alice musiała przyznać, że usta, które oddawały mu pocałunek, należały do niej samej.

Wodziła palcami po zdjęciu, jakby widoczna tam kobieta mogła nagle odwrócić głowę, jakby pomyłka mogła wyjść na jaw. *Przepraszam, pomyliłam panie z kimś innym.* Alice czuła, jak stojący nad nią detektywi wlepiają w nią wzrok, czekając na odpowiedź, ale nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Była w stanie jedynie gapić się na fotografię, kręcąc przecząco głową.

Alice Humphrey wiedziała, że ten pocałunek zniszczy jej życie, gdyż trzydzieści jeden godzin wcześniej wdepnęła w kałużę krwi Drew Campbella, rozlanej po białych kafelkach podłogi galerii. W panice zaczęła szukać pulsu, lecz jej drżące palce znalazły jedynie zimną, ciastowatą skórę. Zanim pokazano jej to zdjęcie, mogłaby przysiąc, że był to jedyny raz, gdy miała z nim jakikolwiek fizyczny kontakt, nie licząc uścisku dłoni, gdy się poznali.

Jej życie przez ostatni rok nie było szczególnie szczęśliwe, ale ciągle zapewniało jej podstawowe luksusy, normalność, przewidywalność, egzystencjalne poczucie bezpieczeństwa. Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Teraz to wszystko miało przejść do historii.

Alice nie miała pojęcia, co się teraz stanie, ale wiedziała, że to zdjęcie wszystko zniszczy. I że był to dopiero początek.

# **Część Pierwsza**

## **Zbyt piękne, by było prawdziwe**

### *Rozdział 1*

#### *Cztery tygodnie wcześniej*

Prawie wszystko, co było najlepsze w życiu Alice, przyszło do niej samo. Nie dlatego, że prosiła. Nie dlatego, że szukała. Nie dlatego, że się starała. Nie. Po prostu tak się działo. Odpowiadanie na filozoficzne pytania, czy zawdzięczała to szczęściu, przypadkowi, przeznaczeniu czy podświadomej intuicji dalece wykraczało poza jej kompetencje. Jednym słowem – jakoś się jej zawsze udawało.

Na studiach uzyskała dyplom ze sztuki, ponieważ okazało się, że jej kurs z włoskiego renesansu nie liczy się do programu historii, którą pierwotnie planowała zdawać. Po studiach znalazła się na Manhattanie, gdzie mieszkał jej chłopak. Swoje obecne mieszkanie przejęła po mężczyźnie, który przeprowadził się do Los Angeles – co przypadkiem podsłuchała w barze. Propozycja, która padła z ust Drew Campbella, pojawiła się dokładnie wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowała; co więcej, wydała się czymś zupełnie naturalnym. Przyszła sama, tak jak wszystko inne.

Galeria mieściła się w Budynku Fullera, jednym z jej ulubionych miejsc. Alice na moment przystanąła przed wejściem, by przez chwilę podziwiać urocze dekoracje w stylu art deco, którymi budynek był bogato upstrzony. Otwarcie wystawy było zarazem pierwszym pokazem prac znanego artysty od dziesięciu lat, więc Alice spodziewała się tłoku. Zamiast tego znalazła mnóstwo wolnej przestrzeni, w sam raz do leniwego przemierzania pojemnej hali z kieliszkiem wina w ręku i dokładnego studiowania płócien wypełnionych przenikającymi się wzajemnie geometrycznymi kształtami. Namalowane były one z taką zręcznością i precyzją, że zdawało się, już w każdej chwili mogą ożyć i ulecieć ze sztalug w nocne niebo.

Zauważyła go od razu, zanim jeszcze do niej podszedł. Stał przed jedną z większych prac – olejnym obrazem ze sceną karnawałową. Właśnie kartkował cennik. Pod kilkudniowym, modnym zarostem skrywała się męska twarz, surowa i zarazem pociągająca w sposób, który zupełnie nie pasował do tego artystowskiego otoczenia. Jego ubranie mówiło jednak, że nie znalazł się tu przypadkiem. Patrzyła, jak rozmawia z kościstą kobietą o czarnych, związanych w kok włosach. Alice rozpoznała w niej właścicielkę galerii.

Zastanawiała się, o jak wysokiej cenie mówili.

Ucieszyła się, gdy zaczął się jej przyglądać. Optymistycznie uznała, że mogą się spotkać w połowie galerii i uśmiechnęła się w duchu, gdy zaczął torować sobie drogę ku abstrakcyjnej kompozycji trójkątów, do której podeszła.

– Szkoda, że nie ma tu więcej ludzi – powiedział. – Jestem Drew Campbell.

Uścisnęła jego wyciągniętą dłoń i również się przedstawiła.

– Więc, Alice – zaczął. – Jakies teorie, skąd tak żalosna frekwencja?

– Masakra, no nie? Zaraz obok, w Chelsea, jakiś szczeniak świeżo po studiach ma pełną salę. Cała jego sztuka to malowanie bohomazów z celebrytami i żucie gumy. Tymczasem ten gość nie miałby się czego wstydzić przed Jacksonem Pollockiem, a tu tłok jak na mormońskiej popijawie.

Artysta, o którym była mowa, Philip Lipton, był kiedyś znaną figurą w nowojorskiej szkole abstrakcjonizmu ekspresjonistycznego, rówieśnikiem Pollocka, de Kooninga, Rauschenberga i Kline'a. Ewidentnie nie było to tajemnicą dla nowego znajomego Alice.

– Znam handlarza dzieł sztuki, który kiedyś z nim współpracował. Nie uwierzysz, jaki z tego dziadka był kiedyś playboy. Słyszałaś pewnie o wybrednych facetach, którzy umawiają się tylko z chudymi dziewczynami albo tylko z blondynkami? No cóż, on ponoć zadawał się jedynie z balerinami. Jednak, mimo tak zawężonych gustów, co tydzień miał u boku nowe hoże dziewczę. Krążył dowcip, że trzyma dziewczyny na diecie z boczku i lodów, żeby nowojorska kompania baletowa musiała je ciągle wymieniać na nowe. Gość był stałym bywalcem w One if by Land w Village.

Potrafiła sobie wyobrazić, jak w modnej restauracji artysta w odmłodzonej wersji siedzi i pali papierosy. Na głowie miał fedorę, którą zdawał się nosić na każdej z niezliczonych fotografii, które mu w tamtych czasach zrobiono. Teraz obecny na świecącej pustkami wystawie Lipton był dziewięćdziesięcioletnim, któremu sześćdziesięcioletnia żona zmiata okruszki z kołnierza marynarki. Jedynie dwa z jego obrazów nosiły etykietkę „sprzedane”, wliczając tę przyczepioną przed chwilą przez właścicielkę galerii do karnawałowego płótna, które podziwiał Drew.

– Więc interesujesz się sztuką?

– Do niedawna był to mój zawód.

Opowiedziała mu o pracy w Metropolitan Museum, mocno skracając długą i osobistą historię, która stała za jej odejściem. Dużo łatwiej było zrzucić winę za jej obecne bezrobocie na cięcia budżetowe i masowe zwolnienia, o których było głośno w prasie.

Rozmowa kleiła się. Drew miał dobry, naturalny uśmiech i szczere spojrzenie, które

nie unikało jej spojrzenia. Wydawał się naprawdę zainteresowany tym, co mówiła. Dziwne. Nie było w tym śladu erotyki, a jednak czuła przemożną siłę przyciągania. Nie przez jego urok czy wygląd, ale przez pokrzepiające poczucie bycia traktowaną jak ktoś, kto ma znaczenie. Znaczenie większe niż tylko córka swojego ojca. I zdecydowanie większe niż bezrobotny, samotny kwiatek, którego płatki zaczynały już więdnąć.

Trudno jej było sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak dobrze się czuła. W miarę jak ogarniał ją dobry humor, Alice zaświtało w głowie, że osiem miesięcy bezrobocia zebrało swoje żniwo. Nie wiedząc nawet kiedy, zaczęła się postrzegać jako osobę niższej kategorii.

Alice nigdy nie zamierzała zostać trzydziestosiedmiolatką bez kariery zawodowej. Zdawała sobie jednak sprawę, że wielu skąpiej obdarzonych przez los ludzi zakwestionowałoby wiele z wyborów, które podjęła na swej drodze. Nigdy nie poszła do żadnej z bardziej wymagających szkół przygotowawczych, które z radością by ją przyjęły, bo wolała swoich rozrywkowych przyjaciół. Jednak, w odróżnieniu od nich, ciężko pracowała. Dostała się na studia, i to nie do jakiejś modnej szkółki dla bogatej młodzieży, ale na prawdziwy uniwersytet o akademickiej reputacji.

Co prawda był to radosny uniwersytet sztuk pięknych, a nie Ivy League, a po jego ukończeniu następowało kilka lat bezcelowej tułaczki, co zresztą było typowe dla jego absolwentów. Potem dwuletnia, idiotyczna praca publicystki dla firmy kosmetycznej i kompletnie nieudane małżeństwo w St. Louis. Trzy lata zajęło jej zrozumienie tego błędu. Ale potrafiła zacząć od nowa, powróciła na swoją uczelnię, by zdobyć tytuł magistra. A kiedy jej się to udało, zdobyła posadę w biurze rozwoju w – jej zdaniem – najwspanialszej budowli na świecie, Metropolitan Museum of Art.

Teraz, spoglądając wstecz, rozumiała, jak niedojrzała i samolubna była większość jej życiowych wyborów. Jej rodzice wydali fortunę na szkołę średnią dla swojej córki tylko po to, by dostała się na jeszcze droższy uniwersytet, o którym słyszało tylko paru doktorów sztuki w tweedowych marynarkach. A jakby tego było mało, Alice wróciła, by zrobić magisterkę.

Gdy trafiła do Metropolitan, była na tyle głupia, by uwierzyć, że zasłużyła na swoją posadę. Może gdyby zatrudniono ją tam ze względu na talent – wiedzę o sztuce, zdolności w pozyskiwaniu funduszy, doświadczenie marketingowe czy jakąkolwiek zademonstrowaną umiejętność – nadal siedziałaby w swojej zagródce wysoko ponad Central Parkiem, w ciszy projektując nową broszurę o nadchodzącej wystawie Chucka Close'a dla najhojniejszych sponsorów muzeum.

A może gdyby przynajmniej w porę pojęła, jak się rzeczy mają, wiedziałyby też, w jaki sposób tamta decyzja wpłynie na jej pracę. Zrozumiałyby, jak idiotycznie musiała wyglądać, gdy oznajmiła ojcu, że nie potrzebuje już jego pomocy. Koniec jednak z opłacaniem czynszu i corocznymi „prezentami”. „Nie chcę twojej pomocy, tato” – powtarzała uparcie.

No cóż, nie zdawała sobie sprawy, że część tej pomocy szła w postaci darowizn na muzeum. Kiedy przyszedł czas na zwolnienia, a nie nadchodziły już żadne donacje, była jednak jedną z pierwszych, której wymówiono umowę o pracę.

Dopiero gdy zasiadła do pisania nowego cv, dotarło do niej, że jej dorosłe życie odstaje nieco od idealnego modelu we współczesnej ekonomii. W przeciągu ośmiu miesięcy od zwolnienia zaproponowano jej tylko jedno stanowisko: osobistej asystentki autora bestsellerowych kryminałów. Pracę tę znalazła dla niej przyjaciółka, świadoma kiepskiego położenia Alice. Ostrzegła, że facet nie słynie z hojności, więc gdy ten kazał Alice odnieść na wpół zjedzone opakowanie jogurtu do sklepu, gdyż był on zbyt „ziarnisty”, natychmiast pobiegła po nowy, borówkowy za dolara czterdzieści dziewięć. Przyjaciółka uprzedziła ją też, że jest „nonkonformistą”, więc gdy polecił Alice przywiązać siebie samego do stołu w jadalni, by na własnej skórze sprawdzić, jak jego bohater może wydostać się z opałów, zgodziła się bez wahania. Czara przepełniła się dopiero wtedy, gdy obie unikalne cechy artysty zbiegły się w jednym żądaniu: by Alice wzięła udział w trójkącie razem z nim i wynajętą panienką, gdyż autor zamierzał zbadać „szarą rzeczywistość” takiej konfiguracji, a nie zamierzał przy tym płacić podwójnie.

Alice zwolniła się od razu, ale ciągle żałowała stylu, w jakim to zrobiła – wykręciła się niekomfortowymi godzinami pracy, zamiast z całej siły umieścić kolano tam, gdzie znajdował się główny przedmiot badań pisarza. Być może wspomnienie tego krótkiego epizodu, a zwłaszcza upokorzenia, które się z nim wiązało, sprawiło, że bardzo chciała uwierzyć w to, co Drew Campbell powiedział później.

– A byłabyś zainteresowana prowadzeniem własnej galerii?

Pytanie było tak absurdalne, że normalnie zakrztusiłaby się winem, ale w ustach Drew zabrzmiało niczym komentarz do panujących warunków pogodowych.

– Oczywiście. Zawsze zakładałam, że będę zajmować się sztuką, w ten czy inny sposób. Chyba tylko nie przewidziałam, jak ciężko jest dostać i utrzymać posadę w tej branży.

Świat sztuki, co udowadniał dobitnie dzisiejszy gospodarz wystawy, był domeną młodości. A Alice była kobietą i w wieku trzydziestu siedmiu lat najlepsze czasy miała już za sobą. Do tego nie była nawet artystką.

– Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy, ale wydaje mi się, że możesz być idealną



osobą do galerii, przy której pomagam.

– O jakim stanowisku mówimy?

– Menedżerki. To mała galeria, więc zwykle będziesz zdana tylko na siebie, ale my potrzebujemy kogoś, kto będzie umiał włożyć w to serce.

Była bezrobotna. W ostatniej pracy donosiła kawę socjopacie, który zapewne powinien figurować w rejestrze przestępców seksualnych. Alice ciężko było uwierzyć, że ktoś zamierza jej wręczyć klucze do galerii. Ten sceptycyzm musiał odmalować się na jej twarzy.

– Hej, nie myśl, że to taka galeria jak tutaj. I powinienem cię chyba ostrzec, że nie jest to najbezpieczniejsza posada na świecie. Mam klienta – gościa, dla którego kupuję różne dzieła – cóż, przyjaciele nazywają go ekscentrykiem. Gdyby nie miał forsy, nazywaliby go świrem.

– Ekscentryczny? Już raz dałam się na to nabrać.

– Zaufaj mi. Nic zdroźnego. To jeden z moich najstarszych klientów. Tak w ogóle to znajomy mojego ojca, więc pomagam mu już od lat. Z czasem nabrał do mnie wielkiego zaufania. Okazuje się, że lubi chłopców. Dobrze im płaci, a oni zapewniają mu towarzystwo, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Niezbyt to subtelne.

– Tak czy owak, jego najnowszy przyjaciel kręci się w pobliżu już znacznie dłużej, niż to zwykle bywa, i sądzę, że mój klient planuje zapewnić mu bardziej stały sponsoring. Pretekstem ma być mała, skromna galeria, która ma pokazywać prace wschodzących artystów. Jednym z nich ma być oczywiście ów nowy przyjaciel. Chłopak prezentował już swoje prace na paru pokazach, ale jeszcze nigdy nie miał własnej wystawy w nowojorskiej galerii.

– Ale dzięki twemu znajomemu wkrótce zostanie rozpoznawalnym artystą.

– Dokładnie. I jestem pewny, że będzie mojemu klientowi bardzo wdzięczny za wsparcie.

– Ciągłe mówisz o nim „mój klient”.

– Zaufaj mi. Słyszałaś o nim. Chociaż od lat chodzą różne plotki o jego życiu prywatnym, nic nie jest potwierdzone, a ja nie zamierzam go wydać. Ale wierz mi lub nie – to poważny kolekcjoner. To dzieło, które właśnie zarezerwowałem, jest dla niego. Jeśli znajdę mu dobre miejsce na tę galerię i dobrą osobę do jej prowadzenia, nie będzie się wtrącał. Nie uszczknie nawet sławy jako oficjalny właściciel. Ale chce mieć miejsce, z którego będzie dumny. Najwyższej klasy. Mała antygaleria, ale naprawdę fajna. To będzie znakomita okazja dla kogoś takiego jak ty.

– Brzmi jak znakomita okazja dla każdego.

Wzruszył ramionami.

– Zamieniłem słówko z paroma osobami, ale każdy się waha, nikt nie chce się jasno zadeklarować. Obawiają się, że właściciel porzuci ten projekt dla pogoni za nową miłością. Dziś galeria, jutro hamburgerownia dla smakoszy. No i jeszcze sprawa z tym protegowanym. Nie można go będzie odstawić na boczny tor, jeśli się nie sprawdzi.

– Nie każdy mówiłby tak wprost o tym, co się dzieje za kulisami.

– Nie mam zamiaru palić za sobą mostów tylko po to, by zadośćuczynić zachciankom starego, kapryśnego mężczyzny, choć kocham go jak własnego wujka – skrytego homoseksualistę. Lepiej ustawieni ludzie, z którymi rozmawiałem, nie chcą się pakować w coś takiego. Ty możesz nie mieć luksusu żywienia takich zmartwień.

– Jeśli to ma być bardziej uprzejma forma powiedzenia mi, że żebracy nie mają wolności wyboru, to niniejszym żebrzę.

Alice opuściła galerię naładowana energią niczym nastolatka wracająca z pierwszego w życiu koncertu, z podpisaną broszurą pod pachą i przeświadczeniem, że właśnie spotkała osobę, która być może odmieni jej życie.

## *Rozdział 2*

Becca Stevenson miała sekret.

A właściwie dwa, połączone błyszczącym gadżetem, który trzymała między opuszkami palców.

*No dalej, chcę tylko trochę popatrzeć. Nikomu nie powiem.*

Czytała te słowa raz za razem. Odkąd pojawiły się na wyświetlaczu, minęła dopiero minuta czy dwie, ale wydawało się, jakby tkwiły tam nieruchomo przez całą wieczność. Nie żeby wokół panował kompletny bezruch, ale słyszała, jak dyżurny kolei tranzytowej New Jersey po raz kolejny oznajmia, że pociąg z Hackettstown ma opóźnienie. Słyszała, jak na sąsiedniej ławce dziecko głośno domaga się od matki jeszcze jednego krakersa. Słyszała, jak siedząca naprzeciw kobieta szepcze do komórki, prosząc o wyjaśnienia, dlaczego osoba na drugim końcu linii nie odebrała wczoraj telefonu, chociaż ona wciskała guzik ponownego połączenia do drugiej w nocy.

Jednak mimo tego całego zgiełku Becca Stevenson miała wrażenie bezruchu. W umyśle. W dłoniach. W sercu. Już od dwóch tygodni wysyłali sobie z Danem wiadomości, wytworzyli wspólny rytm, odpowiadając drugiemu w przeciągu kilku sekund. A przynajmniej ona tak robiła. On zwykle też. Ale jak wszystkie konwersacje, nawet najlepsze musiały się

kiedyś skończyć. Czasami czuła pokusę, żeby być tym, które przerwie rozmowę jako pierwsze – grzecznie, na przykład mówiąc „muszę kończyć” albo „na razie” – ale jednak zawsze był to Dan. Nagle, bez ostrzeżenia po prostu przestawał się odzywać. Ale zawsze wracał, ku jej zaskoczeniu, które szybko przeradzało się w radość.

Nie skasowała ani jednej wiadomości. Katalog liczył już setki pozycji elegancko ułożonych, zielono-białych ikon. Czasami, nocą, gdy leżała w łóżku, przewijała je do samego początku, by na podświetlonym ekranie po raz kolejny przeżyć ten tekstowy związek od samego początku.

Ich rwane wymiany obfitowały w urocze i zabawne momenty, ale żadna z wiadomości nie była tak ekscytująca jak ta pierwsza. Pierwsza wiadomość, jaką kiedykolwiek dostała, nadeszła zaledwie dwa dni po tym, jak zdobyła swoją sekretną zabawkę.

*Sophie dała mi twój numer. Nie masz nic przeciwko? Wydajesz się fajna. PS To ja, Dan Hunter.*

Dan Hunter? Ja pierdziele, Dan Hunter pisze do Becci Stevenson? Miała go na oku od siódmej klasy, kiedy jako pierwszy miał kawałek *My Chemical Romance* na swoim iPodzie. Już wtedy był zabawny i uroczy. Teraz zmienił się w sportsmena, który chodził z co najmniej trzema różnymi czirliderkami. Ale Becca zawsze przeczuwała, że ma też inne, ukryte oblicze. Słuchał punk rocka z lat osiemdziesiątych. Nosił dużo czarnych rzeczy, przynajmniej jak na koszykarza. I jako jeden z pierwszych w całej szkole zrobił sobie tatuaż. Już samo jego zainteresowanie jej osobą dowodziło, że ma w sobie coś „offowego”.

Gdy pierwszy raz się z nią skontaktował, nie miała pojęcia, co myśleć, co czuć, a już w ogóle, co powiedzieć. W końcu postawiła na ton niezobowiązujący i lekko wyluzowany.

*Nie ma sprawy. Sophie to moja sis.*

Oczywiście od razu poleciała do Sophie, by ją o wszystko wypytać.

– Cholera, Becca. Odwracam się od mojej szafki, a tu Dan Hunter i jego grzywa, niebieskie oczy, wielkie muskuły i to wszystko. Gapi się na mnie, kurwa, nieco się spieszyłam, czaisz?

Sophie była trochę urwana z księżycą, ze swoją dziecinną grzywką, okularami w czarnych oprawkach i tendencją do używania słów, które pasowałyby tylko do testu na inteligencję, ale poza tym wszystkim była też najlepszą przyjaciółką, jaką Becca kiedykolwiek miała.

– I co? Tylko po to, żeby spytać o mój numer?

– Powiedział, że widział na liście jak cały czas spoglądasz na tę swoją komórkę. Dziwi mnie, że cię nie wywalili z klasy. Polityka: zero tolerancji, pamiętasz?

– Mogłabyś darować sobie kazanie? Powaga, chcę znać każdy szczegół.

– Nie ma żadnych szczegółów. Zobaczył, jak bawisz się komórką i chciał do ciebie napisać. Powiedział, że jesteś słodka.

– Powiedział, że jestem słodka?

– Boże święty, kto podmienił moją kumpelę na Hannę Montanę?

Nie było łatwo, ale Becca w końcu zmusiła swoją przyjaciółkę, by ta przyznała, że Dan miał w oku ten charakterystyczny błysk. Wiadomości od niego były... inne, niż się spodziewała. Fajne. Czasem niemal głębokie.

Nie były to zresztą tylko wiadomości. Spotykali się. Po raz pierwszy umówili się za hipermarketem. Raz w jego domu, kiedy nie było rodziców. Parę razy na boisku do koszykówki. Całowali się i takie tam. Trzy noce wcześniej dostała zaproszenie, żeby spotkać się na mieście. Byli tam jego koledzy. Nawet parę czirliderek. Z początku Becca była nerwowa. Przecież zupełnie nie pasowała do tego towarzystwa. Ale potraktowali ją dosyć łagodnie.

A teraz Dan chciał dostać więcej. *No dalej, chcę tylko trochę popatrzeć. Nikomu nie powiem.* Czują pokusę. Podobała jej się myśl, że jest dziewczyną, która może wodzić na pokuszenie kogoś takiego jak Dan Hunter.

Mogłaby wśliznąć się do toalety. Upewnić się, że Dan zobaczy elementy otoczenia. Dodać nieco pieprzu.

Na wyświetlaczu pojawiła się nowa wiadomość.

*Wiem, że tego chcesz.*

Miał rację. Chciała.

Napisała odpowiedź.

*Bardzo kuszące. I bardzo niedługo.*

To powinno zadziałać. Kupić jej nieco czasu.

Teraz musiała się z kimś spotkać. Zobaczyła, jak furgonetka zatrzymuje się przed budynkiem dworca. Becca miała dwa sekrety. Dana Huntera oraz mężczyznę, z którym spotykała się tu od dwóch miesięcy, niemal co tydzień. Obaj potrafili sprawić, że czuła się wyjątkowa. I czynili to na sposoby, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewała.

### *Rozdział 3*

Cztery dni po tym, jak Alice spotkała Drew Campbella w Budynku Fullera, ich rozmowa, która miała odmienić jej życie, wydawała się jedynie głupim gadaniem.

– Boli mnie, że miałam rację, ale mówiłam ci, że tak będzie. Szmaragdowe oczy Lily zalśniły znad szklanki Krwawej Mary. Siedziała po drugiej stronie małego restauracyjnego stolika.

– O tak, wiem doskonale, jak bardzo cię to boli. Twoją wypowiedź można śmiało postawić na równi z najcięższymi torturami, razem z gorącą smołą, podtapianiem czy żelazną dziewicą.

Lily urwała się z pracy wcześniej, by przyjść na ten spóźniony lunch do Balthazara. Niestety, poza nimi dwiema jeszcze paru innych nowojorczyków wpadło na to, by leniwie spędzić popołudnie w tej knajpce w paryskim stylu, pieczołowicie odtworzonym w SoHo. Chociaż była dopiero trzecia, musiały czekać pół godziny na swój stolik wielkości pocztówki. Mimo to, odłamując kolejny kawałek bagietki, Alice ani przez chwilę nie żałowała swojej decyzji.

– A tak w ogóle, co to właściwie jest ta żelazna dziewica?

– Nie mam pojęcia – odparła Lily, odsuwając za ucho niesforny kosmyk swoich przyciętych na pixie cut włosów, po czym sięgnęła po kolejne *moule*. – Wiem tyle, że zainspirowała całe dekady długowłosej, odzianej w skórzane portki metalowej muzyki. Jak dla mnie to wystarczająco ciężka tortura.

– Dzięki, że się urwałaś z roboty. Na pewno nie ściągniesz na siebie gniewu Goryla?

Lily była edytką w pewnym magazynie podróżniczym. Jej szef miał w zwyczaju jeździć po niej za każde najmniejsze przewinienie, stąd też wzięło się jego przezwisko.

– Jaja sobie robisz? I tak nie ma szans, żeby choć pół dnia upłynęło w spokoju. Kiedy zobaczył, że wychodzę z płaszczem w rękę, oznajmił, że potrzebuje gotowego artykułu o Florencji na jutro rano. Termin był dopiero na piątek. Całe szczęście, że w większości jest już zrobiony.

Alice poznała Lily rok wcześniej na siłowni podczas ćwiczeń na rowerkach. Ich przyjaźń zaczęła się od wymiany pomruków niezadowolona z katuszy, jakie kosztowało je przywyknienie do długich sesji na rowerowym siodelku. Z czasem przeszły do rozmów w szatni. W pewnym momencie okazało się, że obie są samotne i mieszkają zaledwie kilka bloków od siłowni. Wymieniły się numerami komórek, żeby w razie czego móc się umówić na spontanicznego drinka gdzieś w okolicy.

Najczęściej kończyło się na deklaracjach, że „czasem powinnyśmy” – jak to zwykle bywa w przypadku osób, których czas jest szczelnie wypełniony obowiązkami i zaplanowany na długo naprzód – ale w końcu Lily faktycznie zadzwoniła. Tego pierwszego wieczoru po trzech drinkach zorientowały się, że ich życia dzieliło od siebie niewiele uścisków dłoni. Lily

była o trzy lata starsza i wychowała się w Westchester, ale obracała się w tych samych buntowniczych kręgach, co starszy brat Alice.

Teraz, sześć miesięcy po tym, jak się zaprzyjaźniły, Alice miała wrażenie, że zna Lily od lat. I była to łatwa przyjaźń. W odróżnieniu od większości osób Lily przeszła do porządku dziennego nad nazwiskiem Alice. Nie prosiła nigdy o przedpremierowe kopie filmów ani autografy. Nie zadała pytania, po którym Alice zawsze miała ochotę rzucać przypadkowymi przedmiotami – „Jak to jest dorastać u boku twojego ojca?”. Nigdy też, w odróżnieniu od znajomych Alice, którzy mieli równie bogatych rodziców, nie doradzała jej pobiegnięcia do nich po pomoc finansową. A co najważniejsze, Lily Harper była szczerą. Była jedną z tych nielicznych osób, które mówią swoim przyjaciółom to, co trzeba powiedzieć, a nie to, co tamci chcą usłyszeć. A kiedy Alice zadzwoniła do niej tamtego wieczora po wyjściu z Budynku Fullera, Lily z miejsca stwierdziła, że Drew Campbell pieprzy głupoty. Teraz, cztery dni później, ponownie rozmawiały o nim.

– Mam na myśli to, że ty akurat jesteś bezrobotna, a on akurat ma pracę specjalnie dla ciebie? Bogaty, anonimowy darczyńca, który zapłaci za studio i odda je pod twoją pieczę, by zatrzymać młodego artystę, który skradł mu serce?

– Wiem, wiem. Mówiłaś mi już. To zbyt piękne, by było prawdziwe.

– Boli mnie, że muszę to powiedzieć, ale gościa pewnie interesowało tylko to, co masz pod sukienką.

– Pod spódniczką. Czarną. Z rajstopami.

– Tak, tak, więc pod spódniczką i w rajstopach. Chyba będę musiała ci za to odebrać kartę członkowską klubu Sióstr w Cynizmie. Nie potrafisz poznać, kiedy facet mydli ci oczy?

– Musiałabyś tam być. Na wszystko miał dobrą odpowiedź.

– Ci lepsi zawsze mają. Myślisz, że co mówi większość kobiet, stojąc w niedzielny poranek u wrót wstydu kliniki chorób wenerycznych? Zapytaj jakąś pielęgniarkę.

Kakofonia zatłoczonej restauracji skutecznie zagłuszyłaby dzwonek każdego telefonu, ale Alice poczuła na udzie wibracje dochodzące z wnętrza torebki. Chciała już go zignorować, ale wiedziała, że jeśli chociaż nie sprawdzi wyświetlacza – jak to robiła co dwadzieścia minut przez ostatnie cztery dni – resztę spotkania z Lily spędzi, zastanawiając się, czy może jednak to był on?

W wyświetlonym napisie „Numer prywatny” dostrzegła promyk nadziei. Wszystkie osoby, które do niej zwykle dzwoniły – mama, tata, Jeff, który wymykał się wszelkim próbom nazwania go inaczej niż jego imieniem – były zapisane w książce telefonicznej. Lily skinieniem głowy dała znać, że nie ma nic przeciwko.

– Halo? – powiedziała Alice do słuchawki, małym palcem zatykając sobie drugie ucho i ignorując współbiedniaków, wzburzonych faktem, że toruje sobie drogę do wyjścia.

Gdy wróciła po dziesięciu minutach, szklanka Krwawej Mary była pusta, a Lily grała w coś na swojej komórce. Inni znajomi Alice narzekaliby teraz na jej długą nieobecność albo przyjęli postawę biernej agresji, rzucając jakiś nadąsany komentarz do całej sprawy.

Ale nie ona.

– No, ten telefon zdecydowanie przywołał uśmiech na twojej twarzy. Widziałam, jak się szczerzysz głupio od samych drzwi. Jeff wrócił?

Jej trudny do nazwania związek z Jeffem Wilkersonem miał przez te wszystkie lata więcej wzlotów, upadków i skrętów na boki, niż potrafiła zliczyć, ale ostatnio, kiedy wyjeżdżał na tydzień na Zachodnie Wybrzeże, byli na fali wznoszącej.

– Nie. To, moja droga przyjaciółko, która lubi z wielkim bólem mówić „a nie mówiłam”, był jedyny i niepowtarzalny Drew Campbell, kolekcjoner dzieł sztuki w służbie sławnych i bogatych.

– Niech zgadnę. Z galerii nici, ale chce się przynajmniej spotkać na drinka.

– Nie.

– No więc pomachał ci pracą przed oczami i chciał się umówić na kolację, by omówić szczegóły.

– Nie.

– No dobra. Poddaję się. Po prostu mi powiedz.

– Jego klient chce podjąć następny krok, więc Drew chciał wiedzieć, czy nowy menedżer – czyli *moi* – może się z nim spotkać, by obejrzeć lokal do wynajęcia w Dzielnicy Mięsnej.

Kelner zebrał puste talerze z ich stolika na załadowany do poziomu jego klatki piersiowej wózek. Lily milczała.

– Teraz mi chyba powinnaś przypomnieć, że pieprzy głupoty.

– Nic nie mówię.

– Powinnaś mi powiedzieć, że kiedy tam dotrę, sprzeda mi jakąś historyjkę o tym, że z galerii jednak nici. Albo że lokal jest już zajęty. Albo że pieniądze będą z poślizgiem. Wtedy przypomni sobie, że w pobliżu jest zarąbista knajpa, gdzie możemy sobie chwilę pogadać.

– Wygląda na to, że sama potrafisz się świetnie ostrzec.

– Może powinnam oddzwonić? Powiem po prostu, że mam już inną propozycję.

– Kiedy chce się z tobą spotkać?

– Jutro o jedenastej.

– Rano?

– Jasne, że rano. Naprawdę zasługiwałabym na utratę karty członkowskiej, gdybym uwierzyła w spotkanie w interesach o północy.

– I to wszystko? Chce tylko, żebyś obejrzała lokal pod galerię?

– I żebym przyniosła cv, żeby dopełnić niezbędnych formalności. Wszystko bardzo oficjalnie.

Lily jednak nadal milczała.

– No dalej, powiedz to.

– Co takiego? Przecież nic nie mówię.

– Nie musisz. Przyznaję, że sama ciągle sobie mówię, iż to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Od czterech dni wynajdujemy powody, żeby spławić tego gościa, prawda?

– Prawda.

– Ale?

– Ale nic. To twoja i tylko twoja decyzja.

– Musi być jakiś haczyk, prawda?

– Tak to wyglądało, kiedy dupek nie chciał dzwonić. A teraz dupek dzwoni z propozycją pracy marzeń.

– Jezu, ty to zawsze jesteś naprzeciw!

– Wcale nie – powiedziała, pokazując język.

– Więc ustalone. Jutro się z nim spotkam. Z odnowioną kartą członkowską Sióstr w Cynizmie i wykrywaczem ściemy ustawionym na najwyższą czułość.

– I z gazem w kieszeni – dodała Lily. – Trochę gazu jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Alice pozwoliła Lily wyłożyć dość pieniędzy, by zapłacić za oba posiłki. Niestety, zdarzało się to częściej, niż Alice by chciała. Zgodnie z umową, którą zawarły, Alice wkrótce miała odwdziżyć się tym samym, ale w tańszym lokalu.

– I wiesz co, Alice? – Głos Lily stał się łagodniejszy, gdy położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Naprawdę mam nadzieję, że to wszystko prawda.

#### *Rozdział 4*

Hank Beckmann obserwował zmieniające się cyfry na elektronicznym wyświetlaczu pompy, uważając, by nie przekroczyły sumy pięciu dolarów. Usłyszał pomruk żołądka i spojrzał na zegarek. Była piętnasta, a on jeszcze nie miał nic w ustach, nie licząc dwóch kaw.

Zapłacił już za benzynę – gotówką, tak na wszelki wypadek – ale ruszył truchtem z



powrotem ku stacji, by zapełnić czymś pustkę w brzuchu.

– Zapomniał pan czegoś?

On i jego pech. Zatrzymał się po benzynę – i to nie byle gdzie, ale na pełnej samochodów megastacji przy wyjeździe z Tunelu Lincolna – i trafił na jedyne w całym kraju kasjera, który zwracał uwagę na twarze klientów. Znak jakości za przykładną obsługę. Podniósł rękę, tyle w pozdrowieniu, co w próbie ukrycia twarzy. Do diabła, przesadzał z tą paranoją.

– Człowiek musi jeść.

Odwrócił się od lady, by przejrzeć półki. Typowy supermarketowy syf. Ciastka. Czipсы. Te cudaczne, mokre kanapki w trójkątnych opakowaniach. Smażona skórka z wieprza? Chwycił dwa batoniki owsiane z bakaliami, po czym sięgnął do lodówki po butelkę soku pomarańczowego. Położył na ladzie piątaka, a wydaną resztę wrzucił do niebieskiej puszkі na datki. Ta opatrzona była wizerunkiem zabiedzonych zwierząt ze schroniska.

Usłyszał za sobą dzwonek zamykających się drzwi. Trzymając sok w zgięciu ramienia, rozerwał opakowanie jednego z batoników i połknął go w trzech kęsach. Chwilę później usadowił się na fotelu Crown Victorii. Gdy wkładał kluczyk w stacyjkę, pomyślał o tym, by zawrócić, pomknąć z powrotem Tunelem Lincolna i wrócić do centrum wcześniej, niż planował.

Ale Hank był gotów zaryzykować tę małą wizytę właśnie dlatego, że długo był grzeczny. Kiedyś, zanim wylądował pod przysłowiowym pręgierzem, obserwował tamtego nocą. Jego intencje były czyste – poświęcał prywatny czas na prywatne zajęcie – ale przez tę regularność tamten zauważył, że coś jest nie tak. Był jednak pozytywny aspekt całej sytuacji. Jeśli gość nadal ogląda się za siebie, nie wpadnie na to, że Hank pojawi się w samym środku dnia. Nie, to był idealny moment. Dzisiejsza trasa zajęła mniej czasu, niż Hank przewidywał. Mógł bez problemu zniknąć na dziewięćdziesiąt minut i nikt by nie zauważył. Zresztą kupił już dodatkowe sześć litrów benzyny, żeby Tommy nie zauważył w firmowym samochodzie braku paliwa, spowodowanego podróżą do Newark.

Zdejmując obrączkę przezroczystego plastiku z szyjki butelki, Hank pomyślał o Ellen. Biedna Ellen. Nie potrafił tego pojąć, kiedy jeszcze mógł coś zrobić, ale teraz rozumiał. Ellen była uzależniona. Stoczyła się na samo dno jak ci wszyscy idioci, których spotykał (i osądzał) od lat – narkomani, którzy wmawiali sobie, że odstawią strzykawkę w przyszłym tygodniu, zawodowi przestępcy, którzy twierdzili, że jeszcze jeden wielki skok i przechodzą na emeryturę – podobnie jak oni pozwoliła, żeby coś obcego stało się częścią jej tożsamości. W jej przypadku był to alkohol.

Jego siostra. Jej komentarze, zwykle wygłaszane z dumą, czasem po kieliszku Chardonnay lub dwóch, z lekką zawiścią i kpina, na temat jego żelaznej dyscypliny. „Młody to nasz rodzinny abstynent”, „Hank dożyje setki, jeśli będzie o sobie dbał”, „Mój idealny braciszek”.

Nie zauważył u niej pierwszych oznak nałogu, zastanawiał się jednak, czy, gdyby żyła... Czy nie uznałaby jego samego za nałogowca. Tak jak alkoholik nigdy nie przestaje tęsknić za butelką, tak samo on, choć potrafił przez dwa miesiące powstrzymać się od poniesienia kary, nigdy nie przestał myśleć o człowieku, który zabił jego siostrę. I choć w głębi serca wiedział, że nigdy nie przestanie, tak jak alkoholik obiecał sobie, że pojedzie do Newark ten jeden, ostatni raz. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Chciał tylko się upewnić, że tamten nigdzie sam się nie wybiera.

## *Rozdział 5*

Były czasy, kiedy nazwa Dzielnica Mięsna nie wymagała dalszych wyjaśnień. Była to po prostu dzielnica, gdzie mieścił się przemysł mięsny. Wygląd otoczenia również nie budził najmniejszych wątpliwości. Ciężarówka-chłodnie, zaparkowane tyłem przy zakładach, gotowe były do przewiezienia wiszących zwierzęcych zwłok, które miały wkrótce zamienić się w najlepsze steki w mieście. Rzeźnicy – tacy prawdziwi, w umazanych krwią białych fartuchach – zachęcali klientów obietnicą sprzedaży najświeższych i najlepszych kąsków. Brukowane ulice, nieremontowane od mrocznych dni slumsów w Five Points, nadawały się do ruchu wyłącznie dla ciężkich, industrialnych pojazdów oraz najbardziej zahartowanych pieszych, którzy dzięki latom doświadczeń wiedzieli, na który dokładnie kamień można stanąć, by się nie przewrócić. Nawet powietrze przesiąknięte było krwawym odorem surowego mięsa.

Współczesna nazwa dzielnicy była wyłącznie ukłonem w stronę historii. By dotrzeć pod wskazany adres, Alice wysiadła z autobusu linii 14D, po czym przeszła obok sklepu Apple'a, Hotelu Gansevoort (gdzie niedawno zatrzymano za handel narkotykami latorośl którejś ze znanych gwiazd) oraz butik Christiana Louboutina. Kierując się na południe, zauważyła, że luksus jest tu pojęciem relatywnym. Gdy zniknęły jej z oczu wysokie obcasy Louboutina za 700 dolarów, minęła zupełnie przeciętną, małą winiarnię, spożywczak D'Agostino, a nawet całkiem zwyczajnie wyglądający blok mieszkalny z czerwonej cegły.

Alice łatwo się było tu zgubić, chociaż przeżyła w Nowym Jorku niemal całe życie. Dzieciństwo spędziła na Upper East Side. Wracając ze studiów w Filadelfii, zatrzymywała się u rodziców. Dwa lata przemieszkała z Billem, też na Upper East, zanim nie przeprowadzili się

po ślubie do St. Louis. Po rozwodzie znowu spędziła chwilę u starych, wkrótce jednak zaczęła studia magisterskie i przeprowadziła się do własnego mieszkania, ponownie na Upper East.

Chociaż obecnie mieszka w centrum, nigdy nie opuściła świata, w którym ulice biegną ze wschodu na zachód i przecinają się pod kątem prostym z alejami łączącymi północ z południem, a ich numery zawsze mówią, dokąd iść. Dzisiaj nadziała się na trójkąt ukośnych ulic, znanych jako Jane, Waszyngtona, Hudson i Horatio. Chociaż wszystkie miały swoje nazwy, przecinały się ze sobą pod przypadkowymi kątami.

Wyciągnęła iPhonea i weszła na mapę Google. Wziąwszy pierwszy skręt w prawo za D'Agostino, znalazła się na rogu Bethune z ulicą Waszyngtona. Rozpoznała to skrzyżowanie, znajdowało się zaledwie przecznice od znajomego, meksykańskiego baru w podpiwniczeniu, skąd na rozstawione w ogródku stoliki trafiały szklanki z Margaritą, roztaczając wokół siebie limonkowy aromat.

W pewnym momencie jej wewnętrzna sceptyczka – ten sam głos w głowie, który wciąż ostrzegał ją, że to wszystko jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe – kazała jej rozejrzeć się wokół. Alice stwierdziła, że cały snobizm Dzielnicy Mięsnej gdzieś przepadł, a ona sama oddała się od lepszych rejonów West Village. Na rogu dostrzegła chińską restaurację Mały Budda. Okna lokalu zabite były deskami, na których ktoś namalował „ZAMKNIĘTE. Dziękujemy za wizytę”.

Naprzeciw zamkniętego lokalu wznosiła się przedwojenna kamienica. Okna na jej trzech dolnych piętrach zabezpieczone były żelaznymi kratami. Alice wydawało się, że gdyby poszła jeszcze kilka kwartałów w tamtą stronę, natknęłaby się w końcu na lokal łączący funkcje punktu wymiany igieł, dystrybucji prezerwatyw i taniego salonu tatuażu. Oczywiście wyobraźni zobaczyła siebie samą, niczym Lucy w komiksie *Fistaszki*, jak siedzi pod poobijaną, drewnianą tablicą z napisem „Sztuka współczesna, 5 centów”.

Ale gdy Alice minęła miniaturowy sklep z wymyślną odzieżą dla rozpuszczonych piesków, jej oblicze rozpogodziło się nieco. Za szybą następnej wystawy zauważyła napis „Do wynajęcia”. Obrzuciła spojrzeniem okolicę. Brytyjska firma sprzedająca szalenie popularne bluzy, które określano obecnie zbiorczym terminem „hoodies”, mającym uzasadniać ich zabójcze ceny. Kwaciarnia. Ekskluzywny sklep z butami. Restauracja na dziesięć stołów, należąca do jednego z ostatnich finalistów programu *Top Chef*. Salon tatuażu, który nie należał do najtańszych. Skrzyżowała skryte w kieszeni płaszcza palce na szczęście i zmrużyła oczy, próbując dostrzec numer na tabliczce ponad wystawą bez szyldu.

Strzał w dziesiątkę. To było tutaj. Adres, który dostała od Drew. Przycisnęła czoło do szyby, osłaniając ją z boków dłońmi, by zajrzeć do pustego pomieszczenia. Sufit dzieliło od

podłogi dobre cztery i pół metra. Rury od ogrzewania były na wierzchu, ale wyglądało to nawet fajnie. Gładkie, białe ściany aż prosiły się, by powiesić na nich jakieś dzieło sztuki. Oczyma wyobraźni widziała już, jak stoi tu w jednej ze swoich lepszych, czarnych sukienek i pokazuje na płótna, jedyne ostoje koloru w całej galerii.

Odskoczyła od wystawy, wystraszona nagłym klepieniem w ramię. Pip-pip! zapiszczały cicho kluczyki w dłoni Drew Campbella, zatraskując zamki w srebrnym sedanie, który zaparkował na chodniku.

– Więc to tutaj, tak?

– Wydajesz się rozczarowana.

Z jakiegoś powodu, nawet kiedy Alice była maksymalnie entuzjastyczna, ludzie uznawali ją za zdolowaną. Miała teorię, że zawdzięcza to dzieciństwu pełnemu fałszywych nadziei. Rodzice na każdym kroku powtarzali jej, że jest lepsza, niż była w istocie. Ich intencje były szlachetne, ale ciągle pochwały, jakimi była obsypywana niezależnie od zasług, musiały skończyć się rozczarowaniem, gdy wreszcie dogoniła ją rzeczywistość. Alice sama została swoim najostrzejszym krytykiem, gdyż nie było nikogo, kto zrobiłby to za nią.

Nawet teraz nie była w stanie czuć dumy ani podekscytowania, nie myśląc od razu o rozlicznych powodach, dla których ostatecznie wszystko schrzani. Przed oczami stanęły jej doroczne oceny, które otrzymywała w Metropolitan. Widziała w nich sygnały, które powinna była dostrzec wtedy. Teraz, gdy Drew Campbell spoglądał na nią jasnym, wyczekującym wzrokiem, gotów, by dać jej nową szansę, próbowała zepchnąć te myśli w mrok przeszłości.

Drew wbił sześciocyfrowy kod do klawiatury elektronicznie zamykanej skrzynki na drzwiach i chwycił klucz, który stamtąd wypadł.

– Jeszcze nie podpisałem papierów – powiedział. – Pomyślałem, że laska, która tu będzie rządzić, powinna mieć ostatnie słowo.

Gdy obserwowała, jak Drew wkłada klucz w zamek i otwiera drzwi, bardzo starała się nie myśleć o tym jako o metaforze otwierania nowego rozdziału w jej życiu. Nie chciała za bardzo rozbudzać swoich nadziei. Powtarzała sobie, że to nadal może się nie udać. Ale w wyobraźni widziała już, jak własnoręcznie otwiera te drzwi, by rozślawić nazwę owej wciąż nienazwanej galerii w nieskończonym świecie sztuki.

– No i co myślisz?

Alice, która właśnie podziwiała białe kafelki podłogi, postanowiła ukrywać entuzjazm.

– Nie ma tu zbyt wiele miejsca – powiedziała. – Szczególnie, jeśli trzeba będzie jeszcze pomieścić tu magazyn. Ale jest przytulnie, co pasuje do klimatu dzielnicy. Podoba mi

się, że to miejsce znajduje się z dala od udeptanych szlaków Chelsea. Okolice ciągle ma mnóstwo niewykorzystanego potencjału.

– Wszyscy ci hipsterzy będą potrzebować dzieł sztuki na wystrój mieszkań, no nie? – spytał Drew, bawiąc się piórem Montblanc.

– Miejmy nadzieję.

Wyciągnął z czarnej, skórzanej aktówki laptop o grubości niewiele tylko przekraczającej jeden centymetr.

– Zobaczmy, czy uda się nam podpiąć za friko do sąsiadów. OK, działa.

Patrzyła, jak przesuwa kursorem. Na ekranie otworzyło się kilka okien naraz. Obrazy zmieniały się za szybko, by była w stanie im się przyjrzeć, ale mignęły jej czarno-białe wizerunki odsłoniętego ciała, jakiś gwóźdź, jakieś paciorki, które skojarzyły się jej z różańcem.

– No więc nie wątpię, że spodoba ci się to miejsce, ale jak ostrzegałem, jest tu parę haczyków.

Alice poczuła, że wraca na ziemię. Ponownie usłyszała głos Lily oraz swojej wewnętrznej sceptyczki. Zbyt piękne, by było prawdziwe. Nie ma czegoś takiego jak uśmiech losu.

– Więc nie pozostawiaj mnie w niepewności – powiedziała tonem tak lekkim, na jaki tylko umiała się zdobyć. – Na zapleczu jest burdel? Coś niszowego? Karły-transwestyci. Byłam blisko?

Drew uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

– Może przesadzam z tymi negatywnymi stronami, ale wysłuchaj mnie do końca, dobrze? Z tego, co wiem, są dwa małe „ale”. I nie, nie mówię tu o karłach-transwestytach. Po pierwsze – odchylił kciuk – mój klient ma już nazwę dla galerii. Galeria Highline.

– Mogło być duuużo gorzej.

– Ale mniej nudno.

Wydziwianie na nazwę galerii to był pryszcz w porównaniu z kłopotami, których się spodziewała, ale Highline była równie wymyślna, co biały chleb, nadawała się równie dobrze do nazwania nowego parkingu ponad Dziewiątą Aleją, co budowanej obok wielopoziomowej filharmonii. Highline pasowała do Dzielnicy Mięsnej równie dobrze, co Clinton do Helis Kitchen – nierzucająca się w oczy, sterylna nazwa wymyślona przez agentów handlu nieruchomościami, by zamaskować krawą, brudną i pełną blizn historię okolicy.

Tymczasem Drew kontynuował.

– Jak się zapewne domyślasz, drugi haczyk jest nieco bardziej niewygodny.

Obrócił laptop w jej stronę i pogłaskał palcem wskazującym po touchpadzie. Ekran ponownie wypełniło *staccato* czarno-białych obrazów.

– To, panno Humphrey, jest właśnie nasza skryta pod tupecikiem łysina, nasza przypudrowana kurczajka.

Na pierwszym planie widać było cztery obrazy. Włochaty, męski narząd ponacinany w krucyfiksy, figurka Maryi Dziewicy za pięćdziesiąt centów, powieszona za szyję na bawełnianej nici, metalowa ryba – taka, jaka była zwykle kojarzona z ewangelizmem – z doczepionymi różowymi jądrami i wreszcie Biblia wciśnięta w stalową szatkownicę.

– O Jezu.

– Ciekawy dobór słów – skomentował Drew.

– Proszę, nie mów mi, że to prace amanta mojego tajemniczego sponsora.

– Obawiam się, że tak, moja droga.

– Jest jak Mapplethorpe. Minus talent.

Drew wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, przyjaźnię się ze starym od lat, ale nie próbuję ukrywać skaz na jego wizerunku. Jeśli zamierzasz się teraz wycofać, nie mogę cię ani trochę winić.

Jeszcze raz spojrzała na obrazy. Alice wychowała się w całkowicie świeckiej atmosferze. Na palcach obu rąk mogłaby policzyć, ile razy była w kościele, i to wyłącznie z okazji ślubów lub jako turystka. Mimo to nawet ona poczuła organiczną odrazę do tych obrazów. Nie było w nich piękna. Były interesujące jedynie dlatego, że prowokowały. Zwyczajnie nie powinno się tak robić.

– A co dokładnie obejmuje lojalność Galerii Highline wobec tego artysty?

Za pomocą palca wskazującego Drew pozamykał obrazy i otworzył stronę internetową o adresie [www.hansschuler.com](http://www.hansschuler.com). Na ekranie pojawiła się fotografia atrakcyjnego trzydziestoparolatka o jasnobrażowych, kręconych włosach.

– Twoja inauguracyjna wystawa ma być poświęcona temu idiotcie. Potem dwie lub trzy wystawy rocznie, jakieś cztery tygodnie każda. W międzyczasie możesz robić, co ci się żywnie podoba, ale ciągle musisz mieć go na stanie. Gość jest słabym ogniwem. Proszę tylko, byś to przemyślała, zanim się zgodzisz. Poinformowanie z góry mojego klienta, że się rozmyśliłaś, to nie to samo, co szukanie po dwóch miesiącach kogoś na twoje miejsce.

W głębi serca Alice wiedziała od początku, że to wszystko jest zbyt piękne, by było prawdziwe, ale teraz przynajmniej wiedziała, kto jest jej wrogiem. Jeśli weźmie tę pracę, Hans Schuler – artysta łamane przez amant – będzie zapewne nieustającym wrzodem na dupie. Alice przypomniała sobie, że wszystko, co najlepsze w jej życiu, przychodziło do niej

samo.

– Dobra, wchodzę w to.

– Poważnie? No to dobrze. Powiadomię agencję nieruchomości, że możemy podpisać umowę. Może zabierzesz się ze mną? To aż w Hoboken, ale dziś jest dobra pogoda na przejażdżkę.

Biorąc pod uwagę pragnienie właściciela galerii, by pozostać anonimowym, jej realnym szefem zapewne będzie Drew. Jedna z jej koleżanek z Metropolitan powiedziała, że Alice nie chciało się „zrobić kroku dalej” i uczestniczyć w życiu instytucji poza godzinami pracy, czemu być może zawdzięczała swoje zwolnienie. Nie zaszkodziłoby tym razem zacząć z dobrej nogi.

– Przejazdźka brzmi nieźle.

## *Rozdział 6*

Przyspieszając na końcowym fragmencie łuku, Drew wjechał w Tunel Hollanda. Alice widziała, że sprawia mu przyjemność, jak jego BMW trzyma się szosy i jak ciasno bierze zakręty. Czowała, że powinna powiedzieć coś niebanalnego. Coś o momencie obrotowym, zawieszeniu albo niemieckiej inżynierii.

– Nie pamiętam już, kiedy ostatnio prowadziłam. – Było to najlepsze, co wymyśliła.

Do podróży po mieście jej rodzina miała zawsze samochód z szoferem, więc Alice miała okazję prowadzić jedynie wtedy, kiedy wyjeżdżała do ich willi w Bedford albo, znacznie rzadziej, do ojca w Los Angeles. Przeszła nastoletni rytuał zdobywania prawa jazdy, ale nigdy nie czuła się zbyt pewnie za kółkiem. Odpowiadała jej obecna bezsamochodowa egzystencja, w której poruszała się po Manhattanie za pomocą nóg, metra lub z rzadka, przy złej pogodzie, taksówek.

– Tak to jest, jeśli dorastasz w wielkim mieście. – Drew włączył światła przeciwmgielne, gdy wjechali głębiej w tunel. – Jeśli urodzisz się w Tampa na Florydzie, to jeździsz samochodem. Znajomi mówią mi, że trzymanie wozu w Nowym Jorku to idiotyzm, ale uwielbiam uczucie wolności, które on mi daje. Mogę wsiąść za kółko i pojechać gdziekolwiek i kiedykolwiek zechcę.

Nie przypominała sobie, żeby wspomniała Drew, że wychowała się na Manhattanie. Musiał ją sobie wygooglować, zanim zaoferował jej pracę. Alice czasami sama wprowadzała swoje imię do wyszukiwarek, głównie z nudów.

Spośród nazwisk nadających się do zgooglowania, „Alice Humphrey” przypadało

gdzieś pomiędzy „Jennifer Smith” a „Engelbert Humperdink”. Większość odnośników kierowała do pewnej pani naukowic, która napisała gorąco dyskutowaną książkę o globalnym ociepleniu. W bardziej współczesnych czasach pewna szesnastoletnia Alice Humphrey z Salt Lake City dokonywała heroicznych wyczynów w szkolnej drużynie piłki nożnej. Ale i ta właściwa Alice Humphrey miała swoje internetowe życie. Niestety, większość z tego życia nie było jej własnym dziełem. Owszem, miała stronę na Facebooku, było też kilka wzmianek o jej pracy związanej z muzeum. Ale dorosła Alice Humphrey była dalece przyćmiona przez Alice Humphrey, dziecięcą aktorkę i córkę zdobywcy Oscara, reżysera Franka Humphreya.

Kusiło ją, by spytać Drew, czy miało to znaczenie. Czy dostałaby tę pracę, gdyby była zwyczajną, szarą Alice Humphrey, córką, powiedzmy, nauczycielki i księgowego. Ale takie pytanie byłoby nieuczciwe, nie tylko względem Drew, ale i jej samej. Nie było na nie właściwej odpowiedzi ani też właściwej reakcji na odpowiedź niezależnie od jej brzmienia. Nie chciała już niczego zawdzięczać ojcu, ale nadal była jego córką. Nic na to nie mogła poradzić. A póki co Drew nawet słowem nie napomknął o jej rodzinie. Gdyby Alice poruszyła tę kwestię tuż po zupełnie niewinnej uwadze o prowadzeniu samochodów, mogłaby zostać oficjalnie okrzyknięta neurotyczką.

– Więc czym się właściwie zajmujesz, Drew?

– No cóż, na to pytanie mam do udzielenia dwie możliwe odpowiedzi. Jedna, która nadaje się na pierwszą randkę, brzmi „przedsiębiorca”. Jesteś pod wystarczająco dużym wrażeniem?

– Tak szczerze? Zawsze myślałam, że „przedsiębiorca” może znaczyć cokolwiek.

– Z tego powodu istnieje też druga odpowiedź, której mogłaby udzielić ci moja matka. Gdyby siedziała tu z nami zamiast być w Tampa i z radością odnotowywać fakt, że jest już południe i może się wreszcie napić Martini, zapewne nazwałaby mnie rozpuszczonym dzieciakiem, który żyje z pieniędzy rodziców.

Alice ewidentnie nie była jedyną osobą w samochodzie, która miała problemy z opuszczeniem rodzinnego gniazda.

– No cóż, jeśli to jedyne możliwości, to wolę już tę pierwszą.

– Z jednej strony napuszony dupek, z drugiej – żaloszny maminsynek. Prawda leży gdzieś pośrodku, a jest taka, że wiodę naprawdę fajne życie i przy okazji pomagam różnym ludziom zarobić nieco grosza. Na przykład powiedzmy, że trafiam do małej restauracji, która ma naprawdę świetnego kucharza. Staram się dowiedzieć, czy gość jest typem człowieka, który ma wielkie marzenia, ale brak mu funduszy. Jeśli tak, to załatwiam mu inwestorów i



próbuję przy okazji sam trochę na tym zarobić.

– I dlaczego nie podoba się to twojej mamie?

– Ponieważ ci inwestorzy to przeważnie wciąż ci sami dwaj tetrycy, dla których pracuję, odkąd kosilem im trawniki jako dziecko. A tak się składa, że są też kumplami mojego taty, co czyni ich zaledwie odrobinę mniej okropnymi od Antychrysta.

– Czy jeden z nich jest moim nowym szefem?

– O ile w ogóle będziesz mieć szefa.

Drew zatrzymał samochód obok hydrantu, przed odnowionym blokiem mieszkalnym i włączył migające światła awaryjne. Wystawa na parterze budynku zalepiona była ogłoszeniami o nieruchomościach. Wskoczył z wozu zanim Alice zdążyła rozpiąć pasy. Zanim zatrzasnął za sobą drzwi, rzucił jeszcze kluczyki na fotel kierowcy.

– Jakby coś, to umiesz prowadzić? – zakrzyknął z chodnika.

– Tak, jasne.

Przez szybę patrzyła, jak Drew rozmawia z recepcjonistką, po czym podaje dłoń długonogiej kobiecie o nastroszonych, czarnych włosach. Po powitaniu kobieta ruszyła ku szafce na akta i wróciła z jakimiś dokumentami. Drew wyciągnął pióro z kieszeni marynarki i wskazał w kierunku samochodu. Teraz nastroszona kobieta gapiała się prosto na nią. Alice powinna jej pomachać, czy co? Zaczęła udawać, że majstruje przy radiu, a po chwili zauważyła kątem oka, jak Drew wychodzi z budynku, niosąc ze sobą papiery.

Wskoczył na swój fotel, położył związane niegrzeczną, różową tasiemką dokumenty na desce rozdzielczej i zaczął w ekspresowym tempie składać na nich podpisy.

– Trochę tam strasznie – powiedział, nie przerywając pisania. – Te kobiety są trochę zbyt blade i zbyt wysokie, jak na mój gust. Czuję się tam jak mysz wrzucona do wiwarium z anakondami.

– Mówiłeś, że pomagasz ludziom zarobić trochę grosza. Czy mój nowy szef widzi Galerię Highline jako hobby, czy faktycznie liczy na zyski?

Drew wrzucił pióro Montblanc z powrotem do kieszeni płaszcza, po czym otrzepał kontrakt o kierownicę.

– Świetne pytanie, Alice – powiedział, wysiadł z wozu i obrócił głowę w jej stronę. – Czas pokaże.

*Rozdział 7*

Joann Stevenson poczuła język pomiędzy palcami u stopy. Zabrała ją szybko, wydając z siebie cienki pisk.

– Sebastian!

Shih tzu zawtórował jej, zeskakując na ziemię, po czym wskoczył z powrotem na łóżko w pobliżu jej głowy. Nie mogła powstrzymać się od chichotu, gdy futrzana, czterokilogramowa kulka zaczęła skakać po jej poduszce.

– Myślałem, że mieliśmy być cicho.

Na karku poczuła ciepłe usta. Tym razem pocałunki zdecydowanie nie pochodziły od Sebastiana.

– Bo mamy być cicho.

– Mmm, jesteś pewna?

Pod kołdrą poczuła przy sobie nagie ciało Marka. Obróciła się do niego. Zobaczyła jego uśmiech nim znów ją pocałował.

– Bardziej niż pewna.

– Na sto procent?

Położyła palec na jego ustach.

– Bądź bardzo, bardzo cicho.

Sięgnęła po jedną z gumowych zabawek Sebastiana i rzuciła ją w drugi koniec pokoju. Zwierzak z radością tam pobiegł.

– Dobry pies – wyszeptał Mark.

Nie żartowała, kiedy mówiła, że muszą być cicho. Oboje tłumili chichot i zmieniali nieco pozycję przy każdym jęku materaca, przy każdym uderzeniu wezglowia o ścianę. Z wielkim trudem zapanowała nad sobą w krytycznym momencie, ale zagryzła wargę tak mocno, że prawie rozcięła skórę.

Po wszystkim leżeli spoceni, w ciszy wymieniając zmęczone uśmiechy. Joann usadowiła się w zgięciu ramienia mężczyzny i złożyła mu głowę na piersi.

– Nie chcę się stąd ruszać.

– Ani ja.

– Jesteś naukowcem. Nie mógłbyś wynaleźć jakiejś maszyny, która zatrzymałaby resztę świata na tydzień, żebyśmy mogli tu sobie leżeć nago?

– Uwielbiam cię, Joann, ale nie sądzę, żebyśmy zdołali przetrwać tydzień czegoś takiego.

– Moglibyśmy robić przerwy na prysznic i jedzenie.

– To już brzmi jak plan.

Przerwała im erupcja monotonnego, urywanego pisku. Joann jęknęła cierpiętniczo, uderzając otwartą dłoń w przycisk budzika.

– Czy ja w ogóle chcę wiedzieć, która jest godzina?

Joann ustawiała alarm tak, by dzwonił co dwadzieścia minut; przerwane przed chwilą buczenie oznaczało koniec trzeciego odroczenia wyroku.

– Ósma.

– Cholera. Na dziewiątą muszę być na uczelni. Więc jak mnie przemycisz na zewnątrz?

W ciągu piętnastu lat życia jako samotna matka Joann nigdy, przenigdy nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie spędzić nocy w jej łóżku, jeśli Becca była w domu. Lista ustanowionych przez Joann zasad kategorycznie zakazywała nocnych igraszek w obecności jej dziecka. Ale poprzedniego wieczoru wiedziała, że Becca wróci od znajomych dopiero o dziesiątej. A kiedy zaprosiła Marka do domu po powrocie z restauracji, wydarzenia nabrały nagle tempa. Znali się już od dwóch miesięcy. Mieli za sobą dwucyfrową liczbę randek. No i... cóż, Mark był inny.

I tak oto Joann złamała własne zasady. Przemyciła Marka do sypialni, jakby to ona była nastolatką, a Becca jej matką. Zostawiła jej w kuchni notatkę: „Dzisiaj wcześniej uderzam w kimono. Zapukaj, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Jeśli chcesz coś przegryźć, w lodówce są jabłka i naprawdę smaczny cheddar. Całusy, mama”.

A teraz musiała przemycić Marka z powrotem.

Wygramoliła się z łóżka i wciągnęła szary dres, w którym chodziła na spacerzy z psem. Podekscytowany Sebastian zaczął podskakiwać u jej kolan. Uchyliła drzwi sypialni, nasłuchując odgłosów domu. Nigdy nie dało się przewidzieć, kiedy Becca śpi. Czasami zrywała się z łóżka o świcie, by surfować po necie albo obejrzeć powtórkę jakiegoś serialu w telewizji, żeby mieć o czym nawijać z koleżankami w szkole. Innym razem zachowywała się jak prawdziwa córka swojej matki i wciskała przycisk drzemki do momentu, aż Joann zmuszona była zwlec ją siłą z łóżka.

W domu panowała cisza.

– Teren czysty – wyszeptwała.

Z podziwem przyglądała się szczupłemu ciału Marka, gdy ten zakładał dżinsy i pasiastą koszulkę, te same, w których wczoraj tu przyszedł. Facet miał czterdzieści pięć lat, ale do diabła nadal wyglądał świetnie. Dała mu znać, by siedł za nią korytarzem, obok drzwi pokoju Becci. U szczytu schodów ujął jej dłoń i wskazał na pierwszy stopień. Ruszyli jednocześnie, idealnie synchronizując każdy krok. U drzwi na zewnątrz pocałowała go

jeszcze na do widzenia, po czym obserwowała przez okno salonu, jak idzie do swojego subaru, zaparkowanego dwa domy dalej.

Usłyszała niskie warknięcie. Spojrzała w dół i ujrzała Sebastiana. W zębach trzymał jeden z jej butów UGG.

– Wstrzymaj konie, chłopcze.

Założyła mu smycz, po czym zatrzymała się u stóp schodów, zastanawiając się, czy nie powinna obudzić córki przed spacerem. Ale Becca potrafiła się ubrać w dziesięć minut, jeśli było trzeba. A dzieci w jej wieku potrzebowały się wysypiać.

Ruszyli standardowym tempem swoją standardową trasą dookoła tego samego kwartału, co zwykle. Większość ludzi (i psów) dawno już znudziłaby ta powtarzalność, ale Joann lubiła sobie mówić, że oboje cenią te dziesięć minut, które mogą poświęcić sobie nawzajem. Pomiędzy wychowywaniem córki a pracą w archiwum szpitala życie Joann było dość chaotyczne. Przynajmniej oboje z Sebastianem mogli zawsze liczyć na te spacery.

Tego poranka Joann czuła się zrelaksowana, co zdarzało się zdecydowanie zbyt rzadko jak na jej gust. Przez piętnaście lat wychowywania Becci borykała się z samotnością. Było kilka koleżanek w szpitalu, ale wszystkie miały mężów i małe dzieci, przez co nie interesowały się znajomościami po godzinach pracy. Po drodze spotkała też kilku mężczyzn, ale jakoś żaden z nich nie został na dłużej. W końcu przecież miała dziecko. A wraz z nim wszystkie zasady związane z jego wychowaniem. Niewielu mężczyzn miało ochotę się podporządkować. A ci nieliczni, którzy chcieli? Żaden z nich nie okazał się wart wysiłku. Wysiłku, który Joann wydawał się gigantyczny.

Do czasu aż nie pojawił się Mark. Spotkała go na zajęciach dla przyszłych studentów, na które siłą zaciągnęła Beccę. Dziewczyna fantazjowała na temat studiowania w szkole designu Parsons w Nowym Jorku, ale Joann miała na to o wiele za mało pieniędzy, nie zamierzała też pozwolić swojej córce, by ta stała się dwudziestodwuletnią bezrobotną z ogromnymi długami na karku. Chciała posłać Beccę na państwowy, czteroletni uniwersytet, choćby nie wiadomo co.

Biorąc pod uwagę okoliczności ich pierwszego spotkania, była pewna, że Mark się nią zainteresował, chociaż naoczny dowód jej samotnego macierzyństwa stał przecież obok niej. Po dyskusji panelowej złapał je na korytarzu, by opowiedzieć o wydziale fizyki. Becca z trudem skrywała obojętność, ale Joann udawała wielkie zainteresowanie świeżo oddanymi do użytku laboratoriami uczelni. Gdy w końcu się pożegnali, a on nie poprosił o numer jej telefonu, poczuła zawód. Ale odnalazł się dwa dni później, klucząc po korytarzach szpitala St. Claire w Dover w poszukiwaniu archiwów.

– Szuka pan czegoś? – zapytała.

– Już znalazłem. Może mnie pani nazwać staroświeckim, ale głupio mi było zalecać się na oczach pani córki. Nie przeszkadza pani, że tu przyszedłem? Jeśli tak, jeśli źle odczytałem sygnały, to mogę – hm, no nie wiem, niezręcznie wymówić się jakąś niewiarygodną historyjką?

– Chociaż jestem bardzo ciekawa, co by pan wymyślił, nie, nie będzie to konieczne.

Chodzili ze sobą już od dwóch miesięcy i Joann nie czuła się ani trochę tym zmęczona. Rozmawiali, chodzili na randki, całowali się i uprawiali seks bez żadnego wysiłku. Cały czas upominała się, by brać to dzień po dniu, ale nie mogła opędzić się od myśli o wspólnej przyszłości.

Poza tym nie tylko jej życie miłosne zaczęło się ostatnio układać. Po kilku trudnych miesiącach Becca zdawała się wracać do normalności. Koniec z opuszczonymi zajęciami. Koniec z wymykaniem się z domu. Odpuściła sobie nawet bardziej buntownicze zapędy i zmieniła towarzystwo na lepiej akceptowane.

Gdy zbliżali się do domu, Sebastian – jak zwykle – zaczął wyrywać się do przodu. Puściła go, pozwalając psu pobiec do domu i ciągnąć brązowy pasek po ziemi. Otworzyła drzwi i weszła za nim do środka.

– Becca! – zawołała z przedpokoju, odwieszając klucze na deskę w kształcie kota. – Pora wstawać.

Nic. Sebastian pobiegł przodem na górę i zaczął drapać w drzwi pokoju Becci.

– No wstawaj, śpiochu. Odwiozę cię do szkoły, ale musimy się zbierać.

Dalej nic.

Otworzyła drzwi sypialni. Spodziewała się zobaczyć córkę na łóżku, śpiącą wśród rozrzuconych poduszek i prześcieradeł w tej samej pozycji, co kiedy była jeszcze malutka – na boku, z głową opartą na przedramieniu, jedną nogą wyciągniętą, a drugą podkurczoną, niczym wzbijający się do lotu Superman.

Ale łóżko było puste.

Zapukała do drzwi łazienki na końcu korytarza. Nic. Otworzyła drzwi. Nikogo.

Wróciła do sypialni, by jeszcze raz rzucić okiem na niezasłane łóżko Becci. Czy była to sprawka jej wyobraźni, czy też kiedy wczoraj wieczór szybko zamknęła drzwi do jej pokoju, by Mark nie zauważył bałaganu, prześcieradło zwinięte było w dokładnie taki sam sposób? To samo w łazience – grzebień Becci rzucony na prawą stronę umywalki, stojąca obok odkręcona butelka żelu do włosów, mimo ciągłych upomnień Joann co do kosztów zaschniętych produktów kosmetycznych.

Joann próbowała sobie wmówić, że się myli. Becca musiała wstać wcześniej i była już w szkole. Może odkryła obecność Marka i wymknęła się z domu, by dać im nieco prywatności.

Ale chociaż jej mózg pracował na wysokich obrotach, by znaleźć proste wyjaśnienie sytuacji, Joann wiedziała – w jakiś sposób po prostu czuła, na poziomie komórkowym – że jej córka w ogóle nie wróciła do domu. A wyjaśnienie tego faktu nie będzie proste, jeśli w ogóle będzie kiedykolwiek możliwe.

## *Rozdział 8*

– Proszę, powiedz mi, że to kolejny z twoich żartów.

Od dnia, kiedy Drew Campbell podpisał umowę wynajęcia Galerii Highline, minęły trzy tygodnie. Teraz, w ostatni wieczór przed wielkim otwarciem, Alice stała na samym jej środku, a wiszący na wysokości pięciu i pół metra sufit sprawiał przytłaczające wrażenie, podobnie jak mierząca metr dziewięćdziesiąt sylwetka Jeffa Wilkersona.

Komentarz Jeffa dotyczył jej tendencji do wykorzystywania tego, co nazywała jego „środkowozachodnią prostoliniowością”.

– Wiem – mówił czasami – jestem naiwny.

Ale „naiwny” nie było słowem, którym Alice chciałaby opisywać Jeffa. Zarzucić komuś naiwność znaczyło tyle, co nazwać go głupim. A Jeffowi rozumu nie brakowało. Był jednym z najlepszych studentów na uniwersytecie stanu Indiana, podobnie na poddyplomowych studiach prawniczych. Później przeprowadził się do Nowego Jorku, by zacząć pracę dla jednej z największych firm na świecie. Ale po siedmiu latach harówki za byle jakie pieniądze uznał, że praca partnera wielkiej firmy nie wróży mu świetlanej przyszłości i postanowił stworzyć coś własnego.

Nie, Jeff nie był ani trochę naiwny. Był odczytany i inteligentny, wręcz genialny, choć Alice nienawidziła nadużywania tego słowa. Ale wciąż miał w sobie tę środkowozachodnią prostoliniowość. Ufał ludziom. Był szczery. Otwarty. Nie był człowiekiem, któremu wpadłoby do głowy, że można zmyślać historyjki tylko po to, by mieć z nich uciechę. Jeff był dobrym człowiekiem. A jego łatwowierność czyniła go uroczym. Czyniła go również kuszącym celem dla ludzi takich jak Alice.

Straciła już rachubę, ile razy dał się nabrać na jej absurdalne historyjki. O tym, że niektórym rasom kotów odrastają ogony, że samochodowy system nagłaśniający nie będzie

działać, jeśli poziom oleju w silniku będzie zbyt niski, że Alice pojawiła się na chwilę w teledysku Aerosmith do *Janie's Got a Gun*. Jeśli chodzi o to ostatnie, to nawet gdy zadzwonił do niej, twierdząc, że chociaż obejrzał dokładnie teledysk na YouTube, to nigdzie jej nie widział, udało się jej, tłumiąc chichot, przekonać go, by zrobił to jeszcze raz, kiedy ona będzie słuchać.

Prawda, czasami jej żarty przynosiły niechciane konsekwencje. Do dziś dnia Jeff uważał, że jej ojciec go nie lubi, ponieważ zamiast tradycyjnie podać mu rękę przy pierwszym spotkaniu, idąc za radą Alice, przekazał mu hipisowski znak pokoju. Efektem było raczej rozbawienie, ale Alice nie widziała powodu, by oświecić Jeffa, gdyż jej ojciec faktycznie za nim nie przepadał, chociaż z zupełnie innych powodów.

Oczekiwała, że Jeff w końcu przestanie dać się nabierać, ale on utrzymywał, że z pokerową twarzą Alice można by rozbić bank w kasynie. Co prawda z początku zawsze wyrażał niedowierzanie, ale ona, podobnie jak Lucy ze swoją piłką, zarzekała się, że tym razem to już nie żartuje. Podejrzewała, że często tylko udawał, że jej wierzy, ale i tak jej skłonność do kłamstewek i prostolinijność Jeffa składały się na jedną z podstaw ich długotrwałej przyjaźni.

Niestety, tym razem nie był to żart. Stali obok siebie, Jeff z dłońmi na biodrach, Alice z ramionami skrzyżowanymi na piersi, i przeglądali serię czarno-białych fotografii.

– Ci z nas, którzy należą do świata sztuki, nazwaliby to ambitną koncepcją – powiedziała.

– Mogłoby to nieźle podzielać na twoją docelową publiczność, ale zapominasz, że ja cię dobrze znam. Nie powiesz mi, że to ci się podoba.

– Artysta określa serię SAMO mianem wizerunku powstałego z radykalnej introspekcji. – Spróbowała swojego najbardziej autorytarnego tonu menedżerki galerii. – Eksplorując bezkompromisowość pierwotnej fizyczności, docieramy do swojego prawdziwego ja, przez co możemy osiągnąć wyższy poziom samopoznania.

Pilnowała się dziś cały dzień, by nazywać Hansa Schulera „artystą”, a jego zdjęcia „serią SAMO”. Słowa te ciągle przechodziły jej z trudem przez gardło. Uznała, że dzień to za mało, by pokonać nawyk określania Schulera „niemieckim chłoptasiem”, a jego zdjęć „moją kolekcją porno”.

Najważniejszym dziełem w tej serii była praca, której nadał tytuł *Płyny*. Widniał na nim przypominający ciągutkę glut jego śliny, zwieszający się z ust do pokrytego krwawymi śladami ugryzień nadgarstka. Owłosionego nadgarstka. Nim miała okazję dokonać z bliska tego szczegółowego przeglądu obnażonego ciała Schulera, nie sądziła, że jeden człowiek

może mieć na sobie tyle futra. Stała przed *Płynami* w pozie szyderczej kontemplacji, podpierając brodę zgiętym palcem wskazującym.

– Wyobrazasz sobie moje zdjęcie na okładce „New York Magazine”? Już widzę tytuł artykułu: „Nowo powstała Galeria Highline: dziś radykalizm, jutro wzór dla wszystkich?”

– Nie strasz mnie, Al. – Potrząsnął głową. – Z twoimi zdolnościami aktorskimi to faktycznie mogłoby się udać. Powinnaś grać w filmach.

Alice nie znosiła wszelkich zdrobnień swojego imienia, ale kiedy dopiero co poznany Jeff zaczął nazywać ją Ally, a później Al, z jakiegoś powodu jej to nie przeszkadzało. Od tamtych czasów minęło już siedem lat.

– Mam wrażenie, jakbym sprzedawała maść na przedłużenie penisa. Radykalna introspekcja? Co to w ogóle znaczy? I po co mielibyśmy włączać to do głównego nurtu?

Alice uważała fotografie za nieciekawe estetycznie i jałowe intelektualnie, więc przygotowując opis galerii, po prostu cytowała frazy ze strony internetowej autora.

– Przypomnij mi proszę, że muszę jedynie przetrwać ten jeden pokaz, a później mogę zacząć wystawiać prawdziwych artystów.

Umowa z Drew przewidywała, że galeria rozpocznie działalność od trzytygodniowej wystawy serii SAMO Hansa Schulera. Po tym okresie jego prace będą nadal wystawiane na sprzedaż, ale przestrzeń galerii zajmą razem z nim już inni artyści.

– Po prostu się nie poddawaj, co? To niezła impreza. Tylko musisz przetrwać tę nieprzyjemną część.

Skrzywiła się.

– Nic mi nie mów o nieprzyjemnych częściach w kontekście naszego drogiego Hansa.

– Więc jak się rozmawia z facetem, który się gryzie do krwi?

Opadła na białą bankietkę na środku pomieszczenia i zacmokała.

– I tu jest właśnie pies pogrzebany.

– To znaczy, że włochate porno Hansa to jeszcze nie wszystko?

– Obawiam się, że nie. Wygląda na to, że Schuler naczytał się za dużo nekrologów J. D. Salinger'a i postanowił zostać odludkiem.

– Salinger odciął się od świata, bo nie mógł już znieść ciężaru sławy. Czy ten twój Schuler zdaje sobie sprawę, że nikt o nim jeszcze nie słyszał?

– Po pierwsze, żaden „twój”. Po drugie, tak, zdaje sobie z tego sprawę, ale sądzi, że aura supertajemniczego człowieka-widma doda mu uroku. Drew próbował mu to wyperswadować, ale gość twierdzi, że to, co warto pokazać, powinno znaleźć się na zdjęciach.



– Ale spotkasz się z nim podczas wystawy?

– Nie. Nie pojawi się.

– To... hm, to idiotyczne. Jak on zamierza cokolwiek sprzedać?

– I tu powracamy do tego pomysłu z wytworzeniem głównonurtowej mody. Jak myślisz, ile musiałbyś beknać za jednego Hansa Schulera?

– Nie mam pojęcia i dobrze o tym wiesz.

– Zgadnij.

Mieli za sobą niezliczone dyskusje o nieprzewidywalności cen dzieł sztuki. Praca była warta tyle, ile ktoś chciał za nią zapłacić przy zawieranej twarzą w twarz transakcji.

– Nie wiem. To chyba zależy od tego, ile wydał podpisanych fotografii. Zakładając, że puścił serię, powiedzmy, paruset? To pewnie liczycie sobie po kilka tysięcy dolarów.

– Siedemset dolców.

– Chłopaki przy Union Square Park liczą sobie więcej.

– Dlatego właśnie mówi, że przetwarza radykalizm w główny nurt. Tworzy ambitną sztukę, która ma być dostępna dla każdego. Edycja nie jest też limitowana. Spójrz tam, w prawy dolny róg.

Jeff na wpół podniósł się z siedzenia, by móc lepiej widzieć.

– Co za pajac.

Zamiast umieścić na każdej fotografii oznaczenie i/liczba, gdzie liczba oznaczała numer serii, do której należało zdjęcie, Schuler wszędzie napisał ołówkiem po prostu 1/, zaznaczając w ten sposób, że serie będą drukowane w nieskończoność. Uważał, że nie trzeba ograniczać dostępności do sztuki, by stała się ona cenna. Jak nauczał w dołączonych do prac notatkach, największą zaletą fotografii była właśnie możliwość wykonywania identycznych kopii. Obniżając cenę, sprawi, że jego dzieła dostępne będą dla większej liczby osób, co uczyni go bardziej wpływowym od innych artystów, którzy sprzedawali jedynie po kilka prac, niezależnie od ceny.

CQ: wstaw symbol nieskończoności.

Alice podejrzewała, że sam Schuler nie wierzy w ani jedno słowo z tej tuzinkowej autopromocji. Oczywiście natomiast było to, że jego plan, jeśli się powiedzie, zapewni mu o wiele większy dochód, niż mógłby na to liczyć dowolny inny nieznany artysta.

Podeszła do niskiego, białego biurka u wejścia do galerii, wyjęła coś z górnej szuflady i rzuciła to Jeffowi.

– Niezły refleks.

Mężczyzna uniósł do oczu małego pendrive'a.

– SAMO – powiedział, odczytując na głos proste logo. – Więc co to jest?

– Kolejny gadżet pomysłu Schulera. Zamiast papierowego dowodu pochodzenia zakupionego dzieła każdy kupujący dostanie takiego właśnie idiotycznego pendrivea. Można z niego sobie przenieść na komputer wszystko, co kiedykolwiek chciałoby się wiedzieć o Hansie Schulerze.

Odpięła od sieci komputer galerii, płaski laptop Maca, i usiadła z nim obok Jeffa.

– Jeśli klienci będą chcieli się czegoś o nim dowiedzieć, to chyba po prostu odeślę ich do tego pendrive’a i na stronę internetową.

Kliknęła na znajomą zakładkę.

Jeff przybliżył się, by lepiej widzieć. Znali się już tak długo, że ani dotykanie się kolanami, ani jego ręka przerzucona przez jej ramię nie były oznakami zbliżenia, lecz jedynie wzajemnego zaufania i fizycznego nieskrępowania, które pozostawały równie silne, niezależnie na jakim etapie powtarzanych od czasu do czasu eksperymentów z tworzeniem związku aktualnie się znajdowali.

– Jeśli ta strona ma być jego głównym kanałem komunikacji, to raczej kiepsko to widzę.

Strona domowa składała się z płaskiego, czarnego tła, na którym widniało wypisane wielkimi literami imię i nazwisko artysty oraz trzy linki: Nowe Prace, Galerie i Życiorys. Nowe Prace składały się z pomniejszonych wersji tego, co wisiało na ścianach pomieszczenia. Galerie zawierały jedynie adres Galerii Highline oraz obietnicę, że „więcej galerii wkrótce”. Życiorys, podobno skrócona wersja, wyliczał naukę w akademii sztuki w Niemczech, kilka grupowych wystaw w różnych miejscach Europy, a nawet parę przyznanych artyście grantów.

– Ktoś dał mu forszę, żeby zrobił więcej tego śmiecia?

Może jednak Jeff miał w sobie jakieś śladowe ilości sceptycyzmu.

– Ach, kto wie? Może te granty pochodziły z kieszeni naszego dobroczyńcy, a zresztą co mi tam – powiedziała, delikatnie zamykając laptop.

Przez chwilę nic nie wypełniało ciszy, która nagle zapadła. Było tylko jego kolano przy jej kolanie. Jego ręka na jej ramieniu. Jego oczy patrzące w jej oczy.

– Słuchaj, wiem, że sobie poradzisz, ale może jednak nie staraj się zachęcać klientów, recytując jego wspaniałe życiorys. Ograniczaj się do samych prac. Jeśli ktoś będzie chciał znać jego referencje, kieruj rozmowę z powrotem do prac.

– No cóż, za marne siedemset dolców od fotografii nie zamierzam się doktoryzować z jego życiorysu.

– Po prostu nie chcę, żeby cię zamknęli za wyłudzenie.

– Przyjęłam, doradco.

Szczególny moment przeminął. Wsunęła pendrivea w kieszeń dżinsów. Przyniosła z zaplecza płaszcz. Włożyła laptop do swojej gigantycznej torebki. Jeszcze raz ogarnęła majestat wnętrza – jej wnętrza, w pewnym sensie – nim jeden po drugim przełączyła wszystkie kontakty na długiej belce, zatapiając przepastne pomieszczenie w ciemnościach, nie licząc słabego blasku latarni, który wpadał przez okno wystawy.

Jeff przytrzymał jej drzwi.

– Ciągasz ten laptop ze sobą?

– Jest sto razy szybszy od mojego dinozaura. Profity z mojej pracy.

– Jesteś nakręcona, co?

– No pewnie.

Usiłowała, by ton jej głosu wskazywał, że otwarcie galerii to nic takiego, ale w głębi duszy czuła się jak mała dziewczynka, która siedzi w przebieralni i przebiera nogami, podczas gdy mama mówi jej, by była grzeczna i słuchała miłej pani od makijażu. Nadchodziło coś wielkiego, a Alice miała być w samym centrum wydarzeń.

## *Rozdział 9*

Hank całkowicie stracił poczucie czasu, dzięki wydatnej pomocy stacji radiowej, która nadawała akurat listę „Dwie kapele na drugi dzień tygodnia”. Postukiwał palcami w kierownicę najpierw w rytm *Satisfaction*, a następnie *Shattered*. „Sza-du-bi. Shattered, Shattered”.

Do rzeczywistości przywrócił go dopiero głupawy głos Dj-a, który zapowiadał zmianę zespołu na Steve Miller Band. Hank nie potrzebował do szczęścia niczego więcej, oprócz słuchania przeklętej *Abracadabry* przez resztę dnia. Wyłączył radio i dla pełniejszego oderwania myśli od najgorszego kawałka w historii zaczął przyglądać się rudej dziewczynie, która maszerowała chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy. Na nosie miała wielkie okulary Jackie O, które ostatnimi czasy stały się wśród kobiet niezwykle modne. Podniesiony kołnierz płaszcza w kolorze pawiego błękitu zasłaniał dolną część jej twarzy. Wysokie aż do nieba obcasy czarnych bucików, które wyglądały na francuskie i kosztowne. Pod tym wszystkim nadal mogła być kaszalotem, ale teraz wyglądała naprawdę zabójczo. Z klasą, ale nie bez odrobiny zادیorności.

Spojrzał na zegarek. Szlag. Stał tu od dwudziestu minut, czekając z aparatem na coś,

co warto będzie sfotografować. Idiota. Nie mógł dać się złapać. Poza tym ktoś w centrum mógł zacząć się zastanawiać, jakim cudem ma tyle pracy. Albo, wskutek wcześniejszej wizyty na stacji benzynowej, Tommy w garażu mógł się zdziwić, jakim, cholera, cudem Hank osiąga tak niskie zużycie paliwa w Crown Victorii.

Cztery dni temu Hank powiedział sobie, że owa popołudniowa przejażdżka do Newark to zupełnie jednorazowa sprawa, niewinne sprawdzenie, czy ciągle potrafi wytropić tamtego, tak na wszelki wypadek. Ale dzisiaj był już trzeci raz, kiedy łamał to postanowienie. Wczoraj rano obiecywał sobie, że to już naprawdę ostatni raz. I naprawdę w to wierzył. Ale potem zobaczył samochód, BMW. Takie, jakim jeżdżą tylko bogacze i gangsterzy. Dobra, zaledwie seria 3, nie jeden z tych modeli dla naprawdę, naprawdę bogatych. Ale i tak o wiele za drogi jak na coś, czym ten śmieć powinien być w stanie się wozić.

Widział tamtego – nie lubił wymawiać jego imienia, nawet w myślach – jak wychodzi ze swego dziadowskiego bloku i kieruje się na osiedlowy parking. Ale zamiast do niebieskiej hondy, którą zwykle jeździł, podszedł do szarego BMW. Hank zamierzał za nim pojechać. Był nawet gotów spóźnić się do bazy, w której musiał stawić się na jedenastą. Ale tamten jedynie otworzył drzwi, po czym zamknął je z powrotem, trzymając w dłoni zostawionego w wozie iPoda.

Gdy Hank sprawdzał numery samochodu, poczuł znajomy przyływ adrenaliny. Było to uczucie, którego doświadczał zawsze, gdy ruszał na polowanie. Okazało się, że auto należy do Margaret Till z Clifton, New Jersey. Może to ona była nowym celem tamtego. Może Hank byłby w stanie ją ostrzec, nim sprawy zaszłyby za daleko.

Wczoraj, kiedy w końcu dał sobie spokój z mieszkaniem tamtego, zadzwonił do drzwi domu w Clifton, mając nadzieję dowiedzieć się, jaki związek z mężczyzną z Newark może mieć Margaret Till. Dostrzegł ją w ogródku przed domem, obok dróżki z czerwonej cegły. Kobieta zajmowała się begoniami, trzymając w jasnozielonej rękawicy małe szpadełki. Gospodarz domu pocałował ją w czubek głowy, pospiesznie naciągając marynarkę, spóźniony do pracy. Na chodniku piegowata dziewczynka bawiła się gumową kulką, a za dziewczynką stało szare BMW sedan, zaparkowane na podjeździe obok lexusa coupe, do którego właśnie wślizgiwał się szczęśliwy małżonek.

Rzuciwszy tylko okiem na samochód, Hank wiedział już, że ta kobieta nie jest nowym celem tamtego. Nie byłby to oczywiście pierwszy przypadek w historii, kiedy przykładowa pani June Cleaver wykręca numer swojej wspaniałej rodzinie, ale problemem były tablice rejestracyjne BMW. Rozpoznał je, ale nie należały one bynajmniej do Margaret Till. Hank wiedział je już wcześniej, dwa miesiące temu, na zderzaku niebieskiej hondy tamtego.

Gdy dzisiaj Hank powrócił na swój punkt obserwacyjny, szare BMW nadal stało na parkingu, ozdobione skradzionymi tablicami rejestracyjnymi pani Till. Wymiana tablic zapewne oznaczała, że wóz również był kradziony. Hank poczuł pokusę, by narobić gościowi koło piór anonimowym telefonem do miejscowych, ale kradzieże samochodów były śmiesznym oskarżeniem wobec prawdziwych win tamtego. Dla jakiegoś tam przestępstwa klasy C, które zapewne skończy się wyrokiem w zawiasach, Hank nie zamierzał ryzykować, że jego nieautoryzowana misja obserwacyjna zostanie odkryta.

A teraz zmarnował już dwadzieścia minut, siedząc tu na widoku w swojej białej Crown Victorii. Może i nie były to dzielnice grozy, ale ktoś i tak mógł rozpoznać w nim tajniaka. Już był gotów skończyć na dziś, a może i na zawsze, gdy znów zauważył tę rudą. Wielkie szkła. Niebieskie palto. Świetna figura. Wchodziła po schodach tym swoim pewnym siebie, niewymuszonym krokiem. Po schodach, wiodących wprost do apartamentu tamtego.

Hank obniżył się w swoim fotelu.

Puk, puk, puk. Drzwi otwarły się. Szybki pocałunek w usta, po czym ruda zniknęła w środku.

Uznawszy, że taka kobieta zajęłaby raczej na jakiś czas uwagę każdego mężczyzny, Hank wysiadł z samochodu, przeszedł przez parking i zajrzał przez przednią szybę BMW, szukając numeru rejestracyjnego. Daszek przeciwsłoneczny zasłonięty był jednak zwiniętym numerem „New York Magazine”.

Zastanowił się, czy nie spróbować otworzyć drzwi, ale czuł, że i tak będą zamknięte. Chodziło wyłącznie o stosunek zysku do ryzyka. Małe szanse na zysk. Średnie do dużych szanse na aktywowanie autoalarmu. Prosta kalkulacja kazała mu odpuścić.

Wrócił do Crown Victorii. Poczuł nadspodziewanie silne przyspieszenie pulsu, gdy wyobrażał sobie, jak jakiś wścibiński sąsiad dzwoni na policję i opowiada o obcym, który kręci się koło szarego BMW. Nie wyjmował kluczyka ze stacyjki na wypadek, gdyby nagle musiał stąd spadać.

Przez następne czterdzieści minut nic się nie wydarzyło.

Fajna fura. Ładna laska. W ciągu ostatnich siedmiu miesięcy Hank spędził tak wiele czasu, myśląc o tamtym, że uważał się już za eksperta od jego natury. I wiedza ta kazała mu uznać, że nie marnuje czasu, obserwując Trvisa Larsona. Coś się działo.

*Rozdział 10*

Alice ciągle pamiętała czasy, kiedy zmysłowy alt jej matki potrafił przebić się przez gwar zatłoczonej restauracji niczym diament tnący szkło. Nie wiedziała, czy kobiecy głos słabł z wiekiem, czy też była to kwestia oddziaływania życiowych doświadczeń na struny głosowe, ale teraz musiała się nachylać, by zrozumieć coś z tego, co mówi tamta.

– Powinieneś był ją widzieć, Frank. Była wspaniała. Opowiadała o tych pracach tak, że wszyscy jedli jej z ręki.

Dosłyszenie donośnego głosu ojca z drugiego końca stołu nie sprawiło Alice żadnego problemu.

– Alice zawsze była dobra we wszystkim, czego się tknęła. Mówiłem tak od dnia, kiedy się urodziła.

– Ale i tak powinieneś być na miejscu, żeby to widzieć.

Alice złapała spojrzenie matki i lekko potrząsnęła głową, ale było już za późno.

– Oczywiście, że chciałem tam być, Rose, ale nasza córeczka jest już dorosła. Nie potrzebuje, żeby ojciec patrzył jej cały czas na ręce. Ale nie będziemy chyba teraz gadać o starym reżyserze, co?

Dziś odbyło się oficjalne otwarcie Galerii Highline, a Alice świętowała to wydarzenie w Gramercy Tavern z rodzicami i Jeffem. Dla kogoś, kto podsłuchałby tę rozmowę, brzmieliby jak zupełnie normalna rodzina, dwoje dumnych rodziców prawiących komplementy swej córce, a w tym matka wbijająca szpilę ojcu z powodu jego absencji.

– Ale pewnie, że mogłeś tam przyjść, tato.

Frank Humphrey nigdy nie chciał, żeby go nazywano tatą lub ojcem. Alice podejrzewała, że w ogóle nigdy nie chciał mieć żony ani dzieci. Jego zwyczaj obsadzania w swoich filmach, a następnie zaliczania interesujących go dam zapewne utrzymałby go w szczęśliwości do końca życia. Ale w końcu udało mu się sprawić brzuch obiecującej i popularnej młodej gwiazdzie, Rose Sampson, kiedy kręcili razem drugi film *In the Heavens*.

W dzisiejszych czasach ciąża bez ślubu jest normą w Hollywood, ale w 1969 roku nawet filmowcy hołdowali jeszcze tradycyjnej moralności. Może nie na tyle, by wierzyć w miłość przed seksem, ale na pewno w wesele przed porodem. Kiedy się pobrali, magazyn „Life” określił najbardziej rozchwytywanego młodego reżysera Ameryki i aktorkę, która zawdzięczała udziałowi w jego filmach dwie nominacje do Oskarów pod rząd, „królem i królową Hollywood”. Pięć i pół miesiąca później urodził się Ben, starszy brat Alice.

Ale gdzie właściwie podziewa się Ben? Alice tego nie wiedziała. Nie pojawił się na otwarciu galerii, wysłał jej jedynie wiadomość, że wpadnie do restauracji. Piętnaście minut popijania koktajli minęło, a jego krzesło nadal pozostawało puste. Próbowwała zwalić

nieprzyjemne uczucie w żołądku na złe wspomnienia z jego przeszłości.

– Jesteśmy z ciebie tacy dumni, kochanie – powiedziała matka, delikatnie klepiąc Alice po ramieniu, ale cały czas wpatrując się w męża. Cisza, która potem nastąpiła, nie należała do szczególnie przyjemnych.

Na szczęście był tu jeszcze Jeff.

– Świetną miałaś dziś frekwencję. Dużo udało ci się sprzedać?

– Nie wszystko kręci się wokół pieniędzy, Jeff.

Gdyby Alice siedziała obok ojca, posłałaby mu teraz pod stołem kuksańca. Biedny Jeff. Była pewna, że wolałby teraz być gdziekolwiek, byle nie na tej „rodzinnej kolacji dla uczczenia”, która doszła do skutku tylko dzięki nieugiętemu uporowi matki. Jednak Jeff nalegał, żeby jej towarzyszyć w zastępstwie Lily, która rozchorowała się na grypę żołądkową.

Alice uważnie zaaranżowała układ siedzących przy okrągłym stoliku: ojciec przy matce, potem ona, Jeff i wreszcie Ben, stanowiący bufor pomiędzy Jeffem i ojcem. Ale piąte krzesło pozostawało puste, więc tata miał czyste pole do strzału. I jak zawsze nie omieszkał z tego skorzystać. A Jeff jak zwykle odbił piłeczkę.

– Oczywiście, panie Humphrey.

Nim rozmowa zdążyła wymknąć się spod kontroli, Alice weszła im w słowo.

– Jednak to dobrze, że przyszli moi znajomi, bo bez nich nie byłoby tego tłumu. Przed otwarciem mieliśmy niezłą reklamę, pisali o nas nawet w „Time Out” i „New York Magazine”, ale połowę obecnych i tak znałam wcześniej.

– Rany, ciekawe skąd wiedzieli – powiedział Jeff z uśmiechem.

– Właściwie to zasypałam wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam, za pomocą Evite, alarmów na Facebooku i każdą formą spamu, jaką znam, żeby tylko się pojawili – wyjaśniła rodzicom żarcik Jeffa.

– Właśnie o to chodzi – powiedziała matka. – Na początku musisz zrobić medialny szum. Tak samo jest w filmach.

Występy matki w filmach po urodzeniu Alice można by policzyć na palcach jednej ręki, ale Rose Sampson zawsze patrzyła na świat przez pryzmat właśnie tego przemysłu. Była to wszak ta sama kobieta, która zamknęła się w sypialni na tydzień, gdy dowiedziała się, że mała Alice rezygnuje z prób zostania gwiazdą.

– Tak czy siak, nie sprzedałam zbyt wielu kopii, ale sprawdziłam zamówienia w sieci. Tuż przed zamknięciem galerii byliśmy już o włos od przekroczenia setki.

Jeff spojrział na nią szeroko otwartymi oczyma znad wysokiej szklanki.

– Poważnie?

Gdy jechali tu taksówką, Alice zużyła nadmiar adrenaliny, jaki pozostał jej po udanym otwarciu, na nieskładne opowiadanie Jeffowi o różnych oryginałach, którzy pojawili się w galerii. Nie mieli czasu porozmawiać o liczbach.

– To dużo? – spytała matka.

– Widziałaś prace, mamó. Hans Schuler jest dość nietypowy.

– To dobrze – wtrącił się ojciec. – Mamy za dużo skomercjalizowanej, sterylnej sztuki. Jeśli przedstawiasz coś oryginalnego, możesz być z siebie dumna, nawet jeśli nie zarobisz ani dolara.

Teraz to dopiero był z niej dumny. Nie widział tego gówna, które wciskała ludziom, nie mógł też nie wytknąć Jeffowi, że sztuki nie mierzy się w pieniądzach, ale kiedy tylko usłyszał, że zdjęcia są dziwaczne, od razu się nakręcił. Był człowiekiem, który obserwował wyniki kasowe swoich filmów niczym sokół, podkreślając jednocześnie przy każdej okazji, że kierownictwo wytwórni to banda dusigroszy, których interesują jedynie zyski. Ojciec Alice nie był konsekwentny, ale z całą pewnością był przewidywalny.

Na tyle przewidywalny, że Alice z góry znała jego odpowiedź, gdy kelnerka spytała go, czy chce poczekać na ostatniego członka rodziny przed złożeniem zamówienia.

– Gdybyśmy zawsze czekali na mojego syna, reszta rodziny dawno temu umarłaby z głodu. Zamawiajmy.

Ojciec spędził kawał życia, dowodząc ludźmi na planie filmowym. Nie tolerował żadnych spóźnień, zwłaszcza ze strony swego nieprzewidywalnego syna. Zapewne nie pomógł tu też fakt, że popijał wodę gazowaną, podczas gdy reszta biesiadników raczyła się alkoholem. Rzucił picie dwadzieścia pięć lat wcześniej, ale, jak lubił zaznaczać, nigdy nie przestał za tym tęsknić.

– Wezmę kaczkę – obwieścił, oddając kelnerce menu, którego nawet nie otworzył. – Też weź kaczkę, Jeff. Mają tu świetną kaczkę.

Alice wiedziała, że kolacja odbędzie się w Gramercy Tavern, bo ojciec zawsze chciał tu iść, kiedy pojawiał się w „jej dzielnicy” (co oznaczało dlań „na południe od Trzydziestej Ósmej Ulicy”). Wiedziała, że zamówi kaczkę. Wiedziała też, że ojciec zamówi kaczkę i że chociaż normalnie Jeff wybrałby wołowinę, dzisiaj również weźmie kaczkę.

Chciałyby móc przekonać Jeffa, by ten przestał próbować przypodobać się jej ojcu. Chciałyby wyjaśnić mu, czemu jej ojciec nigdy go nie polubi. Ale każda rozmowa o uczuciach jej ojca względem Jeffa doprowadziłaby w nieunikniony sposób do rozmowy o przeszłości związku Jeffa i Alice, co z kolei mogłoby zniszczyć ich przyjaźń. A na tej przyjaźni bardzo jej zależało.



Gdy kelnerka zniknęła, Alice wróciła do obliczania zysków.

– Przez jeden dzień zarobiliśmy ponad siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Muszę przyznać, uważałam, że Schuler jest diabła wart, ale może jednak ma nosa. Zamówienia przychodziły z całego świata. Każdy może kupić jego prace, nieważne, gdzie mieszka, a nie tylko grupka bywalców nowojorskich galerii. Przyznaję, nie wiem, co oni w tym widzą, ale...

– Dla każdego coś miłego, prawda? – spytała matka, unosząc kieliszek Pinot Grigio w stronę Alice.

Dosłyszała cichy pomruk od strony ojca i poczuła się, jakby znów miała trzynaście lat. Mniej więcej w tym wieku nauczyła się rozpoznawać – nazywać – stałe napięcie pomiędzy swoimi rodzicami. Zazdrość matki o sukcesy ojca. Kłótnie, które zbiegały się w czasie z jego wyjazdami w teren. Jego z trudem skrywane znudzenie, gdy matka opowiadała o tym, co działo się w domu pod jego nieobecność. Jego parsknięcia, gdy matka nie popisywała się szczególnie błyskotliwym doborem słów. Tak jak teraz.

Gdyby chodziło o dowolną inną parę, zastanawiałaby się, dlaczego wciąż są małżeństwem. Ale tu zawsze zakładała – albo, będąc ich córką, po prostu usilnie chciała wierzyć – że istnieje między nimi jakaś nierozzerwalna nić miłości, która trzyma ich razem mimo wszystkich problemów. A jeśli chodzi o plotki o ojcu? Dla niej to były tylko plotki. Matka mu ufała, zatem i ona powinna.

Tyle że to nie były żadne plotki. Alice dowiedziała się tego rok wcześniej. Mimo to jednak mama trwała przy ojcu. Ktoś musiał mu coś powiedzieć. Alice była tym kimś. Odcięła się od ojca, przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe, nie niszcząc matki. A później straciła pracę w Metropolitan. Teraz w końcu stanęła na nogi. Nie wiedziała jednak, czy odbierać nieobecność ojca na otwarciu galerii jako karę, czy jako dostosowanie się do jej pragnień.

Pociągnęła kolejny łyk Martini z wódką. Alkohol rozgrzał jej żołądek, zamglilił percepcję.

Ben nie pojawił się tego wieczora. Dopiero dwa dni później Alice dowiedziała się dlaczego.

## *Rozdział 11*

Joann nie mogła otrząsnąć się z myśli, że spotyka ją teraz kara za każdy błąd, jaki kiedykolwiek popełniła jako matka. Jako kobieta. Jako istota ludzka.

Ostatnie piętnaście lat nie oszczędzało jej trudnych chwil. W wieku dwudziestu jeden

lat zaszła w ciążę z chłopakiem, który nie dość, że nie był zainteresowany ojcostwem, to w ogóle nie wiedział, czego chce od życia. Próbując utrzymać dziecko, pracowała po sklepach, z których ją zwalniano, gdy mała była chora, a Joann musiała zostawać w domu. Dzielila czas pomiędzy studia wieczorowe a pełnoetatową pracę kelnerki, gdy Becca poszła do szkoły. Wreszcie dyplom i praca w szpitalu, która dawała płatne urlopy, ubezpieczenie oraz poczucie bezpieczeństwa na znajomym terytorium. Udało jej się kupić dom, ale tylko dzięki latom oszczędzania, krachowi na rynku nieruchomości oraz mnóstwie szczęścia.

Ale niezależnie od tego, jak bardzo starała się poprawić życie rodziny Stevensonów, nigdy nie naprawiła swoich dawnych grzechów. Udało się jej tylko od nich odciąć. W pewnym momencie jej córeczka stała się na tyle duża, by zadawać pytania, jakim musi stawić czoła każdy samotny rodzic. Biologia. Historia. Genealogia. Jakby żądza poznania swego pochodzenia wpisana była w cząsteczki DNA.

Niezwykle było obserwować, jak ten policjant – ten obcy człowiek – zagłębia w każdy kąt domu, który z takim trudem stworzyła. Widziała, jak ocenia w myślach każdy szczegół. Pudełka słodzonych płatków na pokrytej linoleum kuchennej szafce. Głupie filmy na półkach w salonie, głównie dwugwiazdkowe komedie romantyczne i kiepskie filmy akcji, zdecydowanie przeważające ilościowo nad książkami, co wskazywało, że nie jest intelektualistką. Bałagan. Stosy papierów. Nieotwarte listy.

Sprzątanie było ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, odkąd Becca... zniknęła. Joann wciąż z wielkim trudem przychodziło wyobrażenie sobie znaczenia i wagi tego słowa. Więc nie uporządkowała domu. A teraz zastanawiała się, czy gliniarze nie uznają jej przez to za jedną z „tych” matek.

Spodziewała się, że detektyw będzie starszy. Dover w stanie New Jersey było małą miejsciną. Filmy zwykle umieszczały w takich miejscach starych, doświadczonych szeryfów. Wręcz ciężko doświadczonych. I mówiących z południowym akcentem, niezależnie od miejsca akcji.

Ten gliniarz był jednak młodszy od niej. Zapewne tuż po trzydziestce, choć gdyby nie powaga urzędu i stroju, mógłby uchodzić za dwudziestoparolatka. Kiedy właściwie się tak postarzała, żeby detektyw, który ma szukać jej dziecka, mógł być młodszy od niej?

– Co Becca sądziła o tym, że tej nocy miała pani towarzystwo?

– Mówiłam już panu, szeryfie Morhart. To znaczy, panie detektywie.

Spojrzała znów na wizytówkę, którą z takim profesjonalizmem wręczył jej przy pełnym grzeczności powitaniu. Jason Morhart. Detektyw sierżant. Departament Policji Miasta Dover.

– Becca o niczym nie wiedziała.

Opuścił wzrok. Teraz była już nie tylko szmatą, ale bezczelnym kłamcą. Kobieta, która sprowadza mężczyzn do sypialni, nie sprawdzając nawet, czy córka wróciła na noc.

Nie, nie miała złudzeń, jak sytuacja musi wyglądać z punktu widzenia tego jasnowłosego, niebieskookiego policjanta o wydatnej szczęce. Nastoletnia córka samotnej matki. Niedawne pogorszenie się ocen Becci. Opuszczanie lekcji. Telefon od szkolnej psycholożki, czy nie zaszły jakieś zmiany w zachowaniu Becci. Joann próbująca z trudem pogodzić macierzyństwo z pracą na pełen etat i nowym facetem. Nastolatka, która znikła gdzieś po pierwszej nocy spędzonej przez tego faceta w jej domu.

– Jest pani pewna, że nie ma kogoś innego, u kogo mogłaby się zatrzymać? Może po prostu potrzebowała chwilę odetchnąć.

Innymi słowy, dupa z ciebie, nie matka, a twojej córce w końcu udało się od ciebie nawiać. Pogódź się z tym albo wypłacź w koszulę swojego chłopaka, paniusiu.

Ale Joann też знаła prawdę, która kryła się w stereotypach, jakimi kierował się ten gliniarz.

Obdzwoiła wszystkich znajomych Becci. Mówili, że rano była w bibliotece (jak powinna), aby ukończyć pracę z chemii razem ze swoim klasowym kolegą, Joelem. Później udała się do domu Sophie, zgodnie z tym, co powiedziała Joann. Dziewczyny spotkały się z chłopakiem Sophie, Rodneyem, w galerii handlowej przy Rockaway Townsquare i razem z nim oglądały nowe gadzety w sklepie Applea, po czym wróciły do Sophie, gdzie został plecak Becci. Sophie, której rodziców (w przeciwieństwie do Joann) było stać, aby kupić córce samochód, zaoferowała, że odwiezie Beccę do domu, ale ta (jak często bywało) stwierdziła, że woli spalić parę kalorii, wracając do odległego o kilka przecznic domu piechotą. Od tamtej pory nikt jej nie widział.

Tyle, jeśli chodzi o to, co Joann wiedziała. Więcej, byłaby gotowa przysiąc, że to prawda, ponieważ, w przeciwieństwie do detektywa Morharta znała Sophie od trzech lat. Podwoziła ją przez całe gimnazjum. Siedziała z nią i Beccą do późna, ubrana w piżamę, plotkując i zjadając z nimi ciasto z płatkami czekolady. W przeciwieństwie do niego wiedziała, że Sophie nigdy by jej nie okłamała.

Becca bywała sfrustrowana, nawet zła na matkę, że ta nie jest skłonna udzielić jej dokładnych informacji o jej pochodzeniu. O tym, skąd się naprawdę wzięła. Przeszły z tego powodu przez kilka trudnych miesięcy. A Joann, jak zwykle, miała na głowie o wiele więcej problemów, niż komukolwiek powinno być dane, aby mierzyć się z nimi w pojedynkę. Ale Joann wiedziała jeszcze coś, czego nie wiedział ten gliniarz: rozumiały się z Beccą.

Oczywiście Becca była córką, a ona matką, ale były też przyjaciółkami. Powiernicami sekretów. Becca wiedziała, jak widok jej pustego łóżka zadziała na Joann. Wiedziała, że to ją załamie. Kompletnie zniszczy.

Nieważne, jak bardzo Becca mogła być na nią zła, Joann była pewna, że jej córka – jej przyjaciółka, sens jej życia – z własnej woli nigdy nie zrobiłaby czegoś tak potwornego.

Joann jako matka popełniała pomyłki. Nie ulegało to wątpliwości. Była gotowa poświęcić resztę życia, by je naprawić, jeśli tylko będzie miała szansę. Ale teraz – obserwując, jak policjant przeciąga palcem po krawędziach dziecięcych zdjęć Becci – potrafiła tylko zaciskać powieki i modlić się, by kara spadła na nią, a nie na jej dziecko, jej skarb, jej kochaną Beccę.

*Boże, proszę, tylko nie ona.*

## *Rozdział 12*

Alice chuchała w zaciśnięte dłonie, usiłując rozgrzać palce, zanim straci w nich czucie. Rozcierała pomiędzy nimi resztkę ciepłego powietrza, po czym wciskała je z powrotem do kieszeni płaszcza. Powtarzała tę czynność bez przerwy odkąd dziesięć minut temu wyszła z galerii. Ciepły oddech, rozcieranie, kieszenie – nic jednak nie pozwalało pozbyć się dojmującego chłodu, który zagnieździł się w niej na dobre.

W końcu poddała się i postanowiła skorzystać z rady, którą dał jej Ben, kiedy byli jeszcze mali. Miała jakieś dziewięć lat, kiedy rodzice wreszcie pozwolili Benowi zabierać ją na spacer po Manhattanie. Jej brat nie marnował żadnej okazji, by wyrwać się na miasto.

– Nie garb się tak. Rozluźnij ramiona i nie przejmuj się zimnem. Przywykniesz. Obiecuję.

Robiąc tak, Ben mógł przemierzać całe kilometry przy ujemnych temperaturach, podczas gdy Alice zawsze kończyła z głową wbitą w ramiona, szczelnie opleciona rękami, desperacko walcząc o każdy stopień temperatury swojego ciała. Od tamtych czasów opracowała własne mechanizmy obronne. Ciężkie, wełniane płaszcze, grube skarpety, ciepłe buty, porządne rękawiczki.

Gdzie, do diabła, podziały się jej cudowne rękawice, te z wytłoczonej w krokodylą łuskę skóry, wyłożone miękkim futerkiem, które zdecydowała dla spokoju sumienia uznać za sztuczne? Wolałaby już stracić nerkę niż te rękawice.

Do tego dnia Alice ani razu nie zrobiła sobie przerwy w pracy ani nie opuściła galerii przed ósmą wieczór. Przez trzy tygodnie żyła w gorączce rozkręcania nowego biznesu.

Wypożyczanie mebli. Zatrudnianie malarzy i sprzątaczek. Rozmowy z Con Ed i Verizon. Komunikowanie się z Hansem Schulerem za pomocą jego ulubionego medium – wiadomości tekstowych. Poszukiwanie firmy przeprowadzkowej wyspecjalizowanej w przewozie dzieł sztuki, by przetransportować setki kopii prac Schulera z jakiegoś magazynu na Brooklynie na zaplecze galerii. Oprawienie po jednej kopii każdego zdjęcia z serii SAMO do ekspozycji. Publikacje prasowe. Rozmowy telefoniczne. Promocja online. Aż do dnia otwarcia Alice była menedżerką, dekoratorką i publicystką w jednej osobie.

Ale kiedy zamilkły już fanfary po wczorajszym otwarciu, Alice zamierzała odnaleźć jakiś rytm i stabilizację przy wykonywaniu swego nowego zajęcia. Na dzisiejszy poranek składały się: przejazd autobusem na Dziewiątą Aleję, wizyta w Starbucks, a potem klęczenie na ziemi z mosiężnym kluczem w ręku, by otworzyć zamek w opuszczonej żaluzji antywłamaniowej. Uwielbiała odgłos, który powstawał przy podnoszeniu tej starej rolety.

W środku dokończyła kawę, sprawdzając jednocześnie w sieci, czy na ich stronie internetowej nie ma przypadkiem nowych zamówień. Bała się, że jako jednoosobowa firma nie wyrobi się z wysyłką, ale szybko opracowała idealną metodę. Ciasno zwinięta praca do tekturowej tuby, do środka wpadał też gwizdek i list wyjaśniający całą koncepcję, człowiek z FedExu odbierał wszystko przed drugą. Nie licząc wizyt klientów, cały dzień należał do Alice. Postanowiła podzielić go równo pomiędzy promocję galerii a wyszukiwanie początkujących artystów, w oczekiwaniu na radosny dzień, kiedy będzie mogła zaprezentować to, co sama wybierze.

Nie tylko konieczność pracy była powodem, dla którego Alice praktycznie nie wychodziła przez ostatnie trzy tygodnie z galerii. Drugim było to, że od dawna za nią tęskniła. Uwielbiała być tam, gdzie czuła się potrzebna. Lubiała mieć usystematyzowany tryb życia. Te wszystkie miesiące, kiedy nikt nie interesował się, dokąd szła, co robiła i kiedy przebierała się z piżamy w codzienne ubranie wywarły na nią wpływ, którego wtedy nawet nie zauważała. Może pewnego dnia miała stać się taka jak wszyscy. Nadejdą poranki, kiedy nie będzie chciała iść do pracy. Zacznie narzekać, że jest ciężko.

A może i nie. Może już zawsze będzie miała przychodzić przed czasem i zostawać do późna, z czystej wdzięczności.

Lily jako pierwsza wytknęła jej, że powinna robić sobie przerwy. Wedle przyjaciółki Alice, kultura miejsca pracy kształtowała się bardzo szybko, a przerwy podlegały prawom ewolucji. Organ nieużywany zanika. Jeśli szef za bardzo przyzwyczai się do stałej obecności Alice w galerii, to zacznie z czasem tego oczekiwać, a później wymagać.

Alice próbowała wyjaśnić Lily, że Drew jej raczej nie sprawdza, ale do wyjścia

przekonał ją dopiero e-mail, w którym Lily przesłała linka do aktualnego rozkładu jazdy furgonetki Wafels & Dinges. Niewielką, ale ważną zaletą bezrobocia Alice było to, że poznała wspaniały świat serwowanych z nowojorskich furgonetek kulinariów. Tacos. Burgery. Kluski. Babki. Oraz, w przypadku Wafels & Dinges, belgijskie wafle przygotowywane na zamówienie. Informacja, że ich furgonetka zatrzyma się dziś zaledwie dziesięć przecznic od Galerii Highline zadziałała, co dowiodło po raz kolejny, że Lily Harper dobrze znała swoją przyjaciółkę.

– Poproszę wafle z truskawkami, bananami i masłem.

Zabiłaby za dodatek w postaci lodów, ale pech chciał, że gdy po raz pierwszy zrobiła sobie przerwę w pracy, temperatura akurat spadła do poziomu, kiedy nosi się rękawiczki. Rękawiczki, których na dodatek nie miała. Otrząsnęła się z tej myśli tuż po tym, kiedy ta się uformowała. Koniec z gadaniem o pechu. Dość dobijania się.

Usłyszała bzyczenie telefonu w kieszeni płaszcza. Wiadomość od Lily.

*Świeże powietrze służy?*

Alice odpisała.

*Świeże, aż zamarzam.*

*Wafle?*

*Zamówiłam. Truski i banany.*

*Lody, kobieto!*

*Zbyt brrr... Na razie. Są wafle!*

Alice wrzuciła telefon do kieszeni i odebrała lunch z okienka furgonetki, wdzięczna za rozchodzące się teraz po jej palcach ciepło. I jeszcze wdzięczniejsza za połączenie słodkiego smaku owoców z chrupkim, maślanym waflem.

Zwalczyła pokusę, by połknąć wafel w całości. Pomimo chłodu przeszła na Westside i usiadła na ławce, nim pozwoliła sobie na pierwsze kęsy. Próbowwała nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie, gdy zasapani joggerzy rzucali jej zazdrosne spojrzenia.

Zdażyła pochłonąć danie i pokonać połowę drogi powrotnej do galerii, kiedy telefon zabzyczał ponownie. Znow była to Lily.

*Hej, wieści: zostawiłaś galerię bez opieki i nie ma końca świata.*

*Miałaś rację. Dzięk.*

Na końcu wiadomości wstawiła uśmiezek, dwukropek, za którym stała pozioma kreska i zamykający nawias.

Może i koniec świata nie nastąpił, ale coś się stało w galerii.

Kiedy ujrzała tłumek zebrany przed wejściem, nie mogła uwierzyć, jak wydarzenia

perfekcyjnie zgrały się w czasie. Udało się jej wywiesić napis „zaraz wracam” akurat w momencie, kiedy nagle coś zaczęło się dziać. Próbowała to zwalić na swój pech. Ale kiedy zbliżyła się i zobaczyła transparenty, zrozumiała, że problem nie polega na kilku niecierpliwych klientach.

*Witamy w 311 Online. W czym możemy dziś pomóc?*

Te oto słowa spoglądały na Alice z ekranu laptopa, kiedy zastanawiała się, czy zadzwonić, czy nie.

„Pedofilia to nie sztuka”.

„Szatan pokochałby Highline”.

„Bóg nienawidzi pornografii”.

Te słowa z kolei Alice widziała na transparentach trzymanyh przez demonstrantów przed wejściem do galerii. Kilka napisów odwoływało się do ustępów Biblii, których znaczenia Alice nie była w stanie rozszyfrować.

Pomimo że Drew ostrzegł ją wcześniej, że nie chce mieć nic wspólnego z codziennymi sprawami galerii, Alice próbowała do niego zadzwonić. Nie odbierał telefonu, więc zadzwoniła do Jeffa. To właśnie on zasugerował numer 311, pod którym mieściło się biuro pomocy obywatelom Nowego Jorku.

Witryna internetowa sugerowała, że wszystko jest bardzo proste. *W czym możemy dziś pomóc?* No cóż, możecie pomóc w przegonieniu tych religijnych oszołomów, którzy zagrażają mojej pierwszej porządnej pracy od roku. Czyż nie byłoby to miłe z waszej strony?

Mimo to Alice nie zadzwoniła od razu. Ci ludzie żywili się zwracaną na nich uwagą. Pojawienie się policji wspomogłoby tylko ich komunikat: oto dobrzy, bogobojni ludzie, uciskani przez bezbożną, biurokratyczną machinę Nowego Jorku.

Spróbowała zatem zwyczajnie ich ignorować. Wykonała kolejny telefon do Johna Lawsons, rzeźbiarza włączającego elementy Mardi Gras w swoje prace. Znów próbowała go przekonać, żeby przyłączył się do wystawy planowanej na lato. Uaktualniła rozwijającą się stronę internetową galerii, włączając do niej odnośniki do blogów, które zainteresowały się niedawnym otwarciem. Dodała nawet nowy, pozbawiony znaczenia status do swojej strony na Facebooku, „Wafels & Dinges”.

Do działania sprowokowało ją dopiero pojawienie się furgonetki stacji NY1. Obserwowała, jak od strony pasażera wysiada z niej atrakcyjna korespondentka. Alice skojarzyła ją z telewizji. Jak jej tam było? Racja, Sandra Pak. Zaraz za nią, z tylnych drzwi wozu wyłonił się brodaty i ubrany w dżinsy kamerzysta.

Alice nie zdziwiła się ani trochę, gdy mężczyzna, którego uznała wcześniej za prowodyra, pomknął najkrótszą drogą w stronę kamery. Człowiek ten mógł mieć od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu lat, zależnie od tego, jakie życie prowadził. Na oko metr osiemdziesiąt, gdyby nie był tak zgarbiony. Chudy. Wręcz wymizerowany. Zapadnięte policzki. Jego ciało, widziane z boku, zdawało układać się w wielki znak zapytania.

Patrzyła, jak mężczyzna podchodzi do reporterki. Jej włosy związane były w czarny, lśniący, nastroszony kok. Tęgi kamerzysta ledwie za nią nadązał, choć miał na sobie tenisówki, a nie wysokie na dziesięć centymetrów szpilki.

Alice musiała położyć temu kres.

Trzy... jeden... jeden. Cztery dzwonki, po których maszyna zaczęła odtwarzać instrukcje na temat tego, jak parkować po przeciwnej stronie ulicy. Doprawdy, czyżby spodziewała się, że powita ją słodki głos, pytający: „w czym mogę pani pomóc?”

Gdy w końcu słuchawkę podniosła żywa osoba, Alice zaczęła wyjaśniać sytuację. Menedżerka galerii. Demonstranci. Obrażliwe względem galerii napisy. Postarała się zawrzeć w tym jak najwięcej magicznych zwrotów. „Podważanie zaufania do marki. Zniesławienie. Zakłócanie porządku publicznego”.

– Czy ktokolwiek wszedł na teren pani posesji?

– Ach, nie, nikt nie wszedł do środka. Póki co.

– Czy naruszyli fizyczną nietykalność pani lub jakiegokolwiek innej osoby?

Alice nie podobał się kierunek, w jakim to zmierzało.

– Nie, nic takiego się nie stało. Ale zakłócają porządek publiczny.

– Proszę poczekać.

Minęły trzy minuty, nim urzędniczka odezwała się ponownie.

– Jeśli ci ludzie korzystają ze swojej wolności słowa, to obawiam się, że nic nie możemy dla pani zrobić.

– Ale zakłócają porządek publiczny.

– „Droga pani”, prowadzi pani interes w centrum Nowego Jorku. To, co pani nazywa zakłócaniem porządku publicznego, niektórzy nazywają miejscowym klimatem. Rozumie pani?

Droga pani. Alice wiedziała, że jeśli urzędniczka mówi do ciebie w ten sposób, to bardzo zły znak.

– Czy mówiłaby pani to samo, gdybym dzwoniła z Citybanku, zamiast z małej galerii sztuki w Dzielnicy Mięsnej?

– Proszę poczekać.



Kolejne trzy minuty. Na zewnątrz pracowały kamery.

W słuchawce zabrzmiał męski głos. Z jakiegoś powodu Alice się to nie spodobało.

– Panna Humphrey?

Zastanawiała się, czy był to awans z „drogiej pani”, czy wręcz przeciwnie – eskalacja.

– Tak.

– Jeśli chciałaby pani przejść się na najbliższy komisariat, by złożyć skargę, jego adres to...

– Nie chcę iść na komisariat, bo jestem w pracy i próbuję prowadzić interesy. Dzwonię do was, bo ci ekstremiści zakłócają mi te interesy.

– Droga pani, rozumiem to, ale...

– Może mógłby tu chociaż ktoś przyjść, żeby stwierdzić, czy to legalne zgromadzenie, czy nie? Wie pan, nie jestem policjantką i nie potrafię stwierdzić, czy ktoś nie nadużywa swojej wolności słowa. Czy nie od tego właśnie jest policja?

– Proszę zaczekać.

Alice spojrzała na zegar w laptopie. Płynęły minuty. Kamery pracowały.

Nad serwowany przez 311 muzak wybił się silny, pojedynczy ton. Ktoś był na drugiej linii. Może Drew. Spojrzała na klawiaturę i zrozumiała, że nie ma zielonego pojęcia, jak przełączyć się na drugą linię bez rozłączania się z pierwszej. Kurwa.

– Galeria Highline. Alice przy telefonie.

– Super, dobrze że jesteś przy biurku.

Rozpoznała głos ojca.

– Cześć, tato. Mogę oddzwonić później?

Aż do zeszłego roku ojciec dzwonił do niej regularnie. Wręcz zbyt regularnie. Tak regularnie, że nie zamierzała mu podawać numeru swojej obecnej komórki.

– Nie mów ani słowa tym zasranym reporterom.

– Słucham?

– Dałem się kiedyś wciągnąć w te gierki. Ty tego nie rób. Trzymaj się z daleka od tych sępów.

– Czekaj, czy to znaczy, że wszyscy już wiedzą o tym bajzlu tutaj?

– Twoja matka do mnie dzwoniła. Wszystko leci na żywo na nowojorskiej jedynce.

Magia telewizji.

– Będą usiłowali zrobić z ciebie czarny charakter. Tak samo „Daily News” i „Post”. Kabłowka pewnie pójdzie ich śladem, jeśli sprawa dostanie się do wieści krajowych. Wszyscy oni próbują być większymi Murdochami od samego Murdocha. Dałem się w to

wciągnąć i za każdym razem zbierałem baty. Musisz odezwać się do „New Yorkera”. Może „Timesa”. Dobry pomysł to libertariańskie blogi. „Huffington Post” byłby najlepszy. Zrób z tego debatę o wolności słowa. Ich i twojej. Im więcej o tym, tym lepiej. Tu leży twoja przewaga.

Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio poczuła się tak dobrze z powodu ojca. Tata śpieszący z pomocą.

Ponownie usłyszała długi, wyraźny ton. Może Drew w końcu przeczytał wiadomości od niej.

– Muszę się rozłączyć, tato, ale dzięki. Naprawdę... Halo, Galeria Highline. Alice przy telefonie.

– Cześć, tu Peter Morse z „Daily News”. Dzwonię w sprawie waszej wystawy Hansa Schulera.

Wyrecytowała kilka z podpunktów manifestu Schulera. Seria SAMO. Samopoznanie. Włączanie radykalizmu do głównego nurtu. Pomięła fakt, że przez ostatnie tygodnie sama nazywała te prace pornografią.

– To brzmi jak wzięte wprost z broszurki informacyjnej. Tak między nami, to oglądam sobie teraz prace tego gościa w sieci. Uważa pani, że jest w tym jakaś sztuka? Wielebny George Hardy z Kościoła Redemptorystów Chrystusowych szczerze w to wątpi.

– Wartość sztuki – i słowa – rodzi się w oku widza i uchu słuchacza. Pan Schuler korzysta ze swego prawa do wolności wypowiedzi i z radością przyjęliśmy jego prowokujące prace. – Alice była teraz naprawdę wdzięczna ojcu za poradę. – Nieważne, że niektórym się to nie podoba, jeśli te obrazy pobudzają społeczność do myślenia i mówienia. Uważamy, że może to wyjść tylko na...

– A co z zarzutami o szerzenie dziecięcej pornografii?

– Słucham?

– Kościół Redemptorystów Chrystusowych twierdzi, że jedną z modelek ukazanych na zdjęciach Schulera jest nastoletnia dziewczynka. To oznaczałoby, że fotografie te łamią prawo kryminalne, co pozbawia je ochrony przez Pierwszą Poprawkę.

Alice obróciła się na krześle, by spojrzeć na jedną z fotografii Schulera, tę zatytułowaną *Pierwsza*. Płaska klatka piersiowa. Wąskie, chłopięce biodra. Jasna, gładka skóra.

– Bez komentarza.

*Rozdział 13*

Alice siedziała zgarbiona nad laptopem tak długo, że rozboleły ją plecy. Gdy uniosła ręce, by rozmasować nadgarstki zauważyła ślady na przedramionach, pozostawione przez krawędź sosnowego stolika.

Mimo długiego grzebania w sieci, nadal nie miała do kogo się zwrócić w sprawie narastającej medialnej katastrofy, oczywiście poza Drew Campbellem, który nie odpowiadał na telefony.

Gdy od strony telewizora ucichły odgłosy reklam, Alice usłyszała znajome *staccato* zapowiadające wiadomości na Kanale Siódmym. Sięgnęła po pilot, by podkreślić głośność.

– Dzisiaj przedstawiciele władz miasta i społeczności religijnych dyskutują o cienkiej linii pomiędzy sztuką a pornografią – zapowiedział prezenter w niebieskim garniturze i z gęstą kopułą czarnych włosów przyklejoną do głowy. – Wszystko przez kontrowersyjną ekspozycję nowej galerii w Dzielnicy Mięskiej. Galeria Highline otwarła swe podwoje mniej niż tydzień temu, a już mówi o niej całe miasto.

Na ekranie zaczęły pojawiać się zdjęcia, ściągnięte bezpośrednio ze strony Schulera, a prezentera zastąpił kobiecy głos komentatorki z offu.

– Krew. Ślina. Nagość.

Kamera zrobiła kolejno najazd na każde z omawianych zdjęć, unikając miejsc, których nie mogliby nadać ze względu na cenzurę.

– Nieznany wcześniej artysta, Hans Schuler, nazywa fotografie ze swojej serii SAMO „wizerunkami powstałymi z radykalnej introspekcji”. Twierdzi, że „eksplorując bezkompromisowość pierwotnej fizyczności”, ludzie mogą „osiągnąć wyższy poziom samopoznania”. Rosnący chór krytyków uważa jednak, że Schuler przekroczył linię, za którą jest już tylko pornografia.

Na ekranie pojawiła się jedna z demonstrantek.

– Te zdjęcia są odrażające. Nie powinny być pojawić się w tej galerii, nie powinny być pojawić się w Internecie.

– Oczywiście nagość w świecie sztuki nie jest niczym nowym – oznajmiła korespondentka. – W zeszłym roku Muzeum Sztuki Nowoczesnej trafiło na pierwsze strony gazet z powodu swojej ekspozycji z żywymi, nagimi modelami obu płci, ale jedyną kością niezgody było pytanie, czy zwiedzającym można pozwolić na dotykanie modeli. Zdjęcie, które przywiodło tutaj tych demonstrantów, nosi tytuł *Pierwsza*, na którym, jak twierdzą, widać nieletnią dziewczynkę.

Nastąpiło cięcie, po czym na ekranie pojawił się wychudzony lider demonstracji, podpisany jako „George Hardy, pastor Kościoła Redemptorystów Chrystusowych”.

– Wystarczy tylko spojrzeć na to zdjęcie, by pojawiło się pytanie o wiek tej tak zwanej modelki. Ale artysta nie zamierza na nie odpowiadać. Pani z galerii nie wychodzi na zewnątrz, nie odpowiada na to pytanie, nie zaprzecza zarzutowi o sprzedaż dziecięcej pornografii. Cóż, jak mawiał mój tato, nie ma dymu bez ognia. Jeśli naprawdę nie mają nic do ukrycia, mogą łatwo zakończyć tę sprawę tu i teraz.

W tym momencie kamera zaczęła przesuwać się po wzmiankowanym dziele.

– Ekipa Wieści Naocznych zmuszona była zakryć prawie całą fotografię, ponieważ sami nie jesteśmy w stanie ustalić wieku modelki – mówiła komentatorka. – Niektórzy z przedstawicieli lokalnych władz wzywają do usunięcia wystawy, dopóki nie uda się pozytywnie zweryfikować, czy modelka jest dorosła.

Liczne czarne paski zakrywające fotografię sugerowały o wiele większą prowokacyjność kolażu, niż było w rzeczywistości.

– Menedżerka Galerii Highline odmówiła wystąpienia przed kamerą, ale galeria wydała pisemne oświadczenie: „Galeria Highline zamierza promować innowacyjnych, prowokujących artystów, którzy, jak Hans Schuler, tworzą dzieła zmuszające nas do myślenia, reagowania, a czasem nawet do stwierdzenia, że nie podobają nam się nasze myśli i reakcje. Oczywiście potępiamy i nigdy nie zgodzilibyśmy się na pokazywanie nieprzyzwoitych wizerunków nieletnich dzieci, ale nie został nam przedstawiony żaden dowód na poparcie tych niepokojących oskarżeń. Przyjmujemy do wiadomości, że oskarżenia te zostały podniesione w dobrej wierze, ale zamierzamy bronić praw naszych artystów do wolności wypowiedzi, gwarantowanych przez Pierwszą Poprawkę”.

– Póki co wydaje się, że burmistrz popiera to stanowisko.

Alice chciała wierzyć, że radzi sobie z tą medialną katastrofą tak dobrze, jak to możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że odcięta była od wszelkich źródeł istotnych informacji. Wydała pisemne oświadczenie. Przestała odbierać telefony, pozwalając odpowiadać automatycznej sekretarce, na którą nagrała treść owego oświadczenia. Kiedy ostatnio sprawdzała, okazało się, że po tamtym pierwszym telefonie z „Daily News”, dzwoniło też z „Posta”, „Timesa”, „Suna”, „Observera” oraz czegoś, co nazywało się „Empire Media”.

Po kolejnym cięciu kamera ukazała Michaela Bloomberga, który właśnie wysiadał z tylnego siedzenia limuzyny.

– To nie pierwszy raz, kiedy sztuka uraziła czyjeś uczucia. Popieram wolność artystyczną, popieram również Pierwszą Poprawkę. Jeśli pojawią się dowody, że złamano prawo, potraktujemy sprawę poważnie i wniesiemy oskarżenie do sądu.

– Wydaje się, że jedyną osobą, która nie ma dziś nic do powiedzenia, jest sam artysta.

Na stronie internetowej Hansa Schulera można przeczytać, że artysta komunikuje się ze swoimi fanami wyłącznie przez sieć, aby nie zaburzyć postrzegania jego sztuki. Chociaż pochodzenie kontrowersyjnego zdjęcia pozostaje tajemnicą, jedno jest pewne: przy tak powszechnym wzburzeniu, Hans Schuler nie będzie już w stanie zbyt długo ukrywać swej twarzy.

– Będziemy śledzić dalsze losy tej sprawy, Robin. Wygląda na to, że może z tego wyniknąć niezłe zamieszanie.

– Jasne, Andy. I tu na marginesie jeszcze interesująca uwaga na temat galerii. Jej menedżerką jest Alice Humphrey, córka Franka Humphreya i jego dawnej aktorki, Rose Sampson.

Świetnie. Najwyraźniej do tego tortu dołączona była jeszcze wisienka.

– A, pamiętam. Ta dziewczynka z serialu o samotnym ojcu, jak on się nazywał... *Życie z tatą*.

– Obawiam się, że jestem za młoda, by to pamiętać, Andy, ale ważne jest, że ojcu Alice Humphrey też nieobce są skandale. Jego głośny film, *Klient*, został swego czasu zbojkotowany przez Kościół Katolicki, gdyż opowiadał historię gorącego romansu z udziałem katolickiego biskupa. Długi i, zdawałoby się, wierny związek Humphreya ze swą ulubioną aktorką, Rose Sampson, złagodził publiczny wizerunek tego znanego ze skandalizujących filmów i kontrowersyjnych wypowiedzi reżysera, ale to oczywiście zmieniło się diametralnie rok temu, kiedy kilka kobiet przedstawiło dowody potwierdzające jego rozliczne romanse pozamałżeńskie. Jak na razie żona reżysera stoi za nim murem, więc rodzina zaczęła powoli schodzić z pierwszych stron gazet, aż do czasu pojawienia się tej nowej historii z udziałem córki...

Alice nie mogła już tego znieść. Nacisnęła przycisk wyciszenia dźwięku i odetchnęła z ulgą, kiedy stacja przeszła do reportażu o, zdaje się, dobroczynnych właściwościach czerwonego wina.

Alice ponownie skierowała swą uwagę na ekran komputera.

Schuler nie odpowiedział na żaden z SMS-ów, a kiedy Alice zadzwoniła pod jego numer, nie odebrał telefonu. Nie udało jej się znaleźć w sieci innego sposobu na skontaktowanie się z nim. Nie licząc witryny ze zdjęciami i fanów strony na Facebooku, gość był duchem.

Alice spróbowała bardziej kreatywnego podejścia i postanowiła odnaleźć właściciela galerii, opierając się na kilku faktach z jego biografii, jakie zdradził jej Drew. Był bogaty. Bywał w Tampa na Florydzie, kiedy Drew był mały, a zatem był od niego o wiele starszy.

Prześladowany od dawna pogłoskami na temat swojej orientacji seksualnej. Zapewne obecnie mieszka w Nowym Jorku. Dość znany, żeby nazwisko obilo jej się o uszy.

Alice szczyliła się wysokimi umiejętnościami w googłowaniu, ale póki co, nie znalazła ani jednego śladu.

Po raz enty zadzwoniła pod numer Drew. I znów natrafiła na jego pocztę głosową.

Przesunęła kursor na okienko szukania i wpisała „George Hardy”. Na samej górze pojawiły się odnośniki prowadzące do tekstów na temat dzisiejszej demonstracji przed galerią. Ale w miarę jak przewijała kolejne strony, dowiedziała się wielu rzeczy o Wielebnym Hardym i jego Kościele Redemptorystów Chrystusowych. Założony został ledwie dekadę temu przez samego Hardyego w południowej Wirginii. Stali się sławni dzięki oprostowaniu właściwie wszystkiego – klinik aborcyjnych, filmów „antyrodzinnych”, ceremonii małżeńskich między osobami tej samej płci oraz pogrzebów amerykańskich żołnierzy, bo zginęli za zdeprawowany kraj, który zatracił kontakt ze swoim duchem.

Zadzwonił telefon. Prywatny. Odebrała.

– Hej, tu Drew.

– Bogu dzięki. Dzwonię do ciebie cały dzień. Wydałam oświadczenie, ale musimy skontaktować się z Schulerem. Zadzwon do właściciela galerii. Schuler musi podać wiek modelki.

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć. Słuchaj, spotkajmy się jutro rano w galerii. Wcześniej. O siódmej, dobra?

– Czeka. Muszę wiedzieć...

Jednak cisza w słuchawce podpowiedziała jej, że już go tam nie było.

– Drew? Halo? Jesteś tam?

Oddzwoniła na jego komórkę, ale znów usłyszała od razu pocztę głosową. Wcisnęła przycisk ponownego połączenia jeszcze przez godzinę, zanim wreszcie zmusiła się, by iść do łóżka.

## *Rozdział 14*

Hank Beckman przybył do Jersey przed pierwszym brzaskiem, zdeterminowany, by wrócić do miasta z numerem identyfikacyjnym nowego BMW Trávisa Larsona. Zaparkował naprzeciwko bloku, w którym mieszkał jego cel, ukrył w rękawie płaszcza bagnet, po czym wysiadł z wozu.

Idąc w stronę parkingu, nie spuszczał z oka drzwi mieszkania Larsona. Był zaledwie

pięć metrów od BMW i sięgał już po bagnet, gdy dostrzegł jakiś ruch u szczytu schodów.

Podziękował w duchu za to, że wciąż nie brakowało kutasów, którzy jeździli w gigantycznych benzynowych SUV-ach, i zanurkował za sylwetkę wielkiego GMC Yukona. Przycupnął za wielkim kołem, udając na użytek wścibskich sąsiadów, że wiąże sobie sznurowadło. Usłyszał szybkie kroki Larsona na schodach, a później na betonie. Nie marnując ani sekundy, mężczyzna wskoczył za kierownicę i odpalił silnik BMW. Nie zadał sobie nawet trudu włączenia kierunkowskazu, kiedy wyjeżdżał na ulicę.

Hank potruchtał z powrotem do wozu, pospiesznie nawrócił i pomknął za BMW. Nim dotarł do skrzyżowania w kształcie litery T, Larsona już nigdzie nie było widać. Hank postanowił zaryzykować i skręcił w prawo, ku centrum.

Było dopiero po szóstej, ale ruch uliczny przed Tunelem Lincolna zaczynał już gęstnieć. Oczy Hanka zaczęły skanować sznur wozów czekających na uiszczenie opłaty, próbując odnaleźć szarego sedana w tym, zdawałoby się, morzu luksusowych aut pomalowanych w jasne kolory.

Wtedy pomyślał o chwili, gdy zerknął do wozu Larsona przez przednią szybę. Hank dumny był ze swojej fotograficznej pamięci. Wystarczyło, że zamknął powieki, a mógł na ich czarnym ekranie wyświetlić dowolny obraz ze swojej przeszłości. Ile to już razy przywoływał wizerunek rozpromienionej Ellen, jak siedzi przy stole naprzeciw niego, uśmiechnięta, z kieliszkiem wina w dłoni i oznajmia, że zaręczyła się z mężczyzną, który siedzi obok niej? Mężczyzną, który z jakiegoś powodu nigdy się mu nie podobał. Mężczyzną, który był za młody. Mężczyzną, który, jak się okazało, wcale nie miał na imię Randall.

Odesłał obraz w niebyt, jakby potrząsnął piaskowym ekranem zabawki do szkicowania, a na jego miejsce przywołał widok przedniej szyby Larsona. Przypomnił sobie numer „New York Magazine”, ten z takim śmiesznym czarno-białym pieskiem na okładce, pod którym ukryty był hologram. Zobaczył szarą, pokrytą drobnymi wypukłościami deskę rozdzielczą. Czarny prostokąt lusterka. I wolne miejsce wokół niego.

Lars nie miał E-zpass, automatycznego urządzenia do uiszczania opłat, które kierowcy montowali na przedniej szybie. Hank zjechał dwa pasy w lewo, zbliżając się do stanowisk dla płacących gotówką. Zobaczył Larsona kolejne dwa pasy dalej, zaledwie sześć samochodów przed nim.

Wszystko gra. Hank metr po metrze jechał naprzód, cały czas obserwując wóz Larsona, aż ich pasy połączyły się w jeden.

Kiedy szare BMW wyjeżdżało z tunelu, Hank czaił się już na prawym pasie, gotów włączyć się do ruchu zaraz za nim.

Obawiał się, że tamten go rozpozna. Przyjechał tu swoim prywatnym samochodem, z poprzednich odwiedzin wnioskuje, że o tej porze Larson będzie jeszcze spał jak zabity. Uspokoiła go prędkość Larsona. Gość wydawał się nie zwracać uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Nie zachowywał się jak ktoś, kto wie, że jest śledzony.

Larson pomknął na północ Szóstą Aleją, po czym skręcił na West Village, w zachodnią Czwartą Ulicę. Hank zmusił się, by wśród wąskich uliczek, o tej porze wciąż pustawych, zachowywać dystans półtora kwartału domów. Gdy tylko zobaczył błysk świateł stopu Larsona, w połowie kwartału, za znakiem stopu na ulicy Bankowej, od razu wcisnął guzik opuszczania szyby i zjechał na chodnik przy ulicy Waszyngtona. Obserwował, jak Larson parkuje równoległe do krawężnika. Hank wystawił ucho za okno, gdy Larson opuścił wóz i obejrzał się w dwie strony przed przejściem przez ulicę. Zniknął gdzieś w drzwiach po drugiej stronie, ale z tego kąta Hank nie był w stanie stwierdzić, co się tam mieściło.

Hank podjechał do znaku stopu, skręcił w lewo w Bankową, po czym zatoczył koło, by zaparkować na północ od BMW i resztę dystansu pokonać piechotą. Naciągnął na dolną część twarzy czerwony szal, który zabrał specjalnie na tę okazję. Przypomniawszy sobie, że kiedyś dostał go na Gwiazdkę od Ellen. Do rękawa wsunął bagnet.

Przystanął na chodniku obok BMW. Szybko zajrzał do środka. Nic. Z ulgą dostrzegł, że Larson zabrał gazetę z przedniej szyby. Hologram był wyraźnie widoczny. Hank zanotował w pamięci numer.

Pomacał schowany w rękawie bagnet. Było to zbędne ryzyko, ale teraz działał zbyt szybko, by przemyśliwać swoje decyzje. Nie słyszał charakterystycznego *piip-piip* włączanego alarmu, kiedy Larson wysiadał z wozu. Chodniki były wciąż puste. Teraz albo nigdy. Tylko szybko zajrzeć.

Wcisnął bagnet do środka wozu przez gumową uszczelkę okna od strony kierowcy. Pozwolił sobie na wydech, gdy okolicą nie wstrząsnęło wycie autoalarmu. Zaczął poruszać przyrządem, odliczając w głowie sekundy. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa. Poprzysiągł sobie, że po piętnastu sekundach zwinie się stąd i wróci do wozu.

Sto trzydzieści trzy. Poczował, jak zamek ustępuje.

Nadal nie widząc nikogo w okolicy, otworzył skrytkę. Kompletnie pusta. Odciągnął rączkę od bagażnika, zamknął drzwi i udał się na tył wozu. Tu też pusto. Zatrzasnął bagażnik i wrócił do swojej toyoty. Trzykrotnie skręcił w lewo: na Greenwich, potem Bethune i z powrotem na Waszyngtona.

Kiedy przejeżdżał obok zaparkowanego BMW, popatrzył po wystawach po drugiej stronie ulicy. Jako możliwe cele wizyty Larsona zidentyfikował coś, co wyglądało jak



kwiaciarnia, oraz sklep z butami, przedzielone zaklejoną papierem wystawą.

Fajna fura. Ładna laska. Poranne wyjazdy. I dokładnie wyczyszczona gabłota, nie było tam nawet instrukcji obsługi ani dowodu rejestracyjnego.

Następnym krokiem było sprawdzenie numeru z hologramu.

## *Rozdział 15*

W jej mieszkaniu panował chłód – jak to zwykle bywa w zimę i co zawdzięczała dziadowskiemu piecowi oraz tanim oknom – ale Alice zbudziła się spocona i kompletnie odkryta. Na całe szczęście należała do ludzi, którzy nigdy dokładnie nie pamiętają swoich snów. Choć szczegóły rozmywały się w jej głowie, koszmar pozostawił po sobie dojmujące uczucie niepokoju.

Gdy dreptała w stronę prysznicza, przed oczami wciąż jednak błyskały jej obrazy. Fotografie Hansa Schulera. Demonstranci. Te okropne słowa na ich transparentach. Kamery telewizyjne. Wizja, w której stoi na podium przed tłumem reporterów. Błyski oślepiających ją. Kiedy ma przemówić, w sali zapada cisza. Spogląda na kartki, ale widzi jedynie pusty, biały papier. Ucieka przed wysokim, łysiejącym człowiekiem. We śnie wyobraża sobie, że to Hans Schuler. Może był to jednak Wielebny Harvey. A może nie był to nikt konkretny, tylko fizyczna reprezentacja okropnego uczucia, które zagnieździło się w jej podświadomości od czasu wczorajszej demonstracji.

Wsadziła głowę pod strumień gorącej wody, jakby mogła wymyć z niej wszystkie te myśli i spuścić je wraz z wodą do kanalizacji.

Nawet po tym długim prysznicu, nadal miała za dużo czasu do spotkania z Drew. Wykorzystała te dodatkowe minuty na sprawdzenie sytuacji w Internecie.

Wprowadziła do wyszukiwarki „Galeria Highline Hans Schuler” i wcisnęła enter. Kiedy komputer się zastanawiał, wbrew wszystkiemu miała nadzieję, że nie pojawią się nowe odnośniki.

Nic z tego. Tak jak podejrzewała, historia była na ustach wszystkich. To, co zaczęło się jako zwykły nowojorski news, rozlało się na szerokie wody Internetu i przeskakiwało z bloga na bloga, było tweetowane po całej sieci pod równie oryginalnymi tytułami, co „Swiński Schuler” czy „Nowojorski pokaz sztuki: głównonurtowy radykalizm czy zwykłe porno?”.

Na stronie internetowej „Daily News” Alice z ulgą stwierdziła, że artykuł o galerii został zepchnięty z pierwszego miejsca przez wiadomość o zagnięciu jakiejś dziewczyny z

Dover w stanie New Jersey. Trudno się dziwić. Alabastrowa skóra, pełne usta i kilka piegów dla dodania uroku. Zdjęcie Becci Stevenson pod wielkim napisem „ZAGINEŁA” zapewni dobrą sprzedaż numeru. Alice poczuła ukłucie poczucia winy. Nie powinna cieszyć się na myśl, że sępy z mediów rzucą się na tę dziewczynę i być może dzięki temu zostawią sprawę galerii w spokoju.

Przesunęła z powrotem kursor na okienko szukania. Teraz przed słowami „Galeria Highline” wpisała własne imię i nazwisko. Może nikt poza Kanalem Siódmym nie zamierzał grzebać w jej więzach rodzinnych.

Wbrew swoim nadziejom znajdowała jeden artykuł po drugim, który identyfikował ją jako córkę Franka Humphreya i Rose Sampson. Prawie wszystkie napomykały o kontrowersjach, które wywoływał swego czasu jej ojciec. Większość wspominała też o jego niedawno odkrytej niewierności – o przydzielaniu aktorkom ról przez łóżko, o skandalicznie niskim wieku zamieszanych w to kobiet. Aż wreszcie znalazła newsa, którego musiała przeczytać dwa razy.

*Alice Humphrey jedynie kontynuuje skandalizujące tradycje swojej rodziny. Powszechnie znane są już ciągnące się od dekad pozamałżeńskie przygody seksualne jej ojca, mówi się wręcz, że niektóre z biorących w nich udział kobiet mogły być do tego przymuszane. Starszy brat Alice, Ben, został w zeszłym tygodniu aresztowany pod zarzutem posiadania narkotyków. Jak twierdzą dwa niezależne źródła z Nowojorskiego Departamentu Policji, Ben Humphrey, 41, został aresztowany po tym, jak policja znalazła przy nim marihuanę podczas interwencji w sprawie zakłócania ciszy nocnej przed wejściem do baru w dzielnicy West Village.*

Alice przypomniała sobie tajemniczą nieobecność Bena na otwarciu galerii. Przypomniała sobie zatroskane miny rodziców. Miała nadzieję, że nie zamierzał wrócić do dawnego trybu życia.

Szybko przywołała jego numer na komórce, ale usłyszała jedynie znajome nagranie:

– Tu Ben. Wiesz, co robić.

Nawet jeśli nie brał narkotyków, Ben raczej nie odebrałby telefonu tak wcześnie rano.

Rozłączając się, spojrzała na wyświetloną na ekranie godzinę: 6.34. Szlag. Czas spotkać się z Drew. Kłopoty jej brata mogły zaczekać.

Zdała sobie sprawę, że obraca w zmarzniętych palcach schowany w kieszeni płaszcza klucz do galerii, jakby był to szczęśliwy kamień. Gdyby nie ci popieprzeni demonstranci, mogłaby sobie wczoraj kupić nowe rękawice na miejsce zgubionych. Kolejny powód, by nienawidzić tych skurwysynów.

Alice nie była zbyt dumna ze swojej niezdolności do odkładania problemów na później. Była typem osoby, która nie może usiedzieć spokojnie, kiedy przypomni sobie, że zostawiła na biurku niewysłany list, i która potrafi obudzić się w środku nocy, dręczona myślą, że nie odpowiedziała na jakiś telefon.

Jej stosunek do stresu był jednym z powodów, dla których odrzuciła wymarzoną dla niej przez matkę karierę aktorki. To dłużące się oczekiwanie na następną scenę. Zastanawianie się, czy reżyser nie zmieni dialogu albo kolejności zdjęć. Niewiedza, czy tym u góry spodoba się odcinek pilotowy, czy zaakceptują wyniki dnia zdjęciowego. Ta ciągła niepewność i obawa, przez które nie mogła się skupić, sprawiały, że nie umiała znaleźć wewnętrznego spokoju.

Oczywiście rozumiała ironię tego, że wybrała bezpieczniejszą ścieżkę życiową tylko po to, by na rok wylądować na bezrobociu. Teraz miała pracę, wyjątkową pracę, i znów cały czas usiłowała odgadnąć, co jeszcze może się wydarzyć.

Kiedy tak obracała klucz między palcami, zdecydowała, że dziś jest dzień, kiedy ten koszmar się zakończy. Nie zamierzała spędzić następnej nocy tak, jak tej, rzucając się w łóżku dręczona okropnymi wizjami. Przejmie kontrolę nad sytuacją, a przynajmniej nad swoją w niej rolą. Miała już dość tej całej zasłony dymnej z Drew jako pośrednikiem. Zwyczajnie nie pozwoli mu odejść, dopóki nie uzyska bezpośredniego dostępu do Schulera. A jeśli to okaże się niemożliwe, zażąda kontaktu z właścicielem. Jeśli i to zawiedzie, rzuci tę pracę i wróci na bezrobocie. Jeśli będzie to konieczne, załamie się i pójdzie błagać o pomoc rodziców.

Ale cokolwiek się stanie, jej wywołany fotografiami Schulera niepokój dobiegnie końca. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wystarczy zwykła weryfikacja wieku i tożsamości modelki. Krótki komunikat prasowy i wszystko pójdzie w zapomnienie. A jeśli weryfikacja nie nadejdzie, będzie to znak, że Wielebny Harvey faktycznie miał nosa. Wtedy Alice odejdzie. Tak czy owak, kiedy nadejdzie koniec dnia, ona nie będzie już częścią tej historii.

Ta wiedza ją uspokajała. Alice poczuła pewną kontrolę nad sytuacją.

Zbliżając się do galerii, dostrzegła, że odsłonięta wcześniej wystawa zaklejona jest teraz brązowym papierem pakowym. Pracowita pszczołka z tego Drew. Alice wydała z siebie sfrustrowane westchnienie. Nie to, żeby nie obeszły ją zarzuty wysuwane przez

demonstrantów, ale zaklejanie okien jak w jakimś sex-shope to już przesada. Znając – no dobrze, nie znając, ale wnioskując po jego wcześniejszych dokonaniach, Hans Schuler zapewne zamierzał wywołać w ten sposób jeszcze większe kontrowersje.

Przeszklone drzwi zakrywała żaluzja, ale kiedy Alice pochyliła się, stwierdziła, że zamek jest otwarty. Drew musiał opuścić roletę za sobą, kiedy wszedł do środka. Podniosła żaluzję i zauważyła, że same drzwi też są otwarte. Popchnęła je do wewnątrz, oczekując widoku Drew siedzącego za biurkiem. Zamiast tego powitała ją ciemność. Światła były zgaszone.

– Drew?

Pewnie poszedł na kawę. Jeśli miała zamiar tu pracować, musiała z nim porozmawiać na temat pozostawiania galerii bez opieki, nawet o tak wczesnej porze.

Ruszyła w głąb pomieszczenia, usiłując przystosować oczy do ciemności i zastanawiając się, co za geniusz zainstalował włączniki światła na tyłach. Poczua ulgę, kiedy w końcu dotarła pod tylną ścianę. Przeciągnęła dłonią po znajomych przełącznikach, ale nic się nie stało.

Szlag. Nie miała pojęcia, gdzie znajdują się korki.

Trzymając się ściany, dotarła do wyjścia przeciwpożarowego na tyłach. Przez chwilę walczyła z zamkiem. Poczua zawód, kiedy przez otwarte na oścież drzwi przesączyła się do środka jedynie mdła, szara, poranna poświata.

Gdy tylko Alice odwróciła się w stronę wnętrza galerii, zrozumiała, że coś jest nie tak. Był to jeden z tych nagłych przebłysków zrozumienia. Olśnienie, które wzbierało gdzieś na poziomie komórkowym. Jej ciało przyswoiło sobie już wewnętrzne rytmy tej przestrzeni. Nawet w ciemności jej mózg oczekiwał istnienia określonych zarysów – zapory z niskich, skórzanych bankietek, dzielącej galerię na dwie części, biurka o szklanym blacie, które stało przy wejściu, wszystkich obiektów, na które starała się nie wpaść, idąc na tyły. Ale teraz widziała wszędzie tylko jednorodny mrok.

– Drew?

Jej głos brzmiał w tym wnętrzu inaczej niż zwykle. Głośniej. Ze śladem echa.

Wszystkie zmysły mówiły jej, że coś się zmieniło. Pogrzebała w torebce i wydobyla komórkę. Zapalony wyświetlacz wytworzył niewielką smugę światła. Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, skanując pomieszczenie. Tam, gdzie stały siedzenia, znajdowała się teraz tylko pusta podłoga. Tam, gdzie wisiała *Pierwsza* Hansa Schulera, jedynie pusta ściana.

Kurwa. Uznała, że brązowy papier na szybie to jedynie medialny wygląd, bardzo publiczny sposób na ukrycie tej, tak zwanej, pornografii przed publicznym okiem. Teraz

jednak zrozumiała, że Drew tego ranka był o wiele bardziej zajęty, niż sądziła. Jego reakcja była jeszcze silniejsza. Wyglądało na to, że Alice nie będzie jednak dyktować warunków. Właściciel galerii ewidentnie postanowił uciąć sprawę.

Kusiło ją, by wyjść na zewnątrz i pozostawić ten cały eksperyment za sobą, ale uważała, że Drew winny jest jej wyjaśnienie. Uznała, że wróci, skoro zostawił otwarte drzwi.

Idąc w stronę wyjścia, zauważyła jakiś cień na podłodze, jakby stertę czegoś. Podchodziła ostrożnie, jakby odgłos jej kroków mógł spłoszyć ten kształt. Piętnaście kroków od cienia. Teraz dziesięć. Pięć.

Mimo całej ostrożności, w pewnym momencie poczuła, jak podeszwa jej buta ślizga się po podłodze. Masa jej ciała pociągnęła ją do tyłu. Instyktownie wyrzuciła ręce do tyłu, zapominając o tych wszystkich dawnych lekcjach narciarstwa, gdzie uczono ją chronić nadgarstki podczas upadku. Usłyszała łoskot leżącej na podłogę komórki.

Uderzyła o ziemię, tłumiąc upadek dłońmi. Poczuła, jak ślizgają się po kafelkach. Mokre. Ciepłe. Farba?

Podniosła się i na czworakach podpełzła do kształtu na podłodze. Ostrożnie poklepała coś, co w dotyku sprawiało wrażenie tkaniny. Jakiś chodnik? Duża sztaluga?

Macała po krawędziach leżącego kształtu i aż podskoczyła, kiedy wreszcie zidentyfikowała coś ponad wszelką wątpliwość. Włosy. Szorstkie, ludzkie włosy.

Odpełzła w pośpiechu w tył, panicznie poszukując upuszczonej komórki. Skierowała promień światła na kształt, który, jak teraz podejrzewała, był ludzkim ciałem.

Drew Campbell leżał na boku w karmazynowej kałuży kawy, która zebrała się pod nim, przesiąkając nawet przez gruby, zimowy płaszcz. Dłonie, kolana, policzki i przedramiona Alice były całe w świeżej krwi.

Kiedy wybierała numer 911, poczuła, jak jej palce lepią się do szkła wyświetlacza.

## *Rozdział 16*

*Ta strona została zablokowana. Proszę spróbować ponownie później lub skontaktować się z administratorem sieci.*

– Niech to szlag.

Detektyw Jason Morhart ponownie uderzył w enter, tym razem na tyle mocno, że aż zaczął się zastanawiać, czy przycisk powróci do poprzedniego położenia.

*Ta strona została zablokowana. Proszę spróbować ponownie później lub skontaktować się z administratorem sieci.*

– Kurwa.

– Wulgaryzmy są dla ludzi mało kreatywnych. W *Battlestar Galactica* mówią „kutwa”, a i tak wszyscy wiedzą, co to znaczy.

Nancy pojawiła się przy jego biurku jakieś sześć wciśnieć klawisza enter temu. Zajmowała się udostępnianiem plików z kartoteki. To, w połączeniu z kilkoma lekcjami informatyki, jakie pobrała w szkole publicznej, kazało jej zostać samozwańczą ekspertką od komputerów tego komisariatu policji. Nikt nie miał serca udowodniać jej, że tak nie jest. Morhart doskonale wiedział też, że Nancy potrafiłaby wygrać konkurs przeklinania na zjeździe marynarzy, co nie powstrzymywało jej przed żartowaniem sobie z jego rosnącej irytacji.

– Wulgaryzmy są również dla ludzi, którzy są wkurwieni. A przy okazji zdradzę ci jeszcze jeden sekret: *Battlestar Galactica* to serial dla nastolatków. Nigdy nie zdobędziesz mężczyzny, cytując seriale dla nastolatków.

– No, za takie coś należałoby ci dokładnie umyć buzię mydłem. Pokaż no klawiaturę.

Sięgnęła ponad nim i wpisała adres, który próbował otworzyć. Facebook.com. Wcisnęła enter.

*Ta strona została zablokowana. Proszę spróbować ponownie później lub skontaktować się z administratorem sieci.*

Przechodzący za nią Tony Rollins wzniosł oczy ku niebu, ale Morhart jedynie wzruszył ramionami. Nancy potrafiła doprowadzić człowieka do szału, ale serce miała po właściwej stronie.

– Mam zadzwonić do Garyego? – spytała. – Wiesz, że wszystkie drogi ostatecznie prowadzą do Garyego.

– Nie, sam zadzwonię. Jebani urzędnicy znów zablokowali wszystkie dobre strony w Internecie.

Dwa lata temu, po tym jak odkryto, że osiem z dziesięciu najczęściej odwiedzanych przez użytkowników urzędowej sieci stron było związanych z seksem, urząd miasta zaczął w końcu monitorować aktywność internetową i wydawać ostrzeżenia oraz groźby, że

niewłaściwe korzystanie ze służbowych komputerów będzie karane. Okazało się jednak, że Wielki Brat był zbyt łagodny. Kiedy media opublikowały wieści o pewnym księgowym, który w ciągu tygodnia zdołał obejrzeć trzydzieści godzin porno z komputera przy swoim biurku, góra zaczęła domagać się podjęcia bardziej drastycznych kroków.

Teraz więc biedny Gary Moore musiał przewidywać, na jakie jeszcze idiotyczne sposoby urzędnicy miejscy mogą tracić swój czas w sieci i z góry psuć im zabawę. Jason wiedział z doświadczenia, czemu zawdzięcza pojawienie się frustrującego komunikatu o zablokowaniu strony. To samo zobaczył kilka miesięcy temu, kiedy badał sprawę pewnego przestępcy seksualnego, który zachęcał swoje przyszłe ofiary do wspólnego oglądania porno. Za każdym razem, gdy Jason usiłował wejść na jedną ze stron, które tamten odwiedzał, pojawiał się ten sam komunikat.

Podniósł telefon i wybrał numer Garyego Moorea.

– Czym mogę służyć, panie detektywie?

Miejska sieć była diabła warta, ale identyfikacja dzwoniącego wydawała się działać idealnie.

– Najpierw zablokowałeś moje porno. A teraz Facebooka? Niedługo nie zostanie mi nic poza National Geographic i pogodynką. Zaraz, czekaj, jeśli będzie podawać pogodę w Miami, może przecież mieć na sobie bikini.

– To chyba nie wiesz, jakie świństwa pokazują na National Geographic. Niektóre z tych pawianów wyglądają mocno nieprzyzwoicie.

– Bez jaj, Gary, Facebooka?

– Wiem, że to brzmi idiotycznie. Ale rozkazy przyszły z góry.

– Więc spędzamy zbyt wiele godzin na portalach społecznościowych?

Nazwa ta zawsze wydawała się Jasonowi wyjątkowo kłamliwa. Społeczność dla tych, którzy nie mieli związku z żadną społecznością. To coś jak happy hour w zapyziałej mordowni.

– Zdecydowanie. To straszny pożeracz czasu. Jakby co, nie usłyszałeś tego ode mnie, ale okazuje się, że przez Facebooka żona burmistrza nieco za bardzo odświeżyła znajomość z jednym ze swych dawnych chłopaków z liceum. Więc burmistrz jest teraz cholernie cięty na Facebooka. Żaden pracownik miasta nie może tam wchodzić ze służbowego komputera.

Morhart poznał kiedyś burmistrza Dover, Kylea Jenson. Widział też jego zabójczo seksowną żonę na plakatach wyborczych. Jeśli chciała zrobić skok w bok, Facebook lub jego brak nie miał żadnego znaczenia.

– Jezu. Mam wrażenie, że co druga sprawa wymaga łązenia po sieci, a połowa z nich

rozbija się o ten cholerny komunikat o zablokowanej stronie. Nie mógłbyś zwolnić detektywów od tych ograniczeń?

– Taaa, jasne. Chcesz powiedzieć, że Rollins miał służbowy powód za każdym razem, kiedy klikał stronę panny Howard Stern, zanim zostałem cybernetycznym carem tego miasta?

Jeśli coś się dało spieprzyć, Rollins zawsze był do tego pierwszy.

– No dobra, a nie mógłbyś odblokować tej strony tej strony chociaż mi? Mam tu zaginioną dziewczynę i potrzebuję zajrzeć na jej konto na Facebooku.

Morhart usłyszał jakieś szczykanie w słuchawce.

– Widziałem to w porannych wiadomościach. Mieliśmy z żoną nadzieję, że po prostu uciekła z domu.

– Możliwe, ale Jenson chyba nie chce, żebym powiedział jej matce, że w sumie to nie wiem, bo żona przyprawiła mu rogi i przez to nie pozwolił mi korzystać z narzędzi niezbędnych do znalezienia jej córki.

– Nie, i nie sędzę, by spodobało mu się takie wyjaśnienie.

Morhart uznał dochodzące z drugiej strony odgłosy stukania w klawisze za dobry znak.

– Dobra. Wyłączyłem cię spod dozoru niani. Leć. Zażyj wolności. Ale nie wpuszczaj tam Rollinsa, dobra?

Becca Stevenson miała osiemdziesięciu dwóch przyjaciół.

Osiemdziesięciu dwóch przyjaciół brzmiało jak zdrowa liczba. Podtrzymanie tak wielu znajomości wymagało odpowiedniej dozy aktywności społecznej i wzajemnej uwagi. Ale w Internecie, gdzie „przyjaźń” znaczyła tyle, co kliknięcie myszką, osiemdziesięciu dwóch „przyjaciół” było niczym. Becca była drugoroczną gimnazjalistką. Osiemdziesięciu dwóch przyjaciół oznaczało, że była raczej samotniczką.

Ciekawe, że to właśnie samotniczki znikają najczęściej.

Osiemdziesięciu dwóch przyjaciół mogło znaczyć niewiele w świecie Facebooka, ale pojedynczy detektyw nie był w stanie poradzić sobie z taką liczbą świadków. Morhart zamierzał zawęzić krąg poszukiwań.

Zaczął od kliknięcia na zakładkę ze zdjęciami. Miał nadzieję znaleźć tam zestaw podpisanych pełnymi nazwiskami i imionami uśmiechniętych twarzy, nowoczesny odpowiednik listy „tych świadków przesłuchać najpierw”. Zobaczył jednak zaledwie dwa albumy. Pierwszy, opisany jako „zdjęcia profilowe”, zawierał tylko jeden element – fotografię małego pieska Becci. Drugi, „Wielkie Jabłko”, wypełniony był ziarnistymi



zdjęciami, ewidentnie zrobionymi komórką. Przedstawione na nich miasto wyglądało na Manhattan. Zdjęcia zostały umieszczone na stronie trzy i pół tygodnia wcześniej. Woda. Budynki. Graffiti na cegle. Żadnych ludzi. Żadnych uśmiechniętych twarzy. Sądząc na podstawie tego, czego dowiedział się wcześniej o dziewczynie, Morhart zgadywał, że próbowała być artystyczna.

Zabrał się za czytanie tablicy Becci, gdzie znajomi mogli zostawiać jej wiadomości.

Cała pierwsza strona wypełniona była tekstami wysłanymi już po tym, kiedy zaginięcie Becci trafiło do publicznej wiadomości.

*Całe Linwood za tobą tęskni. Wracaj szybko i bezpiecznie!*

*Ale jaja, Becca. Mam nadzieję, że zwyczajnie nawiałas z chaty.*

*Kochamy cię, Becca, i modlimy się za twoje zdrowie.*

Morhart podejrzewał, że te banały nawypisywali koledzy i koleżanki z klasy, którzy ledwie znali zaginioną dziewczynę. Przewinał na sam dół, szukając wiadomości z czasów przed jej nieoczekiwaną sławą. Częstotliwość komunikatów nagle drastycznie spadła. Zaczął czytać od dołu, od najstarszych wiadomości.

Cztery tygodnie temu Becca zmieniła swój status na „Wiem, że nie powinnam, ale mam zajawkę na *Glee*”.

Dziewczyna imieniem Sophie Ferrin odpisała: „A potem mówisz, że to ja nie mam gustu”.

Sophie Ferrin. Morhart kojarzył to nazwisko. Najlepsza kumpela. Jako ostatnia widziała ofiarę.

Po wiadomości od Sophie nadeszła druga odpowiedź: „Serial dla debili”. Autorem był Rodney Carter. To nazwisko Morhart również rozpoznał. Chłopak Sophie. Tamtego wieczora był z nimi obiema w galerii handlowej.

Przewinał stronę wyżej, pomijając wiadomości, które dotyczyły bezsensownych gier, w jakie grali ludzie na Facebooku. Chomikowanie wziętek w jakimś wirtualnym świecie. Promocja na kapitana w innym. Nawożenie nieistniejących farm.

Miał zaledwie trzydzieści cztery lata, a już czuł się jak stetryczały dziadyga, co kręci z dezaprobatą głową na szerzące się wśród współczesnej młodzieży zepsucie.

Kilka dni po napomknieniu o *Glee* Becca zmieniła ponownie status: „Dziś jadę do miasta, yo!”. Data pasowała do terminu załadowania na stronę zrobionych na Manhattanie zdjęć.

*Baw się dobrze, byle nie za dobrze!* Odpowiedź została nadana przez Sophie, co znaczyło, że Sophie nie pojechała ze swoją kumpelą na fotograficzny wypad do Nowego

Jorku. Morhart zanotował w pamięci, by zbadać ten trop.

Ponownie kliknął na album ze zdjęciami z miasta i zauważył, że Becca „oznaczyła” kogoś imieniem Dan Hunter. Z tym nazwiskiem Morhart do tej pory się nie spotkał.

Detektyw wiedział, że oznaczanie służyło identyfikowaniu osób, które pojawiały się na fotografiach na Facebooku. Robiło się to również po to, by zdjęcia z oznaczoną osobą pojawiły się na jej stronie.

Kliknął na imię Dana Huntera. Zdjęcie na jego profilu przedstawiało piaskowego blondyna w koszykarskiej koszulce, który wykonywał rzut wolny. Morhart przewinął w dół, aż znalazł odnośnik do fotografii Becci. „Dana Huntera zaznaczono na fotografii”. Na wirtualnej tablicy Huntera pojawiły się miniatury zdjęć Becci.

Zapostowanie fotografii wywołało komentarz ze strony Ashleigh Reynolds, kolejnej nieznanej osoby. Napisała tylko jedno słowo, ale to wystarczyło, by wylądowała na samej szczycie listy priorytetów Morharta.

Szmata.

## *Rozdział 17*

Jak do tego doszło?

Prawie każdy w pewnym punkcie życia zadaje sobie to pytanie. Dla niektórych czas ten przychodzi, kiedy wstają rano, spoglądają na śpiącą obok osobę i nagle, po raz pierwszy, ale z porażającą jasnością zdają sobie sprawę, że wcale nie mają ochoty już dłużej przebywać w związku małżeńskim. Dla innych jest to spojrzenie w lustro, gdzie nie widzą już znajomej twarzy, skrytej pod warstwą lat zaniedbania. Dla jeszcze innych jest to wiadomość, że bank przejmuje ich dom. Albo zrozumienie, że ich ciało nie ma już sił.

Większość ludzi doświadcza owego osobliwego momentu, kiedy zatrzymują się, by poważnie spojrzeć na dotychczasowe życie i nie rozpoznają tego, co widzą. Dla Alice Humphrey ten moment otrzeźwienia przyszedł, kiedy dojrzała ciało Drew Campbella, wywożone na noszach przez wąskie drzwi galerii do oczekującej furgonetki lekarza sądowego.

Wcześniej pojawił się tu ambulans, zaraz po pierwszym oznaczonym radiowozie. Ale sanitariusze nie ruszali ciała. Drew był na to najwyraźniej zbyt martwy. Teraz jego ciało stanowiło jedynie dowód rzeczowy. Poczula, jak się wzdryga, gdy bok metalowych noszy uderzył we framugę drzwi.

To był właśnie ten moment.

I podobnie jak każdy inny na jej miejscu, kiedy zrozumiała, że nie rozpoznaje już swojego życia, zadała sobie pytanie, jak do tego doszło? I jak wszyscy inni, którzy próbowali odpowiedzieć sobie na to pozbawione odpowiedzi pytanie, zaczęła cofać wskazówki zegara, daremnie szukając sekundy, w której jej życie przybrało obecny obrót.

Może nie doświadczyłaby tego wszystkiego, gdyby rano nie weszła do galerii, jeśli się zastanowić, to otwarte drzwi przy zalepionej papierem wystawie powinny jej się wydać mocno podejrzane. Może powinna była odwrócić się i stamtąd pójść. Gdyby poszła do domu i zapomniała o Drew Campbellu, to ktoś inny wszedłby do galerii i został szczęśliwym zwycięzcą. Pośliznął się na krwi. Zadzwoił pod 911.

Albo jeszcze lepiej by było, gdyby w ogóle nie poszła rano do galerii. A co, gdyby ruszyła do mieszkania brata w tej samej sekundzie, gdy zobaczyła wiadomość o jego aresztowaniu? Co z niej za siostra, jeśli przedkłada spotkanie służbowe nad kłopoty własnego brata? Gdyby spróbowała odszukać Bena zamiast poprzestać na jednym telefonie, może wszystko byłoby inaczej.

Ale w końcu i tak zostałyby wciągnięta w to śledztwo. Pracowała w galerii. Miała klucze. Praktycznie zarządzała tym miejscem. Nadal byłaby jednym z kluczowych elementów zagadki dotyczącej śmierci tego człowieka.

Więc cofnęła wskazówki zegara jeszcze bardziej. Jak do tego doszło?

Jak do tego doszła? Przyjęła tę pracę. Drew kompletnie ją zauroczył, nie w sensie romantycznym, na co wskazywałoby tamto zdjęcie, ale, jakkolwiek idiotycznie by to nie brzmiało, zawodowym.

Tak więc, jeśli Alice miała zamiar rozwiązać zagadkę przyczyny swoich obecnych tarapatów, musiałaby cofnąć się w czasie naprawdę daleko. Wystarczająco daleko, by w chwili, gdy Drew Campbell przyjdzie do niej ze swoją ofertą, uśmiechnąć się i grzecznie odmówić. Żeby nie połknąć przynęty, musiałaby być w odpowiedniej sytuacji życiowej. Mieć bezpieczną posadą nauczycielki, urzędniczki bankowej, a może żony i matki. Wtedy nie zostałyby nigdy dumną menedżerką Galerii Highline. Nie weszłaby tam dziś rano, by zauważyć brak wszystkich mebli. Nie zobaczyłaby tych okropnych ran. I nie siedziałaby teraz na krawężniku, spoglądając w górę na detektywa z notesem, czując wciąż ciepłe, lepkie ślady krwi Drew na dłoniach, choć jej mózg wiedział przecież, że dłonie te są zimne, suche i czyste.

– Czy to normalne, że pan Campbell pojawił się w galerii o tak wczesnej porze?

– Ach, nie. To znaczy, nic tu nie jest normalne. Otwarliśmy dopiero przedwczoraj. Ale w teorii nie ma tu nikogo poza mną. Drew mnie wynajął, ale właściwie wcale nie mieszał się w moją pracę. Poza tym otwieramy dopiero o jedenastej.

Dostrzegła, jak detektyw krzyżuje spojrzenia ze swoim partnerem. Alice zrozumiała, że plecie trzy po trzy.

– To była jakby sytuacja awaryjna, wczoraj pojawili się tu jacyś demonstranci religijni, z powodu prac, które wystawialiśmy. Kiedy w końcu w nocy złapałam Drew, powiedział, żebyśmy spotkali się tu dziś rano. Kiedy tu przybyłam, cóż, wiecie, co znalazłam.

Patrzyła, jak detektyw kiwa głową. Bawiła się wizytówką, którą jej wręczył. Nazywał się John Shannon. Czy detektyw Shannon wiedział o tych demonstrantach zanim tu przyjechał? A może dopiero teraz skojarzył to miejsce z wiadomością, której poświęcił wcześniej jedynie zdawkową uwagę? Czy zastanawiał się nad tym, co może łączyć demonstrantów ze śmiercią Drew?

Poczuła pragnienie, by cała ta sytuacja okazała się jednym z godzinnych odcinków któregoś z jej ulubionych seriali policyjnych, a nie jej nową rzeczywistością.

– Alice!

Podniosła oczy i spojrzała w kierunku hałasu, dostrzegając Lily, wyskakującą z tylnego siedzenia taksówki, znajome chude kończyny i włosy żółte jak u kurczątki. Od razu wyrósł przed nią policjant, blokując dalszą drogę w stronę galerii.

– To moja przyjaciółka. Zadzwoiłam do niej zaraz po telefonie do was.

Detektyw dał gestem znać młodszemu mundurowemu, że wszystko gra. Lily podbiegła do krawężnika i w przelocie ścisnęła Alice za ramię, po czym usiadła obok. Detektyw powitał ją grzecznym skinieniem głowy, ale od razu przeszedł do dalszych pytań.

– Przy ciebie nie znaleźliśmy portfela ani żadnych rzeczy osobistych. Czy potwierdza to pani, opierając się na znajomości z panem Campbellem?

– Ach, nie. To znaczy, nie mam pewności – powiedziała, po czym spróbowała oczyścić umysł, by móc myśleć racjonalnie. – Nie, nosił portfel. Kiedy go poznałam, poprosił mnie o wizytówkę, ale jej nie miałam. Wtedy zapisał mi swój numer na karteczce, którą wyciągnął z portfela. I kluczyki. Powinien mieć przy sobie kluczyki od szarego BMW.

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że przed galerią powinien być stać samochód Drew.

Gdyby zauważyła to od razu, kiedy przyszła, czy wydarzenia przebiegłyby inaczej? W jej głowie kłębiło się teraz wiele myśli, które powinny były pojawić się godzinę wcześniej.

Dostrzegła, jak spojrzenie detektywa przesuwają się w ślad za jej wzrokiem na obie strony ulicy. Patrzyła, jak mężczyzna zapisuje coś w notatniku. Brak BMW przy krawężniku. Brak kluczyków i portfela w kieszeniach Drew.

– I mówi pani, że kiedy zeszłego wieczora pani stąd wyszła, galeria nie była pusta?

– Zdecydowanie nie była pusta. To była otwarta, funkcjonująca galeria. Były tam prace i biurko, i komputer, i meble.

– Zakładam, że prace były wartościowe?

Nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi udzielić w obecnej sytuacji.

– Nasza aktualna ekspozycja przedstawiała kopie fotografii o potencjalnie nielimitowanym nakładzie, przez co cena była relatywnie niska – siedemset dolarów za fotografię. Ale na zapleczu miałam około stu wydrukowanych i gotowych do wysłania kopii. Było tam też, nie wiem, pewnie z dziesięć płócien innych artystów, które mieliśmy wystawić, kiedy zakończymy otwierającą ekspozycję Schulera.

Dotarło do niej, że będzie musiała zadzwonić do artystów, których udało jej się pozyskać, i powiedzieć im, że ich dzieła zniknęły. Wcześniej wierzyła, że Drew wszystko ubezpieczył, ale teraz nie była pewna, czy zdoła się wypłacić tym ludziom.

Patrzyła, jak detektyw robi kolejne notatki. Wyobrażała sobie trybiki w jego głowie, obracające kolejne możliwości. Zemsta religijnych fanatyków? Kradzież dzieł sztuki?

– Co jeszcze może mi pani powiedzieć o ofierze?

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

– Nie wiem, czy rozumiem, o co panu chodzi.

– Data urodzenia? Rodzina? Przyjaciele? Bez portfela nie znamy nawet jego adresu.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Poznałam go parę tygodni temu w pewnej galerii, a on zatrudnił mnie do zarządzania tym miejscem.

– Więc jest właścicielem.

– Nie, był tylko pośrednikiem.

Alice wyjaśniła całą historię o anonimowym partnerze biznesowym Drew i jego motywacji w postaci związku z nieuchwytnym Hansem Schulerem. Widziała, jak długopis detektywa gorączkowo porusza się po kartce notatnika. Równie dobrze mężczyzna mógłby mówić na głos: bogaci, rozpasani zwyrodnialcy.

– Więc nie ma pani pojęcia, kto jest właścicielem galerii, ani jak skontaktować się z tym mężczyzną, Hansem Schulerem, inaczej niż przez jego stronę internetową?

– Wysyłałam do Schulera SMS-y, mogę wam podać ten numer, ale to naprawdę wszystko, co mam. Przepraszam.

Czemu właściwie przepraszała?

– Galeria została całkowicie ogołocona, jak zresztą pani wie. Jednak w jednej z szafek na zapleczu znaleźliśmy to. – Uniósł plastikową torebkę, pełną spersonalizowanych

pendrive'ów, które służyły kiedyś za darmowy dodatek do prac Schulera. – Czy to należy do pani?

– Niezupełnie moje, technicznie rzecz biorąc, ale tak, należały do galerii. Stanowiły część materiałów promocyjnych ekspozycji Schulera. Każdy nabywca dostawał pendrive'a zamiast papierowego katalogu czy innych dokumentów. Wie pan, interaktywny program o artyście i jego sztuce. Najnowszy krzyk techniki. Bardziej bajeranckie od papieru. Taki chwyt reklamowy.

– A pani pensja? Kto przysyłał czek?

Zanurzyła rękę w torebce. Traktowanie torebki jak kosza na śmieci miało swoją zaletę: pozostawały tam ślady po niedawno prowadzonych interesach. Wydobyła oderwaną końcówkę jedyne go czeku, jaki otrzymała jako menedżerka Galerii Highline. Tysiąc sto z kawałkiem, wypłacone dla Alice Humphrey z konta Korporacji ITH. Tak bardzo ucieszyła się z perspektywy zrealizowania czeku, że nie zastanawiała się nad pochodzeniem tej nazwy.

– Mogę to zatrzymać?

– Oczywiście.

– Alice?

Ponownie obejrzała się w stronę, skąd dobiegł dźwięk jej imienia. Tym razem z taksówki wysiadał Jeff.

– Przepraszam – powiedziała do detektywa. – Właściwie to zadzwoniłam do każdego, kogo znam, po tym jak skontaktowałam się z wami.

Łącznie z bratem. Nadal nie miała żadnych wieści od Bena.

Patrzyła jak detektyw – jak mu było? – każe przejść Jeffowi przez wewnętrzne sanktuarium, otoczone rosnącą liczbą przedstawicieli prawa. Jeff przywitał się z Lily skinieniem głowy, pocałował Alice w czoło i usiadł obok na krawężniku.

Detektyw zadawał kolejne pytania, a ona odpowiadała, ale niezależnie od tego, jak bardzo starała się skupić na powadze sytuacji, jej umysł wciąż zaczynał błądzić.

Zginął człowiek. Czyjeś życie zostało przerwane. Drew nie był jej mężem, członkiem rodziny, nawet dobrym znajomym. Tu nie chodziło o nią. W najmniejszym stopniu. Więc co z tego, że straciła pracę? Kogo w ogóle obchodziło, że przeżyła szok wywołany odnalezieniem ciała? Kogo obchodziło, że ma brata narkomana, który stoi na krawędzi powrotu do nałogu? Na poziomie poznawczym wiedziała, że nic tutaj nie dotyczy jej osobiście. Ale jednak poczucie, że ma Lily i Jeffa po obu stronach drżącego ciała znaczyło dla niej wszystko.

*Jak do tego doszło?*

Alice Humphrey nie miała pojęcia.

Nie miała również pojęcia, że policja wkrótce zidentyfikuje osobę, która stworzyła korporację ITH, firmę podpisaną na okrawku czeku z jej torebki. Nie miała pojęcia, czy palec wskazujący okaże się pasować do odcisku, który policyjny analityk ściągał właśnie z drzwi łazienki galerii. Nie miała też pojęcia, że kiedy odpowiadała na pytanie o Drew Campbello, zaledwie dwieście metrów stąd, na rogu Bankowej i Waszyngtona, policjant prowadzący rutynowe przeszukiwanie okolicy miejsca zbrodni zobaczył właśnie porzuconą parę czarnych, skórzanych rękawiczek wyłożonych futrem z norki. Leżały w koszu na śmieci, na niedojedzonym bajglu. Zastanowił się, czy nie dać ich w prezencie swojej dziewczynie, ale ostatecznie wrzucił je do plastikowej torby na dowody, tak na wszelki wypadek. Alice nie wiedziała też, że detektyw, z którym właśnie rozmawiała, i jego partner mieli następnego dnia pojawić się u jej drzwi z fotografią, która zmieni wszystko.

### *Rozdział 18*

Hank machnął ręką w stronę Charliego Dixona, kiedy mijał jego zagródkę w drodze do swojej. Odkąd dwa miesiące temu rozeszła się wieść o reprimendzie, którą otrzymał, Hank miał wrażenie, że przechodzi ścieżkę zdrowia za każdym razem, gdy przemierza wąski korytarzyk między szarymi ściankami, ogradzającymi identyczne, zrobione ze sklejki biurka agentów. Było niemal tak, jakby po całym pomieszczeniu rozchodziły się za nim fale szeptów. Oczywiście wiedział, że w większości wszystko to sobie jedynie wyobraża, ale w większości to nie to samo, co całkowicie.

Z Dixonem było inaczej. Gość zawsze był cichy. Przychodził rano, robił swoje i szedł do domu. Żadnego joggingu z innymi. Żadnych meczów koszykówki „koszule kontra gołe klaty” w przerwach na lunch. Żadnych wspólnych happy hours w knajpie. Ale od czasów reprimendy – która miała być poufna, a w jakiś sposób tego samą ranka stała się powszechną wiedzą w całym biurze – Dixon stał się wobec Hanka odrobinę bardziej uprzejmy. Nie unikał kontaktu wzrokowego. Kiwał głową na powitanie. Czasami nawet mówił mu „cześć” na stołowce. Gdyby tak dalej szło, może któregoś dnia zaczęliby wręcz ze sobą rozmawiać.

Zasiadłszy wreszcie przy komputerze, Hank zaczął sprawdzać numer identyfikacyjny BMW W Narodowym Systemie Informacji o Właścicielach Pojazdów Motorowych. Ewidencja tego, do kogo należy jaki pojazd, prowadzona była kiedyś wyłącznie przez poszczególne stany, co oznaczało pięćdziesiąt osobnych baz danych. Nie ma co się dziwić, że złoczyńcy znaleźli sposób na wykorzystanie tej luki. W teorii kradzione samochody mają

ograniczoną wartość w świecie, gdzie rutynowa kontrola drogowa może w kilka sekund skończyć się wykryciem. Spowodowało to, że przez jakiś czas kradzione wozy sprzedawane były za ułamek wartości, celem eksportu za granicę lub pocięcia na części.

Ale później złodzieje wymyślili, że mogą ukraść wóz na Florydzie, zainstalować w nim podrobione numery identyfikacyjne podpatrzone na parkingu u jakiegoś diler, po czym zarejestrować sklonowane auto w Karolinie Północnej. Voilà. O ile człowiek, który nabył później w salonie oryginał, nie zamierzał przeprowadzić się do Karoliny Północnej, nikt nie miał sposobu, by dowiedzieć się, że w obiegu krążą dwa samochody o tym samym numerze identyfikacyjnym.

W końcu rząd ruszył dupę i stworzył ogólnokrajową bazę danych. Fanatycy wolności osobistej dostali oczywiście ataku apopleksji. Połowa stanowych departamentów ruchu drogowego również nie była skłonna do współpracy, wyczuwając, że krajowy system stanowić będzie konkurencję dla ich własnego, na który doili pieniądze od podatników. Wszystko to miało miejsce zaledwie dwa lata wcześniej. Krajowy system działał już wystarczająco poprawnie, by służyć pomocą w większości przypadków, ale nie było wcale gwarancji, że Hank nie będzie zmuszony szukać stan po stanie.

Tym razem jednak miał szczęście. Baza danych rozpoznała numer. Według niej szare BMW należało do firmy QuickCar.

Hank znał tę nazwę. Klienci sieci QuickCar mieli dostęp do samochodów rozmieszczonych po wielu parkingach w całym mieście i płacili jedynie za jeżdżenie nimi. Wypożyczało się je na godziny, cały dzień lub dłużej. Można je było później odstawić na jeden z parkingów QuickCara rozlokowanych w całym mieście. Hank odszukał stronę internetową firmy i zadzwonił na ich darmową linię. Nawet gdyby jakiś inny agent podsłuchiwał tę rozmowę, usłyszałby jedynie niewinne pytanie o numer identyfikacyjny pojazdu. Nie było powodu, by nazwisko Travis Larson padło po tej stronie słuchawki. Nikt nie będzie musiał powiadamiać szefa, że Hank znowu interesuje się człowiekiem, którego kazano mu zostawić w spokoju. *Odpuść sobie, Beckman. Jak dla ciebie Travis Larson już nie istnieje. Zapomnij to nazwisko, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.*

– Tu QuickCar.

Hank przedstawił się jako agent FBI, po czym powiedział, że potrzebuje nazwiska człowieka, który dziś rano prowadził jedno z ich szarych BMW.

– Znam numer identyfikacyjny pojazdu.

– Może pan zaczekać? Wezwę supervisora.

Źle.



– Tu mówi supervisor Martin. W czym mogę pomóc?

Supervisor Martin ewidentnie bardzo poważnie traktował swoją pracę nadzorcy call center. Hank poczuł pokusę, by odłożyć słuchawkę i przejść do planu B, ale zwalczył ją i ponownie wyłuszczył swoją sprawę.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie jestem upoważniony do podawania danych osobowych naszych klientów przez telefon.

– To pilna sprawa dotycząca federalnego śledztwa.

– Rozumiem to, panie agencie, ale nasza firma przestrzega określonych procedur. Gdyby przefaksował nam pan nakaz...

– Zdaje pan sobie sprawę, że faks idzie po tej samej linii co telefon. Każdy może sfabrykować kawałek papieru.

Supervisor Martin nie miał na to gotowej odpowiedzi, ale nie zamierzał też się poddać.

– Nieważne – powiedział szybko Hank. – Właśnie otrzymałem te informacje z innego źródła.

Przeniósł uwagę z powrotem na swój komputer i odszukał kolejny numer, tym razem należący do oddziału QuickCar gdzieś w śródmieściu. Po sześciu dzwonek w słuchawce odezwał się kobiecy głos z ciężkim akcentem z Bronxu. Łatwo mógł sobie ją wyobrazić z gumą do żucia w ustach.

Jeszcze raz wyjaśnił, że jest agentem FBI i musi sprawdzić numer identyfikacyjny pojazdu.

– Ach, menedżera chwilowo nie ma.

W tle Hank usłyszał, jak ktoś wrzeszczy, że jakiś samochód blokuje wjazd do garażu.

– Hej, ty! Tak, ty, w mazdzie. Mogłabyś wycofać choć z metr, żeby ten facet mógł wyjechać i przestał na nas wrzeszczeć? Dziękuję, mała! Przepraszam za to, więc, tak, menedżera chwilowo nie ma. Mógłby pan zadzwonić później? Wydaje mi się, że powinien pan zwrócić się do biura, czy coś.

– To pilna sprawa dotycząca federalnego śledztwa.

To stwierdzenie oczywiście nie znaczyło zupełnie nic, ale przez lata Hank nieustannie był zaskakiwany jego skutecznością. Ludzie byli skonstruowani tak, by poddawać się autorytetom.

– Federalnego?

– Tak, proszę pani. To naprawdę pilne. Zakładam, że jeśli zadzwonię do biura, to każą mi sporządzić nakaz. To oczywiście żaden problem, ale wymaga czasu. Potrzebuję tylko nazwiska.

W tle Hank usłyszał kolejny zniecierpliwiony głos i postanowił dolać jeszcze oliwy do ognia.

– Mamy powody, by wierzyć, że poza badanymi przez nas wykroczeniami, człowiek, który wynajął to auto, wymienił jego tablice rejestracyjne, co może wskazywać, że zamierza go użyć do popełnienia przestępstwa. Jestem pewny, że QuickCar nie spodobałoby się, gdyby jeden z ich pojazdów stał się kolejnym z podejrzanych samochodów porzuconych przy Times Square.

Głos w tle stał się głośniejszy. Brzmiało to w stylu „Kiedy wreszcie zleziesz z tego telefonu?”.

– Dobra, jaki to był numer?

Wyrecytował cyfry.

– Hm, to dziwne. Komputer mówi, że tego samochodu nie ma już w naszej flocie.

– Co to może oznaczać? Sprzedajecie swoje pojazdy?

– Zaraz. Proszę zaczekać. To był BMW 3351 Sedan? Tu jest napisane, że to auto ostatnio znajdowało się w garażu przy Czternastej Ulicy.

– Czy to coś znaczy?

– Tak, cholera. Pamiętam, że jakiś idiota z tego garażu pozwolił jakiejś babce ulotnić się z kluczami.

– Więc go skradziono?

– Jak cholera. Było to gdzieś z miesiąc temu. Teraz dodzwonił się pan do naszej głównej bazy, tutaj cały garaż należy do QuickCar, a ja pracuję bezpośrednio dla szefostwa. Ale trzymamy samochody w prywatnych garażach po całym mieście, po parę tu i tam, dla wygody klientów. Nie każdy będzie tak dobrze ich pilnował, wie pan, co mam na myśli?

– Więc jeden ze stróżów na prywatnym parkingu zbudził się z ręką w nocniku?

– Rękę to on miał chyba gdzie indziej. Po wszystkim potrafił tylko powiedzieć, że jakaś śliczna laska wypytywała go, jak działa QuickCar. Wyszedł, żeby pomóc miejscowemu lokatorowi odkopać samochód spod śniegu. Kiedy wrócił, nie było już ani laski, ani beemki.

– Powiedział, że działała sama?

– Tak. Biała. Biała, bardzo ładna. Długie, rude włosy.

## *Rozdział 19*

Nawet z zamkniętymi oczami Morhart wiedziałby, gdzie się znajduje. Rytmiczne plaśnięcia i piski rozlegały się echem po korytarzu. Piski gumowych podeszew i plaśnięcia skóry o

klonowy parkiet. Dźwięki hali do koszykówki nie dały się pomylić z niczym innym. Ta konkretna hala mieszcząca się na końcu tego konkretnego korytarza była dla Morharta znajomym terytorium. Szkoła średnia Linwood sprawiała jednak wrażenie o wiele mniejszej niż szesnaście lat temu, kiedy kończył tu naukę.

Przystanął w podwójnych drzwiach hali. Od razu rozpoznał Dana Huntera. Chłopak wyglądał tak samo, jak na zdjęciu z Facebooka. Uczniowie w strojach do koszykówki biegali pomiędzy środkiem parkietu a linią końcową, ślizgając się na podszwach przy każdym nawrocie. Hunter trzymał tempo, ale przy dziesiątym nawrocie był już ćwierć boiska za resztą grupy i w końcu zostałby zdublowany, gdyby trener nie zadął w gwizdek. Później był trening szybkich najść. Uczniowie ustawili się w rozciągniętą kolumnę i jeden po drugim pędzili w stronę kosza, próbując dotknąć dłonią obręczy. Tym razem Hunter nie był najgorszy, ale nie był też Powietrznym Jordanem, wyraźnie wolniejszy i bardziej podatny na działanie grawitacji niż przeciętny członek drużyny.

Ale później przyszedł czas na rzuty wolne. Dwunastu chłopaków ustawiło się w półokrąg za linią rzutu za trzy punkty i zaczęło posyłać piłkę za piłką w stronę kosza. Niektóre piłki rykoszetowały o tablicę. Inne ledwie muskały metalową obręcz. W końcu trener zaczął kręcić głową z dezaprobatą. Tylko jeden chłopak pakował do kosza jedną piłkę po drugiej, siedem na dziesięć prób. Dan Hunter potrafił rzucać.

Ostry dźwięk gwizdka uciął kakofonię plaskającej skóry i piszczącej gumy. Morhart wszedł na parkiet i zamachał ręką w geście pozdrowienia.

– Panie trenerze, ma pan sekundę?

David DeCicco był niewiele starszy od Morharta i zaczął pracę w Linwood długo po tym, jak przyszły detektyw ukończył naukę, ale mężczyźni poznali się dwa lata temu, kiedy środkowy drużyny Linwood złamał nadgarstek dziewczynie, która ośmieliła się z nim zerwać w przeddzień balu maturalnego. Wielu trenerów czułoby pokusę, by chronić jednego ze swoich najlepszych zawodników, ale DeCicco sam przyszedł na komisariat, by zeznać, że widział kiedyś po meczu, jak podejrzany ciągał swoją dziewczynę za rękę, gdy ta nie chciała iść z nim na imprezę. Jak podejrzewał Morhart, mężczyznę musiało dręczyć poczucie winy, że wtedy nie zareagował. Detektyw dowiedział się później, że trener wyrzucił chłopaka z zespołu i przyprowadził na zajęcia psychologa, by ten porozmawiał z chłopakami o problemie przemocy wobec dziewcząt wśród nastolatków.

– Chwila przerwy, chłopcy, ale nie rozchodzić się.

DeCicco potrząsnął dłonią Morharta.

– Jest jakaś szansa, że po prostu poczuł pan nagłą ochotę pooglądać trening

koszykówki? – zapytał.

– Coś w ten deseń. Co może mi pan powiedzieć o Danie Hunterze?

– O, Jezu. Hunter? To jedyny z moich chłopaków, który umie rzucić za trzy. Gdzie, do diabła, był i co zrobił?

Morhart uniósł dłoń.

– Nie, to nie tak. Po prostu rozmawiam ze wszystkimi, którzy mogliby powiedzieć coś nowego o tej zaginionej dziewczynie, Becce Stevenson.

DeCicco cmoknął językiem. Morhart przyzwyczał się już do tej reakcji na wspomnienie o Becce.

– Nie pomyślałbym, że Hunter w ogóle ją znał.

– A czemu?

– Wie pan, jak to jest z dziećmiakami. – Mrugnął. – Kliki. Walki o to, kto popularniejszy. Hierarchie społeczne, jeśli pan woli. Hunter jest pakerem. Moja trzynastoletnia córka twierdzi, że chłopak ma śliczny tyłek. Tylko cytuję. Jego teren to czirliderki o dużych, krągłych i niedopieszczonych oczach, że tak powiem. Dziewczyna w rodzaju Becci...

Urwał, ale Morhart nalegał, by trener kontynuował myśl. DeCicco rozejrzał się na boki i zniżył głos.

– Będę walił prosto z mostu. Dziwne z niej stworzenie. W zeszłym roku chodziła do mnie na historię Ameryki. Jestem pewny, że to porządna dziewczyna, ale jest w niej coś, nie wiem, po prostu nie tak. Jest ponura. Mroczna. Pewnie strasznie zakompleksiona. Prawie jakby coś w środku było zepsute, ale wie pan, nie żeby była chuliganem czy brała narkotyki, nie wydawało się też, że ktoś ją krzywdzi. Zbyt negatywna, by brać aktywny udział w życiu szkoły, ale nie sprawia też nikomu żadnych problemów.

– Niewidzialna.

– Dokładnie. Jedno z tych niewidzialnych dzieci. Niech pan nie myśli, że nie wiem, co czeka większość moich chłopaków. Teraz jest ich najlepszy czas. Później, w najlepszym wypadku dostaną się do ligi juniorów. Nigdy nie opuszczą tego miasteczka. Ale przynajmniej będą mogli wspominać lata w tym budynku, doping publiczności, koszulki z numerami i piękne dziewczyny jako okres w swoim życiu, kiedy coś znaczyli. A dzieciaki, którymi moi chłopcy teraz pomiatają? Oni w przyszłości wynajdą nowy samochód elektryczny czy coś w tym rodzaju. Będą umawiać się z supermodelkami, kupować sobie włoskie wille i wspominać tę szkołę jako kiepski żart. Ale są też dzieciaki takie jak Becca. Smutne dzieciaki. Gdy tak człowiek na nie patrzy, to ma wrażenie, że nie znalazły zbyt wiele szczęścia tutaj ani tym

bardziej nie czeka ich nic dobrego w przyszłości.

– Cholernie przygnębiające.

– Oczywiście wobec moich graczy jestem nieco bardziej pozytywny. Domową psychologię zostawiam dla dorosłych.

– A co pan psycholog mógłby powiedzieć o Danie Hunterze, jeśli okazałoby się, że faktycznie spędzał czas z Beccą Stevenson?

Mężczyzna zawahał się z odpowiedzią na dobre pięć sekund.

– Nie jest złym chłopakiem, ale nie nazwałbym go też dobrym. Jego kodeks moralny, jak by to powiedzieć... zależy od sytuacji.

Hunter nosił bujną czuprynę, co wydawało się popularne wśród jego rówieśników. Czasami potrzasał konwulsyjnie głową, by odpędzić długie kosmyki sprzed oczu. Przeciągnął dłonią po twarzy, by otrzeć pot.

– Trener mówił, że chce pan ze mną rozmawiać?

Jeśli Hunter był zdenerwowany faktem, że Morhart należał do departamentu policji, nie okazywał tego.

– Może słyszałeś już, że w sobotę wieczór Becca nie dotarła do domu.

– Tak, słyszałem. Więc gdzie ona jest?

Zapytał tak, jakby Morhart musiał to wiedzieć. Jakby Morhart przyszedł tu osobiście, by powiadomić go o losie Becci Stevenson. Detektyw nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Może była mu bliska, cały czas o niej myślał, miał nadzieję, że czegoś się dowie. Albo po prostu był tępy. Wyglądał na tępego.

– No cóż, jestem tu tak jakby, żeby się tego dowiedzieć, Dan. Rozmawiam ze znajomymi Becci. Próbuję dowiedzieć się, dokąd mogła się udać.

Chłopak nie odpowiedział, tylko powoli kiwnął głową, w sposób, który przestrzegł Morharta, by nie oczekiwać odeń zbyt gorliwej współpracy w tej sprawie.

– Więc nazwałbyś się kolegą Becci?

Wzruszył ramionami.

– Nie koleguję się z dziewczynami.

– Znałeś ją?

Kolejne wzruszenie ramion.

– To moja szkoła, znam tu każdego, nie?

– Bujaleś się z nią?

– Bujaleś?

– Chodziłeś. Umawiałeś. Pieprzyłeś się z nią.

Wulgaryzm wybił chłopaka z superluzackiej pozy.

– Nie, nic takiego nie robiliśmy.

– Ale coś robiliście. Na przykład pojechaliście na małą wycieczkę na Manhattan?

– Tak, to prawda, ale to było dawno. Przez ostatni miesiąc rozmawialiśmy ze sobą i takie tam, ale nic z tego nie wyszło.

– Powinieneś się nauczyć mówić całym zdaniem, synu.

– A pan, z całym należnym szacunkiem, niech przestanie nazywać mnie synem. To znaczy, przepraszam, wiem, że to pana praca i w ogóle, ale to, że popełniłem błąd i dałem szansę jednej popieprzonej lasce nie znaczy jeszcze, że zasłużyłem na przesłuchanie.

Morhart zaczynał rozumieć, co trener miał na myśli, mówiąc o sytuacyjnej moralności chłopaka.

– Tak, to moja praca, Dan. A ona wymaga, bym mieszał się w wydarzenia, o których nie mam zielonego pojęcia i podejmował szybkie decyzje dotyczące tego, na czym skupić uwagę, by nie tracić czasu. Teraz skupia się ona na tobie, a im więcej będziesz mi okazywał wrogości, tym bardziej się będzie ona skupiać, niczym promień pieprzonego lasera. A teraz, z całym należnym szacunkiem, jak to określiłeś, zacznij proszę mówić o twoim związku z Beccą Stevenson, która, jeśli trzeba ci przypominać, zaginęła i może być teraz w tarapatach. Albo gorzej.

– Nie ma tu dużo do opowiadania. Jest trochę dziwna, ale zawsze wiedziałem, że jest we mnie zapatrzona czy coś. Męczyły mnie już typowe bzdury z dziewczynami i pomyślałem, że może spróbuję czegoś nowego. Zaczęliśmy rozmawiać i takie tam, no i pojechaliśmy na jeden wieczór na Manhattan. Było fajnie. Była jakby inna czy coś. Ale nie wiem, po prostu nic z tego nie wyszło. Nic takiego się nie stało.

– Dlaczego nic z tego nie wyszło?

– Po prostu nie wyszło, nie wiem. Za bardzo się różnimy.

– Kim jest Ashleigh Reynolds?

Hunter potrząsnął głową we frustracji.

– Więc o to chodziło? Tak, Ashleigh i ja chodzimy ze sobą, od czasu do czasu. Nie muszę mówić, że akurat nie chodziliśmy, kiedy zadawałem się z Beccą. Ashleigh się to nie podobało. Mówiła o Becci różne rzeczy.

– Na przykład nazywając ją szmatą na Facebooku?

– Tak. – Chłopak skierował spojrzenie na podłogę. – Ale to było najdalej, jak się posunęła, naprawdę. Głównie rzucała tylko żarciki do swoich durnych koleżanek. Za dużo

było z tym dramatu, więc, tak czy siak, koniec. Koniec z Beccą, znowu chodzę z Ashleigh.

– Koniec z Beccą, co?

– Jezus, chłopie, nie to miałem na myśli.

– Gdzie byłeś w sobotę wieczór?

– No nie. Chyba pan żartuje.

– Więc mnie rozbaw. Wyglądasz porządnie, masz kupę kolegów, nie wierzę, że spędzasz zbyt wiele czasu samotnie.

– Byłem na boisku, kopiąc tyłki liceum Jeffersona. Może pan spytać trenera.

– A po meczu?

– A zamknie mnie pan, jeśli wiąże się to z pićem alkoholu?

– Mam teraz nieco inne priorytety, chłopcze.

Dan milczał przez chwilę, po czym się uśmiechnął.

– W takim razie dobieierałem się do zarąbistych beczulek w piwnicy Jaya Lindona. Jego rodzice wyjechali. Była tam cała drużyna.

Obie części składowe alibi łatwo było potwierdzić lub zanegować, jeśli było fałszywe.

– Proszę posłuchać, może mnie pan przeświecić, ile pan chce. Nie mam pojęcia, gdzie jest Becca i nie czuję się dobrze, mówiąc to, ale miała, kurde, poważnie narąbane w głowie. Jak pan myśli, czemu szkoła nie jest obwieszona plakatami i nikt nie prowadzi czuwania przy świecach na trawniku dwadzieścia cztery na siedem? Wszyscy sądzą, że uciekła. Przepadła bez wieści, i, co smutne, wszyscy mają to gdzieś.

Wydane zaledwie dwa miesiące wcześniej prawo jazdy Ashleigh Reynolds mówiło, że mieszka ona w jednej z lepszych dzielnic Dover, co oznaczało ceglane mury zamiast pokrycia z linoleum, gładki, czysty podjazd z betonu zamiast poplamionego olejem asfaltu oraz pieczołowicie wypielęgowany ogródek. Detektyw użył lśniącej, mosiężnej kołatki, która przytwierdzona była do pomalowanych na fioletowo drzwi. Otworzył mężczyzna ubrany w koszulę. Miał podwinięte rękawy, ale był pod krawatem.

– Pan Reynolds?

Mężczyzna powitał go przyjaznym uśmiechem handlowca, ale zmrużone oczy dawały jednoznacznie do zrozumienia, że oczekuje, by gość się przedstawił, co też Morhart skwapliwie uczynił.

– Chciałem porozmawiać z pańską córką, Ashleigh, na temat zaginięcia dziewczyny z jej szkoły, Becci Stevenson?

– Jasne, słyszeliśmy o tym. Smutna sprawa. Przysięgam, moja żona doprowadza córkę

do szafy, tak jej teraz pilnuje.

– Więc pana córka jest w domu? – spytał Morhart. Echa piosenki Taylor Swift, dobiegające z wnętrza domu, zdawały się to sugerować.

– Odrabia teraz lekcje.

– To potrwa tylko parę minut. Rozmawiam ze wszystkimi z Linwood, żeby znaleźć jakiś ślad. Jej biedna matka odchodzi od zmysłów.

Reynolds obejrzał się w stronę schodów na górę, skąd dobiegały dźwięki muzyki.

– Rozmawialiśmy już o tym z Ashleigh, jej matka i ja. Nie znała tej dziewczyny i naturalnie nie ma pojęcia, gdzie tamta może się znajdować. Gdyby było inaczej, od razu byśmy do was zadzwonili.

– Więc gdyby mogła to teraz potwierdzić...

– Nie chcemy jej w to mieszać. Ashleigh i jej koleżanki są nieźle wystraszone. Zastanawiają się, co się stało i czy nie są następne. Słyszałem wczoraj, jak chodzi po pokoju. Nie mogła spać, bo śniło jej się, że ją porwano. Rozmowa z policjantem tylko skieruje jej myśli z powrotem ku tym ciemnym sprawom, w zamian za co? Przecież ona nic nie wie. Mam nadzieję, że pan zrozumie, panie detektywie.

Morhart mrugnął tylko, gdy znów zobaczył fioletowe drzwi z mosiężną kołatką. Zamknęły się zbyt szybko, by zdążyć zareagować.

Nim Morhart wrócił na posterunek, Dan Hunter zdążył zlikwidować Facebookowe oznaczenia zdjęć z Nowego Jorku, usuwając z publicznych oczu jakiegokolwiek dowody, że coś przez krótki czas łączyło popularnego sportsmena z dziwną dziewczyną o imieniu Becca Stevenson.

## *Rozdział 20*

Alice owinięta była w biały, puchaty szlafrok kąpielowy Jeffa. Jej włosy nie zdążyły jeszcze wyschnąć po prysznicu. Usiadła bokiem na kanapie, by ułatwić Jeffowi masowanie jej ramion. Gdzieś po drodze zdążyła zapomnieć na ile prostych sposobów potrafił sprawiać jej przyjemność.

Kiedy policjanci w końcu przestali zadawać pytania, jedyne, o czym pomyślała, to wziąć prysznic, by zmyć krew ze skóry i ubrania. By splukać zapach śmierci. Kiedy z Lily i Jeffem wsiedli do taksówki, Lily podała adres Alice, jednak ta zmieniła wytyczne. Z powodów, których nie potrafiła wyjaśnić, nie chciała przebywać w swoim mieszkaniu, nawet w towarzystwie dwojga najbliższych przyjaciół.



Może po prostu zapragnęła znaleźć się w sterylnym, ultranowoczesnym apartamencie Jeffa. Białe ściany. Białe podłogi. Białe, lśniące szafki. Skórzane meble o opływowych kształtach. Stalowe akcenty. Żadnych zbędnych drobiazgów. Żadnego kurzu. Jasność i porządek w porównaniu do jej dyskusyjnie stylowego chaosu.

Ale może chodziło o coś więcej niż doznania estetyczne. Drew był nieosiągalny przez cały wczorajszy dzień, a wieczorem sprawiał wrażenie spanikowanego. Nie chciał mówić przez telefon. Chciał się z nią spotkać – osobiście, z samego rana. A teraz już nie żył. Ktoś go zabił. Dwa postrzały w klatkę piersiową, jak podsłuchiwała z rozmowy pomiędzy policjantami. A co, gdyby pojawiła się w galerii wcześniej? Co, jeśli osoba, która zabiła Drew, uznałaby, że robota jest niedokończona bez złożenia wizyty w domu Alice?

– Czuję się strasznie, że oboje mi pomagacie. Nie musicie wracać do pracy?

– Okazało się, że mój klient ma zeznawać dopiero w przyszłym tygodniu. I tak nie miałbym dziś zbyt wiele do roboty.

Pytanie odnosiło się przede wszystkim do Lily. W obecnej sytuacji gospodarczej czasopisma turystyczne nie opływały raczej w pieniądze, a Goryl nie był typem szefa, który podarowałby całodzienną absencję.

– Nie martw się o mnie. Powiedziałam Gorylowi, że moja siostra leży w szpitalu.

– Ale ty nie masz siostry.

– Nie, ale Goryl tego nie wie. Muszę tylko pamiętać, by dodać ten szczegół do mojej tożsamości w pracy. A tymczasem, kiedy nie będzie już zbyt wcześnie rano, żeby zacząć imprezę i uchlać tę kobietę w trzy dupy?

Lily zadomowiła się w kuchni Jeffa, myszkując po barku i wyciągając bardziej interesujące butelki.

– Lily, ale poważnie. Chyba nie dam rady.

– Nie chcę robić sobie żartów z faktu, że twój szef zginął, ale słuchaj, ledwie go znałaś. Pojawił się na wystawie, zaoferował ci posadę menedżerki galerii z anonimowym właścicielem, kazał pracować z jakimś porąbanym artystą, którego nie dało się nijak złapać... Oczywiście jest, że był zamieszany w jakieś ciemne interesy. Cokolwiek to było, w końcu się na nim zemściło. Policja w końcu dojdzie, o co chodziło. To już nie twoja sprawa.

– Co masz na myśli, mówiąc, „cokolwiek to było”? Na pewno miało to jakiś związek z galerią. Widziałaś to miejsce. Obrane do gołego. Martwa pustka.

– Dosłownie – powiedziała Lily, lustrując nalepkę na butelce neonowo błękitnego trunku. – O, przepraszam, za wcześniej?

– Słuchajcie. Może powinniśmy przez jakiś czas porozmawiać o czymś innym –

powiedział Jeff, zdejmując jeden ze swoich mokasynów. – Albo jeszcze lepiej. Może się na chwilę położysz, Al. Przyda ci się trochę odpoczynku. Rozwal się tu i pooglądaj telewizję. Albo idź do sypialni.

– Uważaj, Alice. Zanosi się na ruchanko.

– Jezus, Lily.

– W porządku – powiedziała Alice, kładąc dłoń na kolanie Jeffa. – Nie chcę iść spać. Chcę o tym rozmawiać.

Próbował ją chronić, ale to bezceremonialność Lily była jej teraz bardziej potrzebna. Jeff się o to nie kłócił, ale masaż dobiegł końca. Nie był wielkim fanem Lily i zwykle unikał jej towarzystwa, ale nie to było dziś jego priorytetem.

– Jeżeli mamy o tym rozmawiać, to rozmawiajmy na poważnie. Alice ma rację. Nie możemy ignorować faktu, że ktoś włożył dużo wysiłku w opróżnienie galerii. Pytanie: dlaczego?

– Nie – powiedziała Lily, wybrawszy ostatecznie właściwą butelkę. Nalała sobie szklankę soku pomarańczowego i dodała do niego wódkę Green Goose. – Pytanie brzmi, dlaczego zajmujecie się zadawaniem takich pytań. O ile coś mnie nie ominęło, nie jesteśmy Shaggym, Velmą i Daphne i nie jesteśmy zamknięci na pokładzie Wehikułu Tajemnic ze Scooby-Doo. Alice jest świadkiem przestępstwa, a raczej świadkiem sceny zbrodni. Nic poza tym. Koniec historii. Powinna myśleć o swoich własnych sprawach, a tę zostawić policji.

– To zupełnie naturalne, że martwi się o swoje bezpieczeństwo. A zrozumienie tego, co dziś rano stało się z Campbellem – i dlaczego – to pierwszy krok, by dowiedzieć się, czy nic jej nie grozi.

– A co, jeśli czegoś się dowie? Nie przyszło wam do głowy, że zbyt gorliwe dowiadywanie się może właśnie być niebezpieczne?

– Halo? Trzecioosobowy przedmiot tej rozmowy siedzi tutaj. – Alice podniosła się, by przyjąć szklankę zmieszanego z wódką soku, którą podała jej Lily.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziała Lily. – Wypij lekarstwo.

Pierwszy łyk palił w gardło. Przy trzecim Alice najchętniej pozbyłaby się ze szklanki soku.

– Nie ma nic niebezpiecznego w omawianiu różnych możliwości – powiedziała Alice. Rozmowa pozwoli jej umysłowi pracować. Powstrzyma myśli przed zabraniami jej z powrotem na podłogę galerii, do martwego ciała Drew. Zatrzyma wyobraźnię przed wyświetlaniem obrazów jej starszego brata w kajdankach. Uniemożliwi oczom spoglądanie na wyświetlacz komórki, wciąż czarny, mimo wielokrotnie wysyłanych wiadomości, w

których błagała Bena o telefon. A przede wszystkim pozwoli jej poczuć – nieważne, na jak krótko i jak sztucznie – że odzyskała drobinę władzy nad światem, który zupełnie wymknął się spod kontroli.

– Więc zabawmy się w Wehikuł Tajemnic. Jakie są możliwe scenariusze rozwoju wypadków, które mogłyby doprowadzić do tego, co widziałam rano?

Lily wydała z siebie wyraźnie słyszalne westchnienie, ale zrozumiała, że ją przegłosowano.

– Po pierwsze – powiedziała, unosząc kciuk – kradzież. Zorganizowany rabunek, mający na celu kompletne opróżnienie galerii, a Drew kończy jako pechowa ofiara. Problemy, które rodzi ten scenariusz, to: a) w porównaniu z poważnymi galeriami prace nie były wiele warte, b) czemu po prostu nie zabrać prac i uciec? Po co tracić czas na opróżnianie miejsca z każdego zszywacza i ołówka?

– Po drugie. – Odgięła palec wskazujący. – Religijne świry, które protestowały tam wczoraj. Może zdecydowali się wziąć sprawy w swoje ręce. Nie byli w stanie namierzyć artysty, ale mogli przynajmniej przekazać wiadomość, dewastując galerię z samego rana, kiedy ktoś przyszedł ją otworzyć. Ale tu też mamy problem. Nawet jeśli są na tyle zaciekli, by zrobić coś takiego, to czemu zabili Drew? To znaczy, jeśli są dość bezwzględni, by kogoś zastrzelić, czemu po prostu nie podłożyli bomby? Trup w pustej galerii? Nie jest to specjalnie medialne ani rebelianckie, no nie? A to, chłopcy i dziewczęta, pozostawia nam wyłącznie opcję numer trzy.

– A mówiłaś, że cię to nie interesuje – wtrącił się Jeff.

– Powiedziałam, że nieinteresowanie się tym to najlepsza opcja dla Alice. A uznałam tak – i dalej uznaję – po części dlatego, że od rana rozważam te scenariusze i tylko jeden z nich ma sens. Więc po trzecie – kontynuowała – to nieprzyjemne wrażenie, że ta cała sytuacja jest zbyt piękna, by była prawdziwa, było w pełni uzasadnione. Campbell kręcił jakieś wałki. Może próbował wykołować właściciela. Albo artystę. A może ten anonimowy właściciel to jedna wielka bzdura. Może to sam Drew pociągał za sznurki i stworzył galerię dla ukrycia skradzionych pieniędzy. Może demonstranci sprawili, że miejsce stało się nieco zbyt mało anonimowe. Próbował pozbyć się dowodów i ktoś go na tym nakrył. Albo może ktoś, kogo Drew chciał wykołować, uznał, że czas zrobić porządek z Drew i jego prywatnym projektem.

Nikt inny się nie odezwał. Nie było nic do dodania. Lily miała rację. Trzy opcje: dwie wysoce nieprawdopodobne i trzecia, która stawiała mnóstwo pytań, na które nie mieli najmniejszego pojęcia, jak odpowiedzieć.

Lily dołała jeszcze jeden kieliszek wódki do szklanki Alice.

– Pomogę ci, jak tylko będę umiała, ale gdybym była tobą, cieszyłabym się, że nie wiem więcej o Drew Campbellu i Galerii Highline.

Najwyżej kilometr dalej, w wydziale zabójstw trzynastego posterunku NYPD detektyw John Shannon oznajmił swojemu partnerowi Williemu Danesowi, że mają problem.

– Nie mogę znaleźć żadnego Drew Campbella, który byłby choć trochę podobny do naszego gościa.

– Nie byłby pierwszym, który ukrywa swoje prowincjonalne pochodzenie. Każdy, kto dzisiaj chce być kimś, musi mieszkać w centrum.

Danes żuł wykałaczkę. Po pięciu latach wspólnej pracy dobrze wiedział, że Shannon tego nienawidzi. I mimo pięciu lat wspólnej pracy Danes nadal kultywował swój nawyk.

– Tyle, że sprawdziłem też Jersey, Pensylwanię i Connecticut. Brak Drew lub Andrew Campbellów, którzy przypominaliby naszą ofiarę. Widziałem już dziś tyle zdjęć paszportowych, że mi się w oczach dwoi.

Podawane przez Alice numery telefonów Drew Campbella i Hansa Schulera, okazały się pasować do tanich telefonów, które mógł kupić każdy, nie zostawiając żadnych śladów.

– A co z tą firmą z czeku?

– Korporacja ITH.

– Tak, ona. Coś znalazłeś?

Danes zakręcił wykałaczką wokół języka.

– To zależy, czy jako „coś” liczy się moja własna dupa. Firmę założono dwadzieścia pięć lat temu, ale za cholere nie mogę się dowiedzieć, czym się właściwie zajmują. Rejestry mówią, że pakiet akcji posiada trust znany jako ITH Trust, ale trusty nie są rejestrowane, więc nie sposób stwierdzić, co on robi ani kto ma z tego korzyści. Obsługą prawną korporacji zajmuje się któraś z dużych firm, więc to też ślepy zaułek. Prawie oddałem własną nerkę, próbując przekonać dziewczynę z biura rejestrów, żeby wykopała dla nas papiery założycielskie korporacji. Powiedziała, że spróbuje, ale po tych wszystkich latach nie robię sobie nadziei.

– Mówiłeś, że firmę założono dwadzieścia pięć lat temu?

– Trochę więcej. A dokładnie w maju 1985.

– A ile, twoim zdaniem, lat miała nasza ofiara? – spytał Shannon, unosząc fotografię ciała na miejscu zbrodni.

– Co prawda śmierć postarza ofiarę, ale powiedzmy, że czterdzieści. Góra.

– Co doprowadza nas z powrotem do tajemniczego właściciela, którego urocza panna

Humphrey nigdy nie poznała.

Shannon postukał palcami w poszarzałą twarz na zdjęciu.

– Każę się pospieszyć tym od odcisków palców, ale póki co, ten gość jest duchem.

## *Rozdział 21*

Morhart odwiedzał szkołę średnią w Linwood już drugi dzień z rzędu. Kiedy trener DeCicco pomachał mu na powitanie przez prostokątną szybę drzwi swojej klasy, poczuł się prawie jak stały bywalec. Krótki uśmiech i błysk odznaki przekonały sekretarkę dyrektora, by skierować go na zajęcia z algebry, na które uczęszczała Ashleigh Reynolds. Zostało tylko pięć minut do końca lekcji, więc poczekał na korytarzu na dzwonek.

Ashleigh wyskoczyła z klasy w towarzystwie dwóch innych dziewcząt. Cała trójka rozmawiała tak zaciekle, że nie dało się nic z tego zrozumieć. Jedna z nich dostrzegła go kątem oka i obdarzyła spojrzeniem, jakiego raczej wolałby nie otrzymywać od nastolatki.

– Muszę zamienić słowo z Ashleigh, dziewczyny, jeśli nie macie nic przeciwko.

Nadal gapiły się na niego, stojąc przy swoich szafkach, jakby był gwiazdą drużyny futbolowej i składał właśnie zaproszenie na bal maturalny, ale po ponurej minie Ashleigh poznał, że wiedziała, kim jest.

– Ojciec mówił już panu, że nic nie wiem o tej całej Becci.

„O tej całej Becci”. Jakby Ashleigh brzydziła się jej imienia. Jakby Becca nie była człowiekiem.

– Wiem, co mówił twój ojciec, Ashleigh, ale jesteś już duża. Chciałem usłyszeć, co sama masz do powiedzenia.

Morhart wiedział, że dostanie za swoje od rozgniewanego pana Reynoldsa, ale prawo nie przewidywało dla rodziców możliwości odwołania się do prawa do milczenia w imieniu dziecka. Ashleigh musiałaby zrobić to sama.

Ale, zgodnie z przewidywaniami Morharta, nie zrobiła tego.

– Co pan chce wiedzieć? To nie jest żadna moja koleżanka ani nikt taki.

– Nie. Ale jest koleżanką Dana. A przynajmniej była.

Ashleigh mocniej przycisnęła książki do piersi.

– Nie wiem o tym zbyt wiele. Mieliśmy wtedy od siebie przerwę. Zrobił to tylko, żebym była zazdrosna.

– Sądząc po twoim komentarzu na Facebooku, chyba zadziało.

Jej spojrzenie umknęło w stronę koleżanek. Chciał zetrzeć ten frywolny uśmieszek

samozadowolenia z jej twarzy. Zamiast tego zrobił krok w lewo, by zablokować jej pole widzenia.

– Dobra. Może i byłam trochę chamska, ale wiedziałam, że Dan do mnie wróci. Ostatnią rzeczą, jaką bym chciała, to żeby mnie uznali za kogoś takiego jak Becca.

– A co złego jest w byciu kimś takim jak Becca?

Potrząsnęła głową, jakby zapytał, jak się gotuje wodę.

– Ona jest, nie wiem... Cały czas patrzy na Dana, ale później zachowuje się, jakby uważała się za lepszą od innych, za dobrą, żeby chodzić na mecze czy na imprezy. Po prostu jest dziwna. A później, jak gdyby nigdy nic, wywiesza na Facebooku zdjęcia ze swojej małej wycieczki z Danem do Nowego Jorku, jakbyśmy mieli z miejsca ją zaakceptować.

– Nazwałaś ją szmatą za umieszczenie jakiegoś zdjęcia w Internecie?

– To nie o tym zdjęciu mówiłam.

Dostrzegł, że pożałowała tych słów, gdy tylko opuściły jej usta.

– Jakie zdjęcie miałaś na myśli, Ashleigh?

– Może zapyta pan Becci? A tak, racja, to wariatka, która zwała z domu, by zwrócić na siebie uwagę całej szkoły. Ojciec mówił panu, żeby pan ze mną nie rozmawiał, panie detektywie. Lepiej już pójdę na lekcję.

Zabrzęczał dzwonek, drzwi klasy zamknęły się za Ashleigh, ale dziewczyna schowana za drzwiczkami jej szafki pozostała na miejscu.

– Jak leci, Sophie?

Wedle wszelkich zeznań Sophie Ferrin była najbliższą przyjaciółką Becci. Na samym początku śledztwa Morhart rozmawiał z nią przez godzinę z hakiem.

– Rozmawiał pan z Ashleigh Reynolds.

– Jestem świadom tego faktu. Zauważyłem, że nas obserwujesz. Wiedziałaś o tej sprawie z Danem Hunterem?

Przytaknęła.

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

– O Danie i Ashleigh? Nie ma o czym mówić. Zachowywali się okropnie w stosunku do Becci, ale ona zostawiła już to totalnie za sobą.

– Okropnie? Co masz na myśli?

– Zaczęło się od Ashleigh i jej głupich koleżanek. Usłyszały, że Becca umawia się z Danem i zaczęły mówić, że jest szmatą, i że Dan zadaje się z nią tylko dlatego, że gotowa jest robić różne zboczone rzeczy, na które Ashleigh by się nigdy nie zgodziła.

– A było tak?

Wzruszyła ramionami.

– Myślę, że nie.

– Ale nie wiesz?

– Becca się strasznie zapatrzyła w Dana. Robiłam jej za to piekło. – Pociągnęła nosem, tłumiąc łzy. – Czuję się teraz okropnie.

– Mówiłaś, że zaczęło się od plotek ze strony Ashleigh i jej koleżanek. A co było później?

– Nie jestem pewna wszystkich szczegółów. Wydaję mi się, że Dan nawet lubił Beccę, ale Ashleigh była bezlitosna. Myślę, że w końcu go zamęczyła i wymogła, żeby udupił Beccę, bo inaczej mu nie wybaczy. Umówił się z Beccą w Hudson Park, wie pan, tam, gdzie zwykle łązimy.

Morhart skinął głową. Przez te wszystkie lata, odkąd założył mundur, przerwał w tym parku niejedną bójkę i popijawę.

– Kiedy Becca tam dotarła, Dan czekał na nią z Ashleigh i bandą znajomych. Powiedział do niej coś w stylu: „Jeszcze nie pokumałaś? Ta cała sprawa między nami to był żart”.

Morhart chciał wierzyć, że w czasach, kiedy sam spotykał się z kolegami w Hudson Park, dzieciaki nie były tak okrutne, ale może po prostu wołał w ten sposób pamiętać swoją przeszłość.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej mi albo pani Stevenson?

– Szczerze? Bo jak na tę szkołę to Becca nie miała jeszcze najgorzej. W zeszłym roku Luke Green nazmyślał jakiejś nieśmiałej dziewczynie, że zaprasza ją na doroczny bal szkolny. Podjechali do niej całą bandą, kiedy czekała na ganku, wymalowana i w nowej sukience, i zaczęli się nabijać. Ponoć ktoś rzucił w nią z szyberdachu na wpeł zjedzonym Big Macem. To dupki, ale tak wygląda życie w Linwood.

– Ashleigh nazwała Beccę szmatą ze względu na jedno ze zdjęć, które Becca zrobiła w Nowym Jorku i umieściła na Facebooku. Kiedy dziś ją o to zagadnąłem, powiedziała, że miała na myśli jakieś inne zdjęcie. Wiesz coś na ten temat?

– Jezu, wiedziałam, że to się wyda.

– To nie czas na tajemnice, Sophie. Mama Becci w ciebie wierzy. Prawie padła na kolana w swoim salonie, błagając mnie, bym dał z siebie wszystko, szukając Becci. Przysięgała też na wszystkie świętości, że z Beccą stało się coś dziwnego, bo wierzyła w twoje słowa. Mówiła, że dobrze cię zna, ufa ci i jest pewna, że byś przed nią niczego nie

zataiła. A już na pewno nie teraz. Nie w takich okolicznościach.

Wzrok dziewczyny prześliznął się po korytarzu, szukając potencjalnych podsłuchiwczy.

– Dan miał nagie zdjęcie Becci. Jedna z głupich koleżanek Ashleigh pożyczyła od niego telefon i je znalazła. Posłała je zaraz do Ashleigh, no i wtedy to dopiero zaczęły po niej jeździć. Niewiele osób wiedziało o tej fotografii. Becca bała się, że roześlą je po całej szkole, ale Ashleigh widać ma swoje powody, by trzymać zdjęcie dla siebie. Jak ją znam, pewnie zamierzała za jego pomocą dręczyć Beccę w przyszłości. Ale czy Joann naprawdę tak powiedziała? Że mnie zna, że mi ufa i niczego bym przed nią nie zataiła?

Kiwnął głową.

– Mówiła, że myśli o tobie prawie jak o drugiej córce. Dlaczego jej nie powiedziałaś, Sophie?

– Bo nie chcę, żeby Becca wpadła w kłopoty, ani z Joann, ani tutaj, kiedy wróci do domu.

– Zauważyłem, że powiedziałaś „kiedy wróci do domu”.

– Mam po prostu takie wrażenie.

– Jakie?

– Nie wiem, czy mam się martwić o Beccę, czy na nią wkurzać. W jednej minucie stają mi przed oczami wszystkie potworności, które mogły się jej przydarzyć, a w następnej przypominam sobie, jak się upierała tamtego wieczora, żeby wracać do domu sama. Przypominam sobie, jaka ostatnio była wobec mnie skryta. Z początku myślałam, że chodziło o Dana Huntera i moje, jej zdaniem, krzywdzące poglądy na jego temat. Ale nawet po tym, jak ze sobą zerwali i był ten cały syf z Ashleigh i jej kumpelami, nadal miała jakieś tajemnicze plany. Dawała wymijające odpowiedzi. Mówiła, że lubi mieć coś, co „należy tylko do niej”. Tak właśnie powiedziała. Podejrzewam, że to właśnie ta potrzeba posiadania czegoś specjalnego skłoniła ją, żeby posłać tamto durne zdjęcie Hunterowi. No więc tak się zastanawiałam, czy może był jakiś konkretny powód, dla którego upierała się, żeby wracać sama. No i nie zapominajmy, że nikt w Linwood nie powie teraz o niej złego słowa. Taki jakby ekstra bonus.

– Naprawdę byłaby zdolna, żeby ci zrobić coś takiego? I swojej matce?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie, ale to oznaczałoby, że stało się coś złego. Więc tak, próbuję sama siebie przekonać, że jakaś część Becci pożąda tego rodzaju uwagi. Czuję się ohydnie, mówiąc takie rzeczy o przyjaciółce. Proszę, niech mi pan obieca, że nie przestanie jej szukać. Kazał mi pan mówić szczerze, więc proszę za to nie karać Becci i Joann. Nawet



jeśli Becca się wygłupia, trzeba ją znaleźć. Dla jej własnego dobra.

Skinął głową.

– Obiecałem to już jej matce.

Kiedy Sophie przekreślała tarczę na swojej kłódce, odwrócił się jeszcze ku niej, by zadać ostatnie pytanie.

– Powiedziałaś, że Becca posłała to zdjęcie Danowi? To nie on je zrobił swoją komórką?

– Nie, Becca zrobiła je swoją i mu wysłała.

– Jej matka twierdziła, że Becca nie ma telefonu.

– Ma, jak najbardziej. Od paru miesięcy. Dzwoniłam do niej, nie wiem, z tysiąc razy, ale z miejsca odzywa się poczta głosowa. Więc mówi pan, że Joann nie wiedziała?

## *Rozdział 22*

Alice leżała w łóżku i myślała o przyjaźni.

Ludzie idą przez życie, cały czas zawierając nowe znajomości, czasami zapominając o starych. Ale nie każdy znajomy, z którym można miło spędzić czas w nowej restauracji czy na popołudniowym spektaklu w teatrze, nawet nie każdy, który przyjdzie do ciebie wieczorem do szpitala, może być nazwany przyjacielem. Jedynie prawdziwy przyjaciel zrobiłby to, co zrobili dziś dla niej Lily Harper i Jeff Wilkinson.

Rzucili wszystko w tej samej sekundzie, w której usłyszeli o Drew. Lily, która miała na pieńku ze swoim szefem. Jeff, który z trudem utrzymywał swoją praktykę na powierzchni, odkąd tylko opuścił swoją starą firmę i przekonał się na własnej skórze, że kryzys nadszedł wiele miesięcy wcześniej, niż ludzie zdali sobie z tego sprawę. Oboje pojawili się tam od razu, gdy ich potrzebowała, nie bacząc na swoje obowiązki. Ani na chwilę jej nie porzucili, nie wykonywali telefonów, nie pisali e-maili, nawet nie odpoczywali. Zaopiekowali się nią tak, jak mogli to zrobić jedynie prawdziwi przyjaciele.

Opuściła mieszkanie Jeffa po tym, jak zaczęła przysypiać, siedząc na kanapie. Propozycja zostania na noc była kusząca, ale Alice zdawała sobie sprawę, jak by się to skończyło. Masaże ramion. Zapach jego szlafroka, gdy otulił ją po wyjściu spod prysznica. Gesty Jeffa były czysto przyjacielskie, ale Alice знаła siebie wystarczająco dobrze, by przewidzieć, jak by na nie zareagowała. To nie był dobry moment na gwałtowne zmiany w ich związku, czymkolwiek by on nie był. Gdy Alice uparła się, by wracać do domu, Lily jeszcze raz dowiodła swojego poświęcenia, upierając się, że będzie spać na sofie.

Bim-bom od strony drzwi przerwało myśli Alice. Chciała już zawołać Lily, gdy usłyszała dźwięk zdejmowanego łańcucha, po którym nastąpiły odgłosy przyjaznej konwersacji. Alice myślała, że jej samozwańcza ochroniarka zamówiła późną kolację, ale głosy przybrały na sile.

– Miała przesrane dzień, a do tego jeszcze jej brat postanowił akurat gdzieś zniknąć, kiedy go potrzebowała. Dzwoniła do ciebie chyba z piętnaście razy.

A Alice wydawało się, że była dyskretna. Czuła się winna, że wymykała się dzwonić, podczas gdy Jeff i Lily poświęcali jej cały swój czas.

– Co ja ci powiem. Nic się nie zmieniłaś. Twoja sprawa.

Głos jej brata był uszczypliwy i lekceważący jednocześnie.

Alice wstała z łóżka i uchyliła drzwi.

– Jeszcze nie śpię, Lil. Wszystko w porządku. Przepraszam, jeśli cię obudził.

– Nie, nie spałam.

Żadnego narzekania. Żadnej pasywnej agresji. Tylko chęć ochrony przyjaciółki.

Ben opadł na jedyne krzesło w sypialni, nie przejmując się rozwieszonym nań ubraniami.

– Jezu Chryste, czemu ona musi zawsze być taką pizdą. Ma nasrane w głowie.

– Nie, nie, Ben. Nie tutaj. Nie dziś.

– Sorry, ale nie mogę pojąć, czemu się przyjaźnicie. O ironio. W liceum zdawało jej się, że jest najmądrzejsza z całej wsi. Traktowała mnie i moich kumpli jak śmieci, póki nie dowiedziała się, kim jesteśmy i nie zaczęła włożyć nam w dupy. Brzydziłabyś się nią.

Alice wolałaby teraz, żeby nigdy nie odkryły z Lily swoich wspólnych znajomości. Po śmierci matki Lily wychowywała się u ojca w Mount Kisco, mieścinie na południe od Bedford, gdzie rodzina Alice miała dom. Ben chodził do szkoły w Nowym Jorku, podobnie jak Alice, ale oboje mieli znajomych w tamtej okolicy. Lily była młodsza od Bena o rok. Nigdy nie byli dobrymi znajomymi, ale obracali się w tych samych kręgach towarzyskich. Lily pojawiła się nawet na paru imprezach w domu Bena, ale nigdy nie spotkała jego młodszej siostrzyczki.

– Wiesz, co mnie bawi, Ben? Że nie wspomniałeś o tym kilka miesięcy temu, kiedy dowiedziałeś się, że się przyjaźnimy. A może fakt, że ci dogadała, nagle odświeżył twoją pamięć?

Słowa były ostre, ale Alice wypowiedziała je lekkim tonem. Ben mógł ją frustrować, denerwować, nawet łamać jej serce, ale Alice zawsze miała dla niego uśmiech, nawet kiedy usiłowała go łąć.

– Dobra, jak chcesz. Trochę mnie poniosło.

– Ale Ben, poważnie? Słowo na p? W moim domu? O mojej przyjaciółce?

– Powiedziałem już, że przepraszam.

Alice wpełzła na łóżko i położyła sobie poduszkę na kolanach.

– Więc odebrałeś wiadomości ode mnie.

– Tak. Przepraszam. Powinienem był zadzwonić, że mnie zamknęli. Nie przyszło mi do głowy, że to trafi do telewizji.

– A inne wiadomości? O galerii?

– Tak. Jak ci idzie? Naprawdę mi przykro, że nie byłem na otwarciu.

Potrząsnęła głową. Ben odsłuchiwał pierwszą wiadomość, może nawet drugą, kiedy dzwoniła w sprawie aresztowania. Ale pozostałe ewidentnie skasował. *Ben, mam na rękach ludzką krew. Gdzie jesteś? Bip. fezu, Ben, nie zadzwonisz do mnie nawet, kiedy w mojej pracy zamordowali człowieka? Bip. Przepraszam, Ben, ale naprawdę przydałyby mi się teraz jakieś relacje rodzinne. A jeśli chodzi o mamę i tatę, no wiesz... Bip.*

– Więc czy to prawda? Aresztowali cię?

– Przez telefon gadałaś, jakbym należał do Kartelu z Medellin, albo co. Było zawiadomienie o zakłócaniu ciszy nocnej pod Gałązką. Przyjechali gliniarze i jakiś debil, którego nawet nie znam, zaczął się do nich rzucać, więc zwinęli nas wszystkich. Miałem w kieszeni trochę zioła. Nic takiego się nie stało. Prawnik mówi, że zapłacę grzywnę i będzie po sprawie.

– Myślałam, że twój program wymaga, żebyś był całkowicie czysty. Kiedyś mówiłeś, że kiedy palisz zioło, to łatwiej ci też wpaść w inne narkotyki.

– Możesz mi dać spokój? Proszę cię. Nic nie brałem od pięciu lat, a rodzina Humphreyów nadal uważa mnie za swojego wyrodnego syna narkomana. To było tylko trochę zioła. Przysięgam.

Spojrzała mu w oczy, bardzo pragnąc w to wierzyć. I pozbyć się odruchu, by sprawdzić mu puls, obejrzeć przedramiona, poszukać w jego mieszkaniu lufek, igieł i zakrwawionych wacików. Miała ten odruch, bo przez półtorej dekady swego życia Ben Humphrey traktował swoje ciało jak szambo, ładując w siebie co popadnie.

– Wierzysz mi, prawda?

Miała taki zamiar, dopóki nie zadał tego pytania.

– Więc co się stało twojej kochanej, słodkiej przyjaciółce, która totalnie nie jest pizdą, że rozłożyła sobie pościel na sofie? Rzucił ją chłopak, czy co?

– Ach, nie, Ben. Jest tutaj, bo dziś zdarzyło się coś naprawdę złego.

Opowiedziała mu, jak znalazła Drew w galerii. Zobaczyła, jak jego oczy mimowolnie zerkają na kieszeń, gdzie zapewne spoczywała komórka, na którą tyle razy dzwoniła.

– Przykro mi, że musiałaś przez to przechodzić sama.

– Nie byłam sama. Ale tak, potrzebowałam pomocy rodziny.

– Nie zadzwoniłaś do mamy i taty?

– A ty do nich zadzwoniłaś, kiedy cię aresztowali? Zauważyłam, że użyłeś słowa „prawnik”. Gdyby wmieszał się w to tata, powiedziałbyś „Art”.

Art, a właściwie Arthur Cronin, był nie tylko jednym z najbliższych przyjaciół ich rodziców, ale także rodzinnym prawnikiem Humphreyów od spraw wszelakich.

– Nie, nie mieszałem w to rodziców ani Arta. Twoja niezależność jest chyba zaraźliwa.

– Nie mówiłaś czasem, że jestem zbyt ostra w stosunku do taty?

– Więc nie myślałaś o tych wszystkich kobietach, z którymi był? Właściwie to ledwie można je nazwać kobietami. Jennifer Robertson, czy jak jej tam było. Kiedy starała się o rolę w *Smashed*, miała dziewiętnaście lat. Policzyłem sobie. Była wtedy tylko o rok starsza od ciebie. Jeśli mówimy o dostawaniu ról przez łóżko, to tata dosłownie miał takie w swoim gabinecie. A to zamięrowanie do robienia im zdjęć? Nie mówiąc już o tym, że wszystkie były nieco podobne do mamy. Frank zdecydowanie ma swój typ.

– Przestań, Ben. Zaraz zwymiotuję.

– Nie wiesz nawet połowy.

– Co to niby miało znaczyć?

– Nic. Tylko daję ujście złości. Nasz tata to cholerny playboy, a mama jest zbyt oderwana od rzeczywistości, by się sprzeciwiać. Powiedzmy, że chwilowo oboje wolimy się nie mieszać w to gównno.

Zawsze tak bardzo się od siebie różnili, ona i Ben. Ponad dwadzieścia lat po tym, jak Alice porzuciła obiecującą karierę dziecięcej aktorki, Ben nadal próbował znaleźć swoje własne miejsce w rodzinnym biznesie, najpierw jako scenarzysta, kilka razy jako producent małych filmów niezależnych (za pieniądze ojca, ma się rozumieć), a teraz, podchodząc do sprawy bardziej realistycznie, jako dźwiękowiec od efektów specjalnych. Alice zawsze była cicha i pilna. On lubił ostre imprezy. Ona widziała siebie jako część większego świata. On wołał od niego uciekać. Ben odziedziczył ciemną karnację i ostre rysy ojca, tymczasem Alice – obdarzona rudymi włosami, gładką, jasną skórą, nosem i wargami, które, jak mawiała jej matka, powinni studiować chirurdzy plastyczni – nie była zupełnie do niego podobna.

To, że dziś w tej malutkiej, zabałaganionej sypialni połączyli się w niechęci do rodziców, zasmuciło ją.

– Więc, czy gliniarze mają jakieś pojęcie, kto kropnął twojego szefa?

Roześmiała się. Nic nie mogła na to poradzić. Była niewyspana, zmęczona po całym dniu stresu i braku jedzenia, przytłoczona problemami brata, wadami rodziców i kompletnie nierozpoznawalnym kształtem swojego życia. I do tego zdziwiona, jak bardzo wszystko wokół jest pojebane.

– To jest śmieszne? – zapytał, po czym też zaczął się śmiać.

– To, kto kropnął mojego szefa? Nie, nie jest. A gliniarze nie mają zielonego pojęcia, co jest grane. Ani ja. Nie wiem nawet, jak skontaktować się z artystą czy właścicielem galerii, kompletnie nic. Korporacja ITH. Co to właściwie, do cholery, jest? Więc chyba dam sobie z tym spokój.

– Jaka korporacja?

– Jakaś firma o nazwie ITH. Zakładam, że służy ona jako fundusz inwestycyjny właściciela galerii dla tych projektów, przy których pomagał mu Drew, ale nie mam jak się skontaktować z tym człowiekiem.

– ITH? Tylko te trzy litery?

– Tak. A co? Mówi ci to coś?

– Nie. Po prostu brzmi to jak zupełnie przypadkowa nazwa, to wszystko.

– Zachowujesz się dziwnie, Ben.

– Dobra, wiem, że miałaś naprawdę gówniany dzień, ale musisz trochę wyluzować. Jezu, żałuję, że o to spytałem.

– Przyrzekasz? Jeśli wiesz coś o tej firmie, musisz mi powiedzieć.

Alice dobrze знаła swojego brata. Zachowywał się, jakby nie był sobą. Czy coś ukrywał? A może był to znak, że znów bierze. A może jednak to on miał rację i po prostu dzisiejsza trauma sprawiła, że była przewrażliwiona.

– Przyrzekam, dobra? Nic nie wiem.

– Cóż, ani ja. Spróbowałam wygooglać tę firmę, jak tylko dostałam czek. Nic.

– Po prostu daj temu spokój. Spróbuj zapomnieć, że byłaś w to zamieszana.

– To zabawne. Lily mówiła to samo.

– Cóż, twoja kochana, słodka przyjaciółka ma rację.

– Ben, chodzisz jeszcze na spotkania?

– Mówisz poważnie, Alice?

– Zdawało mi się, że chodziłeś tam co najmniej raz w tygodniu.

– Już nie. Od jakiegoś czasu. No nie patrz tak na mnie. A ty chciałabyś przesiadywać w jakiejś oświetlonej neonówkami piwnicy kościoła ze zgrają narkomanów? Niezbyt to

budujące.

– A co z Downem?

Downing Brown, przez każdego zwany po prostu Downem, był kamerzystą w jednym z okropnych filmów indie, które Ben wyprodukował w czasach, kiedy jeszcze aspirował do bycia Frankiem Humphreym Juniorem. Kiedy współproducenci wyrzucili brata Alice z jego własnego projektu po kolejnej narkotycznej napaści na reżysera, Down poznał Bena z Anonimowymi Narkomanami. Z tego, co Alice wiedziała, nadal się nim opiekował.

– Chciałby, żebym chodził na więcej spotkań, ale dalej trzymamy się razem. Jest kimś w rodzaju mojego osobistego terapeuty.

– Powiesz mi, jeśli będziesz czegoś potrzebował, dobra? Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

– Zawsze. Ale po tym, co przeszłaś, nie powinnaś się zamartwiać z mojego powodu. Poradzisz sobie dziś w nocy? – zapytał, spoglądając na zegarek.

– Pewnie. Dzięki, że wpadłeś.

Patrząc, jak Lily z powrotem zakłada łańcuch na drzwi i wraca na zasłaną sofę, Alice znowu zaczęła myśleć o przyjaźni. Znajomi powinni być od chodzenia z tobą do kina, restauracji, może nawet do odwiedzania cię nocą w szpitalu. To rodzina powinna pomagać ci usunąć zaschniętą krew spod paznokci i spać na sofie, na wypadek gdyby w środku nocy zbudziło cię wspomnienie o tym, skąd ta krew się tam wzięła.

Lily nie dość, że jej pomagała, to jeszcze miała rację. Wcześniej tego dnia, kiedy patrzyła na detektywa i próbowała sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała o Drew Campbellu, Alice mówiła sobie, że to morderstwo jej nie dotyczy. To było okropne. Potworne. Wręcz niewyobrażalne. Ale nie dotyczyło jej. Myślenie w ten sposób było próżnością. A skoro morderstwo jej nie dotyczyło, nie było też jej sprawą, by dowiedzieć się, dlaczego Galeria Highline była otwarta, a Drew Campbell martwy. Demonstranci. Kradzież dzieł sztuki. Przekręt finansowy. Policja w końcu odkryje prawdę, a nic, co mogłaby zrobić Alice, nie przyspieszy tego procesu. Ani nie przywróci Drew życia.

Rano zbudziła się z postanowieniem, że jej udział w zamieszaniu związanym z galerią dobiegnie końca. I tak się stało, chociaż na okropny, potworny, niewyobrażalny sposób. Teraz postanowiła, że będzie słuchać Lily. „To już ciebie nie dotyczy”, mówiła sobie. „Ciesz się, że nie wiesz więcej o Drew Campbellu i Galerii Highline”.

## **Część Druga**

### **Nic do ukrycia**

## Rozdział 23

*Wie pani, co mówię o obrazku i tysiącu słów.*

Alice pociągnęła kolejny łyk wody, ale od razu zaczęła zastanawiać się, czy ten gest nie wygląda podejrzanie, jak łatwa do przejrzenia próba zachowania spokoju. *Jestem zgrzana, bo przez ostatnie siedemdziesiąt pięć minut pedałowałam, chciała krzyknąć Alice. Pocę się, bo na koniec wchodziłyśmy na wysoką ściankę, a całą drogę do domu przebiegłam sprintem. A potem weszłam z mrozu do przegrzanego mieszkania. Jestem zgrzana, spocona i jedzie ode mnie, ale nie przez to, że tu jesteście, nie przez to, że zadajecie wasze pytania, ani nie przez tę niedorzeczną fotografię, na której rzekomo całuję się z Drew Campbellem.*

Ale nie mogła niczego z siebie wykrztusić. Gapiła się tylko na zdjęcie. Jego jakość nie była wysoka. Wyglądało na powiększony wydruk wersji cyfrowej. Ale mężczyzna niewątpliwie wyglądał jak Drew Campbell. A kobieta? Z profilu ciężko było rozpoznać okoloną rudymi włosami twarz, ale Alice miała takie same czarne okulary jak nieznajoma na zdjęciu. Zdecydowanie miała też identyczny, błękitny płaszcz ze stojącym kołnierzem. Ogólny kształt profilu również pasował do kształtów Alice. Jezu, ta kobieta była do niej bardzo podobna, na tyle podobna, że Alice nie miała wątpliwości, czemu przyszli do jej mieszkania i kazali powtórzyć wszystko, co powiedziała im wczoraj.

A teraz, kiedy już miała to za sobą, nie zadawali więcej pytań. A przynajmniej nie wprost. Shannon po prostu puścił fotografię w jej stronę po stole, wypowiadając jedno zdanie.

*Wie pani, co mówią o obrazku i tysiącu słów.*

Milczenie detektywa, które nastąpiło po tych słowach, w jakiś sposób spotęgowało wszystkie odgłosy mieszkania. Klikanie pieca. Głuche cmokanie przepychacza do ubikacji, dobiegające z mieszkania na wyższym piętrze. Nieustające trąbienie klaksonów na Drugiej Alei. Warkot przyspieszającego autobusu. Odległy jęk syreny, najpierw rosnący, później oddalający się.

Alice zapragnęła, żeby była tu z nią teraz Lily, ale sama nalegała wcześniej, by jej przyjaciółka wróciła do pracy i nie narażała się na gniew szefa. Lily wymyśliłaby jakiś dosadny komentarz, który przełamałby tę niezręczną ciszę. Nie tracąc humoru ani ducha, zdołałaby jakoś przekonać tych policjantów, że wbrew wszelkim oznakom widocznym na zdjęciu powinni uwierzyć w wersję Alice Humphrey.

Ale nie było tu Lily. Nikt nie mógł mówić w jej imieniu. A ktoś powinien zacząć, zanim wrzask w głowie Alice zmusi ją, by wykrzycała coś, czego później będzie żałować.

– Nie rozumiem.

To wszystko, Alice? Siedziałaś oniemiała kilka minut i to wszystko, co ci się udało wymyślić?

– Jeśli myślicie, że kłamałam – spróbowała ponownie – albo próbowałam coś ukryć, to przysięgam, że tak nie było. Kobieta na tym obrazku to nie ja. To niemożliwe. Kto go wam dał? Musi być sfalszowane. Nigdy, przenigdy nie całowałam się z Drew Campbellem.

Detektywi wymienili spojrzenia. Ten rodzaj spojrzeń sugerował, że słowa Alice przywiodły mężczyznom na myśl jakiś znany tylko im dwóm żart.

– No cóż – powiedział z ojcowskim uśmiechem Shannon – czy pocałowała pani kiedykolwiek mężczyznę z tego zdjęcia? Mężczyznę, którego zwłoki wynieśliśmy wczoraj z pani galerii?

PANI galerii.

– Nie rozumiem – powiedziała, nim zorientowała się, że już to mówiła. – Przed chwilą powiedziałam, że nie całowała się z nim. Znam go zaledwie od paru tygodni. Zatrudnił mnie. To wszystko.

– Nie to nam pani mówiła. Powiedziała pani, że nigdy nie całowała się z Drew Campbellem. My próbujemy tylko ustalić, czy wbrew temu, co widać na zdjęciu, twierdzi pani, że nie całowała się z mężczyzną, który na nim widnieje.

– Zakładam, że mężczyzna z fotografii to Drew Campbell i powtarzam, nie było między nami żadnego uczucia.

– Czy kiedykolwiek poznała go pani pod innym imieniem? Innym niż Drew Campbell?

– Nie, oczywiście, że nie. Powiedziałabym wam.

– A pani? Czy używała pani kiedykolwiek innego imienia, niż Alice Humphrey?

– Ja? Nie. Nigdy.

– Cóż, a czy może nam jakoś pani wyjaśnić pochodzenie tego zdjęcia, gdzie bardzo podobna do pani kobieta całuje się z panem Campbellem? Jeśli się nie mylę, pani Humphrey, ten właśnie płaszcz miała pani na sobie wczoraj w galerii.

– Wiem. Nic z tego nie pojmuję. Może przypominałam mu jego dziewczynę? Może to właśnie dlatego zaproponował mi tę pracę. To wszystko, co potrafię wymyślić. Ale to nie ja jestem na tym zdjęciu. To niemożliwe.

– I, dla zupełnej jasności, nie miała pani nic wspólnego z opróżnieniem galerii?

Dla zupełnej jasności? Wiedziała, że najgorsze, co może teraz zrobić, to okazać gniew. Przyjazna. Uprzejma. Taktowna. Taka właśnie powinna być.



– Nie. Galeria była zamknięta, kiedy tam dotarłam.

– Ale nie na klucz. Żaluzje były otwarte, tak pani mówiła, prawda? Drzwi też?

Kiwnęła głową. Oczywiście, że tak mówiła, zarówno dzisiaj, jak i wczoraj.

– Mówiąc „zamknięta”, miałam na myśli, że już ją opróżniono.

– Pani Humphrey, czy to pani komputer?

Pytanie zadał Shannon, ale obaj detektywi zerkali na cienki, szary laptop, który stał otwarty na stole kuchennym. Jej stary dinozaur leżał na szczycie regału w salonie, kurząc się, odkąd zaczęła nosić ze sobą nowy sprzęt.

– Ach, chyba już nie. Drew dał mi go na potrzeby galerii. I żebym pracowała na nim w domu. Pracował na dwie zmiany, można by powiedzieć.

– Więc ten laptop to jedyny komputer, którego używała pani w galerii?

– Mhm.

– A kiedy spytaliśmy panią wczoraj, i dzisiaj, czy wie pani cokolwiek o losie jakiegokolwiek rzeczy z wyposażenia galerii, nie uznała pani za stosowne wspomnieć, że posiada pani komputer galerii?

– Nie, nawet o nim nie pomyślałam, dopóki pan o to teraz nie zapytał. Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy... To znaczy, proszę, możecie go zatrzymać. Nie jest nawet mój i nie mam pojęcia, jak i komu go oddać.

– ITH, prawda?

Głoska „H” zmieniła się w „A”, nim pokonał wetkniętą w usta Danesa wykałaczkę.

Alice westchnęła.

– Cokolwiek to jest.

– Więc, dla pełnej jasności – Shannon najwyraźniej lubił tę frazę – zgadza się pani dobrowolnie, żebyśmy zajęli ten komputer na potrzeby śledztwa i daje nam pani pozwolenie na przeszukanie całej jego zawartości: plików, ciasteczek i czegokolwiek, co tam się znajduje? Nasi komputerowcy dadzą pani pełen wykaz. Czy odpowiada to pani?

Przyjacielsko, uprzejmie, taktownie. Nic do ukrycia.

– Oczywiście – powiedziała, kiwając głową. – Po siłowni czuję się trochę niepiękna, jeśli panowie wiedzą, co mam na myśli. Mogłabym wziąć szybki prysznic? – Powachlowała się koszulką i uśmiechnęła się krzywo. Gdy detektywi w odpowiedzi także się uśmiechnęli, poczuła ogromną ulgę.

– Nie ma sprawy – mówił jak zwykle Shannon, ale obaj mężczyźni wstali z krzeseł. – Niech pani robi, co pani musi zrobić. My przyjrzymy się temu – dodał, biorąc laptop. – Może Drew robił na nim coś, co okaże się pomocne. I jeszcze jedno, pani Alice... Zostawię tutaj tę

fotografię, żeby mogła się pani nad nią zastanowić. Jeśli coś jeszcze przyjdzie pani na myśl, proszę do nas dzwonić.

## *Rozdział 24*

– Droga pani, najpierw każe mi pani jechać na Jersey, a teraz mi pani mówi, że nawet nie zna pani adresu? Niech zgadnę: do tego jeszcze zamierza pani płacić kartą?

Odpowiedź taksówkarz wyczytał w twarzy Alice w lusterku.

– Ech, Jezu. Zupełnie źle panią oceniłem. Lepiej bym wyszedł, zabierając tamtą wariatkę poowijaną szalikami.

– Proszę jechać. Powiem panu, jak tam dotrzeć, kiedy znajdziemy się po drugiej stronie tunelu. Zrekompensuję to panu w napiwku.

– Jeśli tak pani mówi.

Przejazd do Hoboken i z powrotem oznaczał trzycyfrową kwotę, a jej karta kredytowa przez większą część roku balansowała na granicy limitu, ale Alice nie miała wyboru. Wczoraj poszła spać z zamiarem trzymania się rady Lily. *To już ciebie nie dotyczy. Ciesz się, że nie wiesz więcej o Drew Campbellu.* Ale niezapowiedziana wizyta detektywów w jej domu zmieniła wszystko.

Gdy taksówka wynurzyła się z tunelu, Alice próbowała sobie przypomnieć obrazy sprzed trzech tygodni, gdy siedziała na fotelu pasażera w BMW Campbella. Skręt w prawo przy placu budowy. Potem, kiedy droga kończyła się skrzyżowaniem w kształcie litery T, znów w prawo. W lewo pod wiadukt. Prosto aż do centrum, później znów w lewo.

– Jestem pewna, że to na tej ulicy. Powinno być gdzieś po prawej. Przed wejściem stoi hydrant.

– To bardzo dokładne instrukcje, proszę pani.

– Nie, sekundę, to tutaj. Pamiętam, jak mijaliśmy ten bar na rogu.

– Szpotawy Wacek? Zapomniała pani taką nazwę? Jaja sobie pani robi?

– Niech pan się po prostu zatrzyma, dobra?

– Chwilę. Taryfa. Należy się siedemdziesiąt pięć dolarów. Plus napiwek, o którym pani wspominała.

– Słuchaj pan, mam kartę kredytową, dobra? – wyciągnęła ją nawet z portfela na dowód. – Proszę tu na mnie poczekać parę minut.

– Jezu, kobieto.

– Nie mogę za bardzo wezwać stąd taksówki. Niech pan trzyma licznik włączony, w

porządku?

Zostawiła taksówkarza i jego narzekania w wozie, zaparkowanym teraz obok tego samego hydrantu, przy którym czekała kiedyś, aż Drew Campbell załatwi formalności związane z wynajmem Galerii Highline. Taryfa nie odjechała. Mężczyzna nie miał za bardzo innej opcji, niż czekać na swoją pasażerkę.

Zadzwieczał delikatnie dzwonek, gdy weszła do wnętrza przerobionej na biuro miejskiej rezydencji. Alice dostrzegła znajomą amazonkę o czarnych, nastroszonych włosach. Pracowała dwie zagródki za plecami wymizerowanej recepcjonistki.

– Dzień dobry – powiedziała Alice, podchodząc do jej biurka. – Czy mogłabym porozmawiać z tamtą kobietą z krótkimi, czarnymi włosami?

– A pani nazwisko?

– Alice Humphrey. Nie znamy się, ale chodzi o wynajęty lokal sklepowy na Waszyngtona, na Manhattanie, w Dzielnicy Mięsniej.

Obserwowała, jak recepcjonistka konsultuje się z agentką, po czym powraca do swego biurka.

– Przykro mi, ale ten lokal nie jest już dostępny.

– Wiem o tym. Muszę porozmawiać z nią w sprawie wynajmu. Zarządzam firmą, która wprowadziła się pod ten adres – Alice zwróciła się bezpośrednio do tamtej. – Muszę się dowiedzieć, kto figuruje jako najemca.

Agentka ledwie zerknęła w stronę Alice, ale wstała, podeszła do kartotek i wyciągnęła stamtąd beżowy folder. Ruszając w stronę recepcji, zaczęła przeglądać jego zawartość. Alice odsunęła się na bok, pozwalając recepcjonistce wyjść.

– Lecę na kawę, Michelle. Możesz przypilnować drzwi?

Michelle o punkowej fryzurze kiwnęła głową w zamyśleniu.

– Hmm, skoro jest pani menedżerką, nie powinna czasem pani sama wiedzieć, kto jest najemcą?

– Zapewne korporacja ITH albo Drew Campbell.

– Dobra. No i proszę. Drew Campbell – powiedziała po chwili i po raz pierwszy spojrzała bezpośrednio na Alice. – To jakiś żart, czy coś?

– Nie, ja tylko...

– Bo to pani założyła tę galerię, prawda?

– Tak, jestem jej menedżerką.

– No więc, dobra, czemu miałaby pani wątpić, czy na umowie jest pani nazwisko?

– Ja? Ale na umowie nie ma mojego nazwiska.

– Drew Campbell.

– Właśnie. Miałam nadzieję, że zostawił pani jakiś adres, który mogłabym dostać?

– Co to, Student Awas, czy jak? Mogę się założyć, że zna pani dane kontaktowe z umowy tak samo, jak zna pani nazwisko.

– Nie znam. Dlatego tu jestem.

– No cóż, normalnie nie odczytywałabym danych z umowy osobie z ulicy, ale dobra, brnijmy w to dalej. Adres brzmi jeden siedem dwa, Druga Aleja, Nowy Jork.

W tempie karabinu maszynowego wyrecytowała miejski numer telefonu.

Alice poczuła, jakby ogarniała ją mgła.

– Nie. To mój adres i mój numer telefonu.

– Nie chcę być niegrzeczna, ale, ech, mniejsza o to. A mówiąc poważnie, mam robotę, więc...

– Nie, proszę poczekać. Nie rozumiem. Drew Campbell podał pani mój adres do tej umowy?

– Oczywiście. Bo to pani nazywa się Drew Campbell, prawda?

– Nie. Nazywam się Alice Humphrey. Drew Campbell to mężczyzna, z którym tu byłam. To on podpisał z panią umowę.

– Z moich notatek wynika, że to niejaki Steve Henning. Powiedział, że pomaga swojej dziewczynie znaleźć lokal pod galerię. Zaproponowałam lokal przy ulicy Waszyngtona. Kiedy miał już podpisać umowę, powiedziałam, że pani powinna to zrobić. Ale on na to, że pani praktycznie umiera na gripę i nie chce nikogo zarazić. Nie zauważyła pani, jak patrzyłam przez szybę?

– Cóż, tak...

Alice usłyszała delikatny dźwięk dzwonka od drzwi. Znów odsunęła się na bok, by zrobić przejście ważącej niecałe pięćdziesiąt kilogramów recepcjonistce i jej świeżo nabytemu kubkowi z kawą.

– Więc pani chłopak poprosił mnie, czy by mógł wziąć papiery do wozu, gdzie je pani podpisze. Nawet zostawił mi kopię pani prawa jazdy.

Otworzyła folder, by pokazać kserokopię czegoś, co wyglądało jak nowojorskie prawo jazdy. Alice rozpoznała zdjęcie. Jej sylwetka została wycięta z większej fotografii, którą zrobiono jej w zeszłym roku na weselu znajomej. Ktoś użył Photoshopa, by pozbyć się Bena i nałożyć obraz Alice na standardowe, szare tło, właściwe dla zdjęć do prawa jazdy. Jej twarz. Jej adres. Nazwisko: Drew Campbell.

Odtworzyła w umyśle swoją poprzednią wizytę w tym miejscu. Drew wziął umowę,

wyciągnął długopis z kieszeni i pokazał w stronę wozu. Tamta spojrzała prosto na nią. Drew wrócił do samochodu i uzasadnił podpisanie umowy na zewnątrz słowami, które zagrały na stereotypach Alice odnośnie takich kobiet, jak czarnowłosa agentka. „Trochę tam strasznie. Czulem się tam jak mysz wrzucona do wiwarium z anakondami”.

– To prawo jazdy jest fałszywe. Nie nazywam się Drew Campbell. Drew Campbell to mężczyzna, który przyszedł tu, by wynająć galerię.

Ton Alice był tak ostry, że aż oczy popijającej kawę recepcjonistki zrobiły się duże z zaskoczenia. Po chwili niepewnie uniosła rękę, niczym nieśmiała uczennica.

– Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie, ale wczoraj skserowałam cały ten folder dla nowojorskiego Departamentu Policji.

## *Rozdział 25*

– Miała komórkę? Jak to?

Morhart wiedział, że nie będzie to łatwa rozmowa, ale Joann Stevenson zniosła wieści jeszcze gorzej, niż przewidywał. Była jedynie rok starsza od niego, ale, o ludzie, jakże inaczej wyglądało jej życie. Detektyw nigdy się nie ożenił. Nigdy nawet nie mieszkał z kobietą, przynajmniej formalnie. A ta dziewczyna w jego wieku zdążyła już mieć córkę, uczynić z niej centrum swego świata na pół życia i doczekać chwili, gdy jej dzidzius był już na tyle duży, by mieć przed nią tajemnice.

– Sophie mówi, że Becca ma telefon już od dwóch miesięcy.

– Dlaczego mi nie powiedziała?

– Sophie sądziła, że pani wie.

– Nie, nie ona, Becca. Dlaczego mi nie powiedziała?

– No cóż, to jedno z pytań, na które poszukuję odpowiedzi.

– Błagała mnie o telefon od ósmej klasy. Jak o tym pomyślę, to ostatnio przestała o tym mówić. Jak w ogóle za niego płaciła? I czy nie jest tak, że umowę musi podpisać rodzic? Po prostu nic z tego nie rozumiem.

Morhart był dumny ze swych wysokich umiejętności przeprowadzania wywiadów, ale ta kobieta potrafiła odebrać mu kontrolę nad rozmową.

– Joann, to właśnie próbuję wyjaśnić. Becca miała telefon na kartę. Wie pani, co to takiego?

Joann potrząsnęła głową.

– Nie ma żadnego abonamentu, pytań o karty kredytowe ani podpisywania kontraktu.

Wystarczy kupować minuty do późniejszego wykorzystania, forma płatności jest dowolna. Telefon Becci zakupiony został dwa miesiące temu za gotówkę w sklepie Searsa w Lynchburgu, w Wirginii.

– Lynchburg? Pierwsze słyszę. Ale jestem pewna, że Becca nigdy tam nie była.

– Tak właśnie pomyślałem. A zatem zapewne kupiła go z drugiej ręki, ale to będzie naprawdę ciężko wyśledzić. Najlepsze, co możemy zrobić, to sprawdzić historię połączeń.

Joann rozpromieniła się.

– No jasne. To super. Czytałam o tym. Czy możecie zrobić tak, że namierzycie telefon po sygnale, jak przez GPS?

– Niestety, Becca nie używała telefonu od niedzieli. Ale cierpliwości, nie wyciągajmy pochopnych wniosków – powiedział, gdy Joann zrzędała mina. – Mogła wyłączyć aparat, by oszczędzać baterię. Mogła go zgubić. To, na czym chciałbym się teraz skupić, to połączenia, które wykonała przed zaginięciem. Nie było ich zbyt wiele, naprawdę. Głównie używała komórki do wysyłania SMS-ów do znajomych. Dzisiejsze dzieciaki tak wołają, jak sądzę. Ale kilka razy zadzwoniła pod numer, który, jak się okazało, należy do pewnego kościoła w Oklahomie. Kościół Redemptorystów Chrystusowych. Mówi to pani coś?

– Nie. Becca nie jest religijna. Ani trochę. Już prędkiej antyreligijna.

– A nie przejawiała ostatnio zainteresowania tymi sprawami? A może nastąpiły jakieś zmiany w jej zachowaniu, które wskazywałyby na jakąś konwersję?

– Cóż, wie pan, ostatni rok był dla niej trudny, ale wydawało się, że to już za nią. Wahania nastrojów. Uznałam to za normalną rzecz u nastolatki. Zdołała paru nowych znajomych w szkole, ale żeby nagle przyjęła Jezusa? Nie sądzę. Dla niej nawet Lady Gaga jest zbyt głównonurtowa. Czy to jakoś pasuje do tych pańskich redemptorystów?

Detektyw uśmiechnął się. Nie był to pierwszy raz, kiedy Joann pozwoliła sobie na żart.

– Zdecydowanie nie. Proszę się nie martwić, będę ich pytał o te połączenia, ale chciałem najpierw poznać pani pogląd na sytuację.

– Doceniam to.

– Jest jeszcze jedna rzecz odnośnie tego telefonu, Joann. I na pewno nie będzie pani łatwo tego słuchać. Becca romansowała z jednym ze swoich kolegów ze szkoły.

Przekazał jej wieści. O SMS-ach. O nagim zdjęciu. O zemście Ashleigh. Nie pominął niczego.

– Przepraszam – powiedziała Joann, ocierając łzę z policzka. – Że też musiała przez to wszystko przechodzić bez niczyjego wsparcia. Wie pan, zapomniałam już, jakie okrutne potrafią być nastolatki. Człowiek nie chce myśleć, że mogłoby to spotkać jego własne

dziecko, więc stara się nie pamiętać, ile bólu potrafią zadać. Myśli pan, że ci chuligani mogli jej coś zrobić?

– Sprawdziłem już, gdzie Ashleigh i Dan przebywali przez cały dzień, więc nie, nie sądzę, by byli za to bezpośrednio odpowiedzialni. Ale mówiąc szczerze, pani Stevenson, nasuwa się pytanie, czy czasem Becca nie postanowiła na chwilę zniknąć, żeby uwolnić się od tej całej sytuacji.

Uniósł dłoń.

– Tylko wskazuję na taką możliwość. Ale obiecałem już pani, że nie przestanę szukać Becci niezależnie od wszystkiego. I nie zamierzam łamać tej obietnicy, więc proszę nie uciekać od tego, co musimy przedyskutować, żeby ją znaleźć.

Wzięła głęboki wdech i zacisnęła usta.

– Dobrze. Więc mówi pan, że może nie była już w stanie znieść nieprzyjemności w szkole?

– Zawsze pani mówiła, że najlepszy możliwy scenariusz to taki, w którym Becca ucieka z własnej woli, prawda? Więc, w pewnym sensie, te nieprzyjemności w szkole mogą oznaczać dobre nowiny, jeśli spojrzymy na to z tej perspektywy. Miała jakiś powód, by uciec.

– Nie licząc mnie. Przepraszam – powiedziała, ewidentnie żałując impulsywnej uwagi.

– Może to głupie, ale ciągle o tym myślę. A jeśli uciekła, bo przyprowadziłam kogoś na noc? Może przyszła od Sophie i zauważyła, że w domu jest Mark. To nigdy nie powinno być się zdarzyć, a ja nie miałam nawet dość odwagi, by zawnocować z nią o tym porozmawiać. Może chciała dać mi lekcję...

– Stop. To nie tak.

– Po prostu nie mogę się pozbyć tej myśli. Mark... cóż, nie chce nawet mnie wysłuchać. Chyba to było dla niego za dużo. Gdybym tylko mogła zawiadomić Beccę, że już go nie ma. Więcej tu nie przyjdzie. Może wtedy wróciłaby do domu...

– Starczy, Joann. Mylisz się, rozumiesz? Musisz mi zaufać, ale nie masz racji.

– Skąd pan to może wiedzieć?

Westchnął. W uszach zadzwoniły mu własne słowa dotyczące szczerości.

– Spytałem Sophie, co pani córka sądzi o Marku. Musi pani zrozumieć, w tej sytuacji, każdy mężczyzna bliski rodzinie...

– Rozumiem.

– Tak czy owak, Sophie mówiła, że Becca życzyła wam wszystkiego dobrego.

– Ale mimo to, ten szok, kiedy odkryła go tutaj, w nocy...

– Nie sądzę, żeby był to dla niej jakikolwiek szok. Wydaje mi się, że dokładne słowa

Sophie brzmiały: „Becca była zajarana, że jej mama wreszcie znalazła sobie chłopca”.  
Przepraszam. O Boże, to było niezręczne.

Joann znów się uśmiechała, a jej policzki nabrały rumieńców, po raz pierwszy z innego powodu niż płacz.

– No to fajnie. Teraz zamierzam się dowiedzieć, kto z Kościoła Redemptorystów Chrystusowych dzwonił do Becci.

– Może pan to zrobić? Kościoły nie są czasem jakoś chronione?

– Nie mówimy tu o Watykanie. Ten kościół wygląda na raczej małą organizację. Pomyślałem, że zacznę od samego pastora. Mam nadzieję, że George Hardy jest na tyle dobrym chrześcijaninem, by nam pomóc.

– George Hardy?

– Tak, wygląda na to, że samodzielnie założył ten kościół. Z tego, co czytałem w sieci, prawdziwy z niego ortodoks.

– Panie detektywie, nie wiem, co o tym myśleć, ale znam Georgea Hardy’ego. A przynajmniej kiedyś znałam – powiedziała Joann, a rumieniec na jej policzkach ustąpił miejsca kredowej bieli. – George Hardy jest ojcem Becci.

## *Rozdział 26*

Hank Beckmann miał dopiero czterdzieści osiem lat, ale były dni, kiedy czuł się jak starzec. Nie pomagały wkradające się z wolna, lecz nieubłagane oznaki upływu czasu: brzuszki, który zmaterializował się parę lat temu bez żadnego oczywistego powodu, coraz mniejsze obciążenie, które zmuszony był ustawiać na siłowni, ból w boku, którego nabawił się tydzień temu, kiedy trochę nazbyt wcześnie rano schylił się po gazetę.

Ale nie wszystkie oznaki wieku były fizjologicznej natury. Dołączył do Biura, kiedy miał dwadzieścia dziewięć lat, co oznaczało, że mógł ubiegać się o emeryturę w wieku lat pięćdziesięciu. W wielu zawodach mężczyzna w jego wieku dopiero odnajdywałby swój rytm. Ale strzeżenie prawa było światem młodego mężczyzny – a raczej, młodej osoby. Nie powinno tak być. Hank wiedział teraz więcej o ludziach – ich pragnieniach, instynktach, słabościach, motywacjach – niż byłby w stanie w ogóle objąć umysłem, kiedy był żółtodziobem. Ale we współczesnych czasach połowa spraw wydawała się zależeć od wykazów rachunków bankowych, wieży telefonii komórkowej i komputerowych ciasteczek, a nie zręcznie prowadzonych przesłuchań. Jak umiał, próbował nadążyć za postępami technik śledczych, ale czasami było po prostu łatwiej powierzyć klawiaturę i jej technologiczne



niuansie stażystce.

Dzisiejszej pracy jednak nie dało się przekazać komuś innemu. Hank zgubił Trivisa Larsona i musiał go odnaleźć.

Ostatnio widział go wczoraj na Waszyngtona, w kradzionym BMW. Po pracy wziął na wynos kanapkę z Subwaya i skierował się bezpośrednio do kompleksu apartamentów w Newark. Ciemne okna. Puste miejsce po BMW. Hank długo obserwował, nim zdecydował się w końcu wejść na górę. Kupon Subwaya „kup jedną, drugą dostaniesz za darmo”, który wsunął wtedy pod drzwi, rano nadał tam tkwił, podobnie jak po południu, gdy Hank znalazł chwilę między prowadzeniem wywiadów terenowych.

Ani śladu Larsona. Ani śladu BMW.

Jeśli Larsona nie było w domu, Hank miał zamiar zacząć od jego ostatniego znanego miejsca pobytu. Odpalił na komputerze Google Maps, po czym zrobił najazd na kilka kwartałów na granicy West Village i Dzielnicy Mięskiej. Będąc tam, przeciągnął myszą pomarańczowego ludzika na mapę, by zobaczyć to miejsce z perspektywy ulicy. Przypomniał sobie dwudziestoletnią stażystkę, która mu pokazała ten trik.

– Widzi pan tego ludka? Zupełnie jak ten na drzwiach od toalety.

Zupełnie jakby prowadziła zajęcia z komputerów w lokalnym klubie seniora.

Przesunął rysunkowego ludzika wzdłuż ulicy Waszyngtona. Wydawało mu się, że co drugie kliknięcie robi coś źle, albo wypadając z widoku „z oczu”, albo robiąc zbliżenie na popękana powierzchnię betonu. Powoli jednak zaczął opanowywać sterowanie i zrobił sobie wirtualny spacer po ulicy, mijając kolejno Perryego, Zachodnią Jedenastą, Bankową, aż w końcu znalazł miejsce, gdzie zatrzymało się BMW. Obrócił widok w stronę, w którą udał się Larson, i wycelował w linię domów po przeciwnej stronie ulicy. Zobaczył dwie zamknięte wystawy i pralnię o nazwie „Wesoły Bąbelek”.

Problem polegał na tym, że zdjęcia na Google Earth mogły pochodzić nawet sprzed kilku lat. Hank był przekonany, że kiedy był tam wczoraj rano, na miejscu pralni widział jakiś sklep z butami. Zadzwoił na informację, by poznać numer telefonu „Wesołego Bąbelka”, ale w rejestrze nie figurowała żadna firma o tej nazwie. Nic dziwnego. Ruch w interesach w tej okolicy był większy niż pod parkiem High Line, kiedy jeszcze robiono tam numerki za dwadzieścia dolców. Oczywiście było to zanim cały teren nie został zagarnięty przez miejską arystokrację. Pralnia zapewne podzieliła los wielu firm, w których ciężko pracujący ludzie zaspokajali potrzeby innych ciężko pracujących ludzi, i upadła, by zrobić miejsce dla sklepu z damskimi torebkami za tysiąc dolarów sztuka.

Hank potrzebował nowej strategii.

„Poszedł” swoim pomarańczowym toaletowym ludzikiem kawałek ulicą Waszyngtona, przystając przy każdym z trojga drzwi, w których mógł zniknąć Larson, i notując adresy na kartce. Później wpisywał je w Google, zastanawiając się, co się tam obecnie znajduje i jaki Larson mógłby mieć powód, żeby tam przychodzić. Adres „Wesołego Bąbelka” należał teraz do ekskluzywnego sklepu z butami. Próbował nie myśleć o parze tego typu butów, które kupił Jen na urodziny, wywalając na to pół wypłaty. Trzy tygodnie później wyprowadziła się. Hank pominął drugi adres, pod którym, jak sobie przypominał, znajdowała się zaklejona papierem witryna, i sprawdził trzeci. Należał on do Kwiaciarni Petea.

Nadal nie był mądrzejszy niż wczoraj.

Nie poddał się jednak i wprowadził adres zamkniętej witryny pośrodku. Pojawiły się wzmianki o dwóch firmach: sklepie z ramami oraz galerii dzieł sztuki.

Ciekawe. Larson żył z kłamstwa. A w tej dziedzinie sztuka wyglądała o wiele bardziej obiecująco niż kwiaty czy wysokie obcasy. Agent poszukał jeszcze wiadomości o sklepie z ramami i dowiedział się, że trzy miesiące temu przeniesiono go do Chelsea.

Następnie wpisał nazwę galerii: Galeria Highline.

Już wciskając enter, przypomniał sobie, że widział tę nazwę na jednej z ostatnich stron dzisiejszej gazety. Kiedy pojawiły się wyniki wyszukiwania, pamiętał już, o czym był artykuł. O trupie znalezionym w galerii, która została otwarta zaledwie dwa dni wcześniej.

Kliknął na pierwszy odnośnik do serwisu informacyjnego. Galeria Highline. Prześladowana przez pecha od dnia otwarcia. Demonstranci oskarżają ją o dziecięcą pornografię. Dziś rano znaleziono tam ciało niezidentyfikowanego mężczyzny. Zaginęła zawartość galerii. Zaklejona papierem wystawa. Rozgłos ani kontrowersje nie są niczym nowym dla menedżerki galerii. Dawna aktorka dziecięca. Córka znanego z pozamałżeńskich romansów reżysera Franka Humphreya.

Otworzył zdjęcie Alice Humphrey. Ruda. Atrakcyjna. Mógł ją sobie łatwo wyobrazić w ciemnych okularach i wystrzałowych butach, podobną do kobiety, którą widział, gdy odwiedzała Larsona w mieszkaniu. Jak ta pracownica QuickCara opisała osobę, która uprowadziła BMW? Biała, bardzo ładna, długie, rude włosy.

Szlag. Nie zanosilo się, by prywatne hobby Hanka miało już długo pozostać tajemnicą.

## *Rozdział 27*

Nowy Jork liczy sobie ponad osiem milionów mieszkańców. Jest finansową i medialną stolicą świata. Dzieci z wioski po drugiej stronie kuli ziemskiej potrafią rozpoznać na fotografiach

jego ikoniczną panoramę. Większość tego majestatu – władzy, interesów, sławy – skupiona jest na wysepce Manhattan, z północy na południe długiej na jakieś dwadzieścia kilometrów, a szerokiej w najgrubszym miejscu na zaledwie cztery.

Ktoś mógłby pomyśleć, że osoba, która spędziła na tej wysepce całe życie, powinna znać każdy jej centymetr kwadratowy. Kiedy Alice mieszkała w Missuori, szpitalni koledzy jej eksmęża – ci, którzy od urodzenia mieszkali w St. Louis – potrafili wyrecytować drogę do dowolnego miejsca w okolicy, nawet do dalekich przedmieść. Ale Nowy Jork był inny. W Nowym Jorku – mieście, w którym ludzie nadal chodzili do narożnego sklepu po jedzenie i do kiosku po gazety, dzielnice nadal coś znaczyły. Dla mieszkańca Chinatown Upper East Side mogłaby równie dobrze być Rhode Island.

Alice mieszkała w West Village od czasów studiów magisterskich. Jej mieszkanie leżało niecałe trzy kilometry od Ulicy Centralnej, ale na trzech palcach mogłaby policzyć, ile razy była tam w ciągu tych ponad ośmiu lat. Raz jako sędzia przysięgły, drugi raz, kiedy odprowadzała ojca na wywiad radiowy dla *Leonard Lepate Show* a ostatni raz podczas tamtego fatalnego wieczoru karaoke z okazji trzydziestych trzecich urodzin.

Teraz jednak wiedziała, że potrzebuje prawnika.

– Jesteśmy na miejscu. Chambersa 86. Widzi pani, jak łatwo jest miłemu taksówkarzowi odwieźć panią na miejsce, jeśli zna pani adres?

Alice poczuła pokusę, żeby zemścić się za ten docinek, ale dotrzymała obietnicy i zapłaciła dwudziestopięcioprocentowy napiwek z karty kredytowej. Smagana mroźnym wiatrem przebiegła do lobby budynku Jeffa. Zdążyła zobaczyć zamykające się przed nią drzwi windy.

– Może pan przytrzymać? – krzyknęła.

Ewidentnie nie. Udało jej się wbić kolano przy samej framudze. Przyjęła na siebie uderzenie twardego metalu, po czym drzwi rozsunęły się z powrotem. Stojący w środku posłaniec, odziany w strój rowerzysty i tatuaże, nawet nie udawał, że się przejął. Kiedy mijali czwarte piętro, rzucił jej za to zirytowane spojrzenie. Alice zdała sobie sprawę, że wybija paznokciami rytm o ścianę za sobą.

Twój, kurwa, problem, koleś.

– Zaczekaj. Więc Drew powiedział w biurze nieruchomości, że to ty nazywasz się Drew Campbell i że to ty otwierasz galerię?

Każdy centymetr kwadratowy powierzchni biurka Jeffa przykrywały papiery i otwarte książki, ale kiedy Alice pojawiła się bez zapowiedzi w jego biurze, zachowywał się, jakby

miał czas tylko dla niej.

– Tak. A gliniarze to na pewno kupili. Przyszli dziś do mojego mieszkania i zaczęli mnie wypytywać o to, czy używałam kiedykolwiek pseudonimu albo czy znałam Drew pod innym nazwiskiem. Wczoraj powiedzieli mi, że nie znaleźli przy nim portfela ani w ogóle niczego. Na pewno nie udało im się ustalić jego tożsamości, a teraz zastanawiam się, czy cokolwiek z tego, co mi powiedział, było prawdą. Mówiąc wprost, nie mam, kurwa, pojęcia, kim naprawdę był, a gliniarze wydają się myśleć, że sama założyłam galerię i do tego pod fałszywym nazwiskiem.

– Jak mogą wierzyć w coś takiego? To szalone.

– Czy bardziej szalone niż historia o tym, jak podszedł do mnie obcy człowiek i zaproponował pracę marzeń dla anonimowego szefa?

– Brzmi to jak jakiś przekręt. Może planował wyciągnąć z ciebie pieniądze na utrzymanie galerii, ale zginął, nim zdążył coś zachachmęcić.

– Zachachmęcić?

– Ukręcić wałka. Zrobić szwindel. Machlojkę. Kanta. Mnie nie zagniesz, mała.

– Campbell urobił mnie, jak chciał. Przedstawił się jako ekspert od sztuki. Umniejszał znaczenie tego, co robi, mówiąc, że jego klient to stary przyjaciel jego ojca. Dla pewności dorzucił jeszcze matkę alkoholicką. Jak po czymś takim mogłam mu nie ufać.

– Pozwól, że zadzwonię do tych detektywów i spróbuję dowiedzieć się, co myślą. Może uda nam się przedstawić im tę sytuację w innym świetle.

– Nie sądzę, by to było takie proste.

Wyciągnęła z torebki wydruk zdjęcia i rozprostowała go na blacie.

– Czy to...

– Nie, to nie ja. Musiał znaleźć zdjęcie jakiejś kobiety podobnej do mnie i Photoshopem wkleił na miejsce kogoś, z kim się tu całował.

Jeff zmrużył oczy, jakby próbował samą siłą woli zwiększyć rozdzielczość ziarnistego zdjęcia.

– No nie wiem, Al. Jeśli to robota Photoshopa, to cholernie dobra.

– Całkiem nieźle sfalszował też prawo jazdy. Agentce z biura nieruchomości dał rzekomą kopię mojego prawa jazdy. Wyglądało jak prawdziwe, nie licząc nazwiska Drew Campbell.

– A dałaś mu kopię własnego prawa jazdy przy zawieraniu umowy o pracę? Może je zeskanował i po prostu zmienił nazwisko.

– Nie, to nie było zdjęcie z mojego prawa jazdy. Wyciął moją twarz ze zdjęcia z

wesela Cristiny Marcum, na którym Ben i ja byliśmy zeszłego lata.

Panna młoda była w dzieciństwie ich koleżanką. Jeff nie znał jej osobiście, ale pojawił się na weselu jako osoba towarzysząca Alice; było to naturalne, wówczas oficjalnie „byli razem”. Alice nie czuła się szczególnie bliska Christinie, ale lubiła to zdjęcie z Benem.

– Może Drew, czy ktokolwiek to był, zhakował ci komputer?

– Cóż, też się nad tym zastanawiałam. Ale później coś mi się przypomniało. Mogę?

Alice przeniosła się na jego stronę biurka i wysunęła półeczkę na klawiaturę.

– Zdjęcie zrobiła siostra Christiny. Widziałam je tylko dlatego, że umieściła je na Facebooku.

Alice włączyła własne konto facebookowe i kliknęła na zakładkę „zdjęcia”.

– Widzisz? Tu jest.

Zdjęcie było wyraźne, zrobione pod niewielkim kątem. Idealnie nadawało się do wycięcia zeń twarzy Alice.

– Czy twój profil jest ustawiony jako prywatny?

– A co to znaczy?

– Czy każda osoba na świecie może do niego zajrzeć, czy tylko ci, których masz ustawionych jako znajomych?

– Tak szczerze to nie wiem.

Sięgnął po mysz i wykonał kilka kliknięć.

– Cały twój profil jest publiczny, więc Drew bez problemu mógł ściągnąć z niego to zdjęcie.

Otworzył jej tablicę, pokazując wiadomości, które Alice i jej znajomi pisali między sobą w ciągu ostatnich kilku tygodni.

– Alice, to wariactwo wystawiać to wszystko na widok publiczny. Może to przeczytać ktokolwiek, skądkolwiek.

– Co to ma za znaczenie? „Wszystkiego najlepszego. Trzymaj się ciepło”. To same bzdury. Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że powinnam była przewidzieć, że jakiś gość, ukrywający się pod fałszywym nazwiskiem, nagra mi podejrzaną pracę, a potem użyje zdjęć z mojego profilu na Facebooku, żeby mnie zrobić?

– To nie są same bzdury, Alice. Zobacz, dwa dni temu napisałaś „Wafels & Dinges”. Dla ciebie to bzdury, ale dla całego świata to ogłoszenie, że jesteś przy furgonetce Wafels & Dinges.

– Napisałam to po powrocie do galerii.

– No dobra. A co powiesz na to? „Fantastyczne otwarcie galerii. Wychodzę świętować

do Gramercy Tavern. Jeszcze kwadrans i będę sobie pić martini”.

– Proszę, nie krytykuj mnie teraz. Czekał. O, nie.

– Co?

Nie pytając o zgodę, zabrała mu mysz i przewinęła w dół strony. Na samym dole tablicy kliknęła w przycisk „starsze”.

– Nie. Nie, nie, nie. Myślałam, że za to wszystko odpowiada po prostu pech. Że Drew kręcił swój ciemny interes i wpadł na pomysł, że bezrobotna magister sztuki będzie dobrym celem. Ale zobacz tu: rano, tego dnia, kiedy poszłam do galerii i spotkałam Drew. Spójrz na mój komentarz.

Dziś wieczorem wystawa Philipa Liptona w galerii Susan Kellermann. Najbardziej niedoceniony artysta XX wieku.

– Myślisz, że Drew przyszedł tam konkretnie z twojego powodu?

– A możesz mi uczciwie powiedzieć, że mogę być jeszcze czegokolwiek pewna?

## *Rozdział 28*

Od ostatniej wizyty Alice w galerii Susan Kellermann minęły cztery tygodnie. Tym razem od razu ruszyła do środka. Nie była już kobietą, która mogłaby pozwolić sobie na luksus zatrzymania się przed drzwiami i podziwiania szczegółów architektonicznych budynku.

Ku wejściu do galerii zdążył mężczyzna w białym kombinezonie malarza. Niósł drabinę. Za nim szedł drugi, ubrany identycznie i wyposażony w wiadro z farbą oraz dwa wałki. Alice przytrzymała im drzwi, po czym wśliznęła się za nimi do środka.

– Ju-hu! Witam. Przepraszam, ale galeria jest zamknięta. Proszę wrócić we wtorek wieczór. Właśnie przygotowujemy ekspozycję Jeremyego Westa. Będzie naprawdę świetna.

Od szyi w górę kobieta przypominała właścicielkę galerii, którą Alice kilka razy widziała – ten sam czarny kok, ta sama blada, wychudzona twarz, te same szkarłatne usta. Ale dziś Susan Kellermann miała na sobie czarny T-shirt, bufiaste dżinsy oraz drewniaki. Ta dychotomia pomiędzy jej ciałem a głową przywodziła na myśl Pana Bulwę.

– Chciałabym zapytać panią o pewną sprawę związaną z otwarciem ekspozycji Philipa Liptona.

– Obawiam się, że nie reprezentuję już Philipa Liptona. Wydaje mi się, że jest teraz wolnym strzelcem, jeśli chciałaby pani skontaktować się z nim bezpośrednio.

– Nie chcę nic kupować. Szukam jednego z waszych klientów.

Uwaga Kellerman zwróciła się na jej podwładnych, którzy przynosili właśnie kłębek

sznurka, wysoki na półtora metra.

– Ostrożnie. To trzyma się tylko na paru kroplach żywicy. Jeszcze z piętnaście centymetrów w tamtą stronę.

– Pani Kellerman, proszę. To naprawdę bardzo ważne.

Kobieta spojrzała na Alice, jakby ta była plamką brudu na idealnie białej ścianie, jednak w twarzy intruzki było coś, co przykuło jej uwagę.

– Urwijcie choć jedną nić, a będziecie to toczyć we dwóch aż do samego Dumbo, gdzie pozwolę Westowi, żeby was w to zawinął i użył do performanceu. Zrozumiano?

– Aaa, tak, ten przystojniak z otwarcia. Może trochę nieokrzesany, ale baaardzo czarujący. Zgodził się kupić *Carnival One* dla swojego klienta.

– Zatrudnił mnie do pracy w pewnej galerii, ale teraz wygląda na to, że był to jeden wielki przekręt.

Nie wspomniała o tym, że był martwy. Miała nadzieję, że Kellermann nie wiedziała za dużo o wczorajszym morderstwie w galerii, żeby zacząć łączyć fakty.

– Muszę go namierzyć. Może mi pani powiedzieć, w jaki sposób zapłacił? A może dokąd zostało dostarczone dzieło?

– Gdybym tylko sama to wiedziała. Mam tylko jego nazwisko, numer telefonu i bardzo wkurzonego dziewięćdziesięcioparolatka na karku.

– Jak rozumiem, sprzedaż nie doszła do skutku?

– Zwykle nie oznaczam prac jako sprzedanych bez zaliczki, ale facet był bardzo przekonujący. Powiedział, że działa w imieniu swojego klienta. Zwykle przedstawiciele płacą z góry, a później, jeśli klienci nie są zadowoleni, odbieram od nich prace. Ale Steven...

– Powiedział, że ma na imię Steven?

– Tak. Steven Henning.

Identycznym nazwiskiem Drew przedstawił się agentce od nieruchomości w Hoboken.

– Powiedział, że jest absolutnie pewny, że klient zgodzi się z jego wyborem, ale też pod żadnym pozorem nie pozwoli mu wydać pieniędzy, dopóki nie ujrzy obrazu na własne oczy. Rzekomo miał przyprowadzić klienta następnego dnia, ale nie chciał ryzykować tego, że obraz zostanie w międzyczasie sprzedany, bo wtedy klient urwie mu głowę za niepotrzebne ciągnięcie go po mieście. Wszystko to było strasznie tajemnicze: bogacz, poważny kolekcjoner, ktoś, czyje nazwisko bym rozpoznała, gdyby Steven ufał mi na tyle, by je zdradzić. Przedstawił to w taki sposób, jakby znalazł się w naprawdę ciężkim położeniu z powodu bardzo trudnego klienta.

Historia brzmiała znajomo. Dokładnie taki sam kit wciskał Alice.

– Mówiąc szczerze – kontynuowała Kellerman – po kilku tygodniach prób dogadania Liptonowi ta sytuacja wzbudziła we mnie chyba nadmierne współczucie. Rynek dzieł sztuki jest obecnie w tragicznej sytuacji, więc nieraz trzeba się naprawdę nagimnastykować, żeby coś sprzedać. A poza tym, cóż, mam słabość do każdego mężczyzny, który wygląda jak George Clooney.

– Ale następnego dnia nie pojawił się ani on, ani tajemniczy, bogaty klient?

– Och, oczywiście, że nie. Kiedy nie przyszedł do popołudnia, zadzwoniłam pod ten numer i dodzwoniłam się do, jeśli dobrze zrozumiałam łamany angielski, budki z kebabami. Nie mieli w menu handlarzy dziełami sztuki – dodała z krzywym uśmiechem. – Niestety, pan Lipton nie wykazał się szczególną wyrozumiałością. Wszyscy artyści mają wygórowane oczekiwania, ale Philip chyba na poważnie spodziewał się, że jego wystawa stanie się wielkim comebackiem, który wywoła burzę w całym świecie sztuki. Był w szoku, gdy okazało się, że nie sprzedaliśmy wszystkiego w dniu otwarcia. Ja natomiast byłam szczęśliwa, że w tych warunkach poszły chociaż dwa obrazy. Kiedy jednak musiałam poinformować Liptona, że ze sprzedaży *Carnival One* nic nie wyszło, omal nie dostał apopleksji. A ta jego żona tylko go podjudza. Nazwijmy moją galerię kolejnym przystankiem tego niezwykle utalentowanego, lecz kompletnie szalonego człowieka na drodze ku samodestrukcji. Wszystko dzięki Stevenowi Henningowi. Po twoim wyrazie twarzy wnoszę, że nie jestem jedyną osobą, która dała mu się nabić w butelkę, co?

## *Rozdział 29*

Dover dzieliło od Nowego Jorku jedynie sześćdziesiąt kilometrów, ale liczbę razy, jaką Morhart pokonał w życiu tę trasę, dałoby się zapewne zapisać jedną cyfrą. Podobał mu się Central Park. I pizza. I świąteczne lampki na Rockefeller Center. Ale, kurde, słono kosztowały te przyjemności. Najprościej rzecz ujmując, było tam za dużo wszystkiego na zbyt małym obszarze, jak na jego gust. W Dover można było udać się za miasto, po czym kilometrami iść wśród zielonych wzgórz pod błękitnym niebem. Lubił otwartą przestrzeń. W Nowym Jorku człowiek nie był w stanie kontrolować tego, jak się porusza. Samochody pełzły cał po calu między ciężarówkami zaparkowanymi na środku szosy. Piesi z głowami zadartymi ku drapaczom chmur odbijali się od innych, zgarbionych nad swoimi komórkami. Zdolność do nieskrępowanego ruchu była tym, co dawało Morhartowi poczucie wolności.

A teraz należał do tysięcy kierowców, którzy próbowali jeden przez drugiego pokonać



skrzyżowanie Broadway i Houston. Haustin, mówili, jakby specjalnie, zmuszając przyjezdnych do popełniania nieuniknionej pomyłki, a wszystko po to, by można było sobie powiedzieć pod nosem „ci głupi turyści”. Czuł pokusę, żeby wystawić koguta, ale nie chciał zadzierać ze słynącym z terytorialności Nowojorskim Departamentem Policji.

Kiedy doleciały go odgłosy megafonu, poczuł, że stres częściowo ustępuje. Jego ręce nadal zaciskały się na kierownicy, ale już nie tak kurczowo. Nie widział jeszcze demonstrantów, ale byli w okolicy. Nie przyjechał tu na próżno.

Rozpoczynający się od liczby 900 numer Kościoła Redemptorystów Chrystusowych Morhart znalazł w sieci. Rozmowa kosztowała departament policji w Dover kawałek grosza, ale nagrana na sekretarkę wiadomość wskazała detektywowi, gdzie mógł aktualnie przebywać George Hardy.

Przybyliśmy do Nowego Jorku, by uderzyć w samo podbrzusze grzechu i deprawacji. Zaczęliśmy od handlarzy golizną, od tych, dla których ciało dziecka jest towarem na sprzedaż. Wczoraj dowiedzieliśmy się, że ów okropny przybytek został zamknięty, co dowodzi, że stoimy po stronie praworządności. Dziś jesteśmy tu nadal, by kontynuować działalność w imieniu naszego Zbawiciela. Nie jest trudno zsunąć się w dół równi pochyłej seksu, którą stworzono dla naszych dzieci. Czasami zaczyna się to od tak zwanego ubrania, które zmienia w obiekty seksualne nasze córki, które winny być naczyniami Chrystusa. O trzeciej po południu zbieramy się pod galerią Little Angels, sklepem, który sprzedaje naszym dzieciom ubrania bardziej pasujące do ulicznych rogów niż szkół. Jeśli jesteś z nami – nawet jeśli jeszcze nas nie znasz – jeśli kochasz dzieci i słuchasz słowa naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, dołącz proszę do nas. Zdemaskujemy to, jak bardzo Little Angels szkodzi młodym kobietom. I będziemy nadal głosić nasze przesłanie, że każdy chrześcijanin jest naznaczony przez Boga, by być Jego kapłanem i by nie szczędzić swojego czasu, siły i doczesnego majątku w Jego służbie. Jeśli chcesz złożyć donację na tę sprawę...

Morhart nie złożył donacji, ale zanotował sobie adres aktualnego protestu Redemptorystów.

Ze zdjęć, które widział w sieci, detektyw rozpoznał człowieka z megafonem jako samego Hardyego. Sądząc po skąpych szmatkach, które ledwie okrywały manekiny na wystawie sklepu, Morhart musiał przyznać Wielebnemu trochę racji. Błysk odznaki wystarczył, by Hardy oddał megafon jednemu ze swych popleczników.

– Był tu już ktoś z pańskiego posterunku i przedstawił nam zasady, panie władzo. Przestrzegamy ich co do joty.

– Nie jestem tu w sprawie waszego protestu, Wielebny.

– Czyżby zatem chodziło o tego zboczeńca, którego wczoraj znaleziono martwego w tym opuszczonym przez Boga miejscu? Dzielnica Mięsna, tak ją nazywacie? Równie dobrze można by ją nazywać dzielnicą mamona. O tym też już rozmawiałem z jednym z waszych.

– Chodzi o zupełnie inną sprawę.

– A niech to, synu. Ileż jeszcze problemów tego miasta rzucicie mi pod nogi? Nie możecie zwrócić się do któregoś z pozostałych ośmiu milionów ludzi?

– Muszę z panem porozmawiać o Becci Stevenson.

Na twarz Hardyego padł cień. Kiedy odezwał się ponownie, z jego głosu wyparował zupełnie wiejski akcent.

– Doprawdy?

– Naprawdę chce pan mnie zmusić do grania w tę grę, Wielebny? Wiem, że Becca jest pańską córką. Wiem, że podarował jej pan telefon komórkowy. Wiem też, że nawiązał pan z nią kontakt za plecami i wbrew woli jej matki.

– Jej... matka nie ma prawa odmawiać ojcu kontaktu ze swoją córką, krwią z jego krwi. Jej matka nie miała prawa nadać jej nazwiska po sobie, jak jakiemuś bękartowi. Jej matka... Jej matka to zakłamana nierządnicą.

Joann wprowadziła już Morharta w szczegóły. Kiedy miała dwadzieścia jeden lat, parę lat po skończeniu szkoły średniej w Oklahomie, zaszła w ciążę z bezrobotnym, żonatym mężczyzną, którego poznała w lokalnej mordowni, do której oboje chętnie zaglądali. Kiedy dowiedziała się o ciąży, zastanawiała się, czy ojciec zaoferuje, że opuści swoją żonę, z którą nie mógł mieć dziecka, czy będzie gotów płacić na jego utrzymanie w zamian za jej milczenie? Gdy poinformowała Hardyego o tej sprawie, nie wiedziała, czego się spodziewać.

Nie przewidziała jednak, że mężczyzna wpadnie w gniew. Więcej niż gniew. Gdy Joann o tym opowiadała, Morhart czuł, mimo upływu tak wielu lat, jak okropnie musiała ją wówczas upokorzyć pogarda i nienawiść ze strony pierwszego mężczyzny, któremu zaufała i którego pokochała. Widząc go teraz, Morhart mógł łatwo wyobrazić sobie, jakich słów Hardy wtedy użył. *Kusicielka. Oszustka. Nic, tylko kłopoty. Jeśli potrafiłaś rozłożyć nogi przed żonatym mężczyzną, to skąd mam mieć pewność, że to dziecko w ogóle jest moje?*

– Powiedziała mi, że je zabiła – powiedział Hardy cichym głosem, w którym zgrzytał wściekły gniew. – Czy można wyobrazić sobie coś gorszego?

Joann nie zamierzała na całą resztę życia wikłać siebie i swoją córkę we współzycie z kimś takim. Postanowiła zacząć wszystko od nowa. Przed wyjazdem z Oklahomy zobaczyła się z nim jeszcze tylko jeden raz. Powiedziała, że usunęła ciążę. Powiedziała, że nie chce kontynuować związku z żonatym mężczyzną. Przeprowadziła się na północ, do Jersey, i

przystąpiła do nauki w technikum, jednocześnie pracując na pełen etat. Uznała, że Hardy wróci do swojego zwykłego życia, z tą samą pozwalającą na wszystko żoną i nową dziewczyną do towarzystwa.

Ale tak się ewidentnie nie stało.

– Oboje z Lindą byliśmy już pod pięćdziesiątkę, kiedy poznałem Joann.

– Joann była dość młoda, by być pańską córką.

– Byłem wtedy innym człowiekiem. Zmieniłem się. Linda nie mogła dać mi dziecka. Obwiniała o to mnie. Mówiła, że nic nie umiem zrobić, nawet dziecka. W końcu powiedziałem jej, że wiem, że to ona jest bezpłodna. Wiedziałem, że mogę być ojcem. Ale ta... ta kobieta... Wiem, nie byłem dla niej miły, kiedy poinformowała mnie o dziecku. Ale ona je zabiła. Zamordowała. A przynajmniej tak wtedy myślałem. Nie mogłem tego znieść. A Linda nie zniosła prawdy, kiedy wyznałem jej zdradę, gdy w końcu zwróciłem się do Jezusa Chrystusa o wybaczenie.

Morhart nie chciał słuchać samolubnej opowieści Hardyego o tych dawnych wydarzeniach. Nie chciał zrozumieć jego stanowiska.

– Jak dowiedział się pan o istnieniu Becci?

– Zacząłem szukać Joann. Chciałem jej powiedzieć, jak jej decyzja ostatecznie skierowała moje kroki na ścieżkę zbawienia i odkupienia grzechów. Chciałem, żeby poznała miłość, siłę i duchową dojrzałość, którą osiągnąć można jedynie przez Boga, objawionego nam jako Ojciec, Syn i Duch Święty.

– Więc znalazł ją pan.

– Dziewiętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć. Tyle zapłaciłem za internetowe wyszukiwanie osoby po nazwisku i dacie urodzenia. Urodziny Joann wypadają w Dzień Św. Patryka. Łatwo zapamiętać. Okazało się, że jakieś sześć i pół miesiąca po wyjeździe z Oklahomy urodziła dziewczynkę. Może i nie byłem na studiach, ale mam dość oleju w głowie, by dodać dwa do dwóch.

– Dlaczego nie zapytał się pan Joann, czy może pan kontaktować się z córką?

– A pan by pytał, po tym co zrobiła? Błagałby pan o to, co panu należne na mocy tak ludzkiego, jak i boskiego prawa? Jeśli tak, to co z pana za mężczyzna?

– Więc jak to się odbyło? Pewnego pięknego dnia pojawił się pan i zrobił piętnastolatce niespodziankę? „Witaj, kochanie, to ja, twój tatuś”?

– Napisałem e-maila. Oczywiście, gdyby chciała, mogła pójść z tym do matki. Tymczasem poprosiła mnie o spotkanie.

– Wierzę, że starał się pan nie krytykować przesadnie wyborów, które dokonała jej

matka za młodu.

– Przedstawiłem jej prawdę. Powiedziałem, jak informowano mnie, że nie żyje. Jak odmówiono mi wyboru. Jak jej matka okłamała nas oboje. Powiedziała jej, że jestem bezwartościowym nierobem, który nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

Czy jest kłamstwem coś, co piętnaście lat temu było prawdą? Joann była taka dumna ze swojego, jak się jej zdawało, bliskiego kontaktu z córką. „Jesteśmy czymś więcej, niż tylko matką i córką”, powiedziała. „Jesteśmy przyjaciółkami”. Morhart ledwie mógł sobie wyobrazić, jaki Becca czuła ból, dowiadując się z ostrych niewątpliwie słów tego człowieka, że matka odmówiła jej prawdy dotyczącej czegoś tak podstawowego, jak to, skąd się wzięła.

– Mówi mi pan to wszystko z własnej woli, nie mogłem jednak nie zauważyć, że nie zapytał mnie pan, dlaczego tak wypytuję o pańską córkę.

– Nie jestem kimś, kto miałby podważać autorytet oficera policji.

– Nie namawiam pana do tego. Po prostu wydaje mi się, że ojciec, który tak bardzo kocha swoją córkę, żeby wytropić ją na drugim końcu kraju, będzie zaniepokojony, kiedy zacznie się o nią dopytywać policja.

– „Niech się nie trwoży serce wasze. Wierzycie w Boga? I we mnie wierzcie”.  
Ewangelia według św. Jana 14,1.

– Przepraszam, a co dokładnie pan przez to rozumie?

Hardy uśmiechnął się do niego uśmiechem cierpliwego rodzica, który czeka, aż dziecko poradzi sobie z wiązaniem sznurówek.

– Już nie próbuję odgadywać, jakie trudy mnie czekają.

– Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z Beccą?

– Nie jestem całkiem pewien.

– Proszę strzelać.

– Może z tydzień temu?

– Spotkaliście się?

– Rozmawiałem z nią.

– Nagle jest pan strasznie ostrożny w słowach, Wielebny. Rozmawiał pan z nią twarzą w twarz? Przez telefon? E-mailem?

– Przez telefon.

– Przez ten sam telefon, który podarował pan Beccie, żeby Joann nie dowiedziała się o pańskiej znajomości z jej córką?

– Z naszą córką. Tak jest.

– Zgaduję, że wie pan, że zgłoszono zaginięcie pańskiej córki.

Morhart zauważył, że oczy mężczyzny uciekają do góry, a następnie w prawo, jakby czytał jakiś widoczny tylko dla niego tekst.

– Widziałem wczoraj w gazecie.

– I nie uważa pan, by pana niedawne pojawienie się w jej życiu było wystarczającym powodem, aby zadzwonić na policję?

– Kontaktuję się z nią już od dwóch miesięcy, więc związek przyczynowo-skutkowy, jaki zdaje się pan tu widzieć, niespecjalnie do mnie przemawia. Martwiłem się o nią, to oczywiste. Dzwoniłem na jej numer, bezskutecznie. I nie przestałem się o nią modlić. Ale nie, nie uważam, żeby telefon na policję z mojej strony mógł w jakikolwiek sposób pomóc. Za to jestem pewien, że sprawiłby, iż jej matka zrobiłaby wszystko, by uniemożliwić nam dalszy kontakt po jej powrocie.

– Wydaje się pan być całkiem pewny, że Becca wróci.

– „Zrzuć swą troskę na Pana, a On cię podtrzyma; nie dopuści nigdy, by miał się zachwiać sprawiedliwy”. Księga Psalmów 55, 22.

– A co Bóg miałby do powiedzenia na temat morderstwa, popełnionego wczoraj w galerii, którą zeście akurat oprowadzali?

– Policja już mnie o to wypytywała. Zapewniłem, że ani ja, ani nikt z moich ludzi nie był w to zamieszany. Ale z drugiej strony: „Człowiek, mimo upomnień uparty, nagle dozna klęski – nie ma dla niego leku.” Księga Przysłów 29,1.

– Więc sobie na to zasłużył, to ma pan na myśli?

Na twarzy Hardyego ponownie pojawił się cierpliwy uśmiech.

– Jeszcze jedno pytanie i może pan wracać do ratowania świata, Wielebny. Ci ludzie z policji miejskiej, z którymi rozmawiał pan o morderstwie. Wspomniał im pan może o zaginięciu córki?

– Przyznam, że nie widzę związku, panie detektywie.

Po powrocie do wozu Morhart podkreślił ogrzewanie, po czym zadzwonił pod numer Nowojorskiego Departamentu Policji i poprosił o kontakt z detektywem, który zajmuje się sprawą wczorajszego morderstwa w Galerii Highline. W wielkim mieście rzeczywiście wszystko było inaczej. Okazało się, że śledztwo prowadzi nie jeden, ale dwóch detektywów: John Shannon i Willie Danes, z trzynastego posterunku.

– Więc spędził pan popołudnie z Wielebnym, co? Cytował panu jakieś wersety?

Willie Danes był dużym mężczyzną o dużych rękach, dużej głowie i z wałkiem tłuszczu powyżej kołnierzyka. Raz po raz zerkał na zaczęta kanapkę z pastrami, która leżała

na jego biurku, z czego Morhart wywnioskował, że powinien się streszczać.

– Nasłuchałem się dziś na chodniku w SoHo więcej kazań niż przez trzy ostatnie Boże Narodzenia razem wzięte.

Zaczerpnął powietrza, aby jeszcze raz przypomnieć Danesowi, po co dzwonił.

– Nie chciałbym nikomu nadepnąć na odcisk, ale jeśli to samo nazwisko pojawia się w dwóch różnych dochodzeniach, moglibyśmy chyba przynajmniej wymienić się informacjami.

– Jak dla mnie, brzmi sensownie. Od razu przyjrzelśmy się Hardyemu. Problem polega na tym, że mamy nagranie z ulicznej kamery, na którym Hardy o dziesiątej w środę wieczorem wchodzi do zawieszanej budy w Chinatown, gdzie się zatrzymał, i nie wyściubia stamtąd nosa aż do dziewiątej rano. Lekarz mówi, że ofiara zmarła około szóstej, siódmej rano. Hardy jest czysty.

– Mi jednak nie daje spokoju fakt, że moją zaginioną i wasze ciało łączy jedna i ta sama osoba, a oba wydarzenia miały miejsce w przeciągu kilku dni.

– Niektórzy mają chujowe szczęście.

– Czytałem, że Hardy protestował z powodu jakichś nagich zdjęć w galerii?

– Nie wyglądały zbyt poważnie jak na dzisiejsze standardy, ale tak, było tam trochę fotografii w stylu sadomaso. Dość, żeby zdenerwować kogoś takiego jak nasz Wielebny. Nie byłoby wielkiej sprawy, ale ludzie Hardyego wysunęli oskarżenie, że użyto nieletnich modelek. Galeria łatwo mogłaby coś takiego zdemontować, ale zamiast tego – kompletna cisza w eterze. Nagle Hardy miał w rękach medialny hit, a zaraz później pojawił się trup.

– Jak bardzo nieletnich?

– Trudno powiedzieć, czy w ogóle były to nieletnie dzieciaki, na pewno dojrzałe płciowo. Strona internetowa artysty zniknęła. Prawdę mówiąc, nie umiemy nawet stwierdzić, czy w ogóle istniał. A czemu pan pyta?

– Becca, moja zaginiona. Niedawno była prześladowana przez dzieciaki w szkole z powodu nagich zdjęć, jakie sobie zrobiła.

– Cyberseks, co? Jako ojciec dwóch córek powiem panu, że przez gówno tego rodzaju zaczynam się zastanawiać, czy nie lepiej może byłoby mieć synów. Więc mówi mi pan, że pańską sprawę i naszą sprawę łączą nie tylko osoba Hardyego, ale również ten wątek ze zdjęciami?

– Plus, z tego co wiem, Hardy nie wspomniał wam o zaginięciu córki, kiedy skontaktowaliście się z nim w sprawie morderstwa. No wie pan, znika pańska niedawno odnaleziona córka, nie chciałby pan o tym rozmawiać z każdym gliniarzem, jaki się panu napatoczy? Mówię panu, Hardy coś przede mną ukrywa. Liczę na to, że mi pan uwierzy.

Danes widział go dzisiaj pierwszy raz w życiu, więc kiedy odpowiedział długim spojrzeniem, Morhart rozumiał, że jest poddawany ocenie.

– Cholera. Ma pan jakieś odciski tej pańskiej dziewczyny?

– Becci Stevenson? Pewnie.

– Świetnie. Niech mi je pan przyśle. Porównamy je z tymi, które mamy z galerii. Niech pan przyśle też te zdjęcia. Sprawdzimy, czy pasują do tych naszych tak zwanych dzieł sztuki.

Morhart opuścił trzynasty posterunek z myślą, że jego wyprawa do miasta nie poszła na marne.

Dziesięć minut po tym, jak samochód Morharta opuścił Tunel Lincolna, odezwał się telefon na biurku Willie Danesa. Przełknął jeszcze ostatni kęs kanapki z pastrami i sięgnął po słuchawkę. Nazwisko rozmówcy nic mu nie mówiło, ale detektyw od razu się rozpromienił, gdy tylko usłyszał, że kobieta dzwoni w imieniu sekretarki z biura rejestrów i ma informacje odnośnie firmy ITH.

– Tak, o tę firmę chodziło. Ich pakiet akcji jest w posiadaniu jakiegoś trustu, ale miałem nadzieję, że znajdziecie jakieś nazwisko związane z założeniem firmy w 1985 roku.

– Nawdychałam się tyle kurzu, że chyba powinnam wystąpić o dodatek zdrowotny, ale udało mi się znaleźć oryginał aktu założycielskiego. Obawiam się, że jedyne, co dla pana mam, to nazwisko prawnika, który służył jako doradca: Arthur Cronin.

Podziękowawszy kobiecie wylewnie, Danes poszukał w internecie biura Arthura Cronina i był mile zaskoczony, kiedy okazało się, że mimo upływu tych wszystkich lat prawnik nadal prowadzi praktykę. Podniósł słuchawkę telefonu, przygotowując się już na rozmowę. *Tajemnica zawodowa. Prawniczy prestiż. Żadnych informacji bez nakazu.* Ktokolwiek stworzył tę firmę tylko po to, by powierzyć jej akcje tajemniczemu trustowi, na pewno nie chciał zostać odnaleziony.

Mimo to detektyw gotów był przejść przez wszystkie niezbędne szykany. Wprowadził kierunkowy, zerknął jeszcze raz na zdjęcie Cronina, widoczne na witrynie internetowej prawniczej kancelarii, i zamarł. Arthur Cronin. To nazwisko. Ta twarz. Coś mu to mówiło.

Wpisał „Arthur Cronin” do wyszukiwarki i wcisnął enter. Sześć stron z wynikami dalej odnalazł znajomy artykuł. Widział go już wczoraj, kiedy zbierał informacje o Alice Humphrey. Było to czołobitne sprawozdanie z premiery filmu jej ojca. Jego ostatniego wielkiego filmu, przed finansową klapą opowieści o wojnie w Afganistanie. I na krótko przed skandalami seksualnymi. Na fotografii, która ilustrowała artykuł, promieniście otaczała

reżysera czwórka osób: jego żona Rose, syn Ben, córka Alice. Oraz wierny przyjaciel, Cronin.

### *Rozdział 30*

– Kurwa, mam poczucie winy. Ja tu od piętnastu minut siedzę i narzekam na przejebany dzień w pracy z Gorylem, podczas gdy ty cały dzień spędziłaś w Strefie Mroku.

Lily zrzuciła wysokie obcasy i zajawszy sofę, rozciągała mięśnie goleni, przyciskając tułów do swoich nóg.

– Nie wiem, co mam robić. Jeff mówił mi, żebym więcej nie rozmawiała z policją bez udziału prawnika, ale czy to nie będzie jak przyznanie się do winy?

– A skąd ja mam wiedzieć? Wszystkiego, co wiem o prawie, dowiedziałam się z telewizji.

– No cóż, w telewizji gliniarze od razu podejrzewają każdego, kto zasłania się prawnikiem. Ale z drugiej strony, każdy, kto mówi, tylko kręci sobie na szyję jeszcze grubszy powróż. Wygląda na to, że cokolwiek zrobię, mam przegwizdane.

– Ciągle nie wiem, czy ogarniam to wszystko rozumem. Więc myślisz, że historia z galerią była zmyślona od początku do końca?

– Na to wygląda. Poznałam Drew, kiedy wydawał się kupować obraz dla tego samego tajemniczego klienta, który miał chcieć otworzyć galerię, ale przy zakupie użył fałszywego nazwiska, a transakcja nigdy nie doszła do skutku. W agencji nieruchomości powiedział, że to ja nazywam się Drew Campbell.

– A to ITH? Co to takiego?

– Nazwa firmy, za pomocą której mój hipotetyczny szef finansował galerię. Jeff obiecał, że spróbuje pokopać w rejestrach firm. Najgorsze jest jednak to, że mój udział w tym wszystkim nie był raczej przypadkowy. Drew udawał, że kupuje ten obraz, jeszcze zanim mnie w ogóle spotkał, co znaczy, że zaplanował ten cały przekręt z góry. No cóż, jakie są szanse na przypadkowe znalezienie w świecie sztuki kobiety, która akurat desperacko szuka pracy?

– Sądzisz, że udał się tam specjalnie, żeby cię znaleźć?

– W przeciwnym razie to nie ma sensu. Napisałam na Facebooku, że zamierzam iść na imprezę. Łatwo mnie tam było znaleźć. Upewnił się, że widzę, jak negocjuje zakup płótna, żebym łatwiej uwierzyła w jego szaloną historyjkę o galerii i anonimowym sponsorze.

– Ale po co to wszystko?



– Nie wiem. Nie mogę znaleźć żadnych informacji o firmie, która wydaje się stać za tą galerią. Strona internetowa Hansa Schulera zniknęła. Teraz nawet nie jestem pewna, kim tak naprawdę był Drew Campbell. Agentce w biurze nieruchomości i właścicielce galerii przedstawił się jako Steven Henning. Zadzwoiłam na informację i dowiedziałam się, że istnieje około siedemdziesięciu ludzi o tym nazwisku.

– No nie żartuj, kobieto. Stać nas na więcej. Daj mi laptop.

Lilly otwarła ekran i wpisała w Google „Steven Henning”.

– Tego już próbowałam, Lily. Znalazłam jakiegoś księgowego, jakiegoś Dj-a i kogoś, kto prowadzi restaurację z homarami. Do niczego nie doszłam.

– A sprawdzałaś Facebooka? Jeśli śledził twój profil, to może miał i własny.

Alice od razu poczuła się głupio, że sama na to nie wpadła.

– Osiemdziesiąt sześć wyników – odczytała znad ramienia Lily.

– I to nawet nie licząc Steveow. Czekaj.

Kliknęła na przycisk „Filtruj” i wpisała „Nowy Jork” w okienko „Miejsce zamieszkania”.

– Skąd ty się tego nauczyłaś?

– Szpiegowałam w Internecie wszystkich mężczyzn, których poznałam w ciągu ostatnich siedmiu lat. Szlag.

Ekran wyświetlił informację, że w Nowym Jorku nie było żadnych Stevenów Henningów.

– Da się jakoś zaznaczyć całą okolicę? Z Jersey i Connecticut?

– Nie wydaje mi się. Chyba będziemy musiały sprawdzić wszystkich po kolei.

Były w połowie szukania, kiedy nagle zadzwonił telefon. Alice poczekała, aż odezwie się automatyczna sekretarka.

– Pani Humphrey, mówi Robert Atkinson. Jestem dziennikarzem z Empire Media.

– Ooo, jesteś sławna – zażartowała Lily.

– Szszsz!

Alice przypomiwała sobie tę nazwę. Atkinson był jednym z dziennikarzy, którzy zadzwonili do galerii tego dnia, gdy zebrali się pod nią demonstranci z Kościoła Redemptorystów Chrystusowych.

– Chciałbym zamienić z panią parę słów, kiedy będzie pani miała czas.

– Może powinnam zadzwonić.

– Odbiło ci? Czy przypadkiem Jeff nie kazał ci trzymać buzi na kłódkę?

– Nie zaszkodziłoby przedstawić moją wersję wydarzeń.

– Tyle że to jeszcze bardziej wkurzy gliny, a ty będziesz związana wszystkim, co wydrukują. Jezu, kobieto, może jednak powinnaś oglądać więcej telewizji. Nie dzwoń do niego.

Alice nie protestowała, gdy Lily przeszła do kuchni i wcisnęła przycisk kasowania na jej sekretarce.

– No.

Dokończyły przeczesywanie profili na Facebooku, szukając zdjęcia, które przypominałoby Drew Campbella, ale okazało się to stratą czasu.

– Gość jest martwy, a ja mam wrażenie, że sama chciałabym go zabić, choć nawet nie wiem, kim on, kurwa, był!

Zdała sobie sprawę, że wykrzyczała końcówkę tego zdania.

– Dlaczego ktoś chciałby mi coś takiego zrobić? Boję się, Lily. Boję się policji. Boję się o moje życie. Boję się rzeczy, których nawet nie umiem sobie wyobrazić.

Alice nigdy wcześniej się tak nie rozkleiła przy Lily i widziała, że ta nie wie, jak zareagować. W końcu Lily poklepała ją po kolanie i powiedziała, że nie mogą się poddawać.

– Dopiero zaczynamy. Jesteśmy dwiema inteligentnymi, zdolnymi i upartymi kobietami. Dotrzemy do sedna tej sprawy.

Alice otarła łzy wierzchem dłoni i spróbowała odzyskać kontrolę nad oddechem. Lily z powrotem skupiła się na laptopie. Wpisała „Drew Campbell” i wcisnęła enter. Ponad pięćset wyników. Alice znów poczuła, że ogarnia ją płacz, ale Lily zawężyła zakres poszukiwań do Nowego Jorku i lista skurczyła się do bardziej sensownych rozmiarów.

Oczy Alice oglądały jedno zdjęcie po drugim, szukając mężczyzny, który ją omamił. Mężczyzny, którego martwe ciało wczoraj znalazła.

Ale nie odnalazła twarzy tego mężczyzny. Jej uwagę za to przyciągnął inny obraz. Fotografia kobiety. Twarz najbardziej znajoma ze wszystkich.

Poczuła, jak ręka Lily odtrąca jej dłoń, jakby chroniła dziecko przed dotknięciem gorącej kuchenki, ale Alice i tak zdołała kliknąć na widniejące obok zdjęcia nazwisko. Drew Campbell.

Pojawiła się strona z podstawowymi informacjami. Płeć: kobieta. Lokalizacja: Nowy Jork, stan Nowy Jork. Edukacja: licencjat na Uniwersytecie Haverford, magister sztuki na Uniwersytecie Nowojorskim. Zatrudnienie: Galeria Highline.

Na profilu widniało to samo zdjęcie, które tego dnia rano w Hoboken pokazała jej agentka nieruchomości. Zdjęcie Alice z wesela Christiny Marcum. Zdjęcie, którego użyto do stworzenia fałszywego prawa jazdy na nazwisko Drew Campbell.

Kiedy klikała na zakładkę „zdjęcia”, poczuła, jak drży jej dłoń.

Stronę wypełniały fotografie z jej życia. Z Jeffem. Z Benem. Z jej najlepszymi koleżankami, Danielle, Anne-Lise i Maggie. W Paryżu i Rzymie, kiedy jeszcze było ją stać na takie wycieczki. Ale ze wszystkich tych zdjęć zostali usunięci jej znajomi – z wyjątkiem jednego, które, choć znajome, nie należało do jej życia.

Była to fotografia, którą dziś rano pokazali Alice policjanci. Fotografia na której jakaś ruda, cholernie podobna do Alice kobieta całuje mężczyznę znanego jako Drew Campbell. Wiedziała, że ten pocałunek zniszczy jej życie. Pocałunek, w którym nigdy nie wzięła udziału.

Pytała detektywów, skąd wzięli to zdjęcie. Teraz już wiedziała. Odkryli tę stronę w internecie. Mieli też kopię aktu najmu galerii. Wierzyli, że Alice prowadziła drugie życie jako Drew Campbell.

A jeśli tak, to wszystko, co mówiła, było kłamstwem.

### *Rozdział 31*

Hank Beckman czuł się jak umierający człowiek, który planuje swój własny pogrzeb. Podobnie jak ktoś, kogo wysłano do hospicjum na kilka ostatnich miesięcy życia i kto rozważa następstwa swojego nadchodzącego kresu, tak Hank wiedział, że śledzenie Travaisa Larsona przez ostatnie kilka dni jego egzystencji będzie mieć swoje nieuniknione konsekwencje.

Żeby poradzić sobie z tymi konsekwencjami, musiał stawić czoła trzem niedającym się podważyć prawdom. Po pierwsze, podzieli się swoją wiedzą z Nowojorskim Departamentem Policji. Nie miał wyboru. Nie był człowiekiem, który postawiłby swoją własną reputację ponad koniecznością znalezienia mordercy – nawet jeśli ofiarą był taki śmieć jak Travis Larson. I nawet, jeśli decyzja ta miałaby kosztować go emeryturę.

Po drugie, świat stróżów prawa był ogromnym i nieefektywnym morzem biurokracji. Żeby w nim pływać, trzeba było z jednej strony umieć się wśliznąć w różne miejsca i nie bać się intymnych kontaktów, a z drugiej, za wszelką cenę trzymać ze swoimi i nie zdradzać sekretów, nawet gdyby chciało się zachować bezosobowy profesjonalizm. Gdy tylko zwróci się do nowojorskiej policji, wieść o jego prowadzonym na własną rękę dochodzeniu trafia do Biura niczym świeżo wykluty łosoś.

Po trzecie wreszcie, Hank był człowiekiem, który nie unika odpowiedzialności za swoje czyny. Żadnego kręcenia, nieważne, jaką cenę przyjdzie zapłacić.

Kiedy Hank dodał do siebie tę pierwszą, drugą i trzecią prawdę, wiedział już, co musi zrobić. Począł cierpliwie, aż jego szef skończy przemowę do uczestników Akademii Obywatelskiej biura. Tom Overton, podobnie jak większość starszych agentów specjalnych, uwielbiał mitologię FBI. John Dillinger. Baby Face Nelson. Ma Baker. Rzucenie wyzwania Rodzinie Gambino i Aniołom Piekła Sonny ego Barger, możliwe dzięki aktowi RICO. Nowe, ogromnie zwiększone uprawnienia, które dał im Patriot Act. W pewnych kręgach typowy agent FBI postrzegany był jako nudziarz z kijem w tyłku, którego głównym zadaniem jest wypełnianie garnituru, ale wśród zasilających szeregi Akademii początkujących pisarzy, pasjonatów zbrodni i znudzonych emerytów Overton odnalazł posłuch i żywe zainteresowanie. Wrócił do swojego biura sprężystym krokiem i z uśmiechem na ustach.

Z uśmiechem, który zgasł, gdy tylko dostrzegł swojego gościa.

Hank przeszedł od razu do rzeczy. Wiedział, że miał zostawić Larsona w spokoju. Minęły dwa miesiące, odkąd udzielono mu reprimendy za czepianie się człowieka, który, jak to określił Overton, „zszedł się” z jego siostrą. Dwa miesiące, odkąd powiedziano mu, że miał szczęście, iż Larson nie pozwał jego i Biura za nękanie i stawianie fałszywych zarzutów. Dwa miesiące, odkąd Overton osobiście przekonał Larsona, żeby nie szedł do sądu z oskarżeniem Hanka o napaść.

– Nie dotrzymałem słowa. Jeśli pan chce, mogę dziś wręczyć panu rezygnację, ale najważniejsze jest to, żeby przekazać moje informacje nowojorskiej policji.

– Tylko nie to, Beckmann. Zgoda, gość jest oszustem, ale gdyby nie twoja siostra, nie mieszałbyś Biura...

– Nie, tym razem chodzi o coś zupełnie innego, Tom.

Był to zapewne pierwszy raz, kiedy Hank zwrócił się do Overtona po imieniu.

– Larson nie żyje. A ja chodziłem za nim na krótko, zanim go kropnęli.

Overton patrzył na niego przez pełne trzydzieści sekund, nim odpowiedział.

– Czy powinienem pytać, czy miałeś z tym coś wspólnego? Trzeba ci załatwić prawnika?

Gdyby Hank był sprytniejszy, pewnie przystałby na tę propozycję. Zamiast tego zapewnił Overtona, że nie ma nic więcej do ukrycia, ale potrzebuje wziąć wolne na resztę dnia, by móc złożyć wizytę detektywom, którzy prowadzą sprawę Larsona.

Na posterunkach policji zawsze panuje szczególna atmosfera, którą widać, słyszeć i czuć. Zupełnie inaczej jest w sterylnych biurach FBI, które łatwo można pomylić z pomieszczeniami przeciętnej firmy. Hank wziął udział w wystarczającej liczbie wspólnych

operacji, by umieć odczytywać wewnętrzny rytm posterunku nowojorskiej policji. W tej samej sekundzie, w której wkroczył do wydziału zabójstw, wiedział, że praca wre. Nie wszyscy detektywi siedzieli za biurkami. Poruszali się nieco szybciej niż zwykle. Papiery przechodziły z rąk do rąk. A kiedy cywilna urzędniczka przy wejściu skierowała go do pokoju przesłuchań na końcu korytarza, wiedział już, że to sprawa Trávisa Larsona była przyczyną tego zamieszania.

Detektywi, którzy prowadzili tę sprawę, pokryli każdy centymetr kwadratowy białej tablicy zapiskami w czterech różnych kolorach. Stolik pośrodku pomieszczenia zavalony był dokumentami i fotografiami. Na podłodze zaczynały gromadzić się sterty papierów.

W wąskim korytarzu Hank spotkał atrakcyjną blondynkę. Poczł zażenowanie, gdy dostrzegła, jak gapi się na jej odznakę, powieszoną na łańcuszku pod uszytą na miarę bluzką. Odetchnął z ulgą, gdy posłała mu rozbawiony uśmiech, a nie zawartość kubka z kawą, który trzymała w dłoni.

– Niech zgadnę, jest pan z federalnych?

– Z Biura.

– Do Shannona i Danesa?

– Tak mi powiedziano.

– Aha. Spodoba im się to.

Hank podejrzewał, że detektywom faktycznie spodoba się to, co miał im do powiedzenia. Rozumiał powody całego tego napięcia na linii federalni – lokalna policja. Prawdę mówiąc, nie zawsze był pewny, czy stoi po właściwej stronie. Gliniarze rozwiązywali więcej spraw w krótszym czasie i korzystając z bardziej ograniczonych zasobów. Federalni pojawiali się zwykle po to, by zagarniać im sprzed nosa głośne i medialne sprawy. Ale tym razem agent federalny wchodził na ich podwórko z podkulonym ogonem. O tak, zdecydowanie im się to spodoba.

Gdy tylko mężczyzna z wykałaczką w zębach usłyszał, kim jest Hank, od razu przepędził go z pokoju narad.

– Porozmawiajmy w sąsiednim pomieszczeniu. Po co ma pan się tu męczyć.

Przedstawił się jako Willie Danes. Hank nie zamierzał owijać w bawełnę.

– Wątpię, by szczegóły były teraz ważne, ale mam, można powiedzieć, na pieńku z Travisem Larsonem. Od dłuższego czasu miałem go na oku, więc uznałem, że powinienem wam powiedzieć, w razie gdyby to, co widziałem, mogło się wam przydać w śledztwie.

– Travis Larson, tak?

– Jak rozumiem, jest pan jednym z detektywów, którzy prowadzą tę sprawę.

Znaleźliście trupa w galerii przy ulicy Waszyngtona, prawda?

– Tak, jasne. Travis Larson.

– Nie zidentyfikowaliście go jeszcze, jak rozumiem?

– Nie powiedziałem...

– Słuchaj pan. Nie robię tu z pana idioty. Gość był zręcznym oszustem. Przez pięć miesięcy chodził z moją siostrą, używając zmyślnego imienia. A ona nie była głupia. Tym razem też miał jakąś fałszywą tożsamość?

Spojrzenie Danesa umknęło ku drzwiom na korytarz, jakby zastanawiał się, czy nie przekazać dalszej rozmowy partnerowi, ale coś w twarzy Hanka musiało mu powiedzieć, że tym razem agent federalny przyszedł tu nie dla własnej korzyści.

– Zero dokumentów. Żadnego portfela. Telefon bez umowy. Nawet odciski palców niczego nie wyjaśniły. Mam rozumieć, że ani razu nie wpadł?

– Zwinąłem go za próbę oszustwa na mojej siostrze. Niestety, ta decyzja została podjęta chwilę po tym, jak powiedział o niej parę niewybrednych słów, a ja dałem mu w gębę.

– Jezu. Przypomnij mi pan, żebym trzymał się z daleka od pańskiej siostry.

– Ellen nie żyje. Wjechała w bok potrójnego tira. To miał być dzień jej ślubu.

– Zatem Larson miał szczęście, że skończyło się na daniu w gębę.

– Prawnik był odmiennego zdania. Podobnie jak Biuro. Zagroził, że wniesie sprawę do sądu. Przygotował pozew. Dostał oficjalne przeprosiny, a dane o aresztowaniu wymazano z rejestrów, włączając w to fotografie i odciski palców. Dlatego nic pan nie znalazł.

– Zna pan jego adres?

Hank sięgnął do marynarki i podał mu wizytówkę z adresem Larsona wypisanym na odwrocie. Podał mu też sześć stron maszynopisu z podsumowaniem wszystkiego, czego dowiedział się z ostatnich obserwacji. Dopiero kiedy Danes przeglądał te kartki, Hank pojął, że jego wyprawy naprawdę się skończyły. Już nie będzie w nocy gapił się w sufit, rozmyślając, czy Larson nie zaleca się właśnie do kolejnej kobiety z dobrego domu. Czy cieszy się życiem? Czy choć raz wspomniał o Ellen?

Hank poczuł zadowolenie z faktu, że ten człowiek już nie żył.

– Widział go pan w szarym BMW, tak?

– Skradzionym miesiąc temu z QuickCar. Wszystko tam jest.

– To wiedzieliśmy. Znaleźliśmy go trzy przecznice na południe od galerii. Był otwarty, kluczyki w stacyjce. Komuś zależało, żeby go ukradli.

– Ostatnio widziałem ten wóz, kiedy Larson zaparkował go naprzeciwko galerii. Po czym go zamknął.

– Skąd pan wie?

– Bo musiałem użyć bagnetu, żeby włamać się do środka.

Danes zarechotał, po czym zaczął od początku, najpierw wypytyjąc Hanka o najważniejsze fakty odnośnie Trávisa Larsona, a następnie tworząc kalendarz poczynañ ofiary w oparciu o jego ostatnie obserwacje.

– Mówi pan, że w jego mieszkaniu była jakaś ruda dziewczyna?

– Tak. Przyjechała pociągiem albo mieszka w pobliżu, bo przyszła piechotą.

– Proszę chwilę poczekać.

Kiedy wrócił, wręczył Hankowi kubek z kawą. Agent wypił ją, choć napój był gorzki. Danes przyniósł też dwie fotografie, które położył na stole przed agentem.

– To ona?

Nie w ten sposób identyfikowało się osoby w Biurze. Zawsze lepiej jest użyć sześciopak. Kilka opcji do wyboru, na wypadek, gdyby wiedza świadka nie była tak dokładna, jak twierdził. Najlepiej jedno zdjęcie po drugim, nie wszystkie naraz. Hank zastanowił się chwilę nad zdjęciami. Pierwsze było charakterystycznie rozmazane, jak wszystkie przeskalowane wydruki obrazów cyfrowych o niskiej rozdzielczości. Najwyraźniej przedstawiało pocałunek Larsona i kobiety, którą agent widział koło jego domu w Newark. Te same rudoblond włosy. Nawet to samo krzykliwe palto. Drugie zdjęcie było ostrzejsze i widać na nim było kobiecą twarz. Tę fotografię Hank widział już wcześniej w sieci. Menedżerką galerii. Córka Franka Humphreya. Jak jej było? Alice.

– Tak, to ona.

– A widział pan kiedyś Larsona z jakąś inną osobą? Może z młodszą dziewczyną? Na przykład w wieku licealnym?

Hank potrząsnął głową.

– A może zamieszany był w jakieś sprawy wyznaniowe? Kościoły, grupy religijne, tym podobne?

– Jeśli Travis Larson wybrał się kiedyś do kościoła, to tylko po to, by kraść z tacy. Czemu pan pyta?

– To tylko pewne wątki, które rozpracowujemy, nic szczególnego. Myślę, że na razie już mamy wszystko, czego od pana potrzebowaliśmy. Dziękuję, że pan do nas przyszedł. Mam nadzieję, że nie ma pan przez to wielkich problemów w Biurze.

– Jest pan pewny, że to już wszystko? Bo, może mi pan wierzyć, zapewne wiem o Travisie Larsonie więcej niż jego własna matka, o ile ją w ogóle miał. To typ kolesia, który jedną ręką podrabia czeki a drugą rozprowadza fałszywe bilety na koncert i wciska Sudafed

dilerom amfetaminy, jednocześnie rozglądając się za kolejną kobietą, która go będzie utrzymywać. Nie zdziwiłbym się, gdyby znalazło się ze sto osób, które pragnęły jego śmierci.

Danes nadal milczał. Nie podjął oczywistego tropu.

Idąc za Danesem przez korytarz i mijając pokój przesłuchań, wypełniony dowodami w sprawie śmierci Larsona, Hank poczuł narastający niepokój. Jak sam właśnie oświadczył, przebywał na ulicy pod galerią tuż przed śmiercią Larsona. Oświadczył, że miał motyw. Przyznał się, że chodził za ofiarą przez cały zeszły tydzień. Sam podał się detektywowi na srebrnej tacy jako podejrzany, a tamten nie zająknął się ani słowem.

Danes zrobił na nim wrażenie porządnego człowieka. Zapewne miał jak najlepsze intencje jako glina. Ale Hank już widywał takie sytuacje. Ci detektywi nie zdołali nawet zidentyfikować ofiary, zanim Hank nie zrobił tego za nich, ale za to wiedzieli już, kto jest mordercą. Nie chcieli wiedzieć niczego więcej. Wszystkie pozostałe dowody będą dopasowywać do historii, którą już napisali.

Wyrzucił wypełniony w połowie kubek do kosza przy wyjściu.

### *Rozdział 32*

Były takie czasy, kiedy Alice traktowała Upper East Side jak własne podwórko. Rezydencja przy Siedemdziesiątej Drugiej. Zakupy przy Madison Avenue. Hamburgery u P. J. Clarkea. Sobotnia herbatka z mamą w sali jadalnej zarządu Metropolita Museum of Art.

Patrząc wstecz, widziała teraz, jak dziwne było, że jej lewicujący, liberalni rodzice wybrali właśnie tę okolicę, której mieszkańcy nieraz tęsknie spoglądali na drugą stronę Central Parku i panującą tam śmiałość noszenia dzinsów. Ale to na Upper East Side mieściły się niemal wszystkie ekskluzywne szkoły dla dziewcząt w mieście, a matka zawsze stawiała komfort Alice ponad komfortem Bena. Ojciec nigdy nie czuł się w tej części miasta jak w domu, ale uległ matce, bo i tak, jeśli nawet akurat nie przebywał w Los Angeles ani w plenerze, to zwykle mieszkał w willi w Bedford.

Jednak dziś przyjechał do miasta specjalnie na spotkanie z Alice i nalegał, by przyszła. Zadzwoiła do drzwi, po czym poszła za asystentką – Mabel, jak sobie przypominała – do frontowej bawialni. Mabel miała około pięćdziesiątki, zachowywała się bardzo profesjonalnie i wyglądała dokładnie tak, jak wskazywałoby na to jej imię. Zastąpiła młodszą i bardziej atrakcyjną asystentkę jakiś rok temu, zaraz po wybuchu skandalu. Kobieta, która wyglądała jak młodsza wersja Rose Samson, odeszła, a na jej miejsce pojawiła się Mabel.

– Głupio tak dzwonić do własnego domu, co?



Jej ojciec ubrany był w gruby, szary sweter. Kiedy pochylił się, by pocałować ją w policzek, rozniósł się zapach mydła i świeżego cedru.

– Byłoby to dość bezczelne, gdyby dorosła kobieta wchodziła do domu rodziców bez pytania.

– *Touché*. Nie muszę ci pozwalać, żebyś usiadła, prawda?

Zajęła swoje zwykłe miejsce na fotelu z połowy stulecia i machnięciem dłoni podziękowała Mabel, która zaproponowała jej aperitif z barku na kółkach. Wiedziała, że ojciec wezwał ją tu z konkretnego powodu, więc nie tracąc czasu, opowiedziała mu skróconą wersję wciąż niewyjaśnionych wydarzeń, które umieściły ją i jej byłego pracodawcę na stronach „Daily News” poświęconych zbrodni: „Morderstwo w Highline”.

– Mówisz mi o tym wszystkim, jak gdyby nigdy nic, Alice. Jakby to był po prostu kolejny etap twojego życia. Małżeństwo, przeprowadzka do St. Louis, powrót do domu, studia magisterskie, znalezienie trupa w galerii po przyjściu do, jak się okazało, nieistniejącej pracy. Gdzie jest szok? Gdzie przerażenie?

– To nie jest twój film, a ja nie jestem jedną z twoich gwiazdeczek. Uwierz mi, przeżyłam ostatnio tyle szoku, przerażenia i gniewu, że teraz nie czuję już nic.

– Lecz mimo to nie mogłaś do nas zadzwonić po pomoc? Musiałem cię praktycznie błagać, żebyś tu przyszła i powiedziała mi, co się dzieje. Tak bardzo chcesz mnie ukarać, że przy okazji karzesz samą siebie.

– Gdybym sądziła, że możecie mi pomóc, to bym was o to poprosiła. Tu nie chodzi o niezapłacony czynsz ani o spotkanie w sprawie pracy. Pieniądze ani telefony tego nie załatwią.

– Więc wydaje ci się, że tylko to potrafię? Dawać pieniądze i rzucać nazwiskami ludzi z Hollywood?

– Nie, nie to miałam na myśli, tato. Nie chciałam, żebyście się martwili.

– Zawsze się o ciebie martwimy, maleńka.

Nazywał ją tak odkąd sięgała pamięcią. Kiedy była nastolatką, czasami miała ochotę z tego powodu krzyknąć, ale teraz musiała przyznać, że nawet jej się to podobało. Lubiła ten znajomy pokój. Lubiła siedzieć w tym fotelu. Chciała zamknąć oczy i uwierzyć, że jej ojciec wszystko naprawi.

– Policja ewidentnie uważa, że to ja sama założyłam galerię. A skoro co do tego kłamałam i jednocześnie byłam osobą, która znalazła ciało, to potrafię sobie wyobrazić, co o tym myślą. Naprawdę boję się, tato. Boję się, że mnie zamkną z powodu Bóg wie jakich dowodów, które ktoś przeciwko mnie sfabrykował. Boję się też, że ktokolwiek zabił Drew,

przyjdzie i po mnie. Ale jeśli dla bezpieczeństwa wyjadę z miasta, potraktują to jako przyznanie się do winy. Dlaczego ktoś zrobił mi coś takiego? Nie mogę tego pojąć.

Otarła łzę.

– Widzisz? Dlatego nie okazywałam szoku ani strachu. Robię, co mogę, żeby się całkiem nie rozkleić.

– Ci gliniarze to pewnie biurokraci, którzy chcieliby zrobić karierę dzięki powieszeniu atrakcyjnej, bogatej dziewczyny o sławnym nazwisku. Nie mogą chyba naprawdę myśleć, że...

– Tato, w kontrakcie jest moje nazwisko i moje zdjęcie. Mają też zdjęcie, na którym całuję się z facetem, który wedle moich własnych słów mnie zatrudnił. Ich wersja jest tak racjonalna, że czasami zastanawiam się, czy to ja nie postradałam zmysłów.

– Cóż, może to nie jest coś, w czym twoim zdaniem potrafiłbym pomóc, ale będę nalegać. Więcej z nimi nie rozmawiaj bez prawnika.

– Jeff powiedział mi to samo, ale myślę, że to by tylko potwierdziło moją winę.

– Poszłaś z czymś takim do Jeffa? Nie, nie, potrzebujesz kogoś dobrego. Pozwól, że zadzwonię do Arthura. Arthur prowadził sprawy w sądzie, kiedy Jeff jeszcze był w pieluchach.

– Jeff był wśród dziesięciu procent najlepszych absolwentów szkoły prawniczej. Ma własną firmę. Jest w pełni kompetentny, by chronić mnie podczas policyjnego przesłuchania.

Arthur natomiast brał udział w orgiach na pokładzie twojego prywatnego odrzutowca, chciała dodać. Udawał przyjaciela i powiernika rodziny, choć wiedział wszystko o twoich romansach. Co chwilę wpadał na weekend do chatki dla gości przy rezydencji w Bedford, chatki, którą żartobliwie nazywał „swoją daczą”. Tak, na pewno zaufam Arthurowi Croninowi.

– Tu nie chodzi o książkową wiedzę. Najważniejsza jest prezencja i reputacja. Czytałaś *Poza schematem*?

Pokręciła głową.

– Cóż, Malcolm mówi tam o czymś, co nazywa „inteligencją praktyczną”.

Odkąd jej ojciec parę lat temu zaprzyjaźnił się z Malcolmem Gladwellem, autorem książki, szermował cytatami z niego na lewo i prawo, nigdy nie mówiąc o nim inaczej niż po imieniu.

– Chodzi o umiejętność prawidłowego odczytywania sytuacji i wycucie, co powiedzieć i kiedy. Arthur Cronin skończył jakąś dziadowską szkołę na Florydzie, ale wyrobił sobie pozycję dzięki ciężkiej pracy. A Jeff? Jeff to dzieciak o wypranym mózgu,

który tak bardzo zapatrzył się w swój żaloszny drobnomieszczański ideał dwójki dzieci i białego płotka przed domem, że skrzywdził inteligentną, utalentowaną i mądrą dziewczynę. Skrzywdził cię, Alice. Pamiętam jak tamtej nocy dzwoniłaś do nas do Bedford. Byłaś tak poruszona, że ledwie cię mogliśmy zrozumieć. Wsiadliśmy do samochodu i popędziliśmy do miasta, baliśmy się, że zrobisz sobie krzywdę. Nasza śliczna, małeńka córeczka. Tak, strasznie się o ciebie baliśmy. A zrobił ci to ten dupek Jeff Wilkinson.

– To było dawno temu, tato.

Minęły już prawie trzy lata, odkąd Jeff nagle oświadczył, że ich związek nie ma przyszłości. On chciał mieć dzieci, a ona z pierwszego małżeństwa wiedziała, że nie może ich mieć. Nigdy nie ukrywała tego faktu przed Jeffem, ale pewnego dnia podczas kolacji w Babbo doszedł do wniosku (albo przynajmniej to wyraził słowami), że przyszłość z biologicznymi dziećmi znaczy dla niego więcej niż przyszłość z Alice. Później to wszystko próbował tłumaczyć wypitym winem, że niby wypowiedział to w złym momencie, ale z samych słów nie mógł się już wycofać.

– Przecież się nie zmienił. Pokazuje się na jakiś czas, po czym znów znika. Jest w twoim życiu, po czym znowu go nie ma. Nie chcę tego mówić, ale on cię wykorzystuje, Alice. Ten widok łamie mi serce.

– Kto jak kto, ale ty na pewno wiesz dużo o wykorzystywaniu kobiet.

Od razu pożałowała tych słów. Wiedziała też, że nie będzie mu nigdy w stanie wyjaśnić powodu, dla którego je wypowiedziała. Ojciec zawsze bezwarunkowo ją chwalił, nawet kiedy nie było za co. W czasach, kiedy jeszcze grała, mówił, że była absolutnie perfekcyjna, że w jednym spojrzeniu potrafi przekazać więcej ekspresji niż większość dziewcząt w jej wieku podczas pięciominutowego monologu. Każdy, kto ośmielił się ją skrytykować, był od razu skreślany jako zazdrośnik albo człowiek o zbyt ograniczonym umyśle, by pojąć przyszlą wielkość Alice.

Frank miał jak najlepsze intencje. Chciał córki, która będzie miała absolutną i niezachwianą wiarę w siebie. Ale kiedy Alice słyszała, że jest perfekcyjna, jednocześnie zdając sobie sprawę, że to nieprawda, zaczęła wymyślać – a z czasem internalizować – oczywiste kontrargumenty. Nie jestem perfekcyjna. Nie jestem lepsza od pozostałych dziewczyn w klasie. Nie jestem utalentowana. Nie jestem piękna.

Nawet teraz, kiedy ojciec nazwał policjantów idiotami, ona potrafiła jedynie myśleć o tym, jak bardzo racjonalny był ich punkt widzenia.

Ojciec mówił jej też, że jest za dobra dla kogoś takiego jak Jeff. Jeff, który zawsze mówił jej uczciwie, że chce mieć własne dzieci. Który mimo tego pragnienia zawsze

próbował znaleźć dla niej miejsce w swoim życiu. Który, kiedy się w końcu ożeni i będzie mieć dzieci, nigdy nie zrobi Alice tego, co zrobił jej ojciec. Nigdy nie odmówi jej rzeczy, których ojciec jej nie dał.

– Jest coś, w czym mógłbyś mi pomóc, tato.

Kiedy nic nie powiedział, poczuła ulgę. Najwidoczniej zaakceptował zmianę tematu.

– To jest zdjęcie, które ma policja, na którym ja niby całuję się z człowiekiem, znanym mi jako Drew Campbell. – Podała mu wydruk, który zostawili jej detektywi. – Albo ktoś użył Photoshopa, albo ta kobieta to ktoś bardzo podobny do mnie. Albo jedno i drugie. Jesteś w stanie stwierdzić, czy ktoś przy nim majstrował?

Chociaż jej ojciec zasłynął jako reżyser, był również uznawany za jednego z najlepszych zdjęciowców i fotografów na świecie.

– Trudno coś orzec tak na oko. Nie widzę żadnych oczywistych błędów. Liczba uszu się zgadza – powiedział z uśmiechem. – Podobnie jak perspektywa i cień. Jeśli mi je zostawisz, mogę przyjrzeć się mu dokładniej. Może pokażę je komuś od efektów specjalnych, jeśli nie masz nic przeciwko?

Przed wyjściem Alice podziękowała ojcu za pomoc i, po raz pierwszy od początku tego strasznie długiego roku, była w tym szczera.

### *Rozdział 33*

Od zaginięcia Becci Stevenson minęło pięć dni i Morhart czuł już, że sprawa traci impet. Zajmował się już sprawami zaginięć dzieci, ale zawsze znajdował rozwiązanie w przeciągu jednego lub dwóch dni. Poza jednym wyjątkiem dzieci przeważnie odnajdywano zdrowe. Zwykle okazywało się, że uciekły z domu albo miało miejsce zwyczajne nieporozumienie co do tego, kto gdzie zostaje na noc po pizama party. Nie lubił myśleć o tym jednym wyjątku, kiedy macocha i jej kochanek zaaranżowali porwanie, by wyłudzić okup od jej męża. Ciało chłopca znaleziono w zbiorniku retencyjnym Jersey City.

Co prawda Morhat nie zajmował się nigdy wcześniej długimi poszukiwaniami, ale widział w wiadomościach przebieg niektórych z nich. Były dzieci, które otrzymywały pełny asortyment usług – priorytetowe Bursztynowe Alarmy, artykuły na pierwszych stronach gazet i całodobową uwagę sieci kablowych. Inne pojawiały się tylko w pojedynczym artykule na jednej z ostatnich stron, po czym znikwały na dobre, tak z życia, jak i z mediów. Każdy, kto nie unikał szczerego spojrzenia na wciąż tkwiące w zbiorowej nieświadomości uprzedzenia rasowe, mógł łatwo stwierdzić, jak wielkie znaczenie miał w tym wszystkim kolor skóry.

Morhart nie mógł sobie przypomnieć ani jednego przypadku, w którym media podchwyciłyby sprawę z kolorową ofiarą. Ale tym razem chodziło o los względnie atrakcyjnej, białej dziewczyny. Morhart potrzebował jej twarzy w gazetach i telewizji, jeśli liczył na jakieś nowe tropy.

Problemem, jak podejrzewał, był wydźwięk sprawy. Becca nie była czirliderką ani prymuską. Była oderwaną od rzeczywistości córką samotnej matki, która zauważyła jej zniknięcie dopiero następnego poranka, bo w międzyczasie była zajęta swoim nowym chłopakiem i jego wackiem. Reporterzy dojdą do tego samego wniosku, co wszyscy inni – że po prostu uciekła. Morhart dostrzegł, że sam zaczyna tak myśleć, ale nie zamierzał porzucić poszukiwań rozwiązania tej sprawy. Chciał wiedzieć, gdzie jest Becca i dlaczego tam się znalazła. Chciał wiedzieć, czy nadal żyje. Chciał dotrzymać obietnicy, którą złożył jej matce. Kobiecie, która była jego zdaniem o wiele lepszą osobą, niż się jej obecnie wydawało.

Minęło pięć dni, a on czuł się, jakby usiłował pływać w kisielu, prześladowania, których Becca doświadczała w szkole. Ukrywany przed matką telefon. Niedawne pojawienie się ojca. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że musi istnieć jakiś związek pomiędzy jej nagim zdjęciem a zarzutami wymierzonymi w kontrowersyjną, pornograficzną ekspozycję, które wkrótce później wytoczył jej ojciec.

Kiedy wrócił na posterunek, zastał Nancy pochyloną nad jego biurkiem. Zapisywała coś na kartce, a jej lewa dłoń spoczywała jeszcze na telefonie. Zapach pudru doleciał go już z odległości dobrych trzech metrów.

– Mówiłem ci setki razy, Nancy, żebyś pozwalała im się nagrać na sekretarkę.

Morhart wolał słyszeć ton głosu i dokładne słowa dzwoniących do niego osób. Nie mówiąc już o tym, że kiedy była czymś zajęta, Nancy miała nawyk przekręcania numerów.

– Masz taki diablo głośny dzwonek, że czasem nie potrafię się powstrzymać. Trzymaj.

Spojrzał na jej rozdęte, pochyle pismo. Detektyw John Shannon, wydział zabójstw policji miejskiej, Nowy Jork. Dalej szedł numer telefonu.

– Powiedział, że to w sprawie Becci Stevenson.

– No, więc porównaliśmy te zdjęcia od pana z tymi tak zwanymi dziełami sztuki z naszej galerii.

Morhart poczuł, że los się wreszcie do niego uśmiecha. Zdjęcia będą do siebie pasować. Shannon zaraz potwierdzi, że modelką była Becca. Morhart nie wiedział, czy czuć zadowolenie, czy rozczarowanie. Odnalezienie związku dziewczyny z galerią przybliży go do rozwiązania, ale w świetle popełnionego tam morderstwa nie byłoby to zapewne zbyt

szczęśliwe rozwiązanie.

– To nie ona.

Morhart poczuł ulgę. Jednak bardziej zależało mu na losie Becci niż na odpowiedziach.

– Jest pan pewny? Mówił pan, że na waszych zdjęciach nie było żadnych twarzy.

– Na tych, które były na wystawie w muzeum – czy raczej w galerii – było widać tylko trochę ciała, ale znaleźliśmy też inne zdjęcia, bardziej interesujące.

– Jakie inne zdjęcia?

– Takie, jakich by nigdzie nie wystawiono.

– Są na nich nieletni? Pornografia dziecięca?

– Chryste, Morhart, jest pan gorszy niż mój partner. Da mi pan dojść do słowa? Mamy trochę zdjęć i żadne nie pasuje. Pańska dziewczyna była trochę, hm, bardziej zaokrąglona od tych ze zdjęć. Ale to akurat nie ma znaczenia. Jest związek.

– Nie rozumiem.

– Odciski palców. Porównaliśmy zdjęte w galerii odciski z tymi z sypialni pańskiej ofiary. Na gałce drzwi do łazienki znaleźliśmy pasujący odcisk prawego palca wskazującego i serdecznego.

– Więc tam była.

– Zgadza się. Becca Stevenson odwiedziła Galerię Highline.

### *Rozdział 34*

– Teraz osiągamy najwyższy punkt naszego ćwiczenia. Trikonasana, poza trójkąta.

Alice próbowała trzymać głowę na kłódkę i skoncentrować się na głębokich oddechach przez nos, które miały pomóc jej kontrolować szybkość bicia serca, pozbyć się z organizmu toksyn i skoncentrować na chwili obecnej. Zgięła lewe kolano pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i rozrzuciła ramiona niczym orzeł, celując palcami prawej ręki w przerwę pomiędzy paluchem a resztą palców swojej stopy, a lewą rękę unosząc ku sufitowi. Jej ręce i nogi zaczęły drżeć. Serce łomotało w piersi. Nie poczuła jednak, żeby przeszłość i przyszłość ulatywały precz. Nie poczuła też, by problemy opuszczały jej ciało.

Z doświadczenia wiedziała, że Otto, trener znany również jako „Joga Hitler”, nie pozwoli jej wyjść. Był to w końcu człowiek, który kazał kiedyś zmordowanej studentce powiedzieć, o co chodzi w aktualnym ćwiczeniu, a jej odpowiedzi skomentował:

– Zgadza się. O przyciśnięcie kolana do głowy. A nie o gapienie się w lustro i

rozmyślanie nad swoją fryzurą.

Chociaż po skończeniu treningu wzięła krótki, zimny prysznic, nadal czuła się zgrzana, gdy wróciła do swego mieszkania i zastała przed wejściem Williego Danesa. Tym razem nie czekał na chodniku. Stał przy wejściu do jej mieszkania i bawił się BlackBerry.

– Jak tam, kolejny trening?

Od razu zaczęła się zastanawiać, czy te wszystkie treningi nie wskazywały na jej winę. W końcu znalazła trupa. Jej życie zostało wywrócone do góry nogami. Dla niej ćwiczenia były formą ucieczki, ale czy glina w postaci Danesa nie ujrzy w tym trywialnym fakcie oznak arogancji?

– Jeśli pan czegoś potrzebuje z mojej strony, panie detektywie, może pan w każdej chwili zadzwonić.

Chciała sprawić wrażenie chętnej do współpracy, ale słowa zabrzmiały cokolwiek zjadliwie.

– Nie chciałem sprawić pani kłopotu, pani Humphrey, ale mam kilka kolejnych pytań. Mogę?

Usłyszała w uszach głos ojca: *Nie rozmawiaj z nimi więcej bez prawnika.* Przypomniała sobie radę Jeffa: *Trzy proste słowa: potrzebuję porady prawnika.* Stanęła przed drzwiami z kluczem w ręku i przygotowała się mentalnie. *Po prostu powiedz mu, że w tym akurat momencie wolałabyś z nim nie rozmawiać. Powiedz mu, że lepiej będzie, jeśli najpierw poradzisz się adwokata.*

Ale kiedy odwróciła się i spojrzała mu w oczy, po prostu nie umiała tego zrobić. Wiedziała, że jakakolwiek wzmianka o prawniku od razu zniszczy wszelkie ciepło w ich stosunkach, choćby nawet to ciepło było sztuczne. Oficjalnie zostaną przeciwnikami. Ona kontra policja. A oni, w przeciwieństwie do niej, posiadali władzę i wiedzę. Wiedziała, że jest niewinna. Nie miała nic do ukrycia.

– Oczywiście, panie detektywie, proszę wejść.

Tym razem usiadła w kuchni na krzeselku barowym. Dość kulenia się w kącie pod spoglądającym z góry wzrokiem policjanta.

– Słyszała pani kiedyś o dziewczynie imieniem Becca Stevenson?

Potrząsnęła głową.

– Czy jest jakoś powiązana z człowiekiem, którego znalazłam w galerii?

– To piętnastolatka z Dover w stanie New Jersey. Zaginęła w niedzielę wieczór.

– Ach, tak. Widziałam coś na ten temat w gazecie parę dni temu.

– Nie zna jej pani?

Wręczył jej fotografię. Dziewczyna miała ciemne oczy i piegowaty nos. Jej loki rozwiewał wiatr, ale zaróżowione policzki wyglądały na ciepłe w dotyku. Uśmiechała się tak, jakby chciała ukryć lekko krzywy ząb po lewej stronie ust.

– Ładna dziewczyna. Nie, nic o niej nie wiem. A czemu pan pyta?

– Odnaleźliśmy parę nowych tropów, ale obawiam się, że nie mogę o tym mówić.

Alice dostrzegła tylko jeden możliwy związek.

– Sekundę. Sądzicie, że to ona była na pracach Hansa Schulera?

– Nie, nie uważamy tak.

– Więc...

– Przykro mi, że nie mogę podzielić się z panią tymi informacjami, pani Humphrey. Ale powiedziała pani, że jeśli będziemy mieć jakieś pytania...

– Tak, jasne. Rozumiem.

Zrozumiała, że to ulica jednokierunkowa.

– Więc, dla zupełnej jasności, nigdy nie poznała pani ani nie przebywała w jednym pomieszczeniu z Beccą Stevenson, widoczną na tej fotografii?

Nie spodobał się jej sposób, w jaki detektyw zadał to pytanie. Jakby chciał mieć to nagrane jako dowód w sądzie. Jakby gotów był za chwilę udowodnić, że kłamała. Ale Alice znała prawdę, wiedziała też, jak by wyglądała próba uniknięcia odpowiedzi.

– Zgadza się.

– Dobrze. Teraz chciałbym porozmawiać o ITH, firmie, która finansowała galerię.

– Hmm?

– Mówiła pani, że nigdy pani nie słyszała o tej firmie?

– To prawda.

Byli znów na znajomym terenie, ale ile razy miała jeszcze powtarzać im wciąż te same informacje?

– Nie ma pani żadnych pomysłów, co może oznaczać skrót ITH?

– Nie wiem. Szperałam trochę na sieci, ale niczego nie znalazłam.

– Rozumiem. I jeszcze, dla zupełnej jasności, twierdzi pani, że nigdy wcześniej nie spotkała pani mężczyzny, którego znała pani pod nazwiskiem Drew Campbell?

Usiłując ukrywać frustrację, po raz kolejny opowiedziała serię zdarzeń, która doprowadziła ją do pierwszego spotkania z Campbellem, a później wspólnych odwiedzin w lokalu pod galerię, przyjęcia pracy menedżerki i wreszcie odnalezienia ciała. Zdała sobie sprawę, że jej głos musiał brzmieć beznamiętnie, ale recytowała te fakty już tyle razy, że



przestały sprawiać wrażenie realnych.

– I jest pani pewna, że pani ojciec nie miał nic wspólnego z galerią?

– Mój ojciec? Eee... nie. Oczywiście, że nie. Dlaczego pan pyta?

– Tylko sprawdzam wszystkie możliwości. Pani ojciec może wiele zdziałać. Jest częścią szeroko pojętego świata sztuki...

– Podobnie jak, nie wiem, Brad Pitt, a nie sądzę, by miał on coś wspólnego z Drew Campbellem albo Galerią Highline.

– Nie ma powodu, aby się irytować.

Upomniała się, że przecież nie po to wpuściła go do mieszkania. Była niewinna. Pomocna. I nie miała nic do ukrycia. Niewinni, pomocni i chętni do współpracy świadkowie nie denerwują się.

– Przepraszam, panie detektywie. To... no cóż, to długa historia, ale zrobiłam wszystko, co mogłam, by uniezależnić się finansowo od rodziców. Część mnie mówi, że gdybym zachowała się inaczej, nie wpakowałabym się w tę całą sytuację, więc przepraszam, to dość delikatny temat. Przez ostatni rok moje stosunki z ojcem cokolwiek się oziębily. Jeśli czyta pan plotkarskie czasopisma, to pewnie zgadnie pan dlaczego.

– Ja też przepraszam, jeśli za głęboko drażę – odwdzieczył się detektyw, podtrzymując fasadę taktowności. – Ale muszę zapytać o jedno. Przez cały zeszły rok odrzucała pani oferty pomocy finansowej ze strony ojca, aż tu nagle, patrzcie i podziwiajcie, pojawia się tajemniczy mężczyzna, którego nigdy wcześniej pani na oczy nie widziała, i daje pani niesamowitą szansę poprowadzenia galerii w imieniu jeszcze bardziej tajemniczego, bogatego staruszka, który chce pozostać kompletnie anonimowy, ale pozwoli pani samej o wszystkim decydować.

– Zdaję sobie sprawę, że z perspektywy czasu brzmi to niedorzecznie, ale...

– Nie przeszło pani nigdy przez myśl, że tę całą imprezę mógł sponsorować pani ojciec?

Ta sugestia wstrząsnęła Alice. Miała tylko nadzieję, że to uczucie nie zmanifestowało się na jej twarzy w postaci nerwowego mrugnienia, które poczuła w swoim umyśle.

– Nie – powiedziała w końcu. – Nie przeszło.

– ITH. Czy czasem pani ojciec nie zdobył Nagrody Akademii filmem o tytule *In the Heavens*?

Pytania te prowadziły w rejony, jakich sobie wcześniej nie była w stanie wyobrazić. Wiedziała, że Danes się myli. Jej ojciec nigdy nie wciągnąłby Alice do potajemnie założonej przez siebie firmy za pomocą podstawionego człowieka, żeby tylko wmusić w nią pomoc wbrew jej woli. A może? A nawet jeśli to zrobił, jaki może mieć to związek ze śmiercią

Drew? Albo zaginięciem tej dziewczyny z Jersey?

– Przykro mi, panie detektywie, ale obawiam się, że nie będę już w stanie panu pomóc.

– O czym pani mówi?

– Mówię, że nie chcę już z panem rozmawiać bez udziału prawnika.

Przywołała obraz Jeffa, ale wtedy ponownie usłyszała głos ojca. Tu nie chodzi o książkową wiedzę. Najważniejsza jest prezencja, reputacja i wyczucie, co powiedzieć i kiedy.

– Mój adwokat nazywa się Arthur Cronin. Proszę do niego zadzwonić, jeśli będzie pan chciał coś jeszcze ze mną przedyskutować.

– Cronin, tak? Przez „C”?

Zdażyła wlać w siebie pół szklanki szkockiej, kiedy zadzwonił telefon. Pozwoliła odpowiedzieć automatycznej sekretarce.

– Pani Humphrey. Tu znowu mówi Robert Atkinson z Empire Media. Naprawdę chciałbym z panią porozmawiać...

Podniosła słuchawkę i odpowiedziała podniesionym głosem, przekrzykując hałas sekretarki.

– Proszę przestać do mnie wydzwaniać. Nie chcę z panem rozmawiać. Jeśli zadzwoni pan jeszcze raz, podam pana do sądu.

Z rozmachem rzuciła słuchawką o widełki i w tym momencie zaczęła dzwonić jej komórka. Miała ochotę walnąć nią o ścianę, ale najpierw spojrzała na wyświetlacz. Jeff.

– Cześć.

– Wszystko w porządku?

– Tak. W końcu opowiedziałam wszystko ojcu, a później poszłam do Bikrama. Jestem trochę wykończona, to wszystko.

Nie była jeszcze gotowa, by omawiać z kimkolwiek teorię Danesa na temat zamieszania jej ojca w całą sprawę.

– Pokopałem trochę w rejestrach firm, szukając czegoś o ITH. Co prawda nie znalazłem jeszcze osoby, która pociąga za sznurki, ale poznałem przynajmniej nazwisko prawnika, który asystował przy założeniu korporacji.

– To dobrze, prawda?

Poczuła, jak panika zaczęła ustępować, ITH mogło znaczyć cokolwiek. Jej ojciec w ciągu swojej kariery nakręcił siedemnaście filmów. Zbieżność liter była czysto przypadkowa.

– Mam nadzieję. Papiery wypełniono w 1985, co by pasowało do tej historii ze starszym człowiekiem. Mógł od lat używać tej firmy do prowadzenia różnych interesów.

Pomyślałem, żeby zadzwonić do prawnika i spróbować z niego wyciągnąć jakieś podstawowe informacje w ramach zawodowej kurtuazji. Nazywa się Arthur Cronin. Jego biuro jest dziś nieczynne, ale jutro z samego rana spróbuję znowu.

### *Rozdział 35*

Alice kuliła się w niewielkiej niszy przy drzwiach wejściowych do budynku, gdzie mieszkał jej brat. Podczas dzisiejszych zakupów z Lily zastąpiła wreszcie zgubione rękawiczki nowymi. Kupiła sobie nawet czapkę ze sztucznego futra, ale i tak żadna ilość ubrań nie była w stanie osłonić jej przed islandzkim wiatrem, który dął wzdłuż Mott Street.

Lokum brata Alice różniło się diametralnie od jej mieszkania w czynszówce na West Side. Zostało kupione za pieniądze rodziców pięć lat temu, w szczytowym momencie rynku nieruchomości. Miało sufity zawieszane na wysokości trzech i pół metra oraz ponad sto metrów kwadratowych nieobciążonej hipoteką powierzchni, nie licząc antresol. Brat płacił za media oraz naprawy. Ponoć.

Przycisnęła palec wskazujący do brzęczyka domofonu na piątym piętrze, trzymając go tam pełne cztery sekundy, nim nie przeszła w staccato do rytmu: Oh, oh, oh, oh, staying alive, staying alive.

Ulicą zdążyła banda czterech dziewcząt, odzianych w buty na wysokim obcasie i minispódniczki. Widząc poczynania Alice, niespecjalnie próbowały tłumić chichot.

– Czasami nie kręcisz faceta aż tak bardzo, jak ci się zdaje – powiedziała przez ramię jedna z nich, nie przestając chichotać.

– Fuj! To tylko mój dumny brat, nie żeby to był wasz interes. I włożcie coś na siebie. Jest minus dziesięć. Wyglądacie idiotycznie.

Jedyną odpowiedzią był śmiech. Jezu, czyżby zmieniała się w jedną z tych starych nowojorskich kobiet, które krzyczały na przechodniów na środku ulicy? Nacisnęła na brzęczyk i trzymała, dopóki nie usłyszała głosu Bena.

– Mówiłem, żebyś poczekała sekundę, okej? Byłem pod prysznicem.

Gdy tylko Jeff odkrył rewelację na temat Arthura Cronina i jego udziału w wypełnianiu papierów założycielskich ITH, Alice spróbowała skontaktować się z ojcem. Może i Jeffowi nazwisko to nic nie mówiło, ale jej na pewno. Telefon w miejskiej rezydencji rodziców dzwonił przez dobre dwie minuty, ale nikt go nie odebrał. Numer komórki ojca łączył bezpośrednio z jego pocztą głosową. Kiedy zadzwoniła do Bedford, odebrała matka. Powiedziała, że ojciec polecał do Miami szukać plenerów do swojego nowego filmu.

Alice odniosła wrażenie, że matka ciągle nie wie o śmierci Drew Campbella i jej następstwach. Nigdy nie śledziła wiadomości, które nie dotyczyły świata kultury i rozrywki, a jej mąż ewidentnie nie uznał za stosowne poinformować żony o kryzysie, w jaki popadła ich córka. Alice nie zrobiła nic, by zmienić tę sytuację. Spytała jedynie, czy matka słyszała kiedyś, żeby ojciec był właścicielem firmy o nazwie ITH. Nie słyszała, ale obiecała, że spróbuje go o to zapytać.

W międzyczasie Alice miała pytania do Bena.

Stuknęła dla formalności w drzwi, po czym nacisnęła na klamkę. Nie były zamknięte. Znalazła brata w salonie, kompletnie ubranego i z suchą głową. Żadnych śladów sprzątania w ciągu ostatnich dni. Miał jakiś powód, by kazać jej tyle czasu marznąć na dole. Spojrzała mu w twarz, szukając oznak używania narkotyków, ale nigdy nie była specjalnie dobra w ich znajdowaniu. A może to on zawsze umiał je dobrze ukrywać.

– Muszę cię o coś zapytać, Ben, i musisz być ze mną absolutnie szczery. Czy wiesz coś o korporacji ITH? A szczególnie, czy wiąże się ona jakoś z tatą?

Przekazała mu, czego dowiedziała się od Jeffa na temat Arthura Cronina i jego roli w powstaniu korporacji.

– Policja też musi wiedzieć o Arcie, bo pytali mnie, czy tata nie był jakoś zamieszany w sprawę galerii.

Ben pokręcił głową.

– Mówiłem ci już, Alice, nic o tym nie wiem.

– Ale wczoraj, kiedy wspomniałam o tej firmie, zacząłeś się jakoś dziwnie zachowywać. A teraz dowiaduję się, że jest w to zamieszany Art.

– Nie zachowywałem się dziwnie. O Boże, znowu to samo. Co w ogóle tata mógłby mieć wspólnego z galerią?

– Nie mam pojęcia. Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Zaczynam się zastanawiać, czy jest coś, do czego nasz ojciec nie byłby zdolny.

– O Jezusie, Alice. Minał już rok. Mama nie zamierza odejść. Chyba jest jej z nim dobrze. Ty też musisz zacząć mu wybaczać. Wyluzuj trochę.

– Chyba mówiłeś kiedyś, że moja niezależność jest zaraźliwa. Kiedy cię zamknęli, to nawet do nich nie zadzwoniłeś, a teraz ich bronisz?

– Nie zadzwoniłem, bo nie chciałem, żeby się przestraszyli i zaczęli zamartwiać.

Alice opadła na ogromną, segmentowaną sofę i zarzuciła nogi na otomanę.

– Nie wkurza cię, że przez te wszystkie lata kazał nam ignorować plotki z gazet? Ale one były prawdziwe, Ben. O tych wszystkich kobietach. Przez te wszystkie lata. To żenujące.

– Oczywiście, że mnie to wkurza. Pewnie po części dlatego za bardzo z nimi nie żyję. Ale jeśli o mnie chodzi, to tymczasowe. Jasne, facet nie jest idealny. Ale kocha mamę. Kocha nas. Jest tylko... no wiesz, jest po swojemu zryty i ma swój bagaż, jak każdy inny. Zaświtało ci kiedyś, że może doszli z mamą do jakiegoś porozumienia?

– O, fuj.

– Nie bądź taka prowincjonalna, jak oni by to pewnie powiedzieli. Zawsze byli trochę dziwni.

Oboje wiedzieli, że nieortodoksyjne podejście do małżeństwa, które przejawiali ich rodzice, o wiele bardziej odpowiadało Benowi. Alice tak mocno pragnęła stabilnego, porządnego małżeństwa, że pobiegła przed ołtarz z kimś, kto, jak się okazało, był zupełnie dla niej nieodpowiedni. Z drugiej strony Ben dwukrotnie był zaręczony ze wspaniałymi kobietami, ale obie w końcu odeszły, gdy zrozumiały, że brat Alice nigdy nie postawi w centralnym miejscu swojego życia innej osoby niż on sam.

– Nie jestem gotowa, aby mu wybaczyć.

– A kiedyś będziesz?

– Nie wiem. Czemu o tym rozmawiamy?

– Wybacz. Chyba po prostu chciałbym, żeby wasze stosunki wróciły do normalności. Zawsze byłaś dla mnie siostrą, nawet kiedy pakowałem w żyłę co popadło. Gdybyś tylko była równie tolerancyjna wobec ojca.

– Powiem ci jedno: jeśli wyjdzie, że jednak miał coś wspólnego z tą galerią i nic mi nie powiedział, nawet po tym, przez co przeszedłem, to koniec. Już nigdy więcej się do niego nie odezwę.

– Cóż, więc oby tak nie było.

Przeczesała włosy palcami.

– Kurwa, jeśli policja wie o Arthurze, mogą chcieć porozmawiać z ojcem. Potrafię sobie świetnie wyobrazić przebieg tej rozmowy. Pamiętasz, jak gliniarze byli u nas w domu po tej twojej spóźnionej imprezie urodzinowej?

– Dziwi mnie, że to pamiętasz.

Jak mogłaby zapomnieć ten jedyny raz, kiedy w ich domu pojawili się policjanci?

Było niedzielne popołudnie. Niedługo miała wracać do miasta, w poniedziałek była szkoła; chodziła wtedy do szóstej klasy. Kończyła pracę domową z wychowania obywatelskiego. Miała to być pięciominutowa, ustna autobiografia, przedstawiona z pozycji pierwszej kobiety, która była sędzią Sądu Najwyższego, Sandry Day O'Connor. Rozległo się pukanie. W drzwiach sypialni pojawił się ojciec, za nim stało dwóch umundurowanych

policjantów. Pamiętała, że ojciec wydawał się nerwowy, ale patrząc z perspektywy czasu, zapewne przeniosła nań swoją własną reakcję. Przepraszał, że przeszkadza i nie omieszkął wytknąć policjantom, że odciągają jego córkę od pracy.

Pamiętała, że czuła się malutka, kiedy razem udali się do gabinetu ojca. Pamiętała, jak głaskała zamszowe obicie nowej, czerwonej sofy. W jedną stronę materiał lśnił. W drugą robił się matowy.

– Alice, ci policjanci mają kilka pytań odnośnie spotkania, które twój brat zorganizował tu w piątek wieczór. Pamiętasz, jak do północy oglądaliśmy twój film? Tylko o to chcę zapytać.

Było normalne, że Ben mówił o „zaproszeniu paru przyjaciół”, co zawsze kończyło się wytoczeniem beczki piwa przed dom. Tamten wieczór miał miejsce dokładnie tydzień po jego szesnastych urodzinach. Same urodziny Ben postanowił świętować ze swoimi szkolnymi kolegami z Manhattanu, ale nie przeszkodziło mu to w zorganizowaniu poprawin w Bedford tydzień później. Rodzice uznawali go wtedy za już-prawie-dorosłego, a sami siebie za zbyt wyzwolonych, by się mieszać.

Balanga skończyła się totalnym pijaństwem. Jedna z dziewczyn, jeśli wierzyć Benowi, upiła się tak bardzo, że rodzice odesłali ją później do żeńskiej szkoły z internatem.

Zdawało się, że pytaniom policjantów nie ma końca. Ile osób było na imprezie? Kogo była w stanie wymienić z imienia i nazwiska? Czy słyszała lub widziała coś nietypowego? Gdzie byli jej rodzice? Suwała palcami po czerwonym zamszu. Lśniący, matowy, lśniący, matowy.

Pamiętała, że chciała chronić rodziców. Pamiętała, że była wściekła na brata, bo to przez niego znaleźli się w tej sytuacji i musieli odpowiadać na pytania policjantów. Chciała, żeby był z nimi przyjaciel taty, Arthur, ale ten niestety wrócił już do miasta.

Czy przez Bena i jego durne zabawy z piciem alkoholu przez nieletnich policjanci mieli zabrać jej rodziców? Jedyne, co mogła zrobić, to mówić prawdę. Matka poszła się wcześniej położyć, a ojciec nie zwracał żadnej uwagi do imprezy. Siedział w pokoju kinowym i oglądał razem z nią przedpremierową taśmę z Goonies. Oczywiście, tak naprawdę wcale nie oglądał filmu. W mdłym świetle latarki czytał sobie scenariusz, aż w końcu wlał w siebie na tyle dużo szkockiej, że zasnął, ale o tym akurat szczególnie nie uznała za stosowne wspominać.

Jej rodzice należeli do ludzi, którzy umawiają się na kolacje z liberalnymi senatorami i organizują fundusze dla wybrańców narodu, ale szeregowych pracowników budżetówki mają w pogardzie. Ludzi, dla których policjant jest jedynie od pilnowania „różnych takich”. Zapamiętała tamten dzień, gdyż nauczyła się wtedy, że policjanci – których, jako dziecko, w

naturalny sposób postrzegała jako niosących pomoc bohaterów – w oczach jego ojca niegodni są, by wtrącać się w prywatne sprawy takiej rodziny, jak Humphreyowie i zakłócać coś nawet tak trywialnego, jak praca domowa szóstoklasistki. Przez następne piętnaście lat z górami nie raz jeszcze była świadkiem tej postawy ojca, było to zawsze, kiedy Ben wpadał w kłopoty z prawem. Grzmiał przeciwko wojnie z narkotykami. Demonizował to, jak irracjonalnie Stany Zjednoczone przedkładają zemstę ponad resocjalizację. Ale nigdy nie powiedział złego słowa o Benie, nieważne, ile drugich szans zaprzepaścił.

Wolała nie myśleć, co zrobi ojciec, jeśli i pod jego drzwiami pojawią się bez zapowiedzi Willie Danes i John Shannon.

Ben odprowadził ją do drzwi i uścisnął niepewnie.

– Nie przywiązuj może aż tak dużej wagi do tej sprawy z ITH. Firma Arthura jest ogromna, reprezentuje tysiące klientów, a poza tym to było ponad dwadzieścia lat temu. To pewnie tylko zbieg okoliczności. Trzymaj się, jestem pewny, że policja dowie się prawdy.

Wracając na stację metra, by złapać pociąg linii 6, minęła miejsce, gdzie mieścił się niegdyś jej ulubiony bar, Podwójne Szczęście. Wydawało się, że ledwie wczoraj przesiadywała z koleżankami w jego podziemiach, popijając imbirowe martini. Raz nawet je stamtąd wyrzucili, gdy Danielle potłukła nie jeden, ale aż dwa kieliszki. Teraz zdała sobie sprawę, że lokal jest już zamknięty od prawie pięciu lat. Cudownie. Najpierw wydziera się na grupę imprezowych dziewczyn, teraz rozkliwia się nad tym, że nie ma już takich knajp, jak niegdyś. Może od razu powinna zaadoptować z tuzin kotów, żeby przypieczętować swój los zgryźliwej starszej pani?

Już miała przepuścić swoją MetroCard przez czytnik, kiedy nagle coś ją zastanowiło. Coś było nie tak. Coś w rozmowie z Benem. Nagłe zakłócenie normalnego rytmu stacji metra sprawiło, że wpadł na nią z tyłu jakiś mężczyzna.

– Przepraszam.

– Idzie pani czy nie?

Usunęła mu się z drogi. Nie chciała wsiadać do pociągu, dopóki nie będzie wiedzieć, co ją dręczy. To było coś, co Ben powiedział o Croninie. Co on mówił? Że Art miał masę klientów i że było to dawno.

Tyle że nie wspomniała mu nigdy, iż ITH założono dwadzieścia pięć lat temu. Ruszyła biegiem z powrotem do jego mieszkania, kilka razy prawie wywracając się na oblodzonym chodniku. Dzwoniła domofonem przez pięć minut, ale nikt się nie odezwał.

*Rozdział 36*

Hank Beckmann łyknął kolejną tabletkę Advila, już trzecią w przeciągu ostatnich trzech godzin. Zaczynał dostawać już zeza od czytania niezliczonych rachunków i wyciągów bankowych.

– W porządku, pani Ross. Zidentyfikowałem już wszystkie związane ze sprawą transakcje – powiedział, po czym wbił w kalkulator serię cyfr. – Wygląda na to, że od dwa tysiące siódmego roku przekazała pani Coultonowi łącznie czterysta dziesięć tysięcy pięćset dwadzieścia pięć dolarów i sześćdziesiąt dwa centy. Odebrała pani jedynie trzydzieści pięć tysięcy, co oznacza stratę trzystu siedemdziesięciu pięciu tysięcy pięciuset dwudziestu pięciu dolarów i sześćdziesięciu dwóch centów. Taką kwotę wymienimy w naszym oskarżeniu przeciw Coultonowi, a jeśli dojdzie do rozprawy, może zostać pani wezwana, aby zeznawać w sprawie transakcji i rozmów z Coultonem.

– A co z pieniędzmi? Kiedy odzyskam moje pieniądze?

Marlena Ross była zadbaną kobietą o gładkiej skórze i sztywnych włosach. Gdyby Hank nie sprawdził w aktach jej oficjalnej daty urodzenia, dałby jej o dziesięć lat mniej niż jej faktyczne sześćdziesiąt sześć. Subtelny, słodki zapach użytych z wyczuciem perfum docierał do nozdrzy agenta za każdym razem, gdy się ku niemu nachylała.

Prokurator federalny szykował się do oskarżenia Richarda Coultona o prowadzenie schematu Ponziego. Byłaby to największa sprawa tego rodzaju w historii Biura, gdyby parę lat wcześniej nie pojawił się Bernie Madoff i nie pobił na głowę wszelkich rekordów.

– Wystąpimy o zajęcie jego majątku, ale oczywiście nie ma żadnej gwarancji, że uda się odzyskać wszystko. Sama natura schematu Ponziego powoduje, że Coulton użył otrzymanych od pani pieniędzy do pokrycia obietnic finansowych, złożonych klientom, których pozyskał lata wcześniej.

– Więc mówi mi pan, że gdybyście pilnowali własnego interesu i nie wtrącali się w jego sprawy, to w końcu pozyskałby od kogoś pieniądze dla mnie? Obiecał mi trzydziestoprocentowe przebicie.

Gazety przedstawiały twórców piramid finansowych jako bandytów, którzy odbierali naiwnym inwestorom ostatnią koszulę, ale Hankowi było ciężko czuć sympatię do niektórych z tak zwanych ofiar Coultona.

Wyprowadził panią Ross z pokoju konferencyjnego. Kiedy go mijała, wchodząc do windy, zauważył, z jaką łatwością porusza się na piętnastocentymetrowych obcasach. Materiał czerwonych butów od projektanta mody nie miał nawet jednego zadrapania, chociaż ponoć Coulton zostawił ją „bez grosza przy duszy”.

Kiedy tylko znalazł się z powrotem przy swoim biurku, wygooglował Galerię



Highline, Trávisa Larsona i Alice Humphrey. Robił to obsesyjnie, odkąd tylko wyluszczył całą swoją wiedzę detektywowi Williemu Danesowi z nowojorskiej policji. Żadnych nowych informacji. A przecież widział pudła z dokumentami w pokoju narad na posterunku. Widział impet i energię, z jaką postępowało śledztwo.

Policja miała swoją teorię, tego był pewien. Mieli podejrzanego, w oczywisty sposób wynikało to z rozmowy z Danesem. Ale minęły trzy dni i nadal nikogo nie aresztowano. Zapewne jakiś oskarżyciel uznał, że mają za mało dowodów, by wytoczyć proces, więc śledztwo weszło w znajomą fazę czekania. Hank znał już te wszystkie metafory. Dopinanie na ostatni guzik. Nieodkrywanie kart przed czasem. Niepodrywanie wędki za szybko, żeby podejrzany nie zerwał żyłki. Czekanie, aż ucichnie medialna wrzawa. Czekanie, aż podejrzany popełni błąd. Czekanie, czekanie, czekanie.

Nie mógł już dłużej czekać. Od siedmiu miesięcy, czyli od kiedy zginęła Ellen, myślał o Travisie Larsonie każdego dnia. Teraz Travis nie żył, a Hank, z powodów, których nie był w stanie nazwać, miał wrażenie, że widział coś, co może okazać się ważne. Nie mógł znieść, że jest wyłączony ze sprawy i musi łązić po Internecie jak jeden z tych wariatów, domowych pasjonatów zbrodni, którzy rutynowo dzwoniли do Biura z tak zwanymi podpowiedziami, które wywnioskowali z surfowania po sieci.

Wciąż przywoływał ostatnie dni życia Larsona, odtwarzał myślowe taśmy, które nagrał w czasie obserwacji, zastanawiał się, czy przeoczył wagę któregoś z zaobserwowanych szczegółów.

Nie mógł też pozbyć się wątpliwości co do sposobu, jaki zidentyfikował dla Danesa rudą dziewczynę Larsona jako Alice Humphrey. W zeszłym roku sąd federalny zwolnił z więzienia niejakiego Anthony'ego Jamesa Adamsa, po tym jak dzięki testom dna oczyszczono go z zarzutu zgwałcenia pielęgniarki z nocnej zmiany szpitala Św. Wincentego trzynaście lat wcześniej. Agentem FBI, który prowadził tamto śledztwo, był Hank. Pokazał ofierze zbiór sześciu zdjęć, a ona, po minucie uważnego oglądania, wskazała Adamsa jako sprawcę. Dopiero ponad dekadę później zupełnie inny człowiek, Teddy Jackson, wygadał się koledze z celi, że w 1997 zgwałcił pielęgniarkę w nowojorskim szpitalu i uszło mu to na sucho, bo zamknęli za to kogoś innego. Ulepszone testy DNA, niedostępne w czasie pierwszego śledztwa, doprowadziły do uwolnienia Adamsa.

Hank zawsze bał się, że doprowadzi do skazania niewinnego człowieka. Nadal czasami budził się w środku nocy, myśląc o Anthonym Jamesie i zastanawiając się, jakie życie mógł mieć ten człowiek, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Hank lubił sobie powtarzać, że przynajmniej czegoś się nauczył. A mianowicie tego, że ludzka pamięć jest

zawodna. Pewna ekspertka od zeznań naocznych świadków wyjaśniła mu kiedyś, czemu pielęgniarka dokonała mylnej identyfikacji. Kiedy Hank przedstawił jej kartę z wydrukowanymi zdjęciami sześciu mężczyzn, zadała sobie pytanie: który z nich najbardziej przypomina napastnika? Biedny Anthony James był bardziej podobny do Teddyego Jacksona niż reszta. Od tego momentu pielęgniarka za każdym razem wskazywała go jako sprawcę – nie dlatego, że zapamiętała go w trakcie ataku, ale dlatego, że zapamiętała go jako mężczyznę, którego wybrała, odrzucając pięciu innych. Ekspertka przedstawiła mu nagrania ze swojego laboratorium, na którym uczestnicy eksperymentu w grupie kilku podejrzanych błędnie rozpoznali winnego i wskazali na niego, nawet gdy mieli do wyboru tylko jego oraz prawdziwego sprawcę.

Hank był dumny ze swojej zdolności przywoływania wspomnień z taką szczegółowością, jakby oglądał kolorową fotografię, ale rozumiał, że szczegółowość a wierność to dwie zupełnie różne rzeczy.

Kiedy Willie Danes zapytał go o kobietę, którą widział w mieszkaniu Larsona, przedstawił dwie fotografie. Na jednej ruda kobieta całowała się z Larsonem; druga fotografia była znana Hankowi jako zdjęcie Alice Humphrey. Teraz Hank pojął, że po prostu z góry założył, że oba przedstawiają jedną i tę samą osobę. Do tego przedstawiały kobietę na tyle podobną do osoby, którą widział w mieszkaniu Larsona, że automatycznie połączył wszystkie trzy w jedną. Ale gdyby proces identyfikacji był przeprowadzony idealnie, gdyby Hank nie widział zdjęć Alice Humphrey w Internecie i gdyby Danes przedstawił mu serię zdjęć rudych kobiet, jedno po drugim, czy wtedy nadal wybrałby Alice Humphrey jako tamtą kobietę z mieszkania Larsona? Nigdy nie mógł mieć absolutnej pewności, ale tym razem zaczął wątpić w swoją pamięć.

Dlatego też szukał nowych informacji o sprawie. Chciał wiedzieć, czy policja ma jakieś nowe dowody na udział Alice w śmierci Larsona. Chciał mieć pewność, czy nie popełnił błędu przy identyfikacji.

Wprowadził jej imię do wyszukiwarki zdjęć, po raz chyba piętnasty w ciągu ostatnich trzech dni. Próbował upewnić się, czy to na pewno ją widział u Larsona, ale obejrzał już tak wiele zdjęć jej twarzy, że kopiował ją i wklejał do wszystkich obrazów, które oglądał w swoim umyśle.

Gdyby tylko mógł zobaczyć ją na własne oczy, popatrzeć, jak idzie chodnikiem koło mieszkania Larsona w tym swoim błękitnym palcie i seksownych butach. Zobaczyć, jak wspina się na schody, prawie nie poruszając rękami, jak przekręca głowę, spoglądając w oczy mężczyzny, który otworzył drzwi. Może gdyby Hank znalazł się z nią w jednym

pomieszczeniu, zdobyłby pewność.

I wtedy pojął, że przecież może obejrzeć ruchomy obraz Alice Humphrey, teraz i tutaj, w swojej własnej zagrodce.

Otworzył YouTube i wpisał Alice Humphrey. Nic. Poszukał Galerii Highline. Nic. Wreszcie sprawdził frazę Frank Humphrey.

Znalazł tysiące wyników. Wiele z nich zamieszczono nielegalnie – ikoniczne sceny z chronionych prawem autorskim filmów reżysera. Można też było tu obejrzeć odcinki Inside Edition, Entertainment Tonight oraz TMZ na temat licznych kochanek Humphreya, które ujawniły się w ciągu zeszłego roku, jedna za drugą, w powolnym i bolesnym ciąg prania brudów. Oto na przykład ekskluzywny wywiad Kate Couric. Hank zwykle próbował izolować się od plotek o celebrytach, ale nawet on pamiętał niektóre powtarzane do znudzenia frazy: „Rozumiem, że ludzie o bardziej tradycyjnym stylu życia mogą tego nie zrozumieć”. „To prywatna sprawa między Rose i mną”. „To w żadnym stopniu nie wpływa na moje artystyczne dziedzictwo”. „Chcę, by oceniano mnie po moich filmach”. Wywiad nosił tytuł Kurs zderzeniowy; protekcyjnalne nie-przeprosiny ze strony aroganckiego, starego człowieka.

Hank zaczął przeglądać wyniki, szukając obrazów Humphreya z rodziną, aż w końcu znalazł slajd, na którym reżyser stoi pod rękę z córką. Nagranie pokazywało, jak wychodzą z premiery The Burn Wall, jego ostatniego filmu przed skandalem. Film zebrał dobre recenzje, ale okazał się finansową klapą. Publiczność nie była zainteresowana historią żołnierza, który służy w Afganistanie.

Oczy Alice skakały od jednego flesza do drugiego; jej ojciec tymczasem wygłaszał zwyczajowe podziękowania dla swoich aktorów i producentów. Kiedy zeszli z czerwonego dywanu, Alice spojrzała gdzieś pod nogi i zamachała, niezgrabnie, po czym wsiadła do oczekującej na nią limuzyny.

Przewinął filmik do początku i zaczął się uważnie przyglądać twarzy kobiety. Próbował ją sobie wyobrazić, jako tamtą dziewczynę od Larsona. Włosy miała zebrane w kucyk, który spoczywał na jej karku, ale w ciągu dwóch lat fryzura kobiety może się zmienić dwadzieścia razy. Wydawała się być mniej więcej tego samego wzrostu i wagi. Dziewczyna Larsona wydała mu się młodsza, ale widział ją z daleka, a poza tym te wielkie okulary i opadająca grzywka w zupełności by wystarczyły, żeby zamaskować płytkie linie na czole i wokół oczu, jedyne oznaki wieku Alice Humphrey.

Przewinął jeszcze raz. Coś nie dawało mu spokoju.

Szkopuł nie tkwił w jej twarzy, ale w tym, jak chodziła. Tak jak zademonstrowała to pani Ross, wpływając do windy niczym transatlantyk, każdy człowiek ma swój specyficzny

chód. Kiedy Alice Humphrey szła za ojcem po czerwonym dywanie, patrzyła pod nogi, uważała, gdzie stawia kolejny krok. Miała na sobie szpilki, ale raczej niewiele wyższe niż na pięć centymetrów, raczej umiarkowane jak na współczesną kobietę. Sposób, w jaki szła – niezgrabny, ostrożny, robiąc drobne, dziecięce kroczki – przywołał z jego pamięci obraz, na którym Ellen uczyła się chodzić w swoich pierwszych butach od Manolo Blahnika, czy jak mu tam było.

To nie był sposób, w jaki poruszała się dziewczyna na chodniku przed mieszkaniem Larsona. To właśnie jej chód jako pierwszy przyciągnął uwagę Hanka. Po kocjemu sprężysty, oczy przed siebie, plecy prosto, pierś wypięta. Praktycznie maszerowała w tych piętnastocentymetrowych szpilach, niczym żołnierz na paradzie. Od premiery filmu minęły prawie dwa lata. Być może trening uczynił mistrzynią z niepewnej niegdyś panny Humphrey.

Być może jednak nie.

Podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z detektywem Williem Danesem.

– Nie chcę panu zawracać głowy, panie detektywie, ale mam wrażenie, że trochę za szybko zidentyfikowałem dla was Alice Humphrey.

Wyjaśnił różnice, które dostrzegł między dziewczyną Larsona a Alice Humphrey, którą właśnie oglądał na YouTube.

– Więc mówi pan, że najpierw do Tralisa Larsona przychodzi zabójcza rudowłosa piękność w wystrzałowym, pawiołębkitnym płaszczu, a później gość ginie, a jego ciało znajduje kto? Patrzenie i podziwianie, zabójcza rudowłosa piękność w wystrzałowym, pawiołębkitnym płaszczu. Ale to nie ta sama kobieta? I wniosek ten opiera pan na butach, które miała na sobie dwa lata temu?

– Nie mówię, że to inna kobieta. Mówię tylko, że nie mogę być na sto procent pewien, że to ona. Nie na podstawie tego, co widziałem.

– Cóż, w takim razie mamy szczęście, że nowojorska policja ma inną definicję stuprocentowej pewności od FBI.

Nie był to pierwszy ani ostatni raz, kiedy lokalny glina wytykał Hankowi, że nie znajduje się w równie komfortowej sytuacji, co agent Biura, i nie może sobie pozwolić na ciągle szukanie dodatkowych dowodów.

– Mógłby pan chociaż dla pewności sprawdzić buty Humphrey? Nie każda kobieta jest w stanie chodzić w takich potworach, jakie miała dziewczyna Larsona.

– Czy ja panu wyglądam na księcia z bajki? Mam ganiać za Kopciuszkiem ze szklanym pantoflem w łapie? Powiem panu coś, Beckman. Na tym etapie nie potrzebujemy już nawet pańskiej identyfikacji. Więc niech pan sobie tym nie zawraca głowy, dobra?

– Cóż, nie możecie mieć chyba aż tak dużo. Z tego co widzę, jeszcze nikogo nie aresztowaliście.

– Nie znamy się, Beckman, więc nie wiem, jak to powiedzieć. Ale pana siostra nie żyje. Nie umiał jej pan uratować, a dupek, na którego zwałił pan winę za jej śmierć, też już nie żyje. Niech pan pójdzie do psychologa albo znajdzie sobie nową obsesję. Mam to gdzieś, ale udział pana w tym śledztwie dobiegł już końca.

Kliknięcie po drugiej stronie linii było niczym cios w grdykę.

### *Rozdział 37*

Była to już druga wycieczka Alice na Upper East Side, a weekend jeszcze się nie skończył. Tym razem drzwi otworzyła jej matka we własnej osobie. Powitała córkę mocnym uściskiem i całusem w policzek.

– Hej, mamó. Myślałam, że jesteś w Bedford.

– Cóż, byłam, ale dziś Arthur idzie na spotkanie u jednego z organizatorów funduszy na jakiś ruch obywatelski. Pomyślałam, że to dobra okazja, żeby założyć fajną kieckę i zjeść deser.

– Tata idzie z tobą?

Zadzwoiła z wyprzedzeniem, żeby upewnić się, że wrócił już z wyprawy do Miami, gdzie szukał plenerów do filmu.

– Obawiam się, że nie. Właśnie się pakuje przed odlotem do Los Angeles. Powiedziałam Arthurowi, że dziś to ja będę reprezentować rodzinę. Nikomu nie mów, ale strzeliłam już sobie jedno martini dla rozluźnienia. Też byś chciała?

– Nie, dzięki.

Zważywszy na tolerancję matki na alkohol i jej ożywione świergotanie, raczej wypła już nieco więcej niż jeden drink, jak podejrzewała Alice. Zawsze wydawało jej się dziwne, że matka kontynuuje swój romans z alkoholem, choć ojciec porzucił go już dwadzieścia pięć lat temu. W ich małżeństwie nie brakowało jednak rzeczy, których nie rozumiała.

– A jak tam sprawy w galerii? – Matka spojrzała na zegarek. – Nie powinnaś tam być?

– Chwilowo wszystko załatwione.

Alice czuła się źle, nie informując jej, co się dzieje, ale matka przez całe życie wysyłała sygnały, że nie chce być niepokojona nieprzyjemnymi wieściami. Może w innym małżeństwie, stawiając czoła innym przeciwnościom, rozwinęłaby się w bardziej wielowymiarową kobietę. Obiecująca aktorka, która zdobyła Oscara za rolę młodej,

rozwiązłej wdowy, z pewnością okazywała pierwsze oznaki emocjonalnej głębi. Ale w pewnym momencie swojego życia Rose Sampson Humphrey zaakceptowała rolę szczęśliwej hollywoodzkiej żony, która z drugiego planu wspiera swego utalentowanego męża oraz idealne dzieci, dziękując losowi za to, że szczerze obdarował jej rodzinę.

Nawet kiedy Ben zmieniał się w pełnoetatowego narkomana, matka dawała się przekonywać, że jej syna prześladują migreny, stany lękowe i chroniczne zmęczenie, przyjmowała każde wyjaśnienie jego utraty wagi, chaotycznego zachowania i trupiej bladości. Rose Sampson, jak sama lubiła mówić, nie była stresoholiczką.

– Dobrze. Miło wiedzieć, że przynajmniej o jedno dziecko nie muszę się chwilowo martwić.

– Ben?

– Nie pojawił się na twoim otwarciu w zeszłym tygodniu. Obiecał, że wpadnie na weekend na wieś, ale... cóż, pewnie jest zajęty. Spotkałaś go?

– Byłam u niego w domu wczoraj wieczorem.

Próbowała się do niego dodzwonić od samego rana, ale nieustannie łączyło ją od razu z pocztą głosową.

– Dobrze wyglądał? Wszystko u niego w porządku?

– Widziałam go tylko przez kilka minut, ale tak... on... był, jak to on.

No dalej, mamó. Zadawaj pytania. Przyciśnij mnie, czy nie wiem czegoś więcej. Bo przecież wiesz. Wiesz, mamó. Wiesz, że Ben wciąż ma problemy, tak samo, jak wiesz, że jedzie od ciebie wódką i masz zaszklone oczy, choć jest dopiero jedenasta rano.

– Cóż, miło to słyszeć. A tak przy okazji, czemu zawdzięczam przyjemność?

– Muszę o czymś pogadać z tatą.

– A to jeszcze milej słyszeć. Może niedługo się między wami unormuje.

Jej pełen werwy uśmiech zgasł, kiedy Alice nie odpowiedziała.

– Alice, nie traktuj ojca tak surowo. Niewiele osób na świecie potrafi go skrzywdzić, a ty jesteś jedną z nich. Nie byłam idealną żoną, jeśli ma to jakieś znaczenie.

Nie chciała słuchać, jak matka usprawiedliwia jego romanse. Nie obchodziły już jej jego grzechy jako męża i ojca. Teraz potrzebowała odpowiedzi.

– Mamó, nic ci nie wiadomo o tym, żeby ojciec w jakiś sposób stał za tą galerią, prawda?

Jej usta ułożyły się w małe „o”.

– Kochanie, wiem, że ojcu nie spodobała się twoja decyzja, żeby odtąd wszystko robić samemu, ale naprawdę... Chyba za bardzo dajesz się ponieść wyobraźni.

– Udało ci się może zapytać go o tę korporację ITH?

Była tu, żeby zapytać go bezpośrednio, ale nie zaszkoziłoby usłyszeć, co powiedział matce.

Rose pstryknęła palcami i wycelowała w nią palec wskazujący.

– No tak, prosiłaś o to. Nie udało mi się go o to zapytać. Wiesz, jak ciężko go złapać, kiedy jest w trasie. Ale kiedy czekałam na twój brata w tym wielkim, pustym domu w Bedford, miałam trochę wolnego czasu i pogrzebałam w starych dokumentach ojca.

Podeszła do szafki na płaszcze, która stała obok drzwi wejściowych, i wydobyła stamtąd płócienną torbę.

– Znalazłam to.

Alice wyjęła z torby folder i przekartkowała go. Choć nie była prawniczką, domyślała się, że dokument jest umową pomiędzy korporacją ITH a kimś, kto nazywa się Julie Kinley. ITH zgadzało się przenieść wszystkie swoje zasoby pod pieczę trustu, którego beneficjentką miała być Julie Kinley. W zamian za to Kinley miała odstąpić od wszelkich potencjalnych prawnych roszczeń względem ITH oraz agentów, urzędników i pracowników firmy, zarówno odnośnie ich oficjalnych, jak i prywatnych poczynań. Alice nie była pewna, co oznacza ta ostatnia część, ale uznała, że jest to jakiegoś rodzaju ugoda. Ostatni paragraf dokumentu zawierał klauzulę poufności odnośnie jego istnienia, która dotyczyła zarówno Julie Kinley, jak i ITH.

– To tego szukałaś?

– Tak myślę. Dzięki. Nie wiesz, czym się zajmowało to ITH?

– Przez te wszystkie lata twój ojciec założył sporo korporacji, kochanie. No wiesz, na potrzeby finansowania filmów i różne takie. A o co właściwie chodzi?

– O nic, mamo. Pogadam z nim o tym. Baw się dobrze dziś wieczorem.

Kiedy Alice dotarła do połowy schodów na górę, jej matka była już przy ruchomym barku i nalewała sobie kolejne martini.

– Twoja matka myszkowała w moim gabinecie? Nie wiem już, ile razy prosiłem ją...

– Byłaś w Miami, a ja musiałam dowiedzieć się czegoś o tej firmie.

Pokręcił głową, jakby nic z tego nie mógł zrozumieć.

– Więc mówisz mi, że twoja galeria została założona pod szyldem ITH?

Ile jeszcze razy miała o tym opowiadać?

– Firma została założona w 1985, a papiery dla urzędu wypełnił Arthur Cronin. A teraz okazuje się, że masz w gabinecie tę ugodę. Oznacza to, jak sądzę, że to ty stoisz za ITH.

Muszę wiedzieć, czy stałeś też za galerią.

Zwykle kiedy Alice patrzyła na swoich rodziców, postrzegała ich takimi, jakimi ich sobie wyobrażała – pięknymi, silnymi, nieco egzotycznymi. Ale czasami widziała ich oczami obiektywnego obserwatora – nie takimi, jakimi byli niegdyś, ale jakimi są w tym konkretnym momencie. Nieco większe uszy i nosy. Starsi. Jej ojciec miał siedemdziesiąt osiem lat i w tym momencie na jego twarzy widać było każdy przeżyty dzień.

– To nie ma żadnego sensu.

– To właśnie usiłowałam ci powiedzieć. Ale nie wygrzebię się z tego, dopóki nie powiesz mi wszystkiego, ITH to twoja firma, prawda?

– Stworzyłem ją jako pij do filmu In The Heavens.

Wiedziała, że „pij” oznacza „prowadzę interesy jako”. Skrótowi tego używały małe biznesy, które nie były formalnie korporacjami.

– Więc nie była to korporacja?

– W tamtych czasach nie miałem pojęcia, co robię. Byłem dzieciakiem ze scenariuszem w ręku, grupką przyjaciół i marzeniami. Nie zdążyłem się obejrzeć, a tu oboje z mamą dostajemy Oscary. Trzymałem pieniądze związane z In The Heavens na koncie założonym dla tego pija.

– Ale w osiemdziesiątym piątym zmieniłeś go w korporację? To było piętnaście lat później.

– Szesnaście.

– A teraz ktoś użył tej firmy, by otworzyć Galerię Highline.

Ukrył twarz w dłoniach i uniósł ją dopiero, kiedy zaczął mówić.

– Był pewien pozew. Trzeba było pójść na ugodę. Miałem wciąż pieniądze na koncie ITH. Arthur ułożył ugodę, na podstawie której powódka otrzymała majątek ITH. Zmienił firmę w korporację i założył trust. Przez te szesnaście lat zdążyłem zostać milionerem z pięćdziesiąt razy. Od tamtego czasu Arthur założył w moim imieniu z piętnaście korporacji. Chodzi o podatki, ograniczoną odpowiedzialność i inne takie. Ale tej nazwy nie używałem od lat. I z pewnością nie założyłem galerii.

Ojciec właśnie potwierdził jej podejrzenia odnośnie ITH, ale nie zbliżyło jej to do prawdy o genezie galerii.

– Kim jest Julie Kinley? – Alice wskazała na papiery, które spoczywały teraz na biurku w gabinecie ojca.

– Niespełnioną scenarzystką, która zarzuciła mi, że ukradłem jej pomysł na In The Heavens.



Film, który zgarnął dla niego pierwszego, a dla matki jedyne Oscara, nadal uważano za kamień węgielny jego kariery. Opowiadał on o porządnej kobiecie, której seksualność budzi się po śmierci męża. W swoim czasie aż trzech prokuratorów generalnych określiło obraz jako obsceniczny.

– Oskarżyła cię o plagiat?

Jej ojciec znany był ze swojego ciętego języka i wybuchowego temperamentu. Był do pewnego stopnia seksistą i nie znosił głupców. Alice nie wyczuła jednak nigdy, żeby w kręgach artystycznych wątpiono w jego talent i zawodową uczciwość.

– Każdy, kto w Hollywood osiągnie jakiś sukces, jest bombardowany takimi oskarżeniami przy każdym projekcie. Pijawki wypełzają spod każdego kamienia, szukając medialnej sławy albo łatwych pieniędzy z ugody. Kinley kiedyś pracowała dla mnie, oskarżenia wysunęła długo po fakcie. Oczywiście były wyssane z palca. Oczywiście, ale miałem już wtedy dość pieniędzy, by iść na ugodę. Art stwierdził, że to lepsze, niż ucierpieć przez media. Ułożyliśmy ugodę z wykorzystaniem ITH, ale naprawdę nie myślałem już o tym przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Wiedziałam już, że ktoś chce mnie zrobić. A teraz ten ktoś używa nazwy firmy założonej, gdy miałam dwanaście lat? To musi być sprawa osobista.

– Może tu nie chodzi tylko o ciebie. To przecież ja stoję za nazwą korporacji.

– Więc ktoś chce zrobić nas oboje?

– Nie chcę o tym myśleć, Alice, ale miałem to nieprzyjemne, przyprawiające o mdłości wrażenie od chwili, gdy usłyszałem o śmierci twojego pracodawcy. Nie, nawet wcześniej, kiedy pod twoim progiem pojawili się demonstranci. Poczulem w sercu to okropne ukłucie, to wrażenie nadciągającej katastrofy, ale nie chciałem, żebyś myślała, że próbuję umniejszyć twoje osiągnięcia. Wreszcie miałaś coś, co było tylko twoje, a nie moje, nie chciałem ci tego odebrać. Chciałem wierzyć, że ta praca była dokładnie tym, czym ty wierzyłaś, że jest...

– Po prostu to powiedz.

– Od pierwszej sekundy, kiedy pod galerią pojawił się ten faszystowski kaznodzieja z bandą popleczników o wypranych mózgach, czułem, że dzieje się coś okropnego. Nigdy nie wierzyłem, że to przypadek, że jakiś prawniczy oszołom obrzuca cię błotem, gdy tylko udało ci się osiągnąć nagły sukces. A przy okazji media mogły też wbić parę szpil twojemu staruszkowi.

– Myślisz, że to George Hardy stoi za tym wszystkim? Co on by z tego miał?

– Tacy kolesie żyją z wojen kulturowych. Głoszą imię Chrystusa, a w sercach mają

diabła. Drepcą mi po piętach od czterdziestu lat. Już zrobili ze mnie cudzołóżnika...

– Tato.

Oboje wiedzieli, że tu akurat sam był sobie winien.

– Nie szukam wymówek, mówię tylko, że dolewali oliwy do medialnego ognia. Arthurowi udało się nawet zdobyć dowód, że płacili kobietom z mojej przeszłości za upublicznienie swoich historii.

– Organizacja Hardyego wydaje się niewielka. Skąd w ogóle mieliby środki, żeby zorganizować coś takiego?

– Oj, nie oszukuj się, maleńka. Pozują na oddolne inicjatywy, maleńkie, niezależne sekty. Ale są zorganizowani. Do tego współpracują między sobą. Mają też potężne wsparcie finansowe. Ich działania sponsorują ludzie, którzy mają pieniądze. I nie są to ludzie Boga. Manipulują religijnością dla władzy i, co za tym idzie, pieniędzy, które są ich ostatecznym celem. Gdyby udało im się powiązać moje nazwisko z dziecięcą pornografią, mogliby nakleić moją twarz na każdy list z prośbą o wsparcie finansowe. I mogą też użyć winy przez skojarzenie, by nawoływać przeciwko każdemu kandydatowi, któremu ja lub matka daliśmy chociaż centa. Kiedy tylko Hardy pojawił się u twoich drzwi, powinienem był kazać ci stamtąd wyjść, tak jak stałaś, nie czekając na nic.

– Więc skoro za tym stoi Hardy i jego kościół, to kim był gość, który mnie wynajął? I dlaczego nie żyje?

Jej ojciec wzruszył ramionami.

– Mógł być kimkolwiek. Jednym z popleczników Hardyego, który przestał postępować zgodnie z jego nakazami. Albo kimś, kogo wynajęli. Mówiłaś, że tamtego ranka chciał się z tobą spotkać w galerii. Może chciał wyjawić ci prawdę.

– Nagle się nawrócił?

– Albo pojął, że córka Franka Humphreya może zrobić dla niego więcej niż życiowy nieudacznik Hardy i banda popaprańców, którzy się go trzymają. Wiem, że nie znam wszystkich odpowiedzi, ale w jedno mi musisz uwierzyć, Alice. Nie miałem z tym nic wspólnego. I nieważne co się stanie, wygląda na to, że siedzimy w tym razem. Mój gość od efektów specjalnych twierdzi, że zdjęcie nie było photoshopowane. Ktokolwiek za tym stoi, zadał sobie wiele trudu, aby wynająć nie tylko twojego pracodawcę, ale i dziewczynę z tego zdjęcia. Odwołuję mój wyjazd.

– Tato, nie znasz czasem dziewczyny imieniem Becca Stevenson, prawda?

– Nie. Kto to taki?

– Jakaś dziewczyna z New Jersey, która niedawno zaginęła. Policjanci pytali mnie o

nią, ale nie wiem dlaczego.

– Zdecydowanie musimy zwrócić się z tym do Arta. Potrzebujesz prawnika.

Kiedy dwie godziny później Alice dotarła do swojego mieszkania, dostrzegła na rogu Św. Marka zieloną Toyotę Camry. Kierowca wydawał się przyglądać znakowi z dozwolonymi godzinami parkowania. Nie była pewna, czy to tego samego mężczyznę w tej samej zielonej toyocie widziała dziś rano na Drugiej Alei, kiedy wyszła do Starbucksa. Wtedy wydawał się grzebać przy radiu. Zanotowała w pamięci numery i nadal powtarzała je w myślach, kiedy zamknęła za sobą drzwi mieszkania na zamek i zaciągnęła łańcuch.

### *Rozdział 38*

– To chyba nie był najlepszy pomysł.

Alice przyglądała się gęziej wątróbce z galaretką na toście. Normalnie byłby to dla niej smakołyk, który połknęłaby na jeden raz. Kiedy zadzwoniła do Jeffa, ten akurat wychodził z biura, żeby coś przegryźć. Udało mu się ją namówić, by poszli razem do jej ulubionej restauracji, Eleven Madison Park. Teraz, kiedy już tu była, nie miała apetytu.

– Musisz coś jeść. A jeśli tutejsze zarcie nie jest dla ciebie dość dobre, to, cóż, postradałaś zmysły.

Zmusiła się, by ugryźć kawałek. Nie mogła znieść faktu, że Jeff zapłaci fortunę za jedzenie, z którego ona nie będzie mieć żadnej przyjemności.

– Dzięki, Jeff. Za to. Za znalezienie dla mnie czasu.

– Znalezienie czasu dla ciebie? O czym ty mówisz? Jesteś moją przyjaciółką, jedną z najbliższych mi osób, i przechodzisz teraz przez piekło. Zrobię dla ciebie wszystko, Al. Zawsze byłem gotów zrobić dla ciebie wszystko.

Przyjaciele. Zastanawiała się, czy to słowo było jego własnym terminem na ten nieokreślony, przynajmniej dla Alice, etap ich związku. Chodził z inną kobietą – nazywała się Ramona. Dopiero dobiegała trzydziestki. Alice podejrzewała, że Ramona wprowadziła się do Jeffa na jakiś czas, bo był okres, kiedy Jeff rzadko dzwonił, a jeśli już dzwonił, to wyłącznie z komórki. W pewnym momencie nie mieli ze sobą kontaktu przez dobre sześć miesięcy i Alice zaczęła się zastanawiać, czy ich związek nie dobiegł wreszcie końca.

Ale kiedy wybuchł skandal z ojcem Alice, Jeff wrócił. Zaczęło się od telefonu z pytaniem, jak jej się wiedzie. Później coraz częstsze spotkania na drinka albo popołudniowy seans w kinie. Albo telefony w środku nocy, gdyż oboje cierpieli na bezsenność, choć niekoniecznie jednocześnie. Hej. Nie śpisz? Nie mogę zasnąć. Nie jedna, ale dwie noce u

Jeffa po wieczornym pijaństwie. Za pierwszym razem towarzyszyły temu przeprosiny i pocałunek w czoło, ale za drugim sytuacja rozwinęła się w pełni.

A później pojechał do Seattle odwiedzić brata. A później Alice otwarła galerię.

„Przyjaciele”, powiedział. Ewidentnie nie byli niczym więcej. I był gotów zrobić dla niej wszystko – poza rozważeniem przyszłości bez dzieci, ale ze swoją przyjaciółką.

Odepchnęła od siebie te myśli, wiedząc, że zaszczepiły je słowa ojca. Teraz nikogo bardziej nie potrzebowała niż przyjaciela.

– Twój ojciec mówi, że zdjęcie jest prawdziwe, tak?

– Nie rozumiem szczegółów technicznych, ale zna jakichś wypasionych gości od efektów wizualnych, którzy potrafią przebadać zdjęcie pod względem nieścisłości, jak na przykład cień, który pada w nieodpowiednim kierunku w stosunku do światła, albo niewłaściwe proporcje między widocznymi osobami. Ta fotografia nie jest najwyższej jakości, ale ewidentnie nie zauważyli niczego podejrzanego.

– Może być spreparowane mimo to.

– Może, jeśli ktoś zrobił to dobrze. Albo znalazł kobietę, która jest do mnie cholernie podobna.

– Bo jesteś całkowicie pewna, że to nie ty?

– No chyba jaja sobie robisz.

Na jego ustach pojawił się rozbrajający uśmiech, który zawsze był w stanie zmitygować narastający w niej gniew.

– Wiem. Jestem dupkiem. Po prostu chcę się upewnić, że nie było żadnych pijackich wieczorów z tym twoim szefem-przystojniakiem. Może jest coś, czego nie pamiętasz?

– Absolutnie nie. Ty, mój panie, jesteś jedynym mężczyzną, z którym ostatnio poszłam do łóżka po pijaku.

Kobieta przy sąsiednim stoliku odkaszlnęła głośno.

– Bardzo subtelne – szepnął Jeff. – Czekaj, aż usłyszysz, jak rozmawiamy o trupach i prawicowych spiskach.

– Może i mój ojciec jest paranoikiem, ale, jak to mawiają...

– „To, że jestem paranoikiem, nie znaczy jeszcze, że oni nie próbują mnie dorwać”.

– Więc myślisz, że ci nieokreśleni „oni” próbują dorwać mojego ojca?

Teoria jej taty była szalona, ale wyjaśniała niezwykle zgranie w czasie pojawienia się demonstracji Hardyego przed galerią z morderstwem Campbella.

– Zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Zastanawiałaś się, dlaczego do tej pracy wybrali akurat ciebie. Jeśli w całej tej sprawie chodziło o oczernienie twojego ojca, wykorzystanie

ciebie – i tego, że potrzebowałaś pracy – byłoby tylko sposobem na dostanie się do niego.

– Ale?

– To bardzo skomplikowany sposób na oczernienie kogoś. Ktoś musiał założyć konto bankowe, sfalszować prawo jazdy z twoim zdjęciem i nazwiskiem Drew Campbell, zwerbować Campbella, żeby cię wciągnął w to wszystko, stworzyć prace i stronę internetową Hansa Schulera, wynająć lokal, zapłacić za meble, zapłacić za lokal...

– Chwytam.

– Wiem, że może nie jest to moja specjalność, ale kiedy byłem jeszcze w firmie, reprezentowałem niejedną niezbyt moralną korporację, nawet teraz prowadzę czasem sprawy kryminalne. Z własnego doświadczenia wiem, że są tanie sposoby na zemstę. Przemoc. Groźby. Kłamstwa. To nie kosztuje ani centa. Ludzie, którzy wydają pieniądze, robią to tylko pod warunkiem, że w ten sposób zarobią jeszcze więcej.

– No dobra, więc może obaj z ojcem macie rację. Co, jeśli mamy tu do czynienia z podwójnym motywem – jeden jest finansowy, ale zrobienie ze mnie i taty kozłów ofiarnych jest wisienką na torcie?

– A jakby się to wiązało z Georgem Hardym?

– Czy trudno uwierzyć, że jakiś pastor i jego partyzancki kościółek mogliby być zamieszani w jakąś nielegalną działalność? Mam wrażenie, że już czytałam tę historię, Wielebny Tedzie. Więc co to może być za interes?

– Jaki by nie był, jeśli prowadzi się lewe interesy, trzeba mieć jakąś zasłonę dymną. Mogli używać galerii do prania brudnych pieniędzy albo szmuglowania narkotyków. Lub ludzi.

– Ale nie było żadnego ładunku. Przychodziły i wychodziły wyłącznie prace Schulera.

– Których sprzedaliście sporo, prawda?

– Ponad setkę.

– Ile to wychodzi? Jakież siedemdziesiąt tysięcy? Za dzieła nieznanego artysty, który może nawet w ogóle nie istniał?

– Poza tym prawie wszystkie zamówienia przyszły z sieci. Zdołałam nakręcić sporo ludzi, żeby przyszli na otwarcie, ale osobista sprzedaż szła mi ciężko. Całe te pieniądze przyszły z Internetu.

– A dokąd poszły?

– Nie mam pojęcia. Nie miałam dostępu do konta, na które szły, ale skoro policja nadał ze mną rozmawia, to zapewne nie dało się go namierzyć. Albo jest kolejną rzeczą, która jakoś wskazuje na mnie lub mojego ojca.

– Dobra, więc skąd się wzięły te wszystkie pieniądze? Dlaczego ekspozycja odniosła taki sukces?

– Wtedy sądziłam, że zawdzięczam to swoim szalonym zdolnościom w zakresie marketingu wirusowego.

– A teraz?

– Czuję się jak idiotka. Niczego nie szmuglowali. Galeria nie była żadną zasłoną. Po prostu sprzedawali zdjęcia. Stąd brali pieniądze na swoją działalność.

– Ale jak wytworzyli popyt? Dlaczego ci wszyscy ludzie byli skłonni dawać siedemset dolarów za prace, które nie są nic warte?

– Cholera, musimy iść.

Zanim zdołała wyjaśnić, rzucił na stół pieniądze.

– Wydruki prac nie były wszystkim, co wysyłałam klientom.

Ewidentnie o tym zapomniał.

– Pendrivey, Jeff, pamiętasz? Każdy klient dostawał pendrivea z danymi o Hansie Schulerze. A ktokolwiek wyczyścił galerię, zostawił glinom tylko dwie rzeczy: ciało Drew oraz torbę tych pednriveów. Cokolwiek na nich było, policja na pewno już to znalazła.

– Masz jeszcze któregoś z nich?

– Nie wiem. Muszę poszukać.

– Tamtego wieczora, kiedy wpadłem do galerii, jeszcze przed otwarciem, pokazałaś mi to wszystko na laptopie, a później włożyłaś pendrive'a do kieszeni. Pamiętam.

Drogę do jej mieszkania pokonali biegiem. Szybko znalazła parę dzinsów marki Hudson, których nie miała na sobie odkąd zaprezentowała Jeffowi tak zwaną ekspozycję Hansa Schulera. Pendrive nadal tkwił w przedniej kieszeni.

– Nie mogę uwierzyć, że nie przejrzałam tych bzdur na wylot.

Widziała już wszystkie te pliki: obrazy prac Schulera, interaktywna gra, w której użytkownicy mogą wycinać i przenosić części tych prac, by tworzyć swoje własne wirtualne mozaiki, oraz program, który instaluje dzieła Schulera jako tapety na pulpit, wzbogacone tandetnymi powiedzonkami o samopoznaniu i głównonurtowym radykalizmie.

– A mimo to ponad setka ludzi była gotowa zapłacić siedemset dolarów za to gówno.

– Czy czegoś nie pomijamy?

– Spróbuj zainstalować wszystkie tapety i zobaczymy, co się stanie.

– A co się ma stać?

– W oczywisty sposób tego nie wiem, ale coś tu musi być.

Zainstalowała wszystkie cztery, ale poza zmianą tapety na jej pulpicie nic się nie działo.

– Może jest gdzieś zagnieżdżone.

Zaczęła klikać po obrazkach. Na Płynach, centralnej pracy serii SAMO Schulera, kliknęła na usta rzekomego artysty, cieknącą z nich ślinę, ślady ugryzień na nadgarstku. Nic.

Przeszła do Zgryzu, pracy o podobnej tematyce, na której artysta przygryzał dolną wargę.

Kiedy dotarła do Pierwszej, zdjęcia, które wywołało burzę po pojawieniu się pod galerią Georgea Hardyego na czele demonstracji, klikanie Alice stało się bardziej desperackie i chaotyczne. Praca przedstawiała kolaż wycinków zdjęć fragmentów ciała, które z pewnością nie należało do Schulera. Błada, gładka skóra. Wąskie wargi. Biust, który dopiero zaczynał się tworzyć powyżej widocznych przez skórę żeber.

Zajmujące cały monitor zdjęcie zaczęło zapadać się w głąb i odlatywać, jak pobita szyba. Po czym ekran zrobił się czarny.

Wprowadź hasło.

Próbowali Schuler, Hans, Hans Schuler, Highline, Samo. Wreszcie Alice wpisała tytuł fotografii, która ich tu doprowadziła.

P-I-E-R-W-S-Z-A

Na ekranie pojawiła się lista plików graficznych, każdy oznaczony siedmiocyfrowym numerem. Poczula, jak jej oczy odruchowo odwracają się od ekranu, kiedy je przeglądała. Jeżeli mogły być jakieś wątpliwości, co do wieku dziewczyny z Pierwszej, to tutaj nie było żadnych. Niektóre ze zdjęć przedstawiały nieco starszą dziewczynkę, może nastolatkę. Jej twarz wycięto. Z powodów, których Alice nie potrafiła z miejsca wskazać, zdjęcia te wydawały się należeć do innej epoki. I były nieco nieostre, jakby zeskanowano je z fizycznych odbitek. Zaczęła klikać szybciej, nie chciała oglądać szczegółów. Na niektórych z tych zdjęć obecny był mężczyzna, jego twarz również wycięto.

Obrazki z tą dziewczyną były rozsiane wśród innych zdjęć, zrobionych w większej rozdzielczości. Na nich widać było dzieci, w wieku może sześciu do ośmiu lat. Dziewczęta i chłopcy. Samotnie. Z dorosłymi. W grupach.

Poczula, jak te kilka kęsów, które w siebie wcześniej wmusiła, podchodzi jej do gardła. Jeff położył dłoń na jej plecach. Zamknęła laptop z siłą większą, niż było to konieczne. Kiedy w końcu przemówiła, jej głos drżał.

– I co ja teraz zrobię?

*Rozdział 39*

– Dobrze pana znów widzieć, Morhart.

Willie Danes serdecznie uściskał dłoń Morharta i wysunął w jego stronę na wpół opróżnioną torebkę Cheetos, jakby byli starymi kumplami. Morhart nie wątpił, że zasłużył na parę chipsów od tych nowojorskich gliniarzy, informując ich o powiązaniu Becci Stevenson z ich śledztwem, ale podejrzewał, że za swoją dzisiejszą wizytę na trzynastym posterunku powinien dziękować odgórnie sterowanej biurokracji. Nie głosował na burmistrza Kylea Jenson, gdyż ten siedem lat temu przyciął budżet programu straży obywatelskiej, ale musiał przyznać, że człowiek ten posiadał naturalną umiejętność oczarowywania innych. Zadzwoił do szefa Morharta z pytaniem o postępy śledztwa w sprawie Stevenson. Kiedy dowiedział się, że ślad prowadzi do galerii w Nowym Jorku, osobiście zadzwonił do inspektora, który stał nad Danesem. Departamenty policji Dover i Nowego Jorku doszły do „porozumienia”, że ich detektywi będą w pełni dzielić się informacjami o tych dwóch osobnych, lecz zachodzących na siebie sprawach.

Morhart uważał, że dostarczając odciski palców Becci, wypełnił swoją część tego quid pro quo. Dzięki niemu Danes i jego partner, John Shannon, wiedzieli, że zaginiona piętnastolatka odwiedziła galerię, w której później dokonano badanego przez nich morderstwa. Wiedzieli też, że jej ojciec – który dopiero niedawno pojawił się w jej życiu – przypadkowo prowadził protest przed tą samą galerią zaledwie na dzień przed tym, jak odkryto tam ciało ofiary.

Teraz Morhart miał zajrzeć w karty nowojorczyków. Ostrożnie przeszedł pomiędzy stertami papierów i zmaltretowanych pudeł, które zagracały mały pokój przesłuchań, i zasiadł na krześle. Próbował słuchać Danesa i ignorować skrzypienie drzwi, spowodowane przez młodego Azjatę, który cały czas wchodził i wychodził z pomieszczenia.

– Mój partner nie mógł przybyć – wyjaśnił Danes. – Przegląda teraz ostateczne wyniki sekcji zwłok. Gotowy do wejścia do naszej piaskownicy?

– Lekarz znalazł coś ciekawego?

Morhart miał wrażenie, że patolodzy zwykle jedynie potwierdzają to, co było dla każdego jasne od momentu ujrzenia miejsca zbrodni. Ofiara naszpikowana kulami najczęściej umiera od ran postrzałowych.

– Niewiele. Od razu ustaliliśmy moment zgonu z dużą dokładnością, bo ciało było świeże. Dwa strzały z trzydziestki ósemki. Klatka piersiowa i żołądek. Znalezione też pośmiertne stłuczenia na genitaliach.

Danes przesunął torbę z chipsami przed pierś, jakby w obronnym geście. Morhart poczuł, jak mimowolnie przyciska kolana do siebie.



– Więc ktokolwiek go zabił, naprawdę go nie lubił.

– Albo upewniała się, czy nie udaje.

Morhart zwrócił uwagę, że Danes użył formy żeńskiej.

– Może nam kiedyś powie. Tak czy owak, z tego co słyszałem, jeśli ktoś zasłużył na pośmiertny kop w jaja, to na pewno Larson.

Danes wyrecytował informacje o przeszłości ofiary, które do tej pory zebrali. Przed trzydziestką, ciąg trzeciorzędnych posad w handlu detalicznym; później Travis Larson nie pracował już legalnie. Żadnej rodziny. Mieszkanie wypełnione skradzionymi listami, zręcznie podrobionymi dowodami tożsamości, fałszywymi czekami i ofertami wystawienia kart kredytowych. Do tego wszystkiego jest jeszcze agent FBI, który twierdzi, że jego siostra była jedną z wielu kobiet, które w przeciągu lat Larson poznał i wykorzystał.

– Z tego, co wiemy, gość zaczął szukać bardziej dyskretnych sposobów prowadzenia swojej nielegalnej działalności, odkąd w zeszłym roku ten agent FBI chciał go przymknąć za dojenie starszych kobiet. Nasze techno-świry znalazły na komputerze galerii dowody na ściąganie i produkowanie dziecięcej pornografii. Proceder trwał od jakichś pięciu miesięcy.

Sięgnął do kieszonki swojej koszuli z krótkim rękawem i rzucił Morhartowi pendrivea. Ten otarł z kurzu jasnopomarańczowy nadruk „SAMO”.

– Jak pewnie pan wie, federalni ostatnio zaczęli bardziej agresywnie reagować na internetowe porno. Jeśli tylko pomyślą, że ktoś rozpowszechnia dziecięce porno, robią mu natychmiastowy download i voilà, zamykają cały serwis. Te dranie mogą też korzystać z wysyłki pocztowej, ale znowu – federalni składają zamówienie, sprawdzają zawartość przesyłki i po niej docierają z powrotem do nadawcy, żeby go zamknąć.

Morhart nie miał osobistego doświadczenia z tego rodzaju dochodzeniami, ale starał się, jak umiał, nadażać za postępem, czytając strony internetowe dla stróżów prawa.

– Tak samo jak technologia pomaga bandytom, pomaga też nam ich ścigać.

– Dokładnie. Więc nie ma się co dziwić, że ktoś używa nowoczesnych sposobów na zainteresowanie klientów i wytworzenie popytu, a starodawne metody wykorzystuje na rozpowszechnienie towaru, by uniknąć wykrycia.

– I to ma związek z tym? – zapytał Morhart, unosząc pendrivea.

– Każdy klient, który złożył zamówienie w Galerii Highline, otrzymywał jednego z nich. Na pierwszy rzut oka jest wypełniony jakimś bzdurami. Ale jeśli znajdzie zagnieżdżony odnośnik i wpisze wymagane hasło, znajdzie się naprawdę zboczony towar. Nasi komputerowcy wysłędzili na różnych forach dla zboczków wiadomości, sięgające do sześciu tygodni wstecz, informujące o zdjęciach, które mogą kupić przez Highline.

– I nikt, kto monitorował te strony, tego nie zauważył?

– Przez ostatnie parę dni widziałem takie rzeczy, że mam ochotę wykluć sobie oczy. Prawda jest taka, że dla federalnych to nic trudnego. Wybierają łatwą zwierzynę – gości nieustannie ściągających pliki z sieci, wymieniających się nimi albo realizujących zamówienia pocztą. Ktoś, kto informuje o jakiejś galerii, mówiąc, że gorące maluchy będą dopiero kiedyś i pod jakimś tam hasłem? Wyśledzenie tego oznacza podjęcie dwóch lub trzech kroków więcej, niż łatwe sprawy, więc nikt tego nie bada. Prawdę mówiąc, to bardzo sprytne.

– Więc zbierają klientów przez fora internetowe, a później, kiedy galeria jest już otwarta, przyjmują od nich zamówienia i posyłają pendrivey z danymi. A dokąd idą pieniądze?

– Na zagraniczne konto. Nie do namierzenia.

– A jak się w to wpisują George Hardy i Becca Stevenson?

Zanim odpowiedział, Danes oparł dłonie na biodrach i opuścił głowę. Dopiero po chwili podniósł spojrzenie na Morharta.

– Chciałbym, żebyśmy mieli lepsze wieści, chłopie. Nie wiemy. Morhart splótł dłonie za głową i spojrzał w sufit.

– Nie macie nic, co łączyłoby Beccę z Larsonem?

– Wyłącznie te odciski z klamki od drzwi do ubikacji. Żadnych e-maili. Żadnych telefonów. I, powiem to jeszcze raz, na żadnym ze zdjęć, które znaleźliśmy, nie było pańskiej dziewczyny.

– Kurwa.

– Wymyśliliśmy tyle, że Larson mógł szykować Beccę do pozwania albo czegoś gorszego. Coś jednak poszło nie tak i Larson zginął. Może wystraszyła się i zwała.

Obaj wiedzieli, że teoria Danesa to czyste spekulacje.

– Przed chwilą mówił pan o jakiejś „onej”. Tej, która może kopnęła Larsona, żeby upewnić się, czy zginął. Macie już konkretną podejrzaną?

Danes wskazał na fotografię w formacie dwadzieścia pięć na trzydzieści pięć centymetrów, przypiętą do wiszącej za nim tablicy.

– Nazywa się Alice Humphrey. Była „menedżerką” galerii.

Palcami zakreślił w powietrzu cudzysłów, by zaznaczyć swój sceptycyzm.

– Twierdzi, że nic nie wie, ale mamy ją na zdjęciach z Larsonem, mamy też dowody wiążące ją z pseudonimem, którego użyła do założenia galerii i jej konta. Naszym zdaniem miała coś do udowodnienia swojemu Zajębiście Ważnemu ojcu. Skłoniła go, by otworzyć

galerię, ale później, żeby mieć z tego zyski, związała się z Larsonem i tym całym porno.

Morhart przyjrzał się zdjęciu Alice Humphrey. Rozpoznał ją z jednego z artykułów o proteście Georgea Hardyego pod galerią, które czytał. Rzadko zdarzało się, żeby kobieta robiła krzywdę dziecku dla przyjemności, ale nawet na swojej prowincji nauczył się, że dla pieniędzy ludzie są w stanie zrobić wszystko.

– A kim jest ten Zajeździe Ważny ojciec?

– Frank Humphrey.

– Ten reżyser?

– Tak. I niezły z niego Casanova, jak poczytać brukowce. Musiałby pan spytać Freuda, czy to ma coś wspólnego z wyprawą jego córki do świata dziecięcego porno. Wiemy tyle, że w ciągu zeszłego roku poróżnili się ze sobą. Może to był jej sposób na rozpoczęcie wszystkiego od nowa, uniezależnienie się od rodziny.

– Więc myślicie, że to Alice Humphrey zabiła Trávisa Larsona?

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy kobieta zabija swego kochanka. Ale, kto wie? Może chciał ją wyrolować. Miłość i pieniądze to potężne motywacje. Miejmy nadzieję, że poznamy jej dokładny motyw, kiedy w końcu zacznie mówić. Zajęliśmy jej laptop, ale zawsze może powiedzieć, że na forach pisał Larson, a nie ona. A nawet jeśli uda się jej udowodnić zamieszanie w pornografię, to jeszcze nie oznacza, że da się ją oskarżyć o morderstwo. Prawda jest taka, że nie mamy jeszcze dość dowodów, żeby zamknąć ją za cokolwiek.

Morhart ponownie usłyszał skrzypienie drzwi. Tym razem Azjata wetknął do pomieszczenia jedynie swoją głowę.

– Dobre wieści, chłopie. Zadzwonili techniczni w sprawie tych rękawiczek znalezionych w śmieciach na rogu Waszyngtona i Bankowej. Są ślady prochu.

Morhart nie znał miasta zbyt dobrze, ale zdawał sobie sprawę, że Bankowa i Waszyngtona muszą znajdować się gdzieś blisko centrum, w południowej, nienumerowanej części Manhattanu, zapewne w pobliżu galerii. Odnalezienie rękawiczek ze śladami prochu w pobliżu miejsca zbrodni oznaczało pojawienie się mocnego dowodu.

Danes uderzył pięścią w coś, co uchodziło za jego talię.

– Teraz wystarczy, że połączymy naszą podejrzaną z tymi rękawiczkami, a będziemy w domu.

*Rozdział 40*

Nawet w lepszych czasach przedzierać się przez zatłoczone chodniki centrum Manhattanu wzbudzało w Alice irytację. Zastępy klonów w ciemnych garniturach. Uliczni sprzedawcy, wciskający każdemu pieczone orzeszki i paski po trzy dolary sztuka. Krążący wszędzie turyści, zapatrzeni na szczyty wieżowców w błogiej nieświadomości, że uderzają pełnymi souvenirów torbami w golenia przechodniów. Nastolatki w klapkach, jedną ręką robiące komórkami zdjęcia, drugą usiłujące utrzymać dwa litrowe kubki napoju z pobliskiego fast-fooda. Tego po prostu było... zbyt wiele.

– Uśmiechnij się, dziewczyno. Nieważne, że jest minus piętnaście. Każdy dzień może być piękny.

Mężczyzna z szerokim uśmiechem na ustach wytaczał załadowany butelkowaną wodą wózek z wnętrza furgonetki, zaparkowanej na środku Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Kiedy znalazł się już na ulicy, sięgnął do pokręta głośności starego boom-boxa z odtwarzaczem CD, który spoczywał na podłodze pojazdu. Ponad odgłosy ruchu ulicznego wybiły się basy Summertime, piosenki Dj-a Jazzy Jeffa i Willa Smitha z czasów, kiedy jeszcze znany był jako Książę z Bel Air.

Alice pokazała mu uniesione kciuki, po czym pospieszyła do wejścia biurowca, który nad nimi górował. Musiała jeszcze wpisać się do dziennika ochrony i dać sobie zrobić zdjęcie kamerą cyfrową, nim otrzymała przepustkę dla gości, by dostać się na czterdzieste drugie piętro.

Jej ojciec czekał już na nią w biurze Arthura Cronina. Siedział z nogą założoną na nogę, rozparty na wiśniowej, skórzanej sofie, i sączył wodę z cytryną. Art spoczął w ustawionym pod kątem prostym fotelu z tego samego kompletu. Nie miał na sobie butów. Każdy, kto zobaczyłby ten obrazek, nie miałby wątpliwości, że mężczyźni znają się od niemal pięćdziesięciu lat.

– A oto i ona, zawsze punktualna, piękna żeńska połowa następnej generacji Humphreyów.

Art powstał, by przywitać ją niedźwiedzim uściskiem, po czym położył dłonie na jej ramionach.

– Więc, jak tam się miewa moja fantastyczna córka chrzestna, co?

– Muszę przyznać, że dziś rano spojrzałam na swój paszport i zaczęłam zastanawiać się, jakie kraje nie mają podpisanej umowy o ekstradycję z Ameryką i w którym z nich panują najlepsze warunki życiowe.

– Dlatego właśnie artyści nie zostają prawnikami. Twoja wyobraźnia wymyka ci się spod kontroli. Dzieje się tu coś szalonego, nie ma co do tego wątpliwości, ale są sposoby na

radzenie sobie z takimi rzeczami. Zobaczysz.

Spojrzała na ojca i stwierdziła, że ten robi wszystko, by wyglądać na spokojnego. Był genialnym filmowcem, ale nie aktorem. Odstawił szklankę na stolik i oparł dłonie na udach, by wstać.

– W porządku. Mam spotkanie z pewną trudną do złapania, ośmiokrotnie dzieciątą aktorką. Nie chcę, żeby musiała na mnie czekać. Może się znudzić i zaadoptować kolejne dziecko.

– Tato, sądziłam, że mieliśmy razem porozmawiać z Artem.

Kiedy przez telefon powiedziała mu o zdjęciach znalezionych na pendrive Hansa Schulera, przekonał ją, że najwyższy czas zwrócić się do prawnika, a konkretnie do Arta.

– Przykro mi, maleńka. To ważna zdobycz dla mojego filmu, a tylko teraz może się ze mną spotkać. Powiedziałem Artowi wszystko, co wiem. Jesteś teraz w dobrych rękach.

Posłał jej całusa z obu dłoni, po czym zamknął za sobą drzwi.

– Nie bądź na niego zła, Alice. Ja sam zaproponowałem, że może lepiej będzie, jeśli spotkam się z każdym z was w cztery oczy.

Ewidentnie poinformował o tej zmianie planów jedynie jej ojca.

– Przyniosłam pendrivea.

Nie licząc gorączkowego przeglądania wczoraj wieczór, Alice nie oglądała tych zdjęć. Kiedy przeprowadziła Arta przez proces instalacji tapety, kliknięcia na żrenicę dziewczyny i wpisania hasła, skoncentrowała się na podziwianiu wkomponowanego w narożnik budynku biura. Do jej uszu dotarło najpierw parę kliknięć myszy Arta, a później jego jęknięcie. Próbowwała nie pamiętać.

Kiedy prawnik przeglądał kolekcję zdjęć z pendrivea, Alice zwróciła uwagę na inne fotografie, te, które stały oprawione w ramki na mahoniowej szafce na akta. Art ściskający dłoń Hilary Clinton. Art przyjmujący nagrodę ACLU. Młodszy Art na łodzi, w towarzystwie jej ojca. Jeszcze młodszy Art i lekko szczerbaty chłopiec w typie Opie Taylora, siedzący przytuleni na jakichś trybunach, z hot dogami w dłoniach i identycznymi czapkami Jankesów na głowach.

– Co to za urocze stworzenie na meczu Jankesów?

– Słucham?

Podniósł się zza biurka i przywołał ją z powrotem, aby usiadła na sofie.

– To mój siostrzeniec, Brandon. Brzdąc skończył już studia ekonomiczne, aż trudno uwierzyć.

Wiedziała, że Art ma zamężną siostrę, ale nigdy nie spotkała nikogo z jego rodziny. Zawsze odnosiła wrażenie, że Art widział siebie bardziej jako honorowego Humphreya.

– Ale wróćmy do naszych baranów. Ci detektywi, którzy cię przesłuchiwali, nie pytali o te zdjęcia, prawda?

– Nie, ale pytali o zaginioną dziewczynę z Jersey. Myślisz, że to ona może być tą nastolatką ze zdjęć?

– Nie mam pojęcia, ale jeśli wiedzą o zdjęciach, takie podejrzenie może z pewnością stać za ich pytaniami. Oczywiście, dlaczegoż by mieli pomyśleć, że możesz mieć jakiś związek z tą dziewczyną? Jest to jedna z niewiadomych, z którymi musimy się teraz zmierzyć.

– Pytali mnie też o ojca. I o ITH. Ewidentnie znaleźli te same rejestry urzędowe, co mój znajomy, Jeff. Ktoś użył korporacji ITH, żeby założyć galerię, a oni wiedzą, że to jedna z firm mojego ojca. Muszą myśleć, że to ja pociągałam za sznurki. Zdjęcia na tym pendrivie dowodzą, że mówiłam prawdę. Ktokolwiek założył galerię, zrobił to po to, żeby sprzedawać te fotografie. Ja byłam figurantką.

Palce Arta ułożyły się w wycelowany w Alice szpic.

– Więc, Alice, co twoje własne instynkty sugerują ci teraz zrobić?

Dziwnie było tak oglądać Arta w tym przesiąkniętym cygarami i brandy gabinecie, ubranego w garnitur za tysiąc dolarów, i słuchać, jak rozmawia z nią jak dorosły prawnik z dorosłym klientem. Ciągle doskonale pamiętała moment, kiedy uznała go za najmądrzejszą osobę na świecie, gdy nauczył ją, żeby zakładać rękawiczki przed założeniem kurtki, dzięki czemu nie będzie jej zimno w nadgarstki.

Pamiętała też mniej chwalebne momenty, kiedy zaczynał bełkotać, siedząc na sofie w salonie jej rodziców w Bedford i debatując z nimi późno w nocy nad polityką, filmami, sztuką, literaturą i życiem. Art zawsze zachowywał się jak stary satyr, nawet kiedy był młody. Wieczny podrywacz, zawsze zadowolony z towarzystwa dziewczyny, która w dany weekend wpadła mu w oko. Alice już dawno stwierdziła, że Art bez wątpienia był jednym z powodów, dla których w towarzystwie ojca pojawiały się wciąż nowe, gorące hostessy wysokiego (pod wieloma względami) kalibru. Ale to, co kiedyś postrzegała jako humorystyczny smaczek starokawalerstwa, teraz, kiedy wiedziała, że jej ojciec brał w tym udział, nabrało w jej oczach nowego, bardziej odrażającego wymiaru.

– Moje instynkty? Nie żartowałam z tym uciekaniem. W obecnej sytuacji wizja tropikalnej wyspy i margarity wielkości mojej głowy wydaje się naprawdę cholernie pociągająca.

– fest za wcześnie, by rozważać ucieczkę przed prawem.

Uśmiechnęła się, ale po chwili dostrzegła, że twarz Arta jest poważna.

– Żartujesz, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Nie robię sobie żartów na takie tematy. Jak myślisz, co mogę powiedzieć klientowi, który ma prywatny samolot, paszport i dość pieniędzy na zagranicznym koncie, by przeżyć za nie resztę życia, kiedy staje w obliczu dwudziestoletniego wyroku, gdyż SEC nagle stwierdziło, że korporacje powinny uczciwie wyceniać swoje akcje? Te rozmowy potrafiły przybrać nieco nieprzyjemny obrót nie tylko przez kwestie etyczne, ale też dlatego, że, wiesz, nie każdy potrafi ot tak porzucić swój dom, rodzinę, nazwisko i kraj. Ale ciebie to nie dotyczy. Nie zostałeś jeszcze aresztowana, w oczywisty sposób brak im dowodów, by cię aresztować, a to daje nam nieco czasu.

„Jak na razie”, chciała powiedzieć. „Nie dotyczy to mnie... jak na razie”.

– Cóż, jeśli więc nie zamierzam, jak to powiedziałaś, uciekać przed prawem, mój instynkt podpowiada, bym złożyła do kupy wszystko, co wiem, by wyjaśnić policji, że ktoś mnie wrabia. Przekonać ich, by przyjrzeni się bliżej Georgebwi Hardyemu albo spróbowali odnaleźć osobę, która stała za założeniem galerii.

Wycelował w nią palec, jakby właśnie poprawnie odpowiedziała na pytanie w teleturnieju.

– Widzisz? Dlatego właśnie ludzie zatrudniają prawników, Alice. Dobrzy, przestrzegający prawa, uczciwi ludzie jak ty instynktownie ufają policji. Całe życie mówiono ci, że dopóki mówisz prawdę, nie masz się czego bać. Prawie każdy mój klient, który ma na pieńku z państwem, chce zrobić dokładnie to samo. Ale moja praca polega na tym, by obronić cię przed twoimi instynktami.

– Ale ja naprawdę jestem niewinna.

– To nie ma żadnego znaczenia. Goście, którzy cię przepytawali, słyszą dokładnie to samo od każdego zakłamanego bandziora, na jakiego się natykają. „Jestem niewinny. Nie zrobiłem tego. Gdybyście tylko mnie wysłuchali”. To ich znieczula. Są specjalnie wytrenowani, by ci nie wierzyć. Przekręcą wszystko, co powiesz, by cię jeszcze bardziej pogrozić. A jeśli powiesz coś, co będzie mogło być dowodem twojej niewinności, wyznaczą sobie za najważniejszy cel, by to zanegować. Zaufaj mi. Nie pomagasz sobie, rozmawiając z nimi.

– Ale czy nie powinniśmy im chociaż powiedzieć o tych zdjęciach z pendrivea? A co, jeśli mają one coś wspólnego z tą zaginioną dziewczyną, a oni tego nie wiedzą?

– Pomoc w znalezieniu tej dziewczyny nie należy do twoich obowiązków. Nie bierz osobiście do siebie tego, co powiem, ale jeśli zdołałaś rozgryźć tego pendrivea wyłącznie z pomocą tego twojego durnego ekschłopaka, to jestem pewny, że Nowojorski Departament Policji też sobie z tym poradził.

Nie było zaskoczeniem, że Art podzielał opinię jej ojca o Jeffie.

– Co więc mam robić? Ojciec myśli, że George Hardy i jego kościół mają coś wspólnego z tym wszystkim. Trudno trochę uwierzyć, żeby kościół był zamieszany w dziecięcą pornografię, ale w dzisiejszych czasach chyba dowolny świr może założyć własną religię. Z tego, co widziałam w sieci, cały ten Kościół Redemptorystów to George Hardy i grupka oszołomów, którzy gotowi są za nim jeździć po całym kraju. Nie wiem nawet, czy mają jakiś budynek.

– Zacznę ich przeświećlać. Zobaczymy, co uda się znaleźć.

– Może z kościołem związany jest ktoś, kto miał również jakiś związek z moim ojcem oraz ITH?

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo nawet jeśli po prostu uznali go za wygodnego politycznego kozła ofiarnego, musieli wiedzieć o ITH. żeby móc jej użyć.

– Rozwiązaliśmy tę sprawę pozasądowo, tworząc trust i przekazując przezeń pieniądze na raty. Dość standardowa procedura.

– Dobrze, ale nadal zastanawiam się, co się stało z osobą, która was wtedy pozwała. Jak jej było? Julie Kinley? Wiesz, oskarżyła ojca o kradzież pomysłu na scenariusz. Może po tych wszystkich latach nadal jest na niego wkurzona?

– To oskarżenie może się wydawać poważne, ale ludzie w przemyśle rozrywkowym obrzucają się podobnymi regularnie. Tak się składa, że już sprawdziłem dalsze losy tej sprawy. Dawna pracownica, o której mówimy, odeszła w zeszłym roku.

– Julie Kinley nie żyje?

Kiwnął głową.

– Chcieliśmy ją namierzyć. Przeprowadziłem półlegalne poszukiwania w rejestrach urzędowych. Moje małe śledztwo zakończyło się na świadectwie zgonu. Zmarła w marcu zeszłego roku.

– Cholera. Podnieciłam się perspektywą, że jeździła po całym kraju za Georgeem Hardyem na jego protesty. Myślałam, że podsunę ją policji.

– Obawiam się, że nie. Martwa kobieta nie mogła za bardzo towarzyszyć Hardyemu w trasie jego ciągłych protestów, prawda?



– Może jest w to zamieszany ktoś inny? Ktoś, kto wiedział o ITH i związku mojego ojca z tą korporacją? Może jej prawnik?

– Rejestry firm są łatwiejsze do sprawdzenia, niż ci się wydaje, ale na pewno, przemyślę jeszcze raz, kto mógł być zamieszany w tę transakcję i jaki mógłby mieć związek z tym kościołem. Ale w międzyczasie, Alice, choć to, co powiem kłóci się ze wszystkimi impulsami każdej komórki twojego ciała, twoim nadrzędnym celem jest nie robić nic. Nie rozmawiaj z policją. Nie rozmawiaj ze znajomymi, a przynajmniej nie o sprawach, które mogą mieć jakiś związek z tym śledztwem. Nie próbuj prowadzić własnego dochodzenia, ponieważ jeśli założą ci podsłuch na telefon, włamią się do komputera albo każą komuś cię śledzić, to mogą odkryć twoje osobiste zaangażowanie w tę sprawę.

– Ależ ja jestem osobiście w to zaangażowana!

– Nie słuchasz mnie, Alice. Policja zinterpretuje twoje działania w najgorszy możliwy sposób. Nie pomyślą, że szukasz dowodów na ocalenie skóry, ale że próbujesz zatrzeć ślady. Musisz mi tu bezwzględnie zaufać. Jestem dobry w tym, co robię. A mojego telefonu nie da się podsłuchać, do moich komputerów nie da się włamać. Spróbuj zająć się swoim życiem. Obejrzyj jakieś filmy. Odkryj jakieś nowe restauracje. Chcesz gdzieś popracować? Wiesz, że moja oferta pomocy w tej sprawie jest zawsze aktualna.

Pokręciła głową. W jej oczach pomoc Arta nie różniła się niczym od pomocy ojca. Ale jednak siedziała tu, słuchając porady prawnej zorganizowanej przez ojca, nie mając w oczywisty sposób funduszy na zapłacenie astronomicznej stawki, jaką prawnik taki jak Arthur Cronin z pewnością liczył sobie za swoje usługi.

– Uważaj na siebie, dobrze?

Poklepał ją po głowie, jak robił zawsze, odkąd była mała.

– I pozdrów Bena. Sekretarka mówiła mi, że był tu wczoraj, ale się minęliśmy.

– Przyszedł do ciebie do biura?

– Może nie powinienem był o tym wspominać. Coś jest nie tak?

Jej brat nadal nie odpowiadał na jej liczne SMS-y, ale jednak znalazł czas, by odwiedzić Arta. Nie miało teraz znaczenia, skąd wiedział o związku ojca z ITH – zawsze dużo bardziej identyfikował się z jego pracą niż jego siostra – martwiła się tylko, że znowu zaczął brać. Miał tendencje do unikania jej, kiedy to robił.

– Nie. Po prostu dawno się nie widzieliśmy. Mam zabrać tego pendrivea do domu, czy może potrzebujesz go tutaj?

– Lepiej mi go na razie zostaw. Im bardziej utrudnimy im powiązanie cię z tym zdjęciami, tym lepiej.

Niewypowiedziane na głos implikacje były jasne. Mimo swoich zapewnień Art myślał już o dniu, kiedy policja pojawi się pod jej drzwiami z nakazem aresztowania w rękę.

## *Rozdział 41*

– A niech mnie, jednak odebrałeś telefon. Tym razem Ben dał znać, że żyje, odbierając telefon po zaledwie dwóch dzwonkach.

– Przepraszam. Byłem zajęty.

– Dźwiękowy interes jest en fuego, co?

Praca Bena nie bardzo należała do tych, w których siedzi się od dziewiątej do piątej przez pięć dni w tygodniu, ale i tak Alice była pewna, że jej brat nieraz miał dłuższe okresy posuchy między zleceniami, dłuższe nawet niż ona miała po zwolnieniu z muzeum. Mimo to nigdy nie określał się mianem bezrobotnego.

– Po prostu dużo się dzieje, to wszystko.

Alice zakryła dłonią wolne ucho, usiłując stłumić odgłosy natężonego ruchu drogowego przed budynkiem Cronina. Głos Bena wydawał się płaski. U kogoś innego mogłaby uznać to za oznakę strapienia lub braku skupienia na rozmowie. W przypadku brata do głowy przychodziły jej trzy lub cztery niezbyt przyjemne substancje.

– Martwię się o ciebie, Ben.

– A nie jest tak z wszystkimi Humphreyami? Zawsze martwią się o Bena. Zawsze zakładają najgorsze.

– Nie zaprzeczysz, że w zeszłym tygodniu zostałeś aresztowany.

– Jezu Chryste. Już ci mówiłem. To było tylko trochę zioła. Wszystko gra.

Za każdym razem, gdy czuła pokusę, by spisać swojego brata na straty jako kompletnego zjeba, musiała sobie przypominać, że choć byli rodzeństwem, nie byli wychowywani przez tych samych rodziców. Ben był prawie pięć lat starszy. Kiedy ojciec przestał pić, Alice miała jedenaście lat, ale Ben był już w szkole średniej. Pamiętał więcej. A przez to rodzice wymagali od niego mniej.

– Art powiedział, że wczoraj wpadłeś do jego biura. O co chodziło?

– Jest naszym chrzestnym. Potrzebuję powodu, by się z nim widywać?

– Zaczynam żałować, że odebrałeś telefon. Zrobiłam coś nie tak?

– Nie. Słuchaj, przepraszam. Chciałem z nim pogadać. To wszystko.

– Na temat ITH?

Ben nie odpowiedział.

– Kiedy byłam u ciebie w mieszkaniu, powiedziałaś, że ITH zostało zarejestrowane dawno temu, ale ja nigdy ci o tym nie wspomniałam. Nie wiedziałam też, że firma miała jakiś związek z tatą, dopóki Jeff nie wygrzebał dokumentów na ten temat. Ale ty wiedziałaś, Ben. Jeśli wiedziałeś coś o tej korporacji, powinieneś był mi powiedzieć.

– Wydawało mi się, że przypominam sobie, jak Art rozmawiał z ojcem o ITH, byłem wtedy w szkole średniej. Wpadłem wczoraj do biura Arta, żeby dowiedzieć się, kto mógł użyć tej nazwy do założenia galerii. To wszystko.

– Kiedy byłam u ciebie, mówiłeś, że nigdy nie słyszałeś o tej firmie.

– Wydawało mi się, że nie słyszałem. Ale kiedy już wyszłaś, coś mi zaświtało w głowie. Czy to już koniec przesłuchania?

– Mam wrażenie, jakbym miała koszmarne sen i nie mogła się obudzić. Rozmawiałam już o tym z tatą i Artem, ale kiedy ciebie zapytałam o ITH, poczułam, że coś ukrywasz. A szczerze mówiąc, Ben, nie zawsze jesteś stuprocentowo szczerzy, kiedy zaczynasz brać.

– Wiesz co, perfekcyjna młodsza siostrzyczko? Próbowałam ci pomóc, idąc do Arta. Chciałem się upewnić, że ani tata, ani Art nie będą ukrywać tego, co im nie pasuje. Ale jebać to. Mam cię dość.

Kiedy Ben się rozłączył (i nie zareagował na cztery próby ponownego dodzwonienia się do niego), Alice była już w jednej trzeciej drogi do domu. Mimo zimna resztę dystansu pokonała pieszo.

Mówiła sobie, że czterdziestopięciminutowy marsz będzie dobry dla zdrowia, ale wiedziała dokładnie, dlaczego nie użyła metra. Żeby mieć co robić z czasem. Czterdzieści pięć minut maszerowania po betonie oznaczało czterdzieści pięć minut mniej w mieszkaniu z bezowocnymi próbami czytania książek lub oglądania telewizji i niemyślenia o Galerii Highline, Drew Campbellu ani tych okropnych fotografiach. Spacer pozwalał jej przez godzinę nie zamartwiać się ciągiem dowodów, który, jak nawet sama musiała przyznać, prowadził prosto do niej. Spacer pozwalał jej wierzyć, że rozmowa z Benem była jedynie kolejną sprzeczką między rodzeństwem i do wieczora da się wszystko załatać.

Poczuła, że zwalnia, kiedy minęła Dziesiątą Ulicę, zaledwie dwa kwartały domów od jej mieszkania. Narożnik Dwunastej zwykle pokonywała w pośpiechu, ze względu na hałas prac budowlanych przy nowym apartamentowcu, którego wznoszenie zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Dzisiaj jednak zdołała się jakoś odizolować od rozdzierającego bębni łośkotu młotów pneumatycznych.

Chociaż nie czuła głodu, zatrzymała się przy ladzie Veselki, by zamówić pierogi na

wynos. Syciła się smakiem ciepłej, owiniętej w ciasto masy ziemniaczanej, jedząc na stojąco, żując powoli, grając na czas.

Wreszcie poddała się losowi. Ruszyła do mieszkania, gdzie czekało na nią siedzenie sam na sam ze swoimi kłopotami. Wtedy właśnie zauważyła zieloną Toyotę Camry, która przetaczała się przez róg Św. Marka. Zdołała uchwycić wzrokiem trzy ostatnie cyfry rejestracji. Pasowały do samochodu, który widziała dwukrotnie wczoraj. Teraz próbowała sobie przypomnieć, czy widziała go też wtedy, gdy zmierzała na południe Drugą Aleją. Czy kierowca ją śledził? A może był to samochód kogoś z sąsiedztwa, na który wcześniej po prostu nie zwracała uwagi?

Wyciągnęła z torby komórkę i zaczęła wybierać numer 911, ale przypomniała sobie ostrzeżenia Cronina. Zmieniła zdanie i zadzwoniła do prawnika. Sekretarka powiedziała, że Cronin jest w tym momencie niedostępny, ale chętnie przekaże mu wiadomość.

Alice rozumiała sens strategii, jaką jej polecił, ale trzecie pojawienie się zielonej toyoty w ciągu dwóch dni wzbudziło w niej obawy poważniejsze niż strach przed wymiarem sprawiedliwości. Ktoś zabił człowieka, którego znała jako Drew Campbella. Wciąż nie znała może jego prawdziwego imienia, ale widziała jego ciało i czuła pod palcami lepkość jego krwi, rozlanej po podłodze.

Zadzwoniła pod 911.

– Więc... Przepraszam panią, ale to w końcu uważa pani, że ten mężczyzna panią śledzi, czy też nie?

Mundurowy rozmawiał z nią uprzejmie, ale po sposobie, w jaki się uśmiechał do gapiów, Alice wiedziała, że musi teraz brzmieć jak kobieta, którą jedna niezażyta dawka leków dzieli od wykrzykiwania do gołębi o nadciągającej inwazji Obcych. Po raz kolejny spróbowała wyjaśnić, że widziała zieloną toyotę dwa razy wczoraj i raz dzisiaj, ale nie wiedziała, kto ją prowadził.

– A co skłania panią do wniosku, że ten mężczyzna panią, hmm, prześladowa czy coś w tym stylu? Groził pani? Próbował iść za panią do budynku? Zachowywał się w jakikolwiek nieodpowiedni sposób?

Czuła pokusę, by odpowiedzieć twierdząco na wszystkie trzy pytania, żeby tylko nie wyjść na wariatkę.

– Nie. Chodzi o to, że... Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale jestem świadkiem w sprawie o morderstwo. Cztery dni temu, znalazłam... znalazłam ciało mężczyzny, a jeszcze nie złapali tego, kto to zrobił. Więc kiedy w ciągu dwudziestu czterech godzin trzy razy widzę

ten sam samochód...

Policjant szybko kiwał głową. Nie była pewna, czy jej wierzy, czy też gra na czas, zanim wezwie miłych ludzi w pojemnej furgonetce, wyposażonych w siatki na motyle.

– Cóż, samochodu już tu nie widać. Mówi pani, że zna numer z tablicy rejestracyjnej. Mam propozycję. Przedłożę mój raport detektywom, którzy prowadzą sprawę tego zabójstwa. Oni zdecydują, jaka będzie najlepsza strategia dalszego postępowania. Sprawdzą numery. Oceniają, jak ten gość pasuje do sprawy, jeśli w ogóle pasuje.

– A nie mógłby pan sprawdzić tego numeru na miejscu? Może dowiemy się, że gość po prostu mieszka tu na rogu i jest to zwykle nieporozumienie.

– A może skończy się tak, że nadepnę na odcisk tym pani detektywom i przy okazji schrzanię całe śledztwo. Nie chcemy tego, prawda?

– Nie mówiąc już o tym, że to będzie wymagało mniej wysiłku z twojej strony.

– Wie pan, nie powinnam była w ogóle dzwonić. Przepraszam, że pana niepokoiłam.

– Więc teraz twierdzi pani, że nie chce złożyć doniesienia?

– Dałam się ponieść wyobraźni.

– Bez urazy, droga pani, ale nie chcę się za tydzień dowiedzieć, że zjechałam komuś dochodzenie w sprawie morderstwa, bo nie zapisałam tego numeru. Zna pani nazwiska tych detektywów, czy mam sam poszukać?

Odezwał się telefon Alice. Po prefiksie poznała, że to z firmy prawniczej Arthura Cronina. Oj, nie spodoba mu się to.

Hank Beckman przedarł się w końcu przez motoryzacyjny węzeł gordyjski na skrzyżowaniu Bowery i Kanałowej. Ta okolica zawsze przywoływała na jego twarzy uśmiech. To współistnienie *dim sum* restauracji chińskiej dzielnicy, resztek Małej Italii oraz nowych, hipsterskich butików było tyleż dziwaczne, co radosne.

Wychował się w Montanie. Po ukończeniu szkoły policealnej i zdobyciu z pomocą Wuja Sama papierów certyfikowanego księgowego, odsłużył w wojsku, co się należało i aplikował do Biura. Nowi agenci nie mogli wybrać miasta, w którym mieli pracować, ale Hank wychodził z założenia, że popyt na pozycje w Montanie lub Idaho – na tropienie rabusiów banków i nielegalnej broni – będzie niewielki.

Ale przez Brada Pitta, Roberta Redforda i filmik pod tytułem Rzeką życia nagle każdy mężczyzna, który przechodził kryzys wieku średniego, zapragnął chwycić za wędkę i osiedlić się na północnym zachodzie kraju. Niewielkie populacje, połączone z niskimi wskaźnikami przestępczości, dla FBI oznaczały małe filie z nieliczną obsadą. Hank zdobył pracę w

FBI, ale trafił do Wielkiego Jabłka.

Planował się stamtąd wyrwać, kiedy tylko się da, ale przywykł do nowego miasta szybciej, niż się spodziewał. Kupił mieszkanie niedaleko Prospect Parku. Wielkie miasto nie jest najlepszym miejscem, by zdobywać nowych przyjaciół, ale Hank nigdy tak naprawdę nie potrzebował niczyjego towarzystwa. Przez jakiś czas miał wrażenie, że zżył się z kręgiem znajomych Jen, ale kiedy się wyprowadziła, czuł się wobec nich zbyt niezręcznie, by podtrzymywać kontakty.

A później, kiedy rozbił się samolot męża Ellen, siostra Hanka została czterdziestoletnią wdową i jedyną mieszkanką swojego rancza w Montanie. Powiedziała, że pomysł, by rozpocząć nowe życie w Nowym Jorku, nie brzmi źle. Dwa lata później mieszkała już na Upper East Side. Z tarasu miała widok na park. A w ciągu kolejnego roku poznała i szybko zaręczyła się z Randallem Updikeem. A przynajmniej pod takim imieniem ów mężczyzna wówczas występował.

Czasami Hank zastanawiał się, co by było, gdyby nie postanowił prześwietlić przeszłości „Randalla”. Podejrzewał, że Larson w nieunikniony sposób odebrałby jej większość pieniędzy. Ona zapewne nadal zmagałaby się z kliniczną depresją i nieleczonym alkoholizmem, które doprowadziły do jej śmierci. Ale może Hank umiałby dostrzec, że jego siostra ma problemy. Gdyby mężczyzna, którego kochała, obrał ją do ostatniego grosza, Hank wiedziałby, że trzeba na nią uważać. Uzmysłowałby sobie, jak głęboko zranił ją ten atak. Ale było jak było. W swojej arogancji uważał, że powinna być wdzięczna młodszemu braciszkowi za ratunek.

Teraz, gdy kierował się na Brooklyn przez Most Manhattański, był całkiem pewny, że Alice Humphrey go dostrzegła, ale zgubił ją jeszcze w East Village. Był też niemal pewien, że Alice Humphrey – kobieta o praktycznych butach i niedbałym kroku, trochę przypominającym chód generała, który przechadza się po polu – nie była osobą, którą widział maszerującą w szpilkach do mieszkania Larsona. Był jednak do końca przekonany, co właściwie zrobić z tą zastanawiającą informacją.

## *Rozdział 42*

Alice podniosła się z mokrego mchu u stóp wielkiego drzewa morwowego, próbując strząsnąć ziemię z plisowanej spódniczki. Usłyszała zbliżające się kroki.

– Tam pobiegła!

Głos należał do mężczyzny. W jakiś sposób wiedziała, że to jej szukają i że nie chce

zostać odnaleziona. Ruszyła biegiem przez las. Na jej stopach widniały czerwone, sznurowane buciki. Patrzyła pod nogi, celowała w splachetki gładkiej ziemi pomiędzy kamieniami i splotami korzeni. Dostrzegła polanę i świetlny punkt na jej końcu.

Kiedy wynurzyła się spomiędzy drzew, rozpoznała tyły rodzinnego domu w Bedford. Starannie wymodelowana trawa. Dwa hamaki rozwieszony w mroku pod wierzbą. Rzadko używany basen.

Rozsunęła szklane drzwi i wśliznęła się do wnętrza. Teraz czuła się wyższa. Jej sznurowane buciki i spódniczka zostały zastąpione džinsami i butami na każdą pogodę, które nosiła obecnie.

– Mamo? Tato? Ben?

Kuchnia wyglądała tak, jak pamiętała ją z dzieciństwa: szarki z drewna orzechowego, ciemnoczerwone tapety, mosiężne elementy wyposażenia. Skręciła za róg. Spodziewała się zobaczyć salon, ale zamiast tego znalazła się na planie Życia z tatą. Właśnie kręcono odcinek pilotowy. Dostrzegła młodszą wersję samej siebie, siedzącą na sofie w salonie o trzech ścianach. Wróciły buciki i plisowana spódniczka.

Mężczyzna, który grał jej ojca, wypowiedział kwestię otwierającą.

– No nie patrz tak na mnie. Ja za dobre jedzenie uznaję spaghetti, lody, suszoną wołowinę i piwo.

Na planie zapadła cisza.

– Twoja kwestia, Alice.

„Tak to jest, kiedy twoją mamą jest tato” – chciała podpowiedzieć szeptem swojej młodszej wersji.

Po chwili rozległy się jej słowa. Niewidoczna publiczność w studio roześmiała się, zgodnie ze scenariuszem. Nawet kiedy miała dziesięć lat, wiedziała, że kwestia nie była zabawna. Wiedziała, że śmiech jest udawany.

Usłyszała za plecami odgłos rozsuwanych drzwi i ruszyła w głąb domu, szukając ukrycia. Wbiegła po schodach na górę, do gabinetu ojca, i wsunęła się za stalowoszarą, brokatową kotarę. Wyjrzała zza niej, by przyjrzeć się wystrojowi pokoju, który spowodował takie zamieszanie między jej rodzicami.

To moje biuro, Rose. Moja prywatna przestrzeń. Dlaczego nie może wyglądać tak, jak ja tego chcę? Na miłość boską, to wygląda jak francuski burdel sklecony do teledysku Duran Duran.

Matka nalegała, by ojciec pozbył się staromodnych, drewnianych paneli oraz zmierzwionego dywanu i zastąpił je czarno-biało-czerwonym schematem, stalowymi meblami

i obrazami Patricka Nagela, które już za kilka lat miały wyglądać jak z minionej epoki.

Z jakiegoś powodu Alice nie mogła przestać gapić się na to pomieszczenie. Tapeta w czarno-białe prążki, która zdaniem ojca „mogła doprowadzić człowieka do schizofrenii”. Czerwona sofa na środku, której zamszowe obicie tak dokładnie zbadła palcami tamtego dnia, gdy policjanci przyszli pytać o popijawę Bena.

W tym pokoju było coś, co wydawało się strasznie znajome. Oczywiście знаła go z dzieciństwa. Zza kotary mogła nawet wyczuć woń niedopałków ziołowych papierosów ojca – tych, po które sięgał przez lata, dopóki nie rzucił na dobre, kiedy Alice była na studiach. Ale było tu też coś bardziej aktualnego. Nie chciała przestać patrzeć. Chciała tu zostać i dobrze to zapamiętać.

Ale usłyszała zmierzające w jej stronę kroki i towarzyszące im głosy. Kroki były teraz odmierzone. Zsynchronizowane. Stąp. Stąp. Stąp. Stąp. Zaczęła słyszeć dzwonek, który podzwaniał przy każdym kroku. Stąp-ding. Stąp-ding. Otworzyły się drzwi, a ona starała się skurczyć, kuląc się za kotarą. Wciągnęła głęboko powietrze i poczuła, jak zapach jego papierosów dodaje jej otuchy.

Kroki ucichły, ale dzwonienie trwało dalej, tylko stało się mniej dźwięczne i bardziej agresywne. Już nie dzwonienie, a bzyczenie. Bzzz. Bzzz. Bzzz. Bzzz.

Jej oczy otworzyły się gwałtownie, by zobaczyć ciemność. Niemal totalną, nie licząc cyfrowego wyświetlacza zegara na szafce nocnej i srebrnego światła, które przebijało się przez szparę między zasłonami. Słyszała natarczywe bzyczenie systemu alarmowego. Jakiś spojony ginem idiota znowu opiera się o domofon. Była to jedna z negatywnych cech mieszkania w samym centrum okolicy, gdzie niezależnie od pory dnia i nocy ludzie z całego Manhattanu przychodzili się upić.

Zamknęła oczy i siłą umysłu nakazała brzęczykowi zamilknąć. Nie zamilkł.

Poczuła zimno parkietu pod bosymi stopami, kiedy podeszła do drzwi i wcisnęła przycisk interkomu.

– Opierasz się o domofon, dupku. Idź. Do. Domu.

Przygotowała się na którąś z typowych odpowiedzi. „Kurwa” była najczęstszą. Czasami nawet ktoś przeprosił. Więcej niż raz usłyszała od pijaka zaproszenie do baru na jedną kolejkę. Ale dzisiejsza noc przywiodła pod jej dom nietypowego gościa.

– To ja, Jeff. Wpuść mnie.

Ledwie zdążyła zawiązać szlafrok, gdy wpadł do mieszkania przez drzwi, które zostawiła uchylone. Kiedy prześliznął się obok, wyczuła od niego alkohol.

– Jest prawie pierwsza w nocy.



– Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

– O tej porze ludzie śpią.

Po kolejnym ze zbyt wielu telefonów do Bena, które nie doczekały się odpowiedzi, zdecydowała, że Ambien byłby dobrym pomysłem. Wyłączyła domowy telefon i komórkę. Teraz dostrzegła migającą lampkę na automatycznej sekretarce, która stała na szafce w kuchni.

– Co się dzieje?

– Nie odzywała się do ciebie policja?

– Nie. Trzymałam się twojej rady, by z nimi nie gadać. Poza tym nie próbowali już się ze mną kontaktować.

Co prawda spodziewała się kolejnej wizyty detektywów po złożeniu doniesienia na zieloną toyotę, ale reszta dnia minęła już bez dodatkowych wrażeń.

– Wolałbym nie musieć ci tego mówić, ale myślę, że sytuacja się wkrótce pogorszy.

– Nie sądzę, by to było możliwe.

– Twoje rękawiczki. Proszę, powiedz mi, że masz swoje ukochane rękawiczki. Te z tym futerkiem w środku, o którym zawsze mówisz, że jest sztuczne.

– Sztuczne futerko?

– Tak. Proszę, powiedz, że je masz. Fizycznie. W domu.

– Nie. Zgubiłam je tydzień temu. Kupiłam nowe, ale futerko nie jest tak...

– Ma je policja. A przynajmniej tak myślę. Pokazali mi ich zdjęcie w foliowym worku. Pytali, czy takie miałaś.

– Jesteś pewny, że to moje?

– Nie byłem, póki nie powiedziałaś mi, że je zgubiłaś. Ale, tak, miały ten sam wzór i wszystko.

– Skóra krokodyla – wyszeptwała. – Policjanci przyszli do ciebie do domu o pierwszej w nocy, żeby pytać o moje rękawiczki?

Wiedziała, że Jeff mówi jej o ważnych sprawach, ale ciągle czuła się zaspana. Nadal miała przed oczami obraz krzykliwej tapety w gabinecie ojca.

– Właściwie do baru. Gość przedstawił się jako Danes, prawda?

Kiwnęła głową.

– Myślę, że mnie śledził, żeby złapać mnie z opuszczonymi gaciami. Nie ma to jak glina, który wyrasta jak spod ziemi przy twoim stoliku w Tempie Barze.

Znała to miejsce. Było jednym z ich ulubionych, kiedy zaczynali ze sobą chodzić. Typowa knajpa, gdzie ludzie umawiają się na randki.

– Więc, udało mu się?

– Co masz na myśli?

– Miałeś spuszczone gacie?

– Nie. Dlatego tu jestem. Powiedziałem mu, że rozmawiałem już z tobą jako prawnik, więc nie mogę mu nic powiedzieć. Ale nietrudno im będzie udowodnić, że to twoje rękawiczki. A jeśli o nie pytają, to muszą mieć dobry powód. Znaleźli na nich krew Campbella albo coś.

– Wiesz, jak to mawiają: „Jeśli rękawiczka nie pasuje, prokurator nic nie wycuduje.”

– Odbiło ci, Alice? To nie jest śmieszne.

– W tym momencie wydaje mi się to zajebiście zabawne. Oczywiście, że mają moje rękawiczki. Nie miałam ich już wtedy, gdy znalazłam ciało Drew, ale wiesz co? Jestem pewna, że masz rację. Zapewne jest na nich mnóstwo krwi Drew – mnóstwo jego DNA, mojego DNA i wszelkich innych dowodów, jakie możesz sobie wyobrazić. Bo to tak miało się rozegrać. Ktokolwiek mi to zrobił, zrobił to z absolutną perfekcją. A ja nie wiem nawet, kto to jest. Ani dlaczego to zrobił. Ani co to w ogóle ma wspólnego ze mną.

– Nie musisz w tym być sama.

Położył dłoń na jej nadgarstku, ale Alice cofnęła się.

– Oczywiście, że jestem w tym sama. Byłeś dobrym przyjacielem, ale wiesz, to nie tobie się to wszystko dzieje. Siedzisz sobie w pieprzonym Tempie Barze i popijasz drinki z jakąś laską.

Jeff opuścił głowę i przełknął ślinę.

– Przepraszam. Jestem zmęczona, przestraszona i zachowuję się jak kompletna suka. Dziękuję, że nie pogrążyłeś mnie bardziej przed policją.

Podeszła do drzwi wyjściowych i otworzyła je. Jeff je zatrzasnął.

– Nie bawiłem się tam zbyt dobrze.

– Gdzie?

– W Tempie Barze. To był jej pomysł. Myślałem, że będę w stanie tam siedzieć i nie myśleć o tobie. Myliłem się.

Poczuła na policzku szczypanie spływającej łzy. Nie wiedziała, czy to przez obecne kłopoty, czy wspomnienie dawnego życia – życia z Jeffem, życia, w którym, jak wtedy sądziła, zawsze będą razem. Podeszedł bliżej i przesunął palcami po jej włosach. Położył jej dłoń na karku. Robili to setki razy. To akurat nigdy nie było trudne. Teraz przyciągnie jej twarz ku sobie. Pocałuje w usta, z początku delikatnie, później o wiele mniej delikatnie. Będzie wiedział dokładnie, w których miejscach jej ciała umieścić dłonie. W którym

dokładnie momencie zaprowadzić ją do sypialni.

I Alice pozwoliła na to wszystko.

Po raz pierwszy w tym okropnym tygodniu Alice obudziła się z uśmiechem na ustach. Jeff zaplątał się w zasłony, usiłując ubrać się po ciemku.

– Buzi-buzi i chodu, co?

– Za godzinę mój klient zeznaje przed policją. Nie chciałem cię obudzić.

Alice było gorąco pod kołdrą, zsunęła więc ją do bioder. Uniosła oczy na Jeffa, mrużąc je we wpadającym przez zasłony świetle słońca.

– To jest zagranie poniżej pasa.

– Co niby? Leżę tu sobie tylko.

To ewidentnie wystarczyło, by przekonać Jeffa, aby wrócił do łóżka. Jednak już kilka sekund później, usiadł prosto i spojrzał jej w oczy.

– Chyba powinienem cię za to przeprosić.

– O czym ty mówisz?

Pociągnęła Jeffa za łokieć, próbując przywrócić go do pozycji horyzontalnej.

– Czuję się, jakbym wykorzystał sytuację, kiedy byłaś szczególnie na to podatna.

– Podatna? Naprawdę tak mnie przed chwilą nazwałeś?

– Nie, bo nie mam najmniejszej ochoty dostać po głowie. Ale w nocy zbudziłem się z myślą, czy to był dobry moment – wobec tego, co przeżyłaś przez ostatni tydzień – dobry moment, no wiesz, dla nas.

– Jestem dorosła, Jeff. Podejmuję własne decyzje. Poza tym, jeśli nie zauważyłeś, brałam raczej aktywny udział w wydarzeniach ostatniej nocy.

– Chyba po prostu jestem zaskoczony, że chcesz wrócić do tej samej sytuacji, która poprzednio doprowadziła cię do łez, przynajmniej w pewnym momencie. Pamiętam, jak mówiłaś mi, jaka byłaś nieszczęśliwa i nie jest to coś, czego bym chciał, Alice. Dlatego próbowałem – choć nieraz było to okropne – za wszelką cenę znaleźć kobietę, na której zależałoby mi choć w połowie tak, jak na tobie.

Podciągnęła kołdrę z powrotem pod brodę.

– To nie najlepszy moment, żeby rozmawiać ze mną o innych kobietach.

– Chodzi mi o to, że z innymi nigdy nie wychodzi, a to dlatego, że sytuacja między nami wciąż się powtarza.

– Naprawdę myślisz, że tym razem będzie tak samo?

– A czy nie zawsze tak z nami jest? Powtarzamy to od lat. I zawsze w którymś

momencie któreś z nas decyduje, że to mu nie wystarcza, więc przerywamy. Ale później chcemy zostać z powrotem przyjaciółmi i nigdy nie potrafimy na tym poprzestać. I znowu jesteśmy ze sobą.

– Mi to zawsze wystarczało, Jeff. W świetle tego, czego dowiedziałam się o małżeństwie moich rodziców, może po prostu nigdy nie nauczono mnie marzyć o tradycyjnym małżeństwie z dziećmi na podwórku, ogrodzonym białym płotkiem. Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. I zawsze była między nami miłość, niezależnie od tego, na którym etapie cyklu się znajdowaliśmy. Mi to wystarcza. To ty pragniesz czegoś, czego ci nie mogę dać, a ja nie chcę ci tego odbierać. Nie chcę ci odbierać szansy na kobietę, która będzie matką twoich dzieci, na rodzinę, którą będziesz się mógł opiekować przez resztę życia. Nigdy nie chciałam stawać ci na drodze.

– A może po prostu byłaś tak silnie przekonana o mojej potrzebie posiadania tego wszystkiego, że mnie odepchnęłaś.

Zobaczyła, jak przenosi spojrzenie na stojący na szafce nocnej zegarek.

– Naprawdę nie podoba mi się, że muszę zaraz wyjść.

– Porozmawiamy po tym spotkaniu. I tylko, jeśli uważasz, że powinniśmy. Naprawdę, Jeff, dziś obudziłam się szczęśliwa, pomimo tego wszystkiego, co spadło mi na głowę w ostatnich dniach. Nie wykorzystałeś mnie. Nie widzę żadnego problemu.

– Zadzwoń, kiedy będę wolny. Chcę się z tobą spotkać wieczorem, dobra?

– Oczywiście.

– I wiesz co? Kiedy tak teraz na ciebie patrzę, po tym, jak razem przeszliśmy przez to piekło ostatniego tygodnia, zastanawiam się, czemu kiedykolwiek myślałem, że mogę chcieć czegokolwiek więcej.

### *Rozdział 43*

Kiedy znowu otwarła oczy, czuła się zasnana. Sięgnęła po zegarek. Zbliżało się południe. Nie wiedziała, czy spowodowała to tabletką nasenną, seks czy intensywne niezadowolenie z obecnej rzeczywistości, ale gdyby mogła tu zostać, owinięta w kołdrę, z głową na poduszce, przez resztę życia, to by się na to zdecydowała.

Dźwięk domofonu wyrwał ją z marzeń o wiecznym odpoczywaniu w łóżku.

– Halo?

– Wpuść mnie. Szybko.

Rozległ się dźwięk brzęczyka, gdy zwalniała zamek. Otworzyła drzwi. Poczowała ukłucie

poczucia winy, bo żałowała, że to Lily, a nie Jeff. Czyściła filtr z resztek kawy, kiedy dobiegły ją szybkie, głośnie kroki Lily na schodach. Wpadła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

– Zaczęłam dziś późno, ale za chwilę będę mieć do zaoferowania kawę. Nie zdenerwuj się, ale tej nocy...

– Cholera, Alice, strasznie cię przepraszam. Musimy coś zrobić.

Jedno spojrzenie na spanikowaną twarz Lily sprawiło, że już wiedziała. Wiedziała, jak głupie było pozwolić, żeby wspólne chwile z Jeffem wzbudziły w niej złudzenie ucieczki od rzeczywistości. Jeff miał powód, by wpaść do niej w środku nocy, i nie miało to nic wspólnego ze wspomnieniami z Tempie Baru, ani łatwością, z jaką potrafili się w sobie nawzajem zatracić. Nietrudno im będzie udowodnić, że to jej rękawiczki.

– Przepytywała cię policja, prawda?

Lily skinęła głową. Wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać.

– Kurwa... Tak mi przykro. Przyszli do mnie do biura. A ja skrewiłam. Po prostu im odpowiedziałam. Nie sądziłam, że może mieć to jakieś znaczenie. Ale później zrozumiałam: po kiego diabła pytaliby mnie o te twoje rękawiczki, jeśli nie mieliby dobrego powodu? Próbowałam dzwonić, ale masz wyłączony telefon.

Słowa wylewały się z niej niczym powódź.

– A teraz są tutaj.

– Jak to, są tutaj?

– Nie odbierałaś, więc przybiegłam tu tak szybko, jak mogłam, żeby ci powiedzieć. Ale na dole stoi kilka radiowozów, Alice. Widziałam, jak na mnie patrzą, kiedy tu wchodziłam. Właśnie zaczęli wysiadać. Myślę... Kurwa, Alice, chyba są tu, żeby cię aresztować.

Alice później usiłowała sobie przypomnieć dokładną reakcję, ale pamięć bywa zwodnicza. Było tak, jakby następne czterdzieści pięć sekund nigdy nie istniało. Wiedziała, że mamrotała „O Boże”, dużo więcej razy, niż mogłoby to w czymkolwiek pomóc. Mgliście przypominała sobie, jak spogląda na siebie i zastanawia się, ile zajmie jej przebranie się w prawdziwe ubranie.

Ale cokolwiek mąciło się w jej głowie, zostało nagle rozwiane, gdy Lily chwyciła ją za ramiona.

– Alice, musisz stąd zniknąć.

Przetworzyła w głowie słowa przyjaciółki. Te rękawiczki musiały być żelaznym dowodem, na który czekali, czymś, co potwierdziło ich podejrzenia względem Alice,

zrodzone już pierwszego dnia. Byli tu, żeby ją zabrać. Znów usłyszała słowa Lily, jeszcze głośniejsze.

– Znikaj stąd. Nie mają pewności, że jesteś w domu. Uciekaj tylnym wyjściem.

– Nie mogę. To znaczy, powinnam zadzwonić do prawnika. Będzie wyglądało, że jestem winna.

– Jeszcze ich tu nie ma. Po prostu zniknij, zanim tu przyjdą. Żadne prawo nie każe ci być w domu. Powiem im, że wpuściła mnie sąsiadka, że nie zastałam tu ciebie. Tylko stąd znikaj. Zbieraj się, już.

Alice przypomniała sobie słowa Cronina o klientach, którzy organizowali sobie nowe życie w innych krajach. Paszport, trochę pieniędzy i prywatny odrzutowiec, powiedział. Miała do tego dostęp. Ojciec mógłby jej pomóc. Gdyby faktycznie do tego doszło. Gdyby okazało się to konieczne. Ale jeśli ją aresztują, ta opcja zniknie.

Poruszała się szybciej, niż była w stanie myśleć. Wciągnęła na siebie dzinsy i ciepły sweter. Chwyciła paszport z pudełka na biżuterię. Wyciągnęła z szafy sportową torbę, załadowaną już podstawowymi przyborami. Wcisnęła laptop do torebki. Sięgała już po błękitne palto, ale zmitygowała się i wzięła nierzucający się w oczy, długi, czarny płaszcz, którego nie nosiła od kilku lat.

– Są już w budynku? – zapytała, nakładając płaszcz.

– Nie sądzę. – Lily uchyliła drzwi wejściowe. – W porządku. Musisz się pośpieszyć.

Alice chwyciła Lily i pocałowała ją mocno w policzek, po czym ruszyła do windy towarowej. Kiedy wysliznęła się z tylnego wyjścia budynku na Dziewiątą Ulicę, usłyszała dobiegające z oddali dźwięki syren. A przynajmniej miała nadzieję, że są w oddali.

Zastanawiała się też, czy kiedykolwiek odzyska swoje dawne życie.

## **Część Trzecia**

### **Wspomnienia**

#### *Rozdział 44*

Joann Stevenson jeszcze raz wcisnęła przycisk odtwarzania na swojej komórce. Słyszała tę wiadomość już tak wiele razy. Potrafiła przywołać z pamięci każdą sylabę, zanim ta została wypowiedziana. Słyszała każde słowo odtwarzane w swoim własnym umyśle. Pyknięcie przy literze „p” w słowie „typu”; cichy chichot na końcu zdania. Niemal potrafiła sobie wyobrazić pękający balonik w kąciu ust swej córki, który zostaje następnie zlizany w trakcie pauzy.

Cześć, mamó. Tu mówi osoba typu córka. Rozległ się chichot i mlaśnięcie. Wiem, że pracujesz dziś na nocną zmianę, ale chcę ci tylko powiedzieć, że jestem już w domu i zamówiłam pizzę za pieniądze, które mi zostawiłaś, tak jak mi napisałaś. Tęsknimy za tobą z Sebastianem. Do zobaczenia jutro.

Wiadomość liczyła już sobie ponad miesiąc, ale było to jedyne nagranie głosu Becci, jakie posiadała. Och, miała kilka nagrań wideo z czasów, gdy córka była mała. Recytacja preambuły konstytucji w czasie narodowego dnia obywatelstwa. Była wtedy w pierwszej klasie. Pogubiła się przy słowach „wewnętrzny spokój”: „ustanowić sprawiedliwość, zaprowadzić wew nocny spokój”. Tamto naprawdę bolesne solo z uroczego poza tym występu jako Lew z Czarnoksiężnika z Oz. Ale jedynym zapisem głosu bardziej dojrzałej, nastoletniej Becci, jakie Joann miała, było to dwunastosekundowe nagranie na komórce.

Słuchając głosu córki, czuła się mniej samotna. Kiedy rozeszły się wieści o zaginięciu Becci, zewsząd rozlegały się życzliwe głosy. Czuła, że ktoś się o nią martwi. Może nawet ją kocha. Ale Mark przepadł. Nie obwiniła go. Byli na zbyt wczesnym etapie związku, by spodziewać się, że nie przestraszy go propozycja sesji z wykrywaczem kłamstw ze strony policji, nie mówiąc już o depresji, złości i zupełnie nieprzewidywalnych wybuchach płaczu ze strony Joann.

Na jej progu przestały się już pojawiać naczynia żaroodporne z potrawami i życzliwymi karteczkami. Przestali dzwonić zmartwieni znajomi z propozycjami poszukania Becci, dotrzymania jej towarzystwa lub czegokolwiek innego, co mogłoby jej pomóc. Jej szef zaczął dopytywać już, kiedy poczuje się na siłach, by wrócić do pracy.

Nigdy wcześniej nie czuła się taka samotna. Więc, chociaż znała już na pamięć każde słowo tej wiadomości, ponownie wcisnęła przycisk odtwarzania.

Morhart zauważył, że rynny wymagały czyszczenia. Deszcz ustał już dwie godziny temu, a woda ciągle skapywała z aluminiowych krawędzi. Z liści, które się tam zebrały, zaczynały wykwiatać już zielone pąki.

Morhart pozostał w Dover z konkretnego powodu. Kiedy skończył studia, mógł się wyprowadzić do miasta. W tamtych czasach interesy kręciły się świetnie. Mógł zdobyć posadę w biznesie komputerowym, a może nawet w finansach. Ale chciał mieszkać w Dover. A miasteczko nie oferowało zbyt wielu stanowisk nawet w najlepszych czasach. Byli tu nauczyciele, lekarze, prawnicy, pracownicy sektora usługowego i budżetówki. Postawił na departament policji.

Nie żałował tej decyzji, ale czasem zastanawiał się, czy to ciągle było to samo Dover,

którego postanowił kiedyś nie porzucać. W Dover z jego wspomnień dwóch lub trzech sąsiadów po cichu podzieliliby się czyszczeniem rynien w domu samotnej matki, z trudem łączącej pracę na pełen etat z wychowywaniem córki. Czy teraz, kiedy Becca zniknęła, miały w tych rynnach wyrosnąć drzewa? Nie tak Morhart wyobrażał sobie ducha tutejszej społeczności.

Miał właśnie zapukać do drzwi, kiedy zobaczył zarys Joann przez okno salonu. Jej twarz była jednocześnie młoda i stara. W nieokreślonym wieku, tak się chyba mówiło. Nie miała żadnych zmarszczek na czole, ale jej policzki zaczynały już opadać, a wokół oczu pojawiły się bruzdy, niby nawiasy. Jej twarz była szeroka, oczy szeroko rozstawione. Była atrakcyjną kobietą, ale nikt nie nazwałby ją piękną. W jej twarzy i całym ciele był szczególny spokój, który mówił mu, że miała za sobą dłuższe, pełniejsze życie niż inne kobiety w jej wieku. Była w niej głębia, odbijająca się w całej jej aurze.

Zastukał palcami w zewnętrzne drzwi i poczuł ukłucie winy, kiedy podskoczyła, upuszczając telefon na stolik. Kiedy pojawiła się w drzwiach, wyglądała na przerażoną, tak jak za każdym razem, kiedy tu wracał. Nie musiała wyjaśniać wyrazu swojej twarzy. To była twarz kobiety, która zastanawiała się, czy to dziś? Czy było to właśnie to mokre, zimne popołudnie, kiedy w jej drzwiach pojawił się policjant i powie, że znaleziono ciało jej córki?

Uniósł brwi na tyle, by zasygnalizować, że to nie dziś.

Zniosła wieści dobrze, tak jak się tego po niej spodziewał. Nie widział ani jednej łzy Joann od czasu, gdy dowiedziała się, że Becca utrzymywała potajemne kontakty ze swoim biologicznym ojcem. Wiedział, że miała ochotę płakać. Widział, jak ta emocja wyraża się w całym jej ciele. Podejrzał, że to dlatego właśnie siedziała w ten sposób, ze złączonymi kolanami i łokciami przyciśniętymi do boków, jakby mogła fizycznie utrzymać w sobie targające nią emocje i nie rozsypać się w obecności człowieka, który, wedle wszelkich racjonalnych wskaźników, był tu wciąż obcy.

Kiedy przekazywał jej informacje, od czasu do czasu kiwała głową. Usta miała zaciśnięte. Nowojorska policja poczyniła postępy, ale jedynie po swojej stronie śledztwa. Podejrzał, że wkrótce ogłoszą, kto jest podejrzany o morderstwo. Może nawet dokonają aresztowania. Ale jak do tej pory, nie udało im się wyjaśnić, dlaczego w galerii pojawiły się odciski palców Becci.

– Jeśli kogoś aresztują za zabicie tego człowieka, czy pomoże to nam w znalezieniu Becci?

– Na to właśnie liczę, Joann.

Umowa z nowojorczykami mówiła, że nie może zdradzać szczegółów ich śledztwa, ale



poczuł, że chce wszystko powiedzieć.

– Trzymamy kciuki, że zmusi tę osobę do wyjawienia tego, co wie o Beccie.

Naprawdę mam nadzieję, że tak to się rozegra.

Ponownie kiwnęła głową.

– Nikt inny chyba już nie przejmuję się tym, że zniknęła.

W jej głosie nie było melodramatyzmu. Brzmiało to niemal tak, jakby mówiła sama do siebie. A może do małego Sebastiana, który ocierał malutkim, psim pyszczkiem o obicie sofy.

– Wszyscy wracają do swoich spraw.

Nim się spostrzegł, położył jedną dłoń na jej plecach, a drugą na kolanie. Na samej krawędzi. Nie było w tym nic nieodpowiedniego, jak sobie później powtarzał.

– Ale nie ja. Nie porzucę tej sprawy.

Sądził, że Joann się załamie, ale jedynie kiwnęła głową. Znowu zacisnęła usta.

Pięćdziesiąt kilometrów dalej, na trzynastym posterunku Nowojorskiego Departamentu Policji, detektyw John Shannon przywołał gestem swojego partnera, Williego Danesa, do swego biurka i wskazał na ekran komputera.

– Jeszcze raz oglądałem sobie profil Alice Humphrey na Facebooku.

– Lepiej uważaj. Ludzie mogą pomyśleć, że zakochałeś się w dawnej dziecięcej gwiazdeczce.

– A kto znalazł profil, który założyła pod pseudonimem?

Dopiero kiedy Shannon odnalazł na Facebooku profil „Drew Campbell”, byli w stanie potwierdzić zeznanie agentki od nieruchomości, że umowę o wynajęciu lokalu pod galerię podpisała rudowłosa kobieta, posługująca się tym właśnie nazwiskiem.

– Wystarczy, że mój partner raz znajdzie coś wartościowego, żebym musiał tego słuchać przez resztę życia.

– Myślę, że dodam kolejne znalezisko do tej listy. Urocze to jej zdjęcie z bratem, co?

Danes pochylił się, by się lepiej przyjrzeć.

– Tak, przyjemne.

– Dostrzegasz coś ciekawego w wystroju pomieszczenia?

Starszy brat, zapewne w wieku ucznia szkoły średniej, z dumą obejmował swoją siostrzyczkę. Wyglądała na jakieś dwanaście lat, jej szczupła klatka piersiowa była wciąż płaska. Siedzieli na jaskrawoczerwonej sofie. Przed nimi – chromowany stolik ze szklanym blatem; za nimi – tapeta w czarno-białe prążki.

Obaj detektywi widzieli już kiedyś to pomieszczenie.

– Co, do...

## *Rozdział 45*

Alice przebyła odcinek Drugiej Alei aż do Pierwszej Ulicy szybkim, ale niewyróżniającym jej z tłumu krokiem. Dopiero tam, skręciwszy w prawo, puściła się sprintem w kierunku stacji metra linii numer 6 na ulicy Bleecker. Zbiegła w dół po schodach i już miała wsunąć swoją MetroCard w czytnik, kiedy nagle się zatrzymała. Czy policja była w stanie namierzyć MetroCard, zakupioną przy użyciu karty American Express? A jeśli będą wiedzieć, że Alice jedzie szóstką, to chyba mogą kazać maszyniście zatrzymać pociąg? Znalazłaby się w pułapce.

Przetrząsnęła portfel w poszukiwaniu gotówki na nową kartę, ale okazało, że ma ostatnie czternaście dolarów. Z taką ilością gotówki daleko by nie uciekła.

Mieszkanie Bena znajdowało się zaledwie pięć przecznic dalej. Wystawiła głowę z wyjścia na ulicę, szukając wzrokiem policji, po czym ruszyła na południe ulicą Mulberry, skręciła w Spring Street, po czym znowu na południe w Mott Street. Wcisnęła guzik domofonu. Uderzając lekko głową w drzwi, modliła się, by Ben był w domu. Zadzwoiła jeszcze dwa razy. Nic.

Miała już dać za wygraną, kiedy z budynku wynurzył się ciężki mężczyzna. Niósł dwie wypchane po brzegi śmieciami torby Hefty. Mimo zimna na czubku jego głowy perlił się pot. Do paska przypięte miał kółko na klucze, godne naczelnika więzienia.

– Jest pan tu dozorcą?

Kiwnął głową i obrócił się bokiem, by zmieścić się obok niej ze swoimi torbami i brzuchem. Alice chwyciła jedną z toreb i pomogła ją zatachać na chodnik.

– Dziękuję pani, ale nie mamy teraz żadnych mieszkań na sprzedaż.

– Mój brat tu mieszka. Ben Humphrey?

Przetrząsnęła portfel i wyciągnęła zeń prawo jazdy.

– A, tak. Życie z tatą. Wiem wszystko o jego rodzinie. Wyrosła pani, ale, tak, poznaję, że to nadal ta sama twarz.

– To okropne, ale zostawiłam w mieszkaniu brata dokument, którego strasznie potrzebuję na spotkanie, które mam za jakieś, ech, mniej niż godzinę. I oczywiście z moim szczęściem Bena nie ma w domu. Dałby pan radę mnie jakoś wpuścić?

Jej brat był jednym z ludzi, którzy za wszystko płacili gotówką. Czterystudolarowy dzienny limit wypłat z bankomatu określał jako „mizerny”. Wyrobił sobie zwyczaj

przechowywania dużych sum pieniędzy w szufladzie komody. Żartobliwie nazywał ją „szufladą dilerą”.

Dozorca zawahał się.

– To zajmie dwie chwile. Zawsze może mnie pan przypilnować, jeśli pan chce.

Pokazała mu swój najcieplejszy, wzbudzający największe zaufanie uśmiech. Była gotowa zabrać pieniądze po kryjomu, udając, że szuka „dokumentu”.

– Nie ma sprawy. Wiem, jak bardzo pan Humphrey kocha swoją siostrę.

Zaczął przeglądać klucze, nim skończył mówić. Pojechali windą na czwarte piętro. Nadal słyszała jego ciężki oddech, spowodowany noszeniem toreb. Wsunął klucz w zamek, ale gałka poddała się od samego nacisku.

– No wie pani co? Nawet mnie pani nie potrzebowała.

– Ben?

Wiedziała, że w zwyczaju brata jest zostawiać drzwi otwarte, kiedy jest w domu, ale nie sądziła, by był na tyle głupi, żeby nie zamykać ich, kiedy wychodzi.

W mieszkaniu panował większy nieporządek niż trzy dni temu. Szafki w kuchni pootwierane. Stos magazynów rozrywkowych rozsypany na podłodze, po tym jak ześliznął się ze stolika. Drzwi do łazienki uchylone. Alice nie chciała sobie wyobrazać brudu, jaki tam musi panować. Nie zauważyła jednak żadnych narkotyków ani związanych z nimi akcesoriów. Nie widząc niezaprzeczalnego dowodu, że brat znowu bierze, Alice odetchnęła z ulgą.

Ruszyła prosto do komody, która stała na antresoli, w kącie sypialnym. Otworzyła szufladę. Gruby na jakieś trzy centymetry plik banknotów upchnięty był w rogu, obok równego rzędu nieużywanych bokserek. Oto korzyść z oddawania rzeczy do pralni. Wcisnęła forszę do torebki, nie zwracając sobie głowy liczeniem. Policja dowie się, że jej brat mieszkał w pobliżu. Dozorca powie im, że tu była.

Spiesząc się do wyjścia, w ostatniej chwili zauważyła komórkę brata na nocnej szafce. Z pewnością będą namierzać jej telefon, ale może tego nie. Dodatkowy telefon mógł się zawsze przydać.

Gdzie on się podziewał?

Wyrzała przez okno z nadzieją, że zobaczy jego sylwetkę na chodniku, z kubkiem kawy lub torbą bajgli w ręku. Nie mogła tu przecież czekać przez cały dzień.

Odstępując od okna, dostrzegła kątem oka zakurzoną fotografię, stojącą na parapecie. Była to jedna z jej ulubionych. Jedenastoletnia Alice ze zdjęcia dekorowała właśnie twarz

drzemiącego brata brodą z pianki do golenia; za aparatem stanął wtajemniczony w spisek ojciec. Być może ojciec nienawidził upodobanego sobie przez matkę wystroju w stylu połowy lat osiemdziesiątych, ale Ben go po prostu uwielbiał. Kiedy tylko mógł, zakradał się do gabinetu taty, by wylegiwać się na czerwonej sofie.

I wtedy właśnie Alice zrozumiała, czemu niektóre fotografie z pendrivea Hansa Schulera wydały jej się stare. Kiedy je odkryła, jej uwagę przyciągnęły, a następnie szybko odrzuciły, ich najbardziej okropne elementy. Nie przyjrzała się zatem tłu, ale teraz sobie przypomniała. Na zdjęciach, które wyglądały na zeskanowane – tych z nastolatką i starszym mężczyzną – widać było stalowo szare kotary, czerwoną, zamszową sofę oraz tapetę w czarno-białe prążki, która, jak kiedyś powiedział ojciec, mogła doprowadzić człowieka do schizofrenii.

Teraz, kiedy przypominała sobie tło tych odrażających zdjęć, zrozumiała też swój wczorajszy sen. W tym śnie nie chciała wyjść zza kotary w gabinecie ojca, ponieważ część jej podświadomości już wtedy wiedziała. Była bliska odkrycia prawdy.

Zdjęcia dziewczynki i starszego mężczyzny zrobiono dwadzieścia pięć lat temu w gabinecie jej ojca w Bedford.

Odsuwając na bok poczucie winy, wrzuciła komórkę Bena do torebki. Później mu wszystko wyjaśni.

Mieszkanie Bena opuściła na tyle oszołomiona, że nie dostrzegła mężczyzny, który wysiadł z zielonej toyoty i zaczął ją śledzić.

## *Rozdział 46*

Obserwując, jak ucięte nożyczkami włosy spadają do kosza na śmieci, Alice wciąż próbowała przyswoić sobie informację, że te ciemne loki należą do niej. Godzinę temu stanęła na progu Duane Reade, ale zawróciła. Sieć drogerii z pewnością była wyposażona w kamery, z których taśmy mogłaby otrzymać policja. Alice nie chciała w ten sposób ujawniać swoich zakupów, więc wybrała mniejszy sklep z kosmetykami, Ricky's, gdzie zapłaciła gotówką za parę nożyczek, opakowanie brązowej farby Temptation oraz lateksowe rękawiczki dla ochrony swych długich paznokci.

Załatwienie sobie godzinnego pobytu w pokoju hotelowym na Union Square okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Zaledwie rok temu czytała kryminał, którego niezniszczalny bohater wsunął parę dolców boyowi hotelowemu w zamian za noc w niezajętym pokoju. Interes, który udało się ubić Alice, kosztował ją więcej niż parę dolarów i załatwił jej jedynie

godzinę odosobnienia, ale przynajmniej zapłaciła gotówką, a plik banknotów, wzięty z komody Bena, uszczuplony został jedynie o czterdzieści dolarów.

Schyliła się wpool, rozdmuchując włosy silnym strumieniem powietrza z hotelowej suszarki, po czym wyprostowała się, by obejrzeć swą świezo przystrzyzoną glowę. Nie zapomniala, by nanieść nieco farby na brwi za pomoca patyczka do uszu, tak jak zrobil to kiedyś stylistka, kiedy w szkole sredniej na krótko zapragnęła zostac brunetka.

Kiedy Alice byla mala, mama mowila jej, ze wyglada jak Sierotka Annie, tylko ladniejsza. Teraz jej charakterystyczne, dlugie, rude, jasnijace miejscami włosy zastapila przycieta na wysokosci szczeki i prosta fryzura koloru czarnego, to znaczy Temptation. Nastepna minuta z dostępnego jej czasu w pokoju poswiecila na podmalowanie oczu ołówkiem za 99 centów, który rowniez zakupila w Ricky. Ledwie rozpozнала wampa, który spoglądal na nia z lustra.

Kiedy siadla w nogach lózka i zadumala sie nad telefonem Bena, nadal czula mokre koncówki włosów na linii szczeki. Jej brat zapewne zauwazył juz, ze zniknela mu komorka. W następnj kolejności sprawdzil swój schowek na pieniadze w komodzie. Powinna spróbować dac znać, ze to jej dzieło, zanim Ben powiadomi policje.

Detektywi mogli monitorowac próby polaczenia sie z rodzicami i bliskimi przyjaciółmi, ale moze by tak zadzwonic do kogos ze znajomych Bena? Kiedy przewijala liste ostatnich polaczeń brata, w oko wpadlo jej znajome z jakiegoś powodu nazwisko. Robert Atkinson.

Gdzie je slyszala? Spróbowała wysilic pamiec i przypomniec sobie nazwiska znajomych Bena, ale nikt nie pasowal. I wtedy sobie przypomniala. To nazwisko nie mialo absolutnie nic wspólnego z Benem. Robert Atkinson to dziennikarz, który próbował sie do niej dodzwonic przez cały ostatni tydzien. Zgodnie z tym, co widnialo na telefonie Bena, mężczyźni rozmawiali ze soba kilka razy. Wystarczajaco wiele razy, by Ben dodal numer Atkinsona do listy kontaktów.

Podniosla sluchawke hotelowego aparatu. Wcisnela dziewiatke, co oznaczalo polaczenie pozahotelowe, po czym wystukala numer Roberta Atkinsona.

- Empire Media, slucham?
- Dzwonie do Roberta Atkinsona.
- A moze zapytac, kto dzwoni?
- Jestem... ee... jego informatorka.

Zastanawiala sie, czy wzmianki w prasie na temat poufności, która dziennikarze otaczali swoje źródla, byly prawdziwe.

– Jeśli powie mi pani dokładnie, o jaką sprawę chodzi, przełączę panią do odpowiedniej osoby?

Głos kobiety brzmiał młodo, miała zapewne dwadzieścia parę lat. Ciągle była w tym wieku, kiedy wszystkie wypowiedane kwestie wydają się kończyć znakiem zapytania, nawet kiedy nie są pytaniami.

– Wolałabym porozmawiać z samym panem Atkinsonem.

– To nie słyszała pani?

– O czym takim?

– Bob nie żyje. Zginął wczoraj w nocy w wypadku na międzystanowej I-684.

Hank Beckman wiedział, co oznacza prefiks 212 na wyświetlaczu swojej komórki. Dzwoniono do niego z Nowojorskiego Departamentu Policji.

– Beckman.

Wcisnął do wolnego ucha palec wskazujący, próbując zablokować hałas panujący na Alei Parkowej.

Detektyw John Shannon nie zwracał sobie głowy powitaniem.

– Dostaliśmy kopię skargi, złożonej wczoraj przez Alice Humphrey na człowieka w zielonej toyocie, który miał ją śledzić. Podała numery.

– Prawo nie zabrania jeździć po Manhattanie.

Podobno decyzja w sprawie jego zwolnienia z Biura jeszcze nie zapadła, ale Hank wiedział, co się święci. W praktyce był już wolnym strzelcem.

– Słyszałem, że twoje dni w biurze mogą już być policzone. Nie wiem, co ci chodzi po głowie, Beckman, ale nie spierdol niczego, bo i ty będziesz wtedy w gównie.

– Próbowałem wam powiedzieć. Alice Humphrey nie jest kobietą, którą widziałem z Larsonem. Nie możecie tego ot tak zamieść pod dywan.

– Fura zebranych przeze mnie dowodów kontra mgliste wspomnienia wypalonego agenta? Nie spędza mi to snu z powiek.

– Aresztowaliście ją?

– Jeszcze nie. Ale mamy już dość dowodów. Biuro prokuratora pracuje już nad nakazem. Mówię poważnie, Beckman. Trzymaj się od niej z daleka.

– Jak chcesz, Shannon. Ty tu rządzisz.

Zamknął klapy telefonu. Pół godziny na rogu ulicy w tym cholernym mrozie to była przesada. Z wdzięcznością przywitał powiew gorącego powietrza, gdy przekroczył próg Union Baru. Zamówił herbatę, zignorował wywołany tym faktem sfrustrowany wzrok

barmana i zasiadł wygodnie przy dwuosobowym stoliku w kącie, skąd przez szybę miał znakomity widok na hotel przy Alei Parkowej, do którego trzydzieści dwie minuty wcześniej weszła Alice Humphrey.

Alice poczuła, że traci poczucie czasu w otchłani ciszy, która zapadła na linii.

– Jest tam pani jeszcze?

– Tak, przepraszam. Ja tylko... ee... Strasznie mi przykro z powodu wypadku pana Atkinsona. Wie pani może, co się stało?

– Policja mówi, że zjechał z drogi w jakiś wąwóz, czy coś? Nie było świadków. Dopiero rano ktoś zobaczył miejsce wypadku i wezwał karetkę, ale było już o wiele za późno. Nie wiedzą, czy zrobił to celowo, czy może był pijany, czy nie wiem, wpadł w jakiś szal, czy coś? Słyszałam, jak redaktor naczelny mówił, że policja podejrzewa możliwość działania przestępczego.

Była to długa, wymagająca wielu słów metoda powiedzenia, że nic się nie wie.

– Nazywam się Alice Humphrey. Pan Atkinson próbował się ze mną skontaktować już od jakiegoś czasu. Wydaje mi się, że rozmawiał też z moim bratem, Benem Humphreyem. Miałam nadzieję dowiedzieć się, czemu do mnie dzwonił.

– Bob ma – to znaczy miał – tendencję do bycia... no... bardzo skrytym, dopóki nie miał gotowego artykułu. Moim zdaniem dziennikarze nieraz potrafią sobie nawzajem podkraść tematy. Myślę, że płacą im w zależności od tego, co napiszą, chyba?

– Czym są Empire Media? Nie kojarzę tej firmy.

– Och, pewnie, że pani kojarzy, tylko pani tego nie wie.

Powiedziała to tonem kogoś, kto ma za chwilę opowiedzieć puentę żartu.

– Nie rozumiem.

– A mówi pani coś „National Star”?

– Ach.

Alice faktycznie rozpoznała nazwę niesławnego brukowca.

– No właśnie. Nic dziwnego, że dziennikarze wolą mówić, że są z Empire Media. Brzmi to, hm, jakby szlachetniej?

– I nie wie pani, nad czym mógł pracować pan Atkinson, co by się mogło wiązać z moim bratem? Albo z galerią o nazwie Highline?

– Przykro mi.

– Albo może Frankiem Humphreyem?

– Nie. Ach, zaraz, ma pani na myśli tego Franka Humphreya?

– Jesteśmy wielką, szczęśliwą rodziną – mruknęła. – A nie wie pani, czy pan Atkinson zostawił jakieś notatki w swoim biurze, które mogłyby wyjaśnić, czemu do mnie dzwonił?

– Uch, u nas dziennikarze niezupełnie mają swoje biura, jeśli wie pani, co mam na myśli? Bob zwykle pracował w domu. Bo to jest tak – powiedziała, ścisząc głos do szeptu. – Wie pani, mówiłam, że policja podejrzewa możliwe przestępstwo... Okazuje się, że drzwi od strony pasażera były otwarte, a ze stacyjki zniknęły kluczyki. Nie znaleźli też żadnego śladu po jego teczce, a zawsze nosił ją przy sobie.

– Więc policja uważa, że ktoś spowodował wypadek, by ukraść teczkę i kluczyki?

– Nie, mówią, że jest bardziej prawdopodobne, że ktoś pojawił się tam po fakcie i wtedy to ukraść. Wyobraża to sobie pani? Kto mógłby zrobić coś takiego? Policjanci pytali, czy Ben przypadkiem nie pracował nad czymś, czym mógłby narobić sobie wrogów. Dlatego właśnie naczelny kazał, żeby telefony na komórkę Bena były kierowane tutaj. Nie chciał niczego stracić, jeśli Ben był na tropie. Zimny typ, co?

Alice przyszło do głowy, że kobieta po drugiej stronie nie jest szczególnie dyskretną sekretarką. Ale po chwili uderzyła ją ironia faktu, że to nie tamta była bezrobotna przez cały zeszły rok.

– Czy to możliwe, że redaktor wie, dlaczego pan Atkinson do mnie dzwonił?

– O, nie. Dosłyszałam, jak mówił policji, że Ben był wkręcony w tę sprawę bardziej, niż zwykle. Ale nie ma pojęcia, co planował. Ben był tu trochę takim dinozaurem i robił wszystko po swojemu. Mam zapisywać dane i numer każdego, kto zadzwoni w tej sprawie. Alice Humphrey, prawda? A pod jaki numer naczelny ma oddzwonić?

– Jestem teraz w podróży – skłamała – więc chyba po prostu zadzwonię później.

– Okej, przekażę mu to.

– Czy Bob mieszkał w głębi stanu?

Może udałoby jej się tak zagadać, żeby dostać się do domu reportera i poszukać notatek, które mógł tam zostawić, o ile oczywiście złodziej teczki i kluczyków już tam nie dotarł.

– Słucham?

– Mówiła pani, że wypadek wydarzył się na drodze 684. Czy pan Atkinson mieszkał w głębi stanu?

– Nie, mieszka przy Gramercy Park. Jestem przekonana, że wracał wtedy do domu z Bedford.

– Robił coś w Bedford?

– Tak. Podśledzałam, jak parę razy rozmawiał przez telefon z departamentem policji w



Bedford i pytał o jakiś prehistoryczny raport policyjny. Mówił, że w końcu pojedzie po ten cholerny raport osobiście. Byłoby przykre, gdyby właśnie przez to znalazł się wczoraj w nocy na drodze, no nie?

Hank miał właśnie poprosić o ponowne zalanie swojej herbaty, kiedy zobaczył, jak z hotelu wychodzi kobieta o krótkich włosach w kolorze czekolady i mocno podmalowanych oczach. Agent był pod wrażeniem tej transformacji. Ubranie się nie zmieniło, ale długie, czarne płaszcze i buty na każdą pogodę były praktycznie zimowym uniformem nowojorskich kobiet. Od szyi w górę zmieniła się nie do poznania. Zaróżowiona skóra wydawała się bledsza w kontraście z niemal czarnymi włosami. Fryzura i makijaż też były inne. Silniejsze. Ostrzejsze. Bardziej młodzieńcze.

Prawdę mówiąc, pospieszna przemiana tej kobiety była tak efektywna, że Hank przegapiłby ją, gdyby w ciągu ostatnich dwóch dni nie spędził tyle czasu, myśląc o jej sposobie poruszania się. Długie, rude włosy zniknęły, ale niedbały, nieco zagubiony chód nie dał się pomylić z żadnym innym.

Zostawił opróżniony papierowy kubeczek na stoliku i ruszył Aleją Parkową na wschód, pozwalając kobiecie wysunąć się parę bloków naprzód.

## *Rozdział 47*

Alice dostrzegła własne odbicie w szybie wagonu metra i aż podskoczyła.

„Oddychaj głęboko – powiedziała sobie. Możesz się czuć, jakbyś chodziła po Manhattanie w przebraniu na Halloween, ale ci ludzie wokół nie mają pojęcia, kim jesteś ani jak powinnaś wyglądać”.

Zapłaciła dwadzieścia dolarów za nową MetroCard. Na Grand Central zamierzała wydać więcej gotówki, by zakupić bilet do Katonah, jeden przystanek na północ od Bedford. Nie wiedziała jeszcze, czy zdobędzie się na odwagę, by wysiąść w Bedford, miasteczku, w którym spędzała niemal każde lato w swoim dzieciństwie. Z pewnością policja wyśle kogoś, by obserwował willę jej rodziców. A miejscowi mogli ją rozpoznać, pomimo tej absurdalnej fryzury. Miała wszelkie powody, by trzymać się jak najdalej od Bedford. Ale z jakiegoś powodu wiedziała, że tajemnice, których rozwiązania Robert Atkinson poszukiwał w Bedford, dostarczą klucza do wyrwania się z zaciskającej się wokół niej pętli.

Pociąg linii numer 6 zatrzymał się na Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Nadal było wczesne popołudnie, więc stacja świeciła raczej pustkami. Młoda para z siedzenia naprzeciw ruszyła

ku drzwiom. Czekali, aż się otworzą. Chłopak odsunął lok włosów dziewczyny za jej ucho, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. Coś w tym prostym akcie czułości sprawiło, że Alice miała ochotę się rozplakać.

Para opuściła wagon, zostawiając ją samą z drzemiącym bezdomnym i gościem, który zdawał się myśleć, że douszne słuchawki wielkości gumek ołówkowych są w stanie jakoś osłonić współpasażerów przed jazgotem rapowej muzyki z jego iPoda. Drzwi były nadal otwarte i Alice zauważyła, że wstrzymuje oddech w oczekiwaniu, aż ochronny kokon wagonu zamknie się z powrotem. Nie chciała ujrzeć, jak do środka wchodzi policjant. Zresztą, biorąc pod uwagę śmierć Drew Campbella i Roberta Atkinsona, zaczynała się zastanawiać, czy czasem policja nie jest najmniejszym z jej problemów.

Pozwoliła sobie wypuścić powietrze dopiero wtedy, kiedy drzwi się zamknęły. Poczula, jak jej mięśnie napinają się instynktownie, wytrenowane przez lata podróżowania komunikacją miejską, stabilizując jej ciało, przygotowując je na nagły zryw ruszającego pociągu. Ale pociąg nie ruszał. Jedynymi dźwiękami były brzęczące rymy, dolatujące ze słuchawek iPoda oraz ciche pochrapywanie bezdomnego. Znow wstrzymała oddech, żałując, że na Union Square nie poczekała na ekspres.

Kiedy pociąg w końcu ruszył, Alice nie była na to przygotowana. Opadła na pusty fotel obok. Nigdy jeszcze nie czuła się tak wdzięczna za brutalnie nierówną jazdę pociągu nowojorskiego metra.

Równie szybko, jak przed chwilą poczuła ulgę, ogarnął ją gwałtowny przyptyw czystego przerażenia, gdy otwarły się suwane drzwi na końcu wagonu i przeszedł przez nie człowiek, który wyglądał dokładnie jak kierowca zielonej toyoty.

Wstała z siedzenia i ruszyła szybkim krokiem ku przeciwnemu krańcowi wagonu. Słyszała za sobą kroki. Zastanawiała się, czy bezdomny lub gość z iPodem pośpieszą jej na pomoc, gdyby zaczęła krzyczeć. Pociągnęła za drzwi i zdała sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie próbowała przechodzić pomiędzy wagonami metra i nie miała pojęcia, jak te drzwi działają.

Poczula na ramieniu dłoń mężczyzny. Obróciła się i przycisnęła plecami do drzwi, próbując uciec przed chwytem nieznanego. Nadal słyszała mruczenie bezdomnego oraz melodię z iPoda.

– Pomocy. Ktoś mi pomoże?

– Ssz. Ssz. Wszystko w porządku. Proszę już przestać. Proszę.

Mężczyzna uniósł dłonie, jakby to on został zaatakowany, ale jego twarz była absolutnie spokojna. Coś w jego szeptanych prośbach sprawiło, że poczuła się spokojniej.

– Nazywam się Hank Beckman i uważam, że jest pani niewinna.

– Więc faktycznie widział pan tę kobietę, która całowała się z Drew Campbellem na fotografii, którą pokazali mi policjanci?

Skończyli podróż linią numer 6 i kontynuowali rozmowę na ławce na stacji Grand Central. Każde z nich przedstawiło własną historię wydarzeń ostatnich kilku dni. Nie znali się, ale prosty fakt, że mężczyzna ten był agentem FBI, który wierzył w prawdziwość Alice, przekonał ją, by wyjawiała wszystko, co wie.

– Ma pani na myśli Tralisa Larsona. Nie ma żadnego Drew Campbella. Myślę, że kobieta, którą widziałem u niego w mieszkaniu oraz kobieta ze zdjęcia, to jedna i ta sama osoba. Myślę też, że celowo próbowała się do pani upodobnić i po to właśnie kupiła identyczny błękitny płaszcz. Umysł ludzki zdolny jest do wielkich rzeczy, ale nauczeni też jesteśmy efektywnie przetwarzać informacje. Efektywnie, więc czasami nieściśle. Skupiamy się na istotnych wyróżnikach, często za cenę przeoczenia drobnych niuansów. To między innymi dlatego ustalanie tożsamości osoby innej rasy obarczone jest większym błędem. Świadczy o tym widzą człowieka o odmiennym kolorze skóry i tej właśnie cesze przydają nieproporcjonalną wagę, nie analizując dokładnie jego prawdziwego wyglądu.

– Więc ta kobieta tak naprawdę nie wygląda jak moja siostra bliźniaczka?

Pokręcił głową.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Zdecydowanie jest do pani podobna. Zapewne sama to pani dostrzegła na tym zdjęciu. Ale oboje z Larsonem wykorzystali fakt, że pani włosy, jeśli pani pozwoli, są najważniejszą cechą, którą zapamiętują ludzie, kiedy widzą panią pierwszy raz. Myślę też, że nie bez powodu kupiła pani ten właśnie płaszcz.

– Zawsze miło usłyszeć komplement.

– Nic dziwnego. To zestawienie błękitu z rudym jest powalające. Czy jest szansa, że ów płaszcz jest jakimś rzadkim towarem? Moglibyśmy od niego zacząć namierzanie pani sobowtóra.

– Produkowany masowo w Chinach i dostępny w każdym domu towarowym w kraju. Przykro mi.

– Nie powinna pani była ich ścinać – powiedział, wskazując na włosy Alice.

– Mój wygląd to teraz najmniejsze z moich zmartwień.

– Nie o to mi chodziło. Gdyby nie zmieniła pani fryzury, nalegałbym, by wróciła pani do domu. Pani ucieczka będzie naprawdę źle wyglądać.

– Spanikowałam. Otoczyli mój budynek. Chcieli mnie zabrać. Wyobraziłam sobie, jak

wyprowadzają mnie w kajdankach. Nie mogłam tak po prostu siedzieć i na to pozwolić.

– Nie chcieli pani zabrać. A przynajmniej jeszcze nie. Godzinę temu Shannon powiedział mi, że nadal pracują nad nakazem. To już nie potrwa długo.

Lily pewnie zobaczyła przed budynkiem jakiś radiowóz i uznała, że przyjechał on po Alice.

– Jednak gdyby wróciła pani teraz, zobaczyliby te włosy. Zmianianie własnego wyglądu to fundamentalny dowód na poczuwanie się do winy. Jeśli połączymy to z pani kłamstwami na temat Larsona... Równie dobrze mogłaby się pani do wszystkiego przyznać.

– Nigdy ich nie okłamywałam.

– Ale oni myślą, że tak. A ta nowa fryzura tylko potwierdza ich wersję.

– Wolałam już pana jako zabójcę.

– Po prostu mówię, jak jest. Więc proszę mi powiedzieć, co zamierza pani zrobić w Bedford.

Miała już kupiony za gotówkę bilet. Pociąg odjeżdżał za dwanaście minut.

– Chcę się dowiedzieć, czemu Robert Atkinson próbował zdobyć jakiś raport z archiwów tamtejszej policji.

– Dlaczego nie zadzwoni pani do brata i nie zapyta, co wie o Atkinsonie?

– Ponieważ nie mam pojęcia, jak go złapać. Ma tylko komórkę, a ja zabrałam jego jedyny aparat.

Była też coraz mocniej przekonana, że od samego początku coś przed nią ukrywał.

– Więc wejdzie pani na posterunek i przedstawi się jako Alice Humphrey?

– Nie. Myślę, że podam się za reporterkę, która podąża tropem tej samej sprawy, co Atkinson.

– A jeśli ktoś panią rozpozna? Sądzę, że Bedford to raczej małe miejsce.

– Nie wiem, czy mam teraz inny wybór, niż podjąć skalkulowane ryzyko.

W milczeniu wstał z ławki, sięgnął do kieszeni płaszcza i pomachał przed nią zestawem kluczyków.

– Ta zielona toyota, która za panią jeździła, równie dobrze może panią zabrać do Bedford. Za jakieś dwadzieścia minut podjadę pod wyjście od strony Alei Lexington. Proszę nigdzie nie iść.

– Dlaczego pan to robi? – zapytała.

– Powiedzmy, że być może ja też będę zmuszony podjąć skalkulowane ryzyko.

*Rozdział 48*

Tak jak Beckman przewidywał, zjechali z międzystanowej 684 na Bedford około godziny po przekroczeniu mostu Triborough. Plan zakładał, że to on pójdzie na posterunek policji pytać o Roberta Atkinsona, podczas gdy Alice pojedzie dalej na północ, do pobliskiego Katonah, by nie rozpoznano jej w Bedford.

– Proszę. – Wręczył jej telefon. – Zadzwoń, kiedy będzie trzeba mnie odebrać.

– Nie macie w FBI jakiejś zasady, która zakazuje oddawania swojego telefonu poszukiwanemu zbiegowi?

– Pewnie mamy, ale chyba możemy się zgodzić, że już oficjalnie porzuciłem wszelkie opory. Tego telefonu nie da się namierzyć i niech tak zostanie. Absolutnie żadnego dzwonienia do kogokolwiek, kogo znasz. Nowojorska policja będzie monitorować ich SPL.

Pomyślała o Jeffie i o tym, jak bardzo chciałyby się z nim skontaktować. Miał zadzwonić do niej po przesłuchaniu, przy którym asystował, ale Alice wyłączyła komórkę, żeby policja nie mogła jej namierzyć. Jeśli Jeff nie będzie miał od niej żadnych wiadomości, pomyśli, że zaczęła żałować tego, co stało się zeszłej nocy.

– Ich co?

– Szczegóły połączeń lokalnych. Przychodzące i wychodzące połączenia. Po prostu nie dzwoń do nikogo poza mną, dobrze? Ja też mam taką. Numer znajdziesz na komórce jako ostatnie z wykonanych połączeń.

Ponaciskała parę klawiszy, żeby upewnić się, że będzie umiała znaleźć ten numer. Z kieszeni płaszcza Beckmana dobiegło ćwierkanie.

– Widzisz? Wszystko mamy ustawione. Dzwoń, jeśli będą jakiegokolwiek problemy. W innym wypadku odezwę się, kiedy będzie czas mnie odebrać. Nie przekraczaj prędkości. Stawaj na znakach stopu. Nie pozwól, by cię zatrzymano. Tak właśnie wpadł Ted Bundy.

– Świetnie. Teraz porównuje się mnie do seryjnego zabójcy.

Przewrócił oczami. Uśmiechnęła się.

– Powiedziałaś mi wszystko, co wiesz? Absolutnie wszystko?

– Tak. Absolutnie.

Po tym, jak na nią patrzył, widziała, że jej wierzył. Tak jak wcześniej.

– Agencie Beckman?

– Mów mi Hank.

– Dziękuję, Hank.

Wysiadł dwie przecznice od posterunku. Przeczółgała się ponad skrzynią biegów i zajęła jego miejsce za kierownicą. Pomachała mu jeszcze i ruszyła z powrotem, prosto ku autostradzie, równie ostrożna, jak podczas egzaminu na prawo jazdy.

Hank nigdy nie miał powodu, by odwiedzić posterunek policji w swoim Lolo w Montanie, ale musiał on wyglądać podobnie, jak ten w Bedford. Czyste, betonowe schody prowadziły do budynku o wzmocnionych oknach, który nie był specjalnie stary, ale został zaprojektowany, by wyglądać staromodnie. Małe miasteczka nie lubiły przyznawać, że popełniane są w nich przestępstwa. Jeśli musieli mieć posterunek policji, to niech przynajmniej wygląda zabytkowo.

Okienko recepcyjne przy drzwiach było puste, ale za nim widać było siwą kobietę przy biurku. Agent delikatnie zapukał w szkło. Kobieta pisnęła.

– Przepraszam. Nie chciałem pani wystraszyć.

– Nic się nie stało. Chyba za bardzo się zamyśliłam nad moim sudoku.

Ruszyła w stronę okienka, niewątpliwie spowalniana przez parę różowych, wystrzałowanych szpilek, dobranych kolorem do czarno-różowej bluzki w kwiaty. Wciśnięte w te buty, pulchne stopy kobiety wyglądały jak para kiełbasek. Kiedy podeszła, Hank dostrzegł, że jej okulary do czytania lśniły od ozdób z kryształu górskiego. Identyfikator, zwisający na smyczy zespołu New York Giants, wskazywał, że kobieta nazywa się Gail Richards.

– Mam ciotkę, która potrafi przerobić całą książkę z sudoku w trzy godziny i ciągle nie ma dość. Powiem jej, że powinna zgłosić się na odwyk.

– Oj, skąd ja to znam. W czym mogę panu pomóc?

Błysnął odznaką FBI. Zanim zdążył otworzyć usta, kobieta wskazywała już w głąb budynku.

– Och, zaprowadzę pana do detektywów.

– Nie, proszę pani, to raczej sprawa dla tych, którzy siedzą koło tego okienka. Z tego, co wiem, pewien dziennikarz nazwiskiem Robert Atkinson próbował od was zdobyć kopię pewnego raportu policyjnego. Jak sądzę, był to jakiś stary raport, prawda?

– Oj, tak. Nieprędko zapomnę to nazwisko. Dzwonił do mnie chyba z sześć razy. Najpierw myślał, że pomyliłam nazwisko. Później, że datę. Później zaczęło mu się zdawać, że jestem jakąś gęsią, która nie potrafi niczego znaleźć w archiwach, ale wtedy usłyszał ode mnie parę słów. A potem nagle pojawia się tutaj przed okienkiem, wczoraj, kiedy właśnie miałam zamykać na noc, i twierdzi, że ktoś tu bierze w łapę. Że ktoś usuwa zapisy w archiwach. Zachowuje się, jakby to był jakiś Enron albo coś, jakbyśmy po nocach niszczyli dokumenty, żeby tylko nie dostały się w ręce ważnego pana Atkinsona.

Hank był sobie w stanie wyobrazić, jak zażywna pani Gail w inkrustowanych kryształem górskim okularach wyrywa mężczyźnie tchawicę, jeśli tylko zostałyby do tego odpowiednio zmotywowana.

- A jaki raport próbował uzyskać?
- Nieistniejący, jeśli o mnie chodzi.
- A jego zdaniem?

Westchnęła na samą myśl o tym, że musi sobie przypominać szczegóły tego idiotycznego żądania.

– Na początku podał mi jedynie datę. Osiemnasty kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Albo raczej wieczorem osiemnastego, może dziewiętnastego albo dwudziestego z rana, czyli w niedzielę. Ale miało to związek z jakimś zdarzeniem z osiemnastego. Odparłam, że może nie mamy tu wylęgarni przestępców, ale na pewno mamy więcej niż jeden raport z dowolnego wiosennego weekendu. Zapytałam go o adres, podejrzanego albo rodzaj przestępstwa, ale zwyczajnie nie chciał puścić pary z gęby. I tak przez pierwsze trzy telefony, da pan wiarę? Wreszcie dzwoni i mówi: „Dobra, skargę wniosła niejaka Christie Kinley”.

Nazwisko to wydało się Hankowi znajome. W ciągu ostatnich godzin przyjął od Alice Humphrey prawdziwy ocean informacji, ale wydawało mu się, że wymówiła to nazwisko podczas tej maniackiej wymiany danych. Kinley. Na pewno padło to słowo.

- Ma pani na myśli Julie Kinley?

Przypomniał sobie historię Alice o zarzucie plagiatu złożonym przez kobietę o tym imieniu i nazwisku, który został załagodzony przy użyciu ITH. Gdyby nie to, że w zeszłym roku zmarła, wylądowałaby na samym szczycie jego listy podejrzanych.

– Miałam właśnie powiedzieć, że jej oficjalne imię to Julie, ale była znana jako Christie. Proszę mi wierzyć, zapisałam to sobie. Myślałam, że może Atkinson sobie ze mnie żartuje, ale jej matka ewidentnie nadała jej imię po tej aktorce, Julie Christie.

- I potrafi pani to wszystko powiedzieć bez zaglądania w notatki.

Próbował nie przesadzać z podziwem w głosie, ale wiedział też, że musi zadośćuczynić za poprawienie jej przy imieniu Kinley.

- Chciałbym mieć u siebie w Biurze kogoś z taką pamięcią.

– Mój drogi, ja nie pamiętam nawet, co dziś jadłam na śniadanie. To tylko pokazuje, jak ten Atkinson mnie prześladował. Ale praca jest pracą, więc poszłam przekopywać się przez archiwum. Wie pan, niektórzy ludzie nie najlepiej radzą sobie z datami. Kwiecień myli się z lipcem. Maj ląduje przed marcem. Poza tym gość nie dałby mi nigdy spokoju, jeśli powiedziałabym mu, że nie mamy tego raportu, a okazałoby się, że jednak mamy. Więc szukałam. Oj, mówię panu, długo szukałam. I nie było żadnych raportów z imieniem Christie ani Julie Kinley przez cały tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty rok ani na wiosnę

osiemdziesiątego czwartego ani osiemdziesiątego szóstego, bo te również na wszelki wypadek sprawdziłam. Nie spodobała mi się zatem jego sugestia, że nie sprawdziłam porządnie.

– I wtedy powiedziała mu pani te parę słów, co? – Hank uśmiechnął się konspiracyjnie.

– Oj, żeby pan wiedział. Całą wiązanekę. Taką, że wystarczyła by na parę świąt narodowych. Proszę nie powtarzać burmistrzowi, ale mogłam użyć paru określeń, które nie nadawałyby się do radia.

– Wygląda na to, że sobie zasłużył.

Czuł się źle, nadając na tego człowieka w obecnych okolicznościach.

– Kiedy w końcu opowiedziałam mu w szczegółach, jak dokładnie sprawdziłam archiwa, myślałam, że odczepi się na dobre. I oczywiście następnego dnia pojawia się tu we własnej osobie i mówi, że chce rozmawiać z szefem. Tak jakby szef policji miał grzecznie przydreptać do okienka, jeśli tylko Gail tak powie.

Pokręcił głową nad niedorzecznością podobnej sugestii.

– A za chwilę zaczyna nas oskarżać o niszczenie dokumentów.

– Was?

– No właśnie, i tu cały pies pogrzebany, prawda? Był taki pewny, że akta zostały zniszczone, ale nie chciał powiedzieć, skąd wie, że one kiedykolwiek w ogóle istniały. W końcu zawołałam sierżanta, żeby się nim zajął, ale może być pan pewien, że dalej słuchałam.

Hank nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Sierżant Jenners trochę pomachał mu przed oczami odznaką, po prostu chciał go spławić. Ale wtedy stary Atkinson nagle wypalił, że wie o tych aktach, ponieważ je kiedyś widział. Więc sierżant zadał pytanie, które na jego miejscu zadałby nawet baran. „Jeśli czytał pan raport, to czemu nie może nam pan niczego powiedzieć o naturze przestępstwa albo nazwisku podejrzanego, albo czymkolwiek, co by pomogło nam zrozumieć, o czym, na Boga, pan mówi”.

– A co Atkinson na to?

– Absolutnie nic. Wybiegł z posterunku, krzycząc do sierżanta coś o przekupstwie. Ktoś zapłacił dziewczynie. Ktoś zapłacił policjantom. A on się na nas zawiódł.

– Zawiódł się na was? Atkinson tak powiedział?

– Tak. Pamiętam to dokładnie. Powiedział: „Ka-mać, ktoś zapłacił tej przybłędzie”. To znaczy nie powiedział „ka-mać”, tylko to samo pełnymi słowami. „Ktoś zapłacił policjantom. A ja się na was, kurczę, zawiódłem”. Tylko że nie użył słowa „kurczę”, ale...



Kiwnął głową dla potwierdzenia, że doprecyzowywanie nie jest konieczne.

– Czy pan Atkinson coś przeszkrobał?

– Nie, proszę pani. A czemu pani pyta?

– Nie powiedział pan jeszcze, w jakiej sprawie pan tu przyszedł. Pomyślałam, że Atkinson popadł w kłopoty. Jedno jest pewne, mam nadzieję, że nie będę musiała się z nim więcej zadawać.

– Nie sędzę, by prędko go pani znowu zobaczyła.

Alice pokonała drogę powrotną z Katonah do Bedford równie ostrożnie, co jadąc w drugą stronę. Jej nowy sojusznik, Hank Beckman, zajął miejsce pasażera.

– Więc najpierw złe wieści. Policja nie ma tego raportu.

Kiedy zadzwoniła jej konspiracyjna komórka, Alice pozwoliła sobie na chwilową nadzieję. Być może Hank miał właśnie poinformować ją o sukcesie misji. Ale kiedy powiedział, by spotkali się przy stacji Shella przy Old Post Road, z jego energicznego tonu wywnioskowała, że nie ma co liczyć na łatwe odpowiedzi.

– Po tym, co przesłałam przez ten tydzień, jedynie raport z moim zdjęciem i cudzym nazwiskiem potraktowałabym jako złe wieści. Są jakieś dobre?

– Nie jestem pewien, ale mogę dodać trochę nowych informacji do rosnącej sterty. Powiedziałaś, że twój ojciec użył ITH, by uniknąć procesu ze strony niejakiej Julie Kinley?

Kiwnęła głową.

– Oskarżyła go o kradzież pomysłu na jego pierwszy wielki film, In the Heavens. Ale Arthur Cronin już ją sprawdził. Zmarła w zeszłym roku.

– Cóż, wracając do raportu, który Atkinson tak bardzo chciał dostać w swoje ręce. Powiedział, że osobą składającą skargę powinna być niejaka Julie Christie Kinley.

– Julie Christie?

– Dziwne, co? Wygląda na to, że matka nazwała ją tak po tej aktorce. Atkinson powiedział archiwistce, że ta kobieta używała imienia Christie, ale naprawdę nazywała się Julie. Tak stało w papierach ITH, prawda? Julie Kinley?

– Tak.

Słowo zabrzmiało odlegle nawet w jej własnych uszach.

– Coś się stało?

– Nie jestem pewna. Coś jest z tym imieniem... Christie Kinley.

– Prawie do rymu.

– Pewnie dlatego je zapamiętałam. Nie wiem, co to może oznaczać, ale znałam

dziewczynę imieniem Christie Kinley, która mieszkała gdzieś w okolicy Bedford. Ale ona nie mogła być osobą, która oskarżyła mojego ojca o plagiat.

– Czemuż to?

– Bo była wtedy mała. Starsza ode mnie, ale młodsza od mojego brata. Prawdę mówiąc, jestem całkiem pewna, że parę razy wpadła do nas do domu. Kiedy kręcono *In the Heavens*, nie było jej jeszcze na świecie. I Atkinson powiedział, że to ona złożyła doniesienie?

– Tak, Julie Christie Kinley. Uznałem, że to ta sama Julie Kinley, która poszła na ugodę z udziałem ITH. Pomyślałem, że poszła na policję ze swoimi rewelacjami. Ludzie robią to cały czas, myślą cywilne skargi z kryminalnymi. Zdaniem Atkinsona, złożyła to doniesienie w kwietniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. A dokładniej, osiemnastego kwietnia.

– Znał dokładną datę?

– Nie do końca. Ale raport miał mieć coś wspólnego z jakimś wydarzeniem, które miało miejsce osiemnastego wieczorem, ponoć był to piątek. Samo doniesienie mogło jednak wpłynąć w dowolnym momencie weekendu.

W kwietniu osiemdziesiątego piątego Alice była w szóstej klasie. Ben był zaraz po swoich szesnastych urodzinach. Prawdę mówiąc, jego urodziny wypadały dokładnie tydzień wcześniej, jedenastego kwietnia. Alice ponad wszelką wątpliwość pamiętała też, że właśnie wtedy, tydzień po szesnastych urodzinach, Ben zorganizował w Bedford potężną popijawę. Popijawę na tyle huczną, że w niedzielę po południu do ich domu zawitali dwaj policjanci.

Wątki informacji zaczynały się ze sobą splatać. Nie chciała widzieć tych związków, ale nie mogła też wciąż zaprzeczać jedynej sensownej konkluzji.

– Czy ta archiwistka mówiła coś jeszcze o Atkinsonie?

– Tak. Rzucał na lewo i prawo oskarżenia, że ktoś z lokalnego departamentu policji został przekupiony, by zniszczyć raport, którego szukał. Powiedział, że ktoś zapłacił tej przybłędzie i zapłacił policjantom, a on się na nich zawiódł.

– Zawiódł się na nich?

– „Kurwa, zawiódłem się na was”. Tak, zdaje się, dokładnie brzmiały jego słowa.

– Myślę, że wiem już, o czym był ten raport. A jeśli mam rację, ta ugoda załatwiona przez ITH nie miała absolutnie nic wspólnego z żadną kradzieżą scenariusza.

*Rozdział 49*

– Nie potrzebujesz czasem nakazu rewizji, albo coś?

– Gość mieszkał sam, a teraz jest martwy. Woźny chyba doszedł do wniosku, że nie został już nikt, kto by go skrzyczał za wpuszczanie agenta FBI do chałupy.

Hank otworzył drzwi do mieszkania Roberta Atkinsona przy Gramercy Park za pomocą klucza dozorca.

– Albo gość był jeszcze większym bałaganiarzem ode mnie, albo złodziej jego kluczyków dotarł tu przed nami.

Szuflady w kuchni były pootwierane. Poduszki na sofie wywrócone do góry nogami. Nawet dywan w salonie był podwinięty.

– Może po trochu jedno i drugie.

Alice przesunęła palcem po grubej warstwie kurzu, która pokrywała studenckich rozmiarów biurko, stojące w niszy przy wejściu. Wskazała na wolny od kurzu prostokąt wielkości laptopa. Z gniazdka w ścianie wciąż zwisał kabel.

– To tyle, jeśli chodzi o komputer ze wszystkimi interesującymi nas odpowiedziami przedstawionymi w przystępnym formacie artykułu brukowca.

– Nie odzywałeś się za bardzo, odkąd wyjechaliśmy z Bedford.

– Podobnie jak ty. Biorąc pod uwagę, jaki miałaś dziś dzień, uznałem, że może chciałabyś zostać sam na sam ze swoimi myślami. W końcu nie można nas nazwać dobrymi znajomymi.

– Wiem, że jesteś agentem FBI. Wiem, że będąc nim, zapewne masz już teorię, która łączy skargę Christie Kinley, ugodę z ITH i te fotografie, które znalazłam na pendrivie.

– Cokolwiek bym teraz powiedział, byłaby to czysta spekulacja.

– Ale czy nie na tym właśnie polega praca detektywa? Na wymyślaniu możliwych scenariuszy, a następnie szukaniu dowodów, które je potwierdzą lub obalą?

Usiadła na fotelu ze sztucznej skóry, który stał przy biurku Atkinsona.

– Osiemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku było dokładnie tydzień po szesnastych urodzinach mojego brata. Nasz dom w Bedford stoi na dwóch hektarach ziemi. Ben zawsze bawił się ze znajomymi na tyłach posesji. Wtedy wydawało mi się, że imprezują jak gwiazdy rocka, ale zapewne nie różniło się to za bardzo od tego, jak to zwykle wygląda w szkole średniej. Moi rodzice przyjmowali wobec całej sprawy postawę w stylu nic nie widzę, nic nie słyszę. Tamtej nocy balanga wymknęła się spod kontroli do tego stopnia, że jedną z dziewczyn odesłano później do szkoły z internatem. W niedzielę po południu przyszła do nas policja. Wypytywali nas, kto był na imprezie i co się tam działo.

Podejrzała, że milczenie Hanka jest zapewne techniką przesłuchania, której nauczył

się w FBI, ale nie przejmowała się tym. Kontynuowała swoją opowieść.

– Zapytali mnie, gdzie w czasie imprezy był mój ojciec. Pamiętam to, bo bardzo się wtedy bałam, żeby nie wpadł w kłopoty z powodu czegoś, co zrobił Ben, na przykład, że zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za picie alkoholu przez nieletnich, czy coś. Powiedziałam im, że ojciec był ze mną w pokoju kinowym. Dostał przedpremierową taśmę z Goonies. Mama wcześniej położyła się spać. Przyjaciel rodziny, Arthur, spędzał u nas weekend, ale oglądanie Goonies nie leżało za bardzo w sferze jego zainteresowań, więc udał się do domku dla gości. To wszystko działo się, zanim mój ojciec przestał pić. Prawda jest taka, że wlewał w siebie jedną szkocką za drugą. Próbowалаm go zbudzić, kiedy szłam spać, ale był już kompletnie nieprzytomny. Zасыpiając, wciąż słyszałam odgłosy imprezy Bena.

Hank nadal nic nie mówił, ale tym razem Alice z jakiegoś powodu potrzebowała zachęty.

– Zauważyłem, że jednym tchem wymieniłaś Christie Kinley, ugodę z ITH oraz zdjęcia z pendrivea. Może część ciebie uważa, że wszystkie te rzeczy są jakoś powiązane z tamtym weekendem w waszym domu w Bedford?

– A ty tak nie myślisz?

– Ja chcę, żebyś powiedziała na głos to, co według ciebie się wtedy wydarzyło.

– Nie chcę tego mówić. Nie chcę w to wierzyć.

– Nie ma tu nikogo oprócz nas dwojga. Jest tak, jak mówiłaś – praca detektywa polega na poszukiwaniu dowodów, które potwierdzą lub podważą daną tezę. Zbadamy to. Razem. A jeśli udowodnimy nieprawdziwość tego, o czym teraz myślisz, nikt nie będzie musiał się dowiedzieć, że w ogóle taki pomysł się pojawił.

Alice opuściła wzrok na czubki swoich butów.

– Myślę, że tamtej nocy mój ojciec uprawiał seks z Christie Kinley. Myślę, że robił jej zdjęcia w swoim gabinecie. Myślę, że złożyła doniesienie na policję, ale ojciec jakoś sprawił, że problem zniknął. Opłacił ją, użył ITH jako zasłony dymnej. Myślę też, że po tych wszystkich latach ktoś jest ciągle bardzo wkurzony na mojego ojca i na mnie, bo nieumyślnie dałam mu alibi. Zarabiali pieniądze na sprzedaż dziecięcej pornografii przez galerię, a później mnie w to wrobili.

Czuła się, jakby właśnie wypuściła do atmosfery sto litrów trującego gazu, ale Hank wydawał się zupełnie nieporuszony.

– Dobra, więc zacznijmy szukać dowodów, które pozwolą stwierdzić, czy to prawda, czy nie. Atkinson powiedział archiwistce z posterunku policji w Bedford, że czuje się zawiedziony. Może badał tę sprawę od samego początku, ale zamknięto mu usta.

Żadnego szoku, żadnej sceny, żadnego osądzania. Pozwolił Alice powiedzieć, co myślała, nie zmuszając jej do wysłuchiwania, jakie to potworne.

– Gdzie będziemy szukać, zważywszy na to, że ktoś już zajął się Atkinsonem, jego samochodem oraz mieszkaniem?

– Ktokolwiek przekopał to miejsce, spieszył się. Zapewne uznali, że teczka i komputer zawierają wszystko, czego potrzebowali. Ale jeśli Atkinson faktycznie grał ostrożnie, może się jakoś dodatkowo zabezpieczył. Zobaczmy, czy FBI udało się nauczyć mnie paru rzeczy o tym, gdzie ludzie chowają ciekawe rzeczy.

Hank wiedział, że nie jest najlepszym detektywem w kraju. Nie nadążał za krzywą rozwoju technologicznego, która odciskała coraz większe piętno na technikach dochodzeniowych. Nie miał też ultraczułego zmysłu ludzkich motywacji i pragnień, którym mogli się pochwalić niektórzy śledczy. Ale dobrze radził sobie ze świadkami. Wiedział, jak się zachować podczas wywiadów i przesłuchań. A teraz czuł dumę z faktu, że pozwolił Alice Humphrey samodzielnie wyartykułować podejrzenia odnośnie Christie Kinley, ojca, tych zdjęć oraz ugody z ITH. Gdyby sam to wszystko powiedział, mógłby ją stracić.

Nie odmówił, gdy zaoferowała pomoc w przeszukiwaniu mieszkania, chociaż wiedział, że jej myszkowanie w szafach, pod łóżkiem i pod sofą nic nie da. Na wiele sposobów było to jej własne śledztwo. To jej wolność była tu stawką. To ona знаła Franka Humphreya oraz historię, która bezsprzecznie łączyła się z Travisem Larsonem oraz jego ciemnymi interesami w Galerii Highline. Hank był tu tylko po to, by dostarczyć fachowej wiedzy.

W świetle owej fachowej wiedzy pozostawił jej szperanie po szufladach i szafkach, a sam zaczął szukać na poważnie. Nie był jeszcze pewny, czego dokładnie szuka, ale wiedział, że rozpozna to, kiedy to zobaczy. Obluzowana klepka w podłodze. Stara puszka z kawą w lodówce, mimo świeżej torebki na kuchennej ladzie. Nieco krzywy obrazek, który mógł skrywać ścienny sejf. Ktokolwiek tu był, przeszukał już wszystkie oczywiste miejsca. Hank szukał czegoś na tyle nierzucającego się w oczy, że mogło wyprowadzić kogoś w pole.

Mieszkanie Atkinsona było niewielkie, co oznaczało ograniczoną liczbę możliwości. Sprawdził już piekarnik, zamrażarkę i maszynkę do robienia chleba, która w niewytłumaczalny sposób znajdowała się w szafie na ubrania. Zapewne była to pozostałość jakiegoś związku, podobnie jak gofrownica, którą Jen kupiła mu zaledwie na parę miesięcy przed tym, jak się wyprowadziła.

I wtedy to zobaczył. Na sięgającym od podłogi do sufitu regale obok biurka piętrzyły

się książki, czasopisma, płyty CD I DVD. Z tego, co Hank widział w salonie, Atkinson lubił gadżety. Plazmowy telewizor, system nagłaśniający, Blu-ray, TiVo, pełen zestaw. Ani śladu starodawnego wideo. Tymczasem na zalegającej obok biurka kupie zwalonych z półek rzeczy leżało nieopisane, plastikowe opakowanie na wideokasetę.

Hank otworzył je. Ze środka wypadły ciasno zrolowane papiery. Alice porzuciła przeszukiwanie szpar pomiędzy poduszkami sofy i podbiegła do agenta. Zmusił się, by podać jej znalezione dokumenty. Zasłużyła, by zobaczyć je jako pierwsza. Jeśli nie chciała, mogła zawsze odmówić. Jednak nie zrobiła tego. Usiadła na parkiecie i rozłożyła papiery przed sobą.

Alice czuła się słabo. Dosłownie. I to nie w takim znaczeniu, w jakim ludzie zwykle używali tego słowa, podczas gdy w rzeczywistości myśleli „metaforycznie” – w stylu „zaraz mi dosłownie głowę rozsadzi”. Alice naprawdę czuła się słabo. Wciągnęła głęboko powietrze i przełknęła gulę żółci, która uformowała się w jej przełyku.

Raz po raz czytała małą, boczną kolumnę na pożątkłej stronie numeru „National Star” z 2 maja 1985. Autorem był Robert Atkinson.

#### *JAKA TO GWIAZDA?*

*Wymień zdobywcę Oscara, który jest podejrzany o przestępstwo seksualne. To, że drań jest żonaty z ukochaną przez wszystkich celebrytką, będzie najmniej kontrowersyjnym elementem krojącego się skandalu. Nasze źródła informują, że czternastoletnia dziewczyna twierdzi, iż ów słynny reżyser zwabił ją do swego domu, a następnie zgwałcił. Jeszcze nie wysunięto oskarżenia, ale podejrzewamy, że sukinsyna wkrótce czeka prawdziwe piekło.*

W zwitku dokumentów znajdował się kolejny wycinek z „National Star”, tym razem z 9 maja. Wycofywał on wcześniejsze oskarżenia.

*W zeszłym tygodniu wydrukowaliśmy niepotwierdzone doniesienie, w którym sugerowano, że pewien reżyser, zdobywca Oscara, podejrzewany jest o przestępstwo seksualne. Nie podaliśmy wówczas nazwiska, gdyż artykuł nie spełniał naszych rygorystycznych standardów dziennikarskich. Niestety, źródło owego niepotwierdzonego doniesienia okazało się mylić, podobnie jak my. Czytelnicy nie powinni zastanawiać się nad tożsamością bohatera artykułu, gdyż nie znajduje on żadnego potwierdzenia w faktach. Przepraszamy za naszą pomyłkę.*

– Powiedziałabym, że na spektrum pomiędzy potwierdzeniem a podważeniem, osiągnęliśmy wynik zdecydowanie na korzyść tego pierwszego.

– Albo drugiego – nie zgodził się Hank. – Jeśli wierzyć dementi.

– Oczywiście, że nie wierzę dementi. „National Star” wyprzedzał swoje czasy. Dzisiaj wszędzie widać te niepotwierdzone doniesienia. Media nie podają nazwisk, bo nie chcą zostać pozwane przez celebrytę, który gotów jest wydać miliony na prawników. Mój ojciec pracował z aktorem, który pozywa brukowce i żąda dementi za każdym razem, gdy opublikują artykuł, który choć delikatnie sugeruje, że może być gejem. I co? Gość jest praktycznie w związku małżeńskim z innym aktorem, który też podaje się za hetero. Jest tak, jak powiedział Atkinson. Dziewczynę opłacono, by nie wniosła sprawy. Tata musiał też przekupić gliniarzy, żeby pozbyć się raportu. A kiedy wszystkie tak zwane dowody Atkinsona przestały istnieć, zapewne zagroził procesem „National Star”.

– Więc stąd się wziął ten jego zawód. Może w końcu dowiedział się, że jego podejrzenia były prawdziwe i też chciał pieniędzy. W zeszłym roku twój ojciec został bohaterem tych wszystkich historii w brukowcach. Może to skłoniło Atkinsona, żeby znów zacząć grzebać w sprawie tamtej nocy w Bedford.

– To tłumaczy czemu wydzwaniał do mnie i mojego brata. Chciał się dowiedzieć, co pamiętamy z tamtego weekendu.

Historyjka jej ojca i Arta o tym, że Kinley była zatrudniona przy filmie, to było typowe zagranie z ich strony. Potraktowali ją jak dziecko, jednocześnie za kulisami pociągając za sznurki, by jej pomóc. Pewnie założyli, że Arthur znajdzie rozwiązanie, które nie będzie wymagało mówienia komukolwiek o tamtej nocy w Bedford. Ale to Alice osobiście wpadła w bagno zwane Galerią Highline. To ona znalazła martwego mężczyznę. I to ją podejrzewała policja. Alice miała prawo dowiedzieć się wszystkiego.

– Czy Christie Kinley pojawiła się na tamtej imprezie?

Potrząsnęła głową.

– Cały czas siedziałam w domu. Ale Ben na pewno będzie wiedział.

– Naprawdę musimy znaleźć twojego brata.

Hankowi udało się doprowadzić Alice do wyrażenia na głos swoich najgorszych lęków, ale teraz gadała w kółko o różnych znajomych Bena i nie posuwała się ani na krok w stronę logicznego wniosku, który agent jej podsuwał. Postanowił jeszcze trochę ją popchnąć.

– Jak bardzo zaszkodziłoby twojemu ojcu, gdyby Atkinson odkopał te dawne oskarżenia?

– Gdyby oskarżono go o... to?

Hank ciągle uważał, by nie użyć słowa „gwałt”. Alice też powstrzymała się przed jego wypowiedzeniem.

– Zniszczyłoby go to. To jasne.

Znów pozwolił, by w mieszkaniu Roberta Atkinsona zapadła cisza. Czekał, aż Alice wyciągnie wnioski.

– Jeśli uważasz, że mój ojciec miał coś wspólnego z wypadkiem Atkinsona, to postradałeś zmysły. Kiedy w zeszłym roku spod każdego kamienia zaczęły wychodzić te kobiety, w ogóle nie stracił zimnej krwi. W najgorszym wypadku postanowiłby ograniczyć straty i opłacić Atkinsona, podobnie jak to zrobił z Kinley, ale nigdy nie posunąłby się do przemocy. Absolutnie nie. To niewyobrażalne. Poręczyłabym za to własnym życiem.

– No więc kto zadał sobie tyle trudu, by cię wrobić przy pomocy zdjęć twojego ojca z Christie Kinley, ale jednocześnie z jakiegoś powodu nie chciał, żeby historia Atkinsona przedostała się do opinii publicznej?

– To musi być ktoś, kto ciągle jest wściekły z powodu tego, co się wtedy zdarzyło w Bedford. To jak upiec trzy pieczenie przy jednym ogniu. Zarabiając pieniądze na sprzedaży pendrive’ów. Dopierdalają mi za zapewnienie alibi ojcu. I zapewne przy okazji załatwią i jego, kiedy policja rozpozna go na tych zdjęciach, o ile już tak się nie stało.

Jeśli tylko Hank uwierzyłby Alice odnośnie jej ojca, to, co mówiła, miało sens.

– Może ten ktoś chciał się odegrać na tobie i twoim ojcu, ale nie chciał wciągać w to Christie Kinley. Jeśli Atkinson opublikowałby swoją historię, Kinley stałaby się jednym z elementów całej sprawy. Ludzie zaczęliby mówić, że kłamała. Albo, że sama go uwiodła. A skoro nie żyje, to nie może nawet się bronić.

– Tylko co, jeśli żyje?

– Mówiłaś, że zmarła w zeszłym roku.

– Powiedziałaś tak, bo Arthur Cronin próbował jej szukać i znalazł jedynie świadectwo zgonu. Ale jeśli Travis Larson mógł biegać po Nowym Jorku pomiędzy pośrednikami i właścicielami galerii, mówiąc, że nazywa się Steven Henning, jednocześnie przedstawiając mi się jako Drew Campbell, to mógł też współpracować z kobietą, która uznała, że nie chce już być Julie Christie Kinley. Nie wiesz, jak można by sprawdzić czy ktoś nie sfingował jej śmierci?

– Musimy namierzyć kogoś, kto widział jej ciało.

Wyciągnął swoje BlackBerry i zaczął wpisywać dane przy użyciu obu kciuków.

– Dobra, mam tu nekrolog z „Lakeville Journal” z zeszłego marca. „Julie Kinley



zmarła w swoim domu rodzinnym w Falls Village”.

Alice rozpoznała nazwę miasteczka.

– Musiała w którymś momencie porzucić Westchester i przeprowadzić się do Connecticut.

*Walczyła z rakiem piersi, który został u niej zdiagnozowany zeszłego lata. Po śmierci jej matki, Glorii Barnes Kinley, jedynym pozostającym przy życiu członkiem jej rodziny jest siostra, Mia Louise Andrews. Prosi, by nie przysyłać jej kwiatów, lecz składać datki na Fundację Raka Piersi Susan G. Komen.*

– Jeśli zmarła w domu rodzinnym, tam też powinniśmy zacząć.

Spojrzał na zegarek.

– Kiedy dotrzemy do Connecticut, będzie już trochę za późno, by pukać do obcych ludzi z pytaniami o nieboszczkę. To będzie musiało poczekać do jutra.

Alice pojęła, że zrobili już wszystko, co dało się tego dnia zrobić. Mieli zacząć znowu jutro, w Falls Village. Nie pamiętała innego momentu w swoim życiu, kiedy absolutnie nie miała dokąd pójść.

– Dobra. Możesz do mnie zadzwonić na bat-telefon, gdy nadejdzie czas, by wyjechać z miasta.

– Nie możesz dziś wrócić do swojego mieszkania.

– Wiem.

– Więc gdzie planujesz się zatrzymać?

– Przestałam planować cokolwiek jakieś piętnaście godzin temu. Sofa, na której siedzisz, wydaje się równie dobrym miejscem, co każde inne.

Widziała, że ten pomysł mu się nie spodobał. Nie chciała usłyszeć propozycji spędzenia nocy w jego mieszkaniu. Chciała, by był dokładnie tym, na kogo wyglądał – mężczyzną, który uważa, że stróże prawa powinni stać po stronie prawdy, mężczyzną, który jej pomaga, bo tak trzeba.

– Może pojedziemy tam już dziś, żeby uniknąć korków. Znajdziemy na miejscu jakiś hotel, gdzie walniemy się spać. W osobnych pokojach, oczywiście.

To była idealna propozycja.

Byli w połowie drogi do Connecticut, na Hutchinson River Parkway, kiedy usłyszeli

ogłoszenie w radiu 1001 News. Wydano nakaz aresztowania Alice Humphrey, córki oskarżonego reżysera Franka Humphreya, pod zarzutem zamordowania swojego chłopaka i współnika. Szczegóły sprawy wciąż jeszcze nie zostały ujawnione, ale według anonimowego źródła jednym z przedstawionych prokuraturze dowodów były zdjęcia, na których widać Franka Humphreya z nieletnią dziewczyną. Nie było jasne, jak zdjęcia te łączyły się z zarzutem morderstwa pod adresem jego córki. Reporter obiecywał podać więcej szczegółów, kiedy tylko napłyną.

W ciszy dojechali do Falls Village. Kiedy Alice zasypiała na nierównym łóżku w przydrożnym motelu, miała poczucie, że jeszcze nigdy nie była równie samotna.

## *Rozdział 50*

Joann Stevenson czuła się, jakby ktoś zdzielił ją obuchem po głowie. W ciągu dni, które minęły od zaginięcia jej córki, nauczyła się znosić to, o czym mówiono. Wysłuchiwanie, jak ktoś mówi o Becce jako o zaginionej nastolatce – i nie wstrzymuje się od spekulowania na temat czarnych scenariuszy – nie było łatwe. Jeszcze trudniejsze były noce, kiedy prezenterzy trzydziestosekundowych fleszy w ogóle o Becce nie wspominali. Przypominało to Joann, że zaginięcie jej córki zmieniało się powoli we wczorajsze wieści, przyćmione nowym włamaniem lub podpaleniem.

Jednak zupełnie nie spodziewała się, że w trakcie przerwy na reklamę podczas emisji Glee – serialu, którym zainteresowała ją Becca – pojawi się obwieszczenie, iż wydano nakaz aresztowania w związku z morderstwem w Galerii Highline. Nie spodziewała się, że podejrzaną będzie kobieta, i do tego dawna aktorka dziecięca. Nie spodziewała się też sensacyjnej wiadomości, że w sprawę może być zamieszany jej ojciec oraz jego zdjęcia pornograficzne z nieletnią dziewczyną.

Wiedziała, że było już późno, ale i tak zadzwoniła do Jasona Morharta.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Joann?

– Zgadza się. Joann Stevenson, ta łajza od zaginionej córki, do której nikt nie miał dość przyzwoitości, by zadzwonić i powiedzieć, że wydano nakaz aresztowania. Musiałam się o tym dowiedzieć z telewizji.

– Mówią o tym w wiadomościach?

Joann usłyszała, jak ciszę w tle po drugiej stronie słuchawki wypełniły przytłumione dźwięki telewizora.

- Nie wiedziałeś o tym?
- Wiedziałem, że wkrótce mogą kogoś aresztować. Nadal nie wiedzą, co dokładnie łączyło Beccę z galerią, Joann. Miejmy nadzieję, że kiedy będą przesłuchiwać tę kobietę, położą nacisk na pytania o Beccę. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym.
- Wiedziałeś, że jest w to zamieszany ten reżyser?
- Jest ojcem podejrzanej. Szukają kobiety, która prowadziła tę galerię, gdzie znaleziono odciski Becci.
- Ale mówią też, że jej ojciec robił zdjęcia pornograficzne jakiejś nieletniej dziewczynie.
- To też było w telewizji?
- Ten szczegół najwyraźniej okazał się zbyt podniecający, by pozostać w tajemnicy.
- Więc wiedziałeś o tych zdjęciach? Myślałam, że Becca sama je sobie robiła, żeby posłać temu chłopakowi, Danowi Hunterowi.
- Galeria sprzedawała zdjęcia pornograficzne. To, które Becca posłała Danowi, w żadnym razie do nich nie należało. Przepraszam, ale nie wolno mi było tego wcześniej ci zdradzić.
- Chodzi mi o to, że człowiek pokroju Franka Humphreya musi mieć dostęp do wszelkich możliwych sieci dystrybucji filmów. Mógłby rozprowadzać to porno po całym świecie.
- Mogę cię zapewnić, Joann, detektywi z Nowego Jorku są absolutnie pewni, że na żadnym z tych zdjęć nie było Becci. Zapewniam cię też – przysięgam na swoje życie – że nie miałem pojęcia o udziale jej ojca w tym wszystkim.
- Nie mogę uwierzyć, że nikt nawet do mnie nie zadzwonił i nie powiedział o aresztowaniu. Dowiedziałam się o tym z telewizji, Jason – powiedziała Joann ostrym, jak sobie uświadomiła, tonem.
- Do mnie też nie zadzwonili. Powiedziałbym ci. Pojechałbym do ciebie do domu, żeby osobiście cię o tym powiadomić. Strasznie mi przykro, Joann.
- Czy jest już za późno?
- Wiesz, że możesz do mnie dzwonić o każdej porze. Dlatego chciałem, żebyś miała mój numer.
- Nie, pytałam, czy jest już za późno, żebyś do mnie przyjechał. Porozmawiał ze mną. Jason podejrzewał, że to błąd, ale mimo to założył płaszcz i wskoczył do kabiny swojego wozu.

Dom, w którym miała dokonać żywota Christie Kinley, był żółty, utrzymany w stylu kolonialnym, otoczony długą werandą i wyposażony w przeszklone, segmentowane drzwi. Alice oceniła wielkość posiadłości na jakieś półtora hektara. Zastanawiała się, czy zapłacono za to pieniędzmi jej ojca.

Drzwi otwarła kobieta w jej wieku. Nosiła włosy zebrane wysoko w kucyk. Na sobie miała dres, a w ręku trzymała kluczyki.

– Chodź, Jenny. Idziemy na siłownię. Nie będziesz sama w pokoju zabaw, mały Kyle będzie z tobą. Będzie fajnie. Przepraszam za to – powiedziała, obniżając głos do poziomu normalnej rozmowy. – Zaciągnięcie czterolatki do samochodu to robota na dwadzieścia minut.

Alice pozwoliła mówić Hankowi, bo to on miał odznakę. Wyjaśnił, że szukają informacji na temat poprzedniej właścicielki domu, Julie Kinley. Podejrzewali, że nadal używała drugiego imienia, Christie.

– Odeszła w zeszłym roku. Kupiliśmy dom tego lata i rozmawialiśmy jedynie z agentem od nieruchomości. Mam jednak adres, na który proszono mnie, by kierować jej pocztę. Do jej siostry, jak sądzę...

Sięgnęła do czarnej, metalowej skrzynki na listy, zawieszanej na przodzie werandy. Wyciągnęła jedną z leżących w środku kopert.

– Wygląda mi to na jakieś reklamy z jej siłowni, ale na wszelki wypadek przekazuję wszystko. Możecie to zabrać, jeśli chcecie.

Alice zdążyła zauważyć ręcznie wypisany adres w Brooklynie, zanim Hank schował kopertę do kieszeni.

– Zna pani może okoliczności, w jakich odeszła pani Kinley?

– Nie, wolałam nie słuchać, kiedy sąsiedzi o tym rozmawiali. Nie chcę myśleć, że w moim domu mieszkał ktoś, kto nie żyje. Może to i głupie, ale kiedy oglądaliśmy dom, wszystko już było zabrane. Lubię sobie myśleć, że jesteśmy pierwszymi lokatorami. Możecie pogadać z panią Withers, mieszka tu obok, chyba od zawsze. Jest jedną z tych osób, które wydają się wiedzieć wszystko o swoich sąsiadach.

Alice była w stanie stwierdzić, że ich rozmówczyni nie uważa tej cechy charakteru za coś pozytywnego.

Kiedy ruszyli ku domowi obok, nadal słyszeli okrzyki mamy Jenny, nawołujące córkę do pospieszenia się.

Pani Withers była dokładnie taka, jaka powinna być wścibska sąsiadka. Nieco zaokrąglona, z kręcącymi się, siwymi włosami, pachnąca chlebem, kuchnią. Posiadała umiejętność wyczarowania znikąd kubków z gorącym kakao, i to z dodatkiem ptasiego mleczka, w chwilę po tym, jak na jej progu pojawiła się dwójka niezapowiedzianych gości. Lubiła też mówić. Dużo. I szybko.

– Zawsze mi było żal Christie. Ten rak tylko dopełnił czary goryczy, potwierdził złe przeczucie, które mnie prześladowało, odkąd pierwszy raz ją spotkałam, kiedy jeszcze była nastolatką. Tak jakby niektórzy po prostu się rodzili ze złą karmą. Miałam zawsze nadzieję, że coś się dla niej zmieni na lepsze. Kiedy zmarła Gloria...

– Gloria była matką Christie?

Alice była wniebowzięta otwartością gospodyni, ale sama ledwie była w stanie wtrącić jedno słowo.

– Jeśli można ją nazwać matką. Ciągle flirtowała, ganiała jak nie za jednym mężczyzną, to za innym. Tak właśnie udało jej się spłodzić dwie córki, nie będąc nigdy z żadnym mężczyzną inaczej niż w łóżku. Jeśli w ogóle zawracała sobie głowę chodzeniem do łóżka. No wiecie, w latach sześćdziesiątych włóczyła się za muzykami.

Alice i Hank wymamrotali zwyczajowe „naprawdę?”, ale pani Withers nie miała zamiaru na nich czekać.

– Och, opowiadała o tamtych czasach, jakby była Neilem Armstrongiem i chodziła po księżycu. Raz była nawet z Mickiem Jaggerem, o ile można jej wierzyć. Kiedy się tu przeprowadziła, Christie miała czternaście lat i już trafiła na odwyk. Gloria jednak nie zamierzała się zmieniać. Jeździła do miasta, włóczyła się po knajpach dla starych aktorów i podrywała różnych przebrzmiałych amantów. Była jedną z tych dziewczyn, dla których jedyna wartość kobiety leży w tym, jakiego mężczyznę potrafi zdobyć. Chciała, żeby jej dziewczynki zdobyły sławę, ale nie nauczyła żadnej z nich ani jednej umiejętności. Ubzduriała sobie, że wystarczy im wygląd. Ale jakieś osiem czy dziewięć lat temu miała wylew. Christie wróciła do domu, żeby zająć się Mią.

– Mia to siostra Christie?

Alice przypomniawszy sobie z nekrologu wzmiankę o żyjącej siostrze.

– Tak jest, a Gloria namieszała jej w głowie co najmniej w równym stopniu, co Christie. Kiedy Christie wróciła, miałam nadzieję, że Mia zacznie normalne życie, bez matki, która ciągle ją pogania do zdobycia faceta. Wyglądało na to, że trochę jej się zaczyna klarować w głowie, ale wtedy wyszło z tym rakiem. Było już za późno, by pomóc biedaczce.

W końcu przerwała i pociągnęła łyk kakao, jakby właśnie odbyli rozmowę o

relatywnych zaletach danej marki proszku lub płynu do mycia naczyń.

Alice nie wiedziała, jak ją zapytać, czy miała absolutną pewność odnośnie śmierci Christie.

– Wyobrażam sobie, że nie jest lekko w ten sposób umierać – powiedziała w końcu.

– Och, to było okropne. Wicie, Gloria dostała wylewu podczas odśnieżania podwórka. Padła na ziemię i już jej nie było. Ale Christie... Wszyscy widzieliśmy, jak umiera. Strasznie schudła, bo nie mogła już nic jeść.

Alice spojrzała na Hanka, który również wydawał się rozczarowany. Tego rodzaju stopniowe umieranie, jakie opisywała pani Withers, raczej nie dałoby się zasymulować.

– Myślę, że Christie wiedziała, kiedy nadszedł jej czas. Zebrała w domu grupę znajomych, żeby otaczały ją przyjazne twarze. Poprosiła, żeby każdy coś przyniósł, a ona będzie patrzeć, jak jemy. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – A później, kiedy poczuła się zmęczona, poprosiła siostrę i najlepszą przyjaciółkę, żeby poszły z nią do sypialni i trzymały ją za ręce, kiedy będzie zasypiać. Nigdy się nie obudziła.

– Więc naprawdę była pani w jej domu, kiedy odeszła?

– Tak. Lubię sobie myśleć, że mnie zaprosiła, bo zawsze życzyłam jej lepszego życia.

– Wspomniała pani, że Christie wróciła do domu po to, by zająć się Mią. Coś było z nią nie w porządku?

Może wiedziała, kto nadal pragnie zemsty za przejścia Christie z czasów, gdy ta była nastolatką.

– Cóż, myślę, że to zależy, co ma pani na myśli, mówiąc „nie w porządku”. Podobno jest bardzo utalentowaną fotografką, ale, jak mawia moja wnuczka, jest z deczka walnięta. Jest w niej jakiś mrok. Bardzo negatywna energia. A dlaczego pani pyta?

– Wydawało mi się po prostu, że była trochę za duża, żeby ciągle mieszkać z matką.

Osiem czy dziewięć lat temu, kiedy zmarła Gloria, jej córki musiały mieć po trzydzieści lat.

– O, nie, Mia jest młodziutka. Potrzebowała Christie tylko przez parę lat, po czym przeprowadziła się do miasta, więc Christie miała cały dom dla siebie. Wicie, kiedy Gloria się tu wprowadziła, dopiero była w ciąży z Mią. Christie miała już namieszane w głowie, więc pewnie Gloria chciała drugiej szansy. Co z tego, jeśli zaraz później zaczęła znowu popełniać te same błędy. Zaczynając od imienia. Mia Farrow i Louise Fletcher. No wicie, nazywać własną córkę imieniem tej szalonej pielęgniarki z Lotu nad kukułczym gniazdem? Gloria by pasowała do tego filmu. Mia Louise Andrews. Ojciec nigdy się nie pojawił, ale uznałam, że nazywał się Andrews. A tu, lata później, po paru margaritach z okazji 4 lipca

Gloria przyznała mi się, że zwyczajnie wymyśliła nazwisko dla córki. Może wzięła to od Julii Andrews? Kto tam wie tę kobietę.

– Więc, przepraszam, ale to kiedy urodziła się Mia?

Historia rozwijała się przed oczami Alice szybciej, niż ta mogła nadążyć.

– Hm, pomyślmy... Kiedy Gloria się tu wprowadziła, ciąży nie było po niej jeszcze widać. To musiało być w 1985. Wczesne lato. Myślę, że początek czerwca. Miała rozmaite problemy z Christie. Wcześniej powiedziałam, że trafiła na odwyk, ale tak naprawdę była to szkoła z internatem. I znowu, kto wie, czym Gloria za to zapłaciła. Nie widziałam nigdy żadnej kobiety, pomijając prostytutkę, którą stać na wszystkie rachunki, choć pracę wykonuje jedynie w pozycji leżącej. Dobry Boże, naprawdę to powiedziałam?

Alice wiedziała doskonale, skąd Gloria miała pieniądze na opłacanie rachunków. Trzeba było skierować panią Withers z powrotem na właściwy tor.

– Więc Christie trafiła do szkoły z internatem?

– Tak jest, do szkoły dla dziewcząt. Pomyślałam, że pobyt z dala od matki dobrze jej zrobi, ale została tam tylko rok. Wiecie, nawet sobie z Glorią wtedy żartowałyśmy, że ludzie mogą sobie pomyśleć różne rzeczy o tym, że wysłała córkę do szkoły z internatem, a jednocześnie w tajemniczy sposób zachodzi w ciążę.

Alice spojrzała na Hanka, który odezwał się po raz pierwszy, odkąd pojawiło się przed nimi kakao.

– Mówi pani, że sąsiedzi mogliby nie uwierzyć w tę ciążę i pomyśleć, że dziecko tak naprawdę należało do Christie?

– Wiem, jestem okropna. Ale to były tylko żarty.

Alice instynktownie wyczuwała, jaki związek może mieć siostra Christie Kinley ze wszystkimi pytaniami, jakie prześladowały ją przez cały zeszły tydzień. Ale nie powstrzymało jej to przed zadaniem pytania sprawdzającego.

– Jeśli można spytać, pani Withers, jak wygląda Mia?

– Och, to śliczna dziewczyna. Tym ciężiej pojąć, czemu tak Ignie do różnych podejrzanych typów! Nigdy nie przyprowadziłaby do domu miłego mężczyzny, jak ten tutaj. Ale jak wygląda? Jest szczupła. Bardzo wysportowana. Umie się nosić. I ma naprawdę wspaniałe rude włosy. Delikatne rysy. Cerę niczym miód z truskawkami. Wiesz co, moja droga? Wiem, że to może zabrzmieć jak bełkot starej kobiety, ale powiedziałabym, że nie licząc tych twoich ciemnych włosów, Mia wygląda trochę jak ty.

*Rozdział 52*

Wrócili do swojego motelu opodal White Plains, by rozważyć następne posunięcie.

– Wiem, że to ty jesteś agentem FBI, ale czy nie mamy już dość dowodów, by pójść z nimi do Shannona i Danesa? Uciekłam z mieszkania, bo wiedziałam, że sytuacja mnie przerosła. Ale z tym, co wiemy teraz, jestem gotowa wrócić do miasta. Oddam się w ręce policji, jeśli tego będzie trzeba, by skłonić ich do sprawdzenia Mii.

– Możesz to zrobić, ale kiedy już znajdziesz się w ich rękach, nikomu nie będzie się spieszyło, by oczyścić cię z zarzutów. Zapewne dorzucą ci oskarżenie o morderstwo i znajdziesz się w areszcie bez możliwości wyjścia za kaucją. Policja przekaże cię prokuraturze rejonowej, więc dla nich sprawa będzie zamknięta. A prokuratorzy będą przesuwac datę procesu, póki sędzia nie zmusi ich, żeby zdecydowali w tę czy inną stronę. Lepiej byłoby zrobić tak, żeby policja wycofała oskarżenie już teraz.

– Jesteś agentem federalnym. Nie możesz im powiedzieć, co mają robić?

Potrząsnął głową.

– Gdybym tylko mógł. Agencje federalne i stanowe to dwa różne państwa. Powiem to tak: ostatnio, kiedy rozmawiałem z Johnem Shannonem, praktycznie nazwał mnie wypaleńcem i nieudacznikiem. Mogę do nich zadzwonić i podsunąć trop z Mią, ale uwierz mi – nie będą chcieli słuchać.

– Jak mogą zignorować coś takiego? Jeśli mamy rację, to Mia Andrews jest moją przyrodnią siostrą. – Alice skrzywiła się na tę myśl. – Chyba nie miała pojęcia, że Christie jest jej matką, póki ta nie umarła. Może znalazła dokumenty ugody albo coś innego, dzięki czemu dowiedziała się, że jej siostra jest w istocie jej biologiczną matką. Ma wszelkie powody, by nienawidzić ojca i mnie.

– Pani Withers mówiła, że Mia ma słabość do typów spod ciemnej gwiazdy. To określenie dobrze opisuje Trávisa Larsona.

– To ona musi być kobietą, która całuje się z Larsonem na tym zdjęciu. I do tego jest fotografką. To nie może być przypadek. Jeśli po śmierci jej matki uzyskała część pieniędzy z ugody, była w stanie sfinansować Galerię Highline. Tak jak mówiłam wcześniej: trzy pieczenie przy jednym ogniu. Zarabia pieniądze na sprzedaży tak zwanej sztuki. Wrabia mnie. I dostarcza policji zdjęcia z gabinetu mojego ojca bez konieczności identyfikowania widocznej na nich dziewczyny jako swojej matki.

Hank sprawdził Mię Andrews w systemie i musiał stwierdzić, że pani Withers nie przesadzała, mówiąc o kłopotach dziewczyny. Dwa aresztowania za posiadanie narkotyków. Zatrzymanie na podstawie podejrzenia o prostytutkę. Legitymowanie się sfałszowanymi dokumentami podczas drugiego aresztowania. Zdaniem Hanka był to dokładnie ten typ



kobiety, której droga mogła się skrzyżować z drogą Trávisa Larsona.

– To jedna wersja wydarzeń. Ale John Shannon i Willie Danes przez cały ostatni tydzień utwierdzali się nawzajem w przekonaniu, że to ty zabiłaś Larsona i byłaś mózgiem, który stał za sprzedażą pendrive'ów przez galerię. Dla nich istnienie Mii będzie jedynie kolejnym motywem, który skłonił cię do wystąpienia przeciwko ojcu, by dowieść swojej niezależności. Jestem pewny, że z ich punktu widzenia zamieszczenie na pendriveach zdjęć ojca było jakimś freudowskim aktem zemsty z twojej strony.

– Już sama sugestia, że rozprowadzałabym obsceniczne zdjęcia z moim ojcem...

– Przykro mi to mówić, Alice, ale widziałem ludzi, którzy robili o wiele gorsze rzeczy. Tak samo Shannon i Danes. Mówię tylko, że nowojorska policja nie musi wcale zmienić całej swojej teorii z powodu naszych znalezisk. Ale to nie znaczy, że sprawa jest beznadziejna. Musimy tylko sprawić, by poczuli się wystarczająco zaintrygowani, by chcieć dalej badać ten trop. By otworzyli umysły. Jeśli to ja do nich zadzwonię, nic z tego nie będzie.

Alice pomyślała o słowach, którymi ojciec przekonywał ją do przyjęcia pomocy ze strony Arthura Cronina. Cytował Malcolma Gladwella – coś o „inteligencji praktycznej”, „umiejętności prawidłowego odczytywania sytuacji”, „wyczucia, co powiedzieć i kiedy”.

– Wiem, że nie możemy dzwonić do moich znajomych, ale co z moim prawnikiem?

– Chodzi o twojego chłopaka, Jeffa? Gwarantuję, że śledzą jego SPL.

Nie czuła potrzeby opisywania komplikacji, które czyniły słowo „chłopak” kiepskim określeniem Jeffa.

– Nie. Kiedy ostatnio rozmawiałam z Danesem, powiedziałam mu, że moim prawnikiem jest Arthur Cronin.

– Nie mają dość jaj, by monitorować jego telefon.

– Więc do niego zadzwonię.

– Alice? Gdzie jesteś? Próbowałem kryć cię przed policją, ale co się, do diabła, dzieje?

Sądząc po pośpiechu, z jakim sekretarka połączyła Alice z Croninem, prawnik oczekiwał jej telefonu.

– Moja przyjaciółka, Lily, ostrzegła mnie, że przyszła po mnie policja. Nie mogłam po prostu pozwolić, żeby mnie zamknęli. Wiesz, że jestem niewinna.

– W ich oczach nie wyglądasz teraz na szczególnie niewinną. Musimy zacząć negocjować twoje oddanie się w ich ręce. Pewnie gównem tak naprawdę mają.

– A jak tam mama i tata?

Chciałaby mieć nie martwić się o ojca. To przez niego powstała cała ta sytuacja. Ale

nawet wiedząc, że był niewiernym kłamcą, musiała wierzyć, że kiedy przestał pić, pokonał tę część siebie, która tamtej nocy była z Christie Kinley.

– Jeśli chodzi o te stare fotografie, to jedna firma od PR organizuje już dla mnie kampanię, która ograniczy szkody. Frank bardziej jednak martwi się o ciebie.

Zauważyła, że nie zaprzeczył obecności ojca na fotografiach.

– Wiem już o Christie Kinley, Art. Wiem, że nie była żadną jego pracownicą. Pozew nie miał nic wspólnego z żadnymi plagiatami.

– Przepraszam, Alice. To ja powiedziałem twemu ojcu, że mogę uprzątnąć cały ten bajzel, nie wyciągając na światło dzienne tych nieprzyjemnych szczegółów.

– Czternastolatka oskarżyła mojego ojca o gwałt. To coś więcej niż nieprzyjemny szczegół.

– To nie był żaden gwałt. Była pijana. Twój ojciec nawet bardziej. Oczarowała ją jego sława. Wrobiła go.

– Nie chcę teraz tego słuchać.

– Powinniśmy byli być z tobą szczerzy. Twój ojciec chciałby to naprawić. Był święcie przekonany, że za tym wszystkim stał kościół, który zorganizował demonstrację pod galerią. Dał mi pełną dyspensę na omawianie tych spraw nie tylko z tobą, ale też z policją i kimkolwiek będzie trzeba, żeby wyciągnąć cię z tego bagna. Stwierdził, że nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.

– Wiedzieliście o tym, że Christie Kinley miała dziecko dziewięć miesięcy po tamtej nocy w Bedford?

– Co? Kto ci to powiedział?

– Wiedzieliście czy nie?

– Oczywiście, że nie! Ugoda tego nie obejmowała. Nikt nigdy nie wysunął takiego oskarżenia.

Alice wyjaśniła zbieżność czasową rzekomej ciąży Glorii z pobytem Christie w internacie.

– To by wyjaśniało, czemu widziano Tralisa Larsona z rudowłosą kobietą, która wygląda jak ja. Mógłbyś proszę zadzwonić do tych detektywów i przekonać ich, że powinni z nią porozmawiać? Nazywa się Mia Louise Andrews. Jeśli znajdą dowody na jej związek z Travisem Larsonem, powinno ich to przekonać, że zostałam wrobiona.

– Jedyne, co chcą ode mnie teraz usłyszeć, to czy wiem, gdzie jesteś, żeby mogli cię aresztować.

– Powiedz im, że oddam się w ich ręce, jeśli przepytają Mię.

– Nowojorski departament policji zwykle nie przyjmuje zbyt dobrze szantażu.  
– Biorąc pod uwagę twoje zdolności, Art, jestem pewna, że przedstawiś im to jako uczciwy kompromis.

– Sądzę, że gdyby cię aresztowali, nie badając tego wątku, ktoś mógłby ich za to obsmarować w mediach. Pobieżne taktyki śledcze. Rzucanie przedwczesnych oskarżeń byle kogoś szybko osądzić.

– Widzisz? Wiedziałaś, że coś wymyślisz.

– Dobra. Zadzwoń do tych ćwoków i zobaczę, co da się zrobić. Na jaki numer mam do ciebie oddzwonić?

Alice przekazała pytanie Hankowi, bezgłośnie poruszając wargami. Ten zgodził się, by podała numer swojej anonimowej komórki.

– Oddzwonię za dwadzieścia minut.

Spojrzała na zegarek. Jeszcze dwadzieścia minut, nim się dowie, czy pójdzie do więzienia, czy... Cóż, nie miała pojęcia, jaka była alternatywa.

Dwadzieścia minut minęło w ciszy. Gdy zegarek wskazał trzydzieści, zadzwoniła do Arta po raz pierwszy. Później dzwoniła do niego co pięć minut.

Kiedy tuż przed upływem godziny odezwał się jej telefon, odebrała natychmiast, nie przerywając zrytualizowanego marszu w tę i z powrotem po wąskiej ścieżce między hotelowym łóżkiem a wykonaną ze sztucznego mahoni szafką na telewizor. Głos Arta brzmiał chrapliwie, kiedy prawnik przeproszał za opóźnienie.

– O Jezu. Mam nadzieję, że nie musieliście tam na siebie wrzeszczeć.

– Słucham?

– Twój głos brzmi, jakbyś krzyczał.

– Nie, ale jest coś, co muszę ci powiedzieć.

– To nie brzmi dobrze. Policjanci nie chcieli słyszeć o Mii? Halo?

Alice spojrzała na wyświetlacz. Połączenie nie zostało przerwane.

– Słyszysz mnie, Art?

– Tak, jestem tu.

– Poważnie, zachowujesz się dziwnie. Jeśli masz złe wieści, to nie krępuj się, mów. Zniosę to.

Kiedy w końcu przemówił, brzmiał całkowicie rzeczowo.

– Dobra, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Musimy najpierw ustalić nasze stanowisko wobec policji. I musisz mi obiecać, że zrobisz dokładnie to, co uznamy za najlepsze wyjście,

niezależnie od wszystkiego. Możesz mi to obiecać?

– Oczywiście. Dlaczego miałabym...

– Więc układ brzmi następująco. Rozmawiałem z Danesem. Nie spodobało mu się to. Był bardzo sceptyczny. Ale namówiłem go, żeby zapukał do drzwi Mii Andrews i z nią pomówił, sprawdził, czy może ma coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Dzięki Bogu...

– Nie tak szybko. Było oczywiste, że tylko spełnia naszą zachciankę, co oznacza, że może uwierzyć w dowolną historię, którą tamta mu sprzeda. Zawsze istnieje możliwość, że to może cię jeszcze bardziej pogrążyć.

– Jestem gotowa podjąć to ryzyko.

– Do tego zgodził się z nią spotkać pod pewnym warunkiem. Przepyta ją tylko wtedy, kiedy oddasz się w ich ręce.

– Nie chcę tego robić, zanim się z nią nie spotkają. Co będzie, jeśli się zgodzę, a potem okaże się, że Mia uciekła do Meksyku pod fałszywym nazwiskiem i nigdy jej nie znajdą?

– To oznacza, że jesteśmy w impasie. Oto, co udało mi się wynegocjować. Zgodzisz się wyjść z ukrycia. Kiedy będziesz już ze mną w mieście, Danes i jego partner zawitają do Mii. Kiedy skończą z nią rozmawiać, zadzwoni do mnie, a ja dostarczę mu ciebie.

– A jeśli nie znajdą Mii?

– Nie poczyniłem żadnych obietnic na tę okoliczność. Mogę kazać to zbadać moim detektywom i za ich pomocą przygotować całą sprawę, która stanie się później naszą linią obrony. Przedstawimy ją w prokuraturze rejonowej, próbując wyprzedzić oskarżenie z ich strony. A w międzyczasie, im dłużej się będziesz ukrywać, tym mniejsza szansa, że będą chcieli nam pomóc. I jeśli mam być szczery, nacisk ze strony policji dużo prędzej wydobędzie odpowiedzi z Mii, niż mógłby to zrobić jakikolwiek prywatny detektyw.

– Więc w skrócie – powinnam się oddać w ich ręce, a jeśli przystanę na propozycję Danesa, przynajmniej zyskamy tyle, że policja ją przepyta?

– Tak to widzę.

– Dobra. Zróbmy to.

Przełknęła ślinę, zdając sobie sprawę, że najbliższą noc zapewne spędzi w więziennej celi.

– Jaki jest następny krok?

– Zdołasz dotrzeć do Williamsburga na szóstą?

To dawało jej prawie cztery godziny.

– Nie wiedziałem, jak daleko się ukryłaś, więc poprosiłem o nieco więcej czasu. Danes

chce cię widzieć przy domu Mii, żebyś mogła oddać się w ich ręce, jak tylko zakończą rozmowę.

– Tak od razu, co?

– Boją się, że zmienisz zdanie. Będę tam na ciebie czekał. To nawet dobrze, że będziemy w pobliżu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, dowiedzą się czegoś od Mii. Będziemy na miejscu, żeby to z nimi podsumować, pomóc rozwikłać wątpliwości. Patrę teraz na mapę. Parę domów od Mii jest skrzyżowanie. Rutledge i Lee. Spotkamy się tam parę minut przed szóstą. A teraz, czy jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Oczywiście, że tego nie chciała. Chciała odzyskać swoje życie. Chciała wszystkiego, tylko nie być w obecnej sytuacji.

– Tak. Jestem pewna.

– Dobra. Pamiętaj, jak obiecałaś mi nie zmieniać zdania, cokolwiek by się nie działo?

– Dlaczego ciągle mnie o to pytasz?

– Dzwonił twój ojciec. Błagał mnie o twój numer, bo chciał ci sam to powiedzieć, ale bałem się, że doprowadzi do ciebie policję.

– Teraz to mnie nastraszyłeś. Wszystko z nimi w porządku?

Siedzący na poprzecieranym fotelu w kącie pokoju Hank poruszył pytająco ustami.

– Z nimi tak, chodzi o Bena. Jego kolega z AN stracił z nim kontakt i zaniepokoił się na tyle, by odwiedzić jego mieszkanie. Znalazł go w łazience. Nie wiem, jak to inaczej ująć... Twój brat znowu brał narkotyki. Przedawkował.

– Gdzie jest teraz? Zawieźli go do szpitala? Down jest przy nim?

Chociaż Ben z początku uczęszczał dosyć regularnie na spotkania Anonimowych Narkomanów, nie potrafił bez skrupowania rozmawiać o swoim nałogu z nikim poza Downem.

– To było coś więcej niż zwykłe przedawkowanie. Ben nie żyje. Myślę, że stało się to wczoraj. Heroina. Przykro mi.

Przypomniała sobie otwarte mieszkanie Bena. Pustą antresolę. Uchylone drzwi do łazienki, której nie sprawdziła. Jej niezbyt chwalebny pośpiech, by zabrać jego pieniądze i telefon. Może gdyby chociaż pchnęła te drzwi... Wyobraziła sobie owinięte gumową rurką obnażone ramię brata ze strzykawką wciąż zwisającą z żyły.

– Alice, tak bardzo, bardzo mi przykro. Miałaś prawo, by dowiedzieć się od razu, ale pamiętaj, co obiecałaś. Musisz się skupić na chwili obecnej. Dla swoich rodziców, jeśli nie dla nikogo innego. Nie mogą stracić was obojga.

Usłyszała stłumiony spazm. Zrozumiała, że Art nie rozkleił się tylko dla jej dobra, grał

rolę nieporuszonego prawnika, który się wszystkim zajmie. Inteligencja praktyczna, tak to nazwał ojciec.

Poczuła, że telefon wyslizguje się z jej dłoni. Poczuła, że Hank łapie ją pod ramiona, kiedy nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

### *Rozdział 53*

Była już prawie czwarta po południu, a Jason nadal był wściekły na tych niedorobionych grubasów z nowojorskiej policji, którzy go wyruchali. Czuł też ból w szyi po niespokojnej nocy spędzonej na kanapie Joann. Nie był pewny, czy brak snu spowodowany był faktem, że od czasów studenckich nie spał na żadnej sofie, czy może świadomością, że nie powinien był się znaleźć na tej konkretnej.

A jakby tego było mało, musiała się jeszcze przyplątać Nancy i powiedzieć na głos, że wygląda tak, jak się czuł.

– Do jasnej anielki, Jason, jesteś za młody, żeby mieć takie wory pod oczami jak ja. Musisz o siebie bardziej dbać, kotku.

– To tylko alergia, Nancy. Nic takiego.

Kipiał ze złości od samego rana, ale teraz zdecydował, że czas postawić sprawę jasno pomiędzy sobą a nowojorskimi detektywami. Willie Danes odebrał po dwóch dzwonekach.

– Danes.

– Tu Jason Morhart z Dover. Matka mojej ofiary usłyszała wczoraj w wiadomościach, że wydaliście nakaz aresztowania.

– Gdybyśmy jeszcze tylko mogli znaleźć podsądną.

Jason zauważył, że detektyw użył słowa, którego zwykle używali jedynie prawnicy. Zawsze uważał, że ludzie mówili tak po to, by wydawać się inteligentniejsi.

– Powinieneś był mnie informować, Danes. Nasze departamenty zawarły umowę. Pełna wymiana danych. Nigdy też nie powiedziałeś mi, że na zdjęciach był ojciec tej kobiety. Przez to matka mojej ofiary znowu zaczęła się zamartwiać tymi zdjęciami. Zaginięcie jej córki naprawdę wystarczy. Nie powinna mieć jeszcze na głowie tego, czy nagie zdjęcia jej córki nie będą rozprowadzane po całym świecie.

– Dla mnie brzmi, jakbyś to ty się zamartwiał jej uczuciami. To śledztwo w sprawie kryminalnej, Morhart.

– I do tego ponoć wspólne. Zapomnij o rodzinie dziewczyny. Czemu ja dowiaduję się o przełomie dochodzenia z telewizji? Zapomnieliście już, dzięki komu wiecie, że George

Hardy jest ojcem Becci? Albo kto powiedział wam, żeby w ogóle szukać jej odcisków?

– Jakby dużo to nam dało. Mielibyśmy ładną, elegancką sprawę, a tu musimy jeszcze wyjaśniać, co, do diabła, robią w galerii odciski palców tej twojej dziewczyny.

– Jezu, Danes. Posłuchaj sam siebie. Przepraszam, że fakty nie pasują do twojej eleganckiej teorii.

– A niech to szlag. Jestem chamski, bo spieprzyliśmy. Daliśmy się ponieść pędowi wydarzeń, pracowaliśmy w pocie czoła nad nakazem aresztowania, zapomnieliśmy do ciebie zadzwonić. Przepraszam, chłopie. Ale szczerze mówiąc, na temat Becci mamy jedynie przypuszczenia. Najbardziej sensowne wydaje nam się takie, że Larson zaangażował ją do tych zdjęć, ale coś poszło źle i albo coś jej się stało, albo, jeśli mamy szczęście, przestraszyła się i uciekła. Kiedy zamkniemy Humphrey, może będziemy mieć lepsze rozeznanie w sytuacji.

– A jakieś pomysły, kiedy to będzie?

– Jak się uda, to dziś wieczór. Słuchaj, czy naprawdę chcesz brać w tym wszystkim udział, chociaż nie wiąże się to bezpośrednio z Beccą?

– Mieliliśmy umowę o współpracy.

– Słuchaj więc. Wypracowaliśmy tu taką podupconą umowę z prawnikiem Humphrey. Babka odda się w nasze ręce, ale musiałem obiecać, że najpierw sprawdzimy jakąś dziewczynę, która, jej zdaniem, jest jej właśnie odkrytą tajemniczą siostrą bliźniaczką, czy coś.

– Jej czym?

– Wiem, to idiotyzm, ale właśnie w ten sposób ta babka od początku bawi się z nami w kotka i myszkę. Jest to jednak sprawa do odfajkowania, a Danes pewnie będzie zajęty w prokuraturze. Próbujemy ustalić, czy mamy coś na jej ojca, żeby za pomocą tego wyrzucić na niej presję. Myślisz, że zdążysz do Williamsburga na szóstą? Żeby obczaić tego tajemniczego świadka? To strata czasu, ale jeśli nie chcesz siedzieć na uboczu, możemy dziś zagrać Murtaugha i Riggsa.

– Tylko jeśli to ty będziesz Melem Gibsonem i nie będziesz wpadać w szal.

– Stoi.

– Gdzie jest ten Williamsburg?

– Na Brooklynie, człowieku. Ta nazwa ci coś mówi? Jedna z pięciu dzielnic Nowego Jorku.

## **Cześć Czwarta**

## Mia

### *Rozdział 54*

Konspiratorski telefon Alice zadzwonił o 17.58. Rozpoznała głos swego przyszywanego wujka, a teraz również prawnika.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Przed sklepem z owocami na rogu Rutledge i Lee.

– Trzymasz się jakoś?

– Nie bardzo, ale tu jestem.

W pokoju hotelowym spędziła jeszcze dwie godziny. Nie mogła przestać płakać. Za każdym razem, kiedy już myślała, że to koniec – kiedy łzy płynęły coraz wolniej, a oddech powracał do normy – nachodziła ją kolejna fala.

To Hank w końcu zaciągnął ją do samochodu. Na trasie na Brooklyn powiedział więcej słów niż od początku ich znajomości. Stracił siostrę. Nazywała się Ellen. Opowiadał o jej śmierci i jak związało go to z Travisem Larsonem. O telefonie z posterunku policji, kiedy dowiedział się o jej wypadku. Jak musiał odłożyć słuchawkę, jeszcze zanim policjant poinformował go o miejscu odnalezienia ciała. Zrobił to, bo musiał pobiec do łazienki.

A później powiedział, że nigdy nie poradził sobie z poczuciem winy. Że odpowiedzialność za czyjeś cierpienie to ból, którego nie da się uśmierzyć. Czujesz się odpowiedzialna za Bena, ale twoi rodzice czują się odpowiedzialni za ciebie. Nie rób im tego, Alice. Nie poddawaj się. Nie pozwól, żeby każdej nocy kładli się z myślą, że siedzisz w więzieniu i że jest to ich wina.

Tak więc, jak obiecała Artowi, zebrała się do kupy. Na ten jeden wieczór. Na chwilę. Żaloba po bracie musiała zaczekać. Hank wyrzucił ją na skrzyżowaniu, gdzie umówiła się z Artem. Nie było potrzeby obwieszczania nowojorskiej policji, że pomagał jej agent FBI. Obiecał, że będzie krążył w okolicy i czekał na telefon.

Art również ewidentnie się już pozbierał.

– Ugrzązłem w korkach przy wyjeździe z Manhattanu. Przejeżdżam teraz przez Most Williamsburski. Nie chcę, żeby przeze mnie wszystko się spieprzyło, więc zadzwonię do Danesa i powiem mu, że już tam jesteś i czekasz. Zaraz tam będę. Jeśli będziemy mieć szczęście, to Mia się wygada albo przynajmniej będzie się zachowywać wystarczająco podejrzanie, żeby Shannonowi i Danesowi zaczęło coś nie pasować.

Choć obecne status quo było bardzo nieprzyjemne, Alice poczuła się źle na myśl, że



dzisiaj coś się zmieni. Albo policja ujrzy ją w nowym świetle, albo śledztwo oficjalnie się zakończy i będzie trzeba stanąć przed sądem.

– Jak się trzymają moi rodzice?

– To był, ech, dobra, powiem to wprost, kurewsko ciężki dzień. Ale zaraz zdobędziemy dla Humphreyów jakieś w miarę dobre wieści, okej? Będę tam za parę minut.

Wyprostowała się i poddała zimnu, tak jak w dzieciństwie uczył ją Ben.

Jason czuł narastającą frustrację. Płatanina jednokierunkowych ulic prowadziła go wszędzie, tylko nie do adresu, pod którym był umówiony z Danesem dwie minuty temu, o 17.55.

W końcu poddał się i zaparkował przy hydrancie na rogu ulicy, przy której stał dom Mii Andrews. Jeśli dostanie za to mandat, pośle go do zapłacenia miastu. Ledwie zdążył stanąć jedną nogą na asfalcie, a usłyszał wołający go z przeciwnej strony ulicy głos.

– Dover nie stać na służbową furę dla ciebie? – zapytał Willie Danes, wysiadając z białej Crown Victorii.

– Lubię mój wóz.

– Jak tam sobie chcesz. Zajmijmy się robotą.

– Więc powtórz, kim jest ta pani?

– Pamiętasz te stare zdjęcia porno, zrobione w domu Franka Humphreya? Te, które cię tak wkurzyły?

Tak naprawdę to nie same zdjęcia wywołały gniew Jasona, lecz milczenie nowojorczyków odnośnie ich znaczenia. Ale jak tam sobie chce. Kiwnął głową.

– Alice Humphrey twierdzi, że dziewczyna ze zdjęć przyszła wtedy na imprezę urodzinową syna Humphreya. Kobieta, która tu mieszka, to młodsza siostra tej dziewczyny.

Jason próbował przetworzyć w głowie wzajemne powiązania pomiędzy graczami.

– Ale Alice chce nas przekonać, że tak nie jest. Twierdzi, że to córka tamtej dziewczyny, co czyniłoby ją również córką Franka Humphreya, co z kolei czyniłoby Alice jej przyrodnią siostrą. I ponoć to całe pojebaństwo jest wystarczającym powodem, by babka chciała zrobić Alice i jej ojca.

– Więc jaki plan?

– Trzeba to odfajkować. Zawarłem umowę z prawnikiem Alice: sprawdzamy tę dziewczynę, wtedy ona oddaje się w nasze ręce. Proste. Moim zdaniem istnieje jedna dziesiąta procent szans, że ta dziewczyna ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie dla śledztwa, a jeśli rzeczywiście ma, to na dziewięćdziesiąt procent dostarczy nam dodatkowych poszlak przeciwko Alice.

– To sporo matematyki, Danes.

– Dobra, to było trochę durnowate. Chodzi mi o to, by podejść do tego na luzie.

Z komórki przypiętej do paska Danesa dobiegła melodyjka.

– Danes... A ona? Jest w pobliżu? Nie wydymasz mnie, Cronin?... Dobra. Zadzwonię, jak skończymy.

Wsunął telefon z powrotem do futerału.

– Dobra, wszystko gotowe. Prawnik Alice twierdzi, że jego klientka czeka w pobliżu i jest gotowa dać się aresztować. Zobaczmy, co ta Mia ma do powiedzenia.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Szybciej niż cokolwiek, na co przygotował Morharta trening w Departamencie Policji Miasta Dover, na studiach czy na boisku do siatkówki. Miał wrażenie, że ogląda grę komputerową, a nie przeżywa swoje własne życie, które umyślnie uczynił prostym.

Przeszli przez wejście do typowej kamienicy z czerwonej cegły. Wspięli się dwa piętra do mieszkania 3B. Jason musiał zwołać, żeby poczekać na Danesa. Nowojorczyk zapukał do drzwi. Cztery stuknięcia, żadnej odpowiedzi.

W retrospekcji Morhart zdał sobie sprawę, że stanęli po bokach drzwi – nie dlatego, że spodziewali się zagrożenia, ale instynktownie, tak, jak każdy człowiek uczy się w końcu, by nie stawać w pobliżu górnego stopnia schodów. Byli policjantami, którzy składali niezapowiedzianą wizytę obcemu człowiekowi. Ich mózgi nawet nie przetworzyły tego prostego faktu, ale kierowane instynktem ciała wiedziały, żeby nie stawać bezpośrednio przed drzwiami.

Gdyby tego nie zrobili, oba departamenty policji zapewne musiałyby odprawić po jednym pogrzebie.

Cztery stuknięcia, żadnej odpowiedzi. Później jeszcze jedno, znów ze strony Danesa.

– Pani Andrews. Z mieszkania poniżej donoszą, że im cieknie. Musimy sprawdzić pani zlew. Jest pani tam?

Jason pamiętał później, że Danes obrócił głowę w jego stronę i mrugnął przez szerokość drzwi, jakby historyjka o cieknącej wodzie była wyjątkowo sprytnym kamuflażem. Kiedy później odtwarzał tamte sekundy w swojej głowie, prawie widział, jak powieka Danesa powoli wraca na swoje miejsce, po czym znów się gwałtownie zamyka, gdy pada pierwszy strzał.

Upadli na ziemię tak szybko, że Jason uderzył głową o ramię Danesa.

Powierzchnię drzwi przebiły jeszcze dwa strzały. Pif-paf. Jason nigdy nie słyszał

odgłosu wystrzałów, nie licząc strzelnicy i polowań. Dźwięk wibrował w ścianach i podłodze. Policjant zauważył, że przyciska dłonie do uszu, jakby to hałas był największym zagrożeniem.

To Danes pierwszy odpowiedział ogniem. Jason skulił się, gdy usłyszał kolejne wystrzały, tym razem bliższe i głośniejsze. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dochodzą one z Glocka Danesa. Sięgnął do kabury po swoją Berettę 0,40 cala i zaczął strzelać przez drzwi. Nie miał pojęcia, w co celowali, ale obaj wypróżnili magazynki, czołgając się rakiem ku schodom na dół.

Kiedy skończyła się amunicja, Jason słyszał jedynie na klatce schodowej własne dyszenie, mieszające się z dyszeniem Danesa. Danes zaczął wykrzykiwać do komórki kody radiowe, które Jason w Dover używał jedynie w teorii. Czuł, że obaj śmierdzą potem i strachem. Po chwili na klatce zapadła cisza, nie licząc płaczu dziecka gdzieś piętro wyżej.

Dwa pierwsze odgłosy mogły być strzałami z gaźnika. Alice podskoczyła, po czym zmusiła się do wzięcia głębokiego oddechu. Najwyraźniej znowu ponosiła ją wyobraźnia.

Ale po nich nadszedł chaotyczny ciąg trzasków, niczym eksplodujących petard. Usłyszała dochodzący z ulicy kobiecy krzyk. Przechodzący przez skrzyżowanie nastolatek zanurkował między stragany, wciągając za sobą krzyczącą kobietę.

Ale kiedy wszyscy wokół rzucili się w poszukiwaniu kryjówek, Alice zdała sobie sprawę, że biegnie ulicą. Przejeżdżali z Hankiem przed budynkiem Mii, więc wiedziała, gdzie mieszka. Była absolutnie pewna, że to stamtąd dobiegły odgłosy wystrzałów. Jej stopy poruszały się szybciej, niż była w stanie myśleć.

Usłyszała z boku pisk hamulców. Z zielonej Camry wyskoczył Hank Beckmann.

– Alice, nie!

Ale jej stopy nie zatrzymywały się. To ona posłała policjantów do tego mieszkania. Wchodząc w to, wiedziała, że Art użył jej jako przynęty. Oczywiście, że nie podeszli do całej sprawy poważnie. Oczywiście, że nie podjęli środków ostrożności. Powinna była to przewidzieć.

Hank chwycił ją za ramię i przyciągnął do swego samochodu.

– Alice, stop! Stój!

Usłyszała dźwięk wydobywający się z jej gardła. Pierwotny krzyk, w którym nigdy nie rozpoznałaby własnego głosu. Jeden, przeciągły wrzask, w którym wyraziła cały ból tej chwili – krzywdę, która zagrażała policjantom, możliwość utraty jedynej szansy na rozmowę z osobą, która mogła oczyścić ją z zarzutów – oraz chwili przeszłej – śmierć brata, widok

zakrwawionego ciała Tralisa Larsona. Wszystko to zbudziło się naraz i zaczęło wibrować w całym jej ciele, uchodząc w przestrzeń razem z tym strasznym krzykiem. Poczwała, jak dygocze, przyciśnięta do piersi Hanka Beckmana.

– Alice? Alice, to ty?

Beckman obejmował ją ciasno i klepał po głowie. Ale ktoś nowy zaczął krzyżeć jej imię. Wyjrzała znad ramienia Hanka i dostrzegła, jak przez ulicę przechodzi Arthur, trzymając w ręku kluczyki.

– Prawie cię nie poznałem przez tę fryzurę. Zobaczyłem miejsce do parkowania dwie przecznice dalej i uznałem, że lepiej je zajmę, póki jest wolne. Co się tu dzieje?

## *Rozdział 55*

Alice stukała palcami w kierownicę wozu Hanka Beckmana, próbując nie myśleć o minutach, które minęły, odkąd kazał jej zatrzymać wóz przy chodniku i udał się w stronę mieszkania Mii. Arthur zaczął zadawać kolejne pytanie z fotela pasażera, ale uciszyła go. Chciała skupić się na ciszy na zewnątrz samochodu, który rozbrzmiewał postukiwaniem i warkotem silnika na jałowym biegu.

Cisza to dobry znak, powtarzała sobie. Cisza oznacza brak wystrzałów. Cisza oznacza, że Hankowi nic nie jest.

Nad ciszę, która zaległa nad domami po zakończeniu strzelaniny, wybił się ryk syren. Dźwięk ten był z początku cichy, później stał się głośniejszy i nagle się urwał. Przybyła pomoc. Cokolwiek zdarzyło się w mieszkaniu Mii, były już tam posiłki. Były też karetki, jeśli ktoś byłby ranny. Minęło kolejne pół godziny, nim zadzwonił jej telefon. Rzuciła się, by go odebrać. Prawie wypadł jej z rąk.

– Hank?

– Wszyscy cali i zdrowi.

– Naprawdę? Danes? Shannon?

– Danes przyszedł z oficerem policji z New Jersey, który z nimi współpracował. Obaj mają się świetnie. Ani jednego zadrapania.

– Ale strzały...

– Mia kropnęła do nich parę razy, kiedy przyszli. Odpowiedzieli ogniem. Kiedy przybyło wsparcie, weszli do środka i znaleźli podejrzaną na podłodze. Zmarła, jak się wydaje, od pojedynczego postrzału w twarz.

Zauważyła, że przeszedł na jałowy sposób mówienia, którego nauczył się jako agent

FBI.

– Nie jest jasne, czy kulę wystrzeliła policja, czy też sama podejrzana, kiedy stwierdziła, że nie ma drogi ucieczki. Dobre wieści są takie, że miała przy sobie trzydziestkę ósemkę.

Nie zrozumiała, czemu to ważne.

– Z tego samego rodzaju broni zastrzelono Tralisa Larsona. Przeprowadzą testy balistyczne. To początek końca, Alice. To dobra wiadomość.

– Widziałeś ją?

– Mię? Tak, przez sekundę, zanim Danes mnie pogonił.

– Jak wyglądała?

– Nie chcesz tego wiedzieć. Słuchaj. Za wcześnie na ostateczne wnioski, ale wykonuję tę pracę od dawna. Instykt mówi mi, że mieliśmy rację. To wszystko musi jeszcze się rozegrać do końca, ale mieliśmy rację. Wszystko będzie dobrze.

Poczuła, że zaczyna płakać. Kiwnęła uspokajająco głową do Arthura, który siedział obok.

– To co mam teraz robić? Nadal chcą mnie aresztować? Jestem gotowa. Nie będę się opierać.

– Nie, ale chyba powinnaś tu przyjść. Danes znalazł coś, co chce ci pokazać.

– Co takiego?

– Nie wiem, ale uważa, że powinnaś to zobaczyć.

Przeszli z Arthurem szerokość kilku kamienic i ulicę, które dzieliły ich od mieszkania Mii. Hank czekał na nich i gestem przywołał ich, aby weszli na teren, który właśnie oznaczany był przez mundurowych żółtą taśmą. Zatrzymali się przy wejściu do budynku. Hank zniknął w środku, po czym pojawił się znów z Willie Danesem. Policjant uściskał jej dłoń po raz pierwszy od chwili, gdy znalazła ciało Tralisa Larsona w galerii.

– Kiedy się uspokoiło, przeszukaliśmy szybko mieszkanie, żeby się upewnić, że nikogo tam nie ma. Wpadło mi w oko to. Stało na jej komodzie.

Danes wręczył jej oprawioną fotografię w formacie dwanaście na dwadzieścia.

Kobieta pośrodku była blada i wychudzona, włosy na jej głowie wyglądały jak zmatowiała słoma. Otaczało ją pięć kobiet, które starały się wyglądać wesoło. Dwie z nich nie miały dla Alice szczególnego znaczenia, ale trzy pozostałe – tak. Jedną z nich była miła pani Withers. Wyglądała dokładnie tak samo, jak dziś rano, kiedy wrzucała ptasie mleczko do gorącej czekolady w ich kubkach. Drugą z nich była dosyć atrakcyjna młoda kobieta, zapewne ledwo po dwudziestce. Miała długie, rude włosy z pomarańczowymi i złotymi

przebłyskami oraz cerę, której kolor pani Withers opisała jako „truskawki w miodzie”. Wyglądała jak młodsza wersja Alice. Trzecia kobieta miała krótkie, niezbyt gęste blond włosy oraz zielone oczy, które wwiercały się w każdego, kto oglądał zdjęcie. Jej długie, patykowate ręce obejmowały niezdrowo wyglądającą kobietę pośrodku oraz rudą, która bez wątpienia była Mią Andrews.

Spoglądając wstecz, ta trzecia kobieta pojawiała się na każdym kroku w przeciągu ostatniego miesiąca. To ona nazwała najpierw ofertę Drew Campbella zbyt piękną, by była prawdziwa, ale zachęciła Alice do spotkania z nim, kiedy zadzwonił. To ona przestrzegła Alice przed zbyt głębokim grzebaniem w historii Galerii Highline. To ona odwiodła Alice od zadzwonienia do Roberta Atkinsona, kiedy jeszcze żył i mógł przedstawić swoją opowieść. To ona powiedziała policji, że Alice posiada parę rękawiczek w krokodyli wzór, wyłożonych futerkiem, które może pochodziło od prawdziwych norek, a może nie. To ona skłoniła Alice do ucieczki przed policją.

Ostatnią kobietą, tą, która stała najbliżej świętującej po raz ostatni w życiu Christie Kinley, była Lily Harper.

## *Rozdział 56*

Siedzieli z Arthurem w jego Lexusie już od dwóch godzin, od czasu do czasu włączając silnik dla rozgrzania samochodu. Przez cały ten czas Hank biegał do mieszkania Mii i z powrotem, za każdym razem zapewniając, że Danes „obiecał”, iż wkrótce będzie gotowy. Ale owa gotowość nie oznaczała już oczekiwania, że Alice da się aresztować pod zarzutem zamordowania swojego domniemanego współnika oraz kochanka, Tralisa Larsona. Teraz Alice, jeszcze niedawno zbieg, dawała im największe szanse zrozumienia, dlaczego Mia Andrews otworzyła ogień do dwóch policjantów, którzy zapukali do jej drzwi.

Po dwóch godzinach oczekiwania opodał rosnącego roju radiowozów ostatecznie kazano im udać się na trzynasty posterunek. Protokół związany ze strzelaniną z udziałem policjantów wymagał, by Danes i detektyw z New Jersey zostali tutaj, ale na Alice i jej prawnika miał czekać John Shannon.

Hank z uśmiechem dostarczył wiadomość, że nie będzie potrzebna przejażdżka radiowozem. Alice mogła przyjechać na posterunek w samochodzie swojego prawnika. Hank pojechałby za nimi. Jeśli by tego chciała. Mógł zostać kimś w rodzaju jej tłumacza. Ale tylko, jeśli chciała.

Prawie trzy godziny zajęło im – Hankowi, Alice i Arthurowi – wyłożenie wszystkiego,

czego dowiedziała się o Christie Kinley, Mii Andrews i Robercie Atkinsonie. Opowiadali o tamtej nocy w Bedford, o ugodzie i klauzuli poufności, narodzinach Mii, kiedy Christie była ponoć w internacie, próbach znalezienia starego raportu policyjnego przez Atkinsona. I w końcu o Lily Harper, którą Alice poznała na siłowni pół roku wcześniej.

Było już po północy. Shannon przedstawił jej możliwość pójścia do domu, by mogła złapać kilka godzin snu i wrócić rano, ale Alice zbyt długo już żyła w niepewności. Jeśli nowojorska policja z początku nie chciała jej wierzyć, to teraz urządziła wyścigi w oczyszczaniu Alice Humphrey z zarzutów. Bała się, że jeśli zaśnie, obudzi się w innym świecie. Chciała też zająć myśli czymś innym niż śmiercią Bena.

Tak więc teraz siedzieli stłoczeni przy biurku Shannona – ona, jej prawnik i jej nowy przyjaciel, Hank – i patrzyli, jak dwaj mundurowi eskortują Lily Harper do pokoju przesłuchań. Nim zniknęła za jego drzwiami, w Alice wpatrywały się oczy, którym kiedyś ufała. Teraz jednak nie mogła wyczytać z nich żadnych emocji.

Shannon poinstruował ją, by zajęła swoje miejsce po drugiej stronie lustra weneckiego. Alice była gotowa, by wysłuchać, co też jej dobra przyjaciółka miała do powiedzenia.

Niektórych faktów nie da się po prostu zanegować. Tak, przyznała Lily, znały się z Christie Kinley. Dorastały razem w Mount Kisco. Wychowywana przez owdowiałego ojca Lily spędzała więcej nocy w domu Kinleyów niż w swoim własnym. Lily pozostała najbliższą przyjaciółką, praktycznie siostrą Christie aż do jej śmierci. Tak, znała też, a nawet pomogła wychować młodszą siostrę Christie i patrzyła, jak Mia wyrasta na niepozbanioną problemów, ale jednak kochaną, młodą kobietę. To, że Lily potwierdziła te wszystkie fakty, nie miało dla Alice żadnego znaczenia. W końcu Shannon pokazał jej fotografię, którą znalazł w mieszkaniu Mii.

Ale kiedy zaczęły się pytania o związki Mii z dziwną sprawą Galerii Highline, Lily zaczęła udawać, że nic nie wie.

– Bardzo mi przykro, panie detektywie, ale może mógłby pan nieco zwolnić i okazać mi trochę współczucia. Pańscy podwładni wywlekli mnie z domu bez żadnego wyjaśnienia, a teraz dowiaduję się jeszcze, że gliniarze zabili dziewczynę, która była praktycznie moją młodszą siostrzyczką.

Może to Lily powinna była rozpocząć karierę aktorską.

– Tak dla precyzji, to pani honorowa młodszą siostrą zaczęła strzelać pierwsza, a wstępny raport z miejsca zdarzenia mówi, że zastrzeliła się sama, kiedy dotarło do niej, że nie da rady uciec. Teraz szukamy jej związków z Travisem Larsonem, człowiekiem, który

zatrudnił Alice w galerii jako Drew Campbell. Znajdziemy te powiązania, Lily. Nie ma co do tego wątpliwości. Jej odciski palców w jego mieszkaniu albo jego u niej. Bilingi telefoniczne. E-maile. Nie ma innej możliwości. A kiedy już będziemy mieć te dowody, to przygwoździmy cię za tę historyjkę, że niby nie miałaś pojęcia, że praca marzeń Alice miała coś wspólnego z Mią i jej chłopakiem spod ciemnej gwiazdy. Tego właśnie chcesz? Na twoim miejscu zacząłbym szukać ratunku.

– Nigdy nie poznałam Drew Campbella! Wiedziałam, że Mia się z kimś spotyka, ale żeby to był facet, który zatrudnił Alice? Zdecydowanie nie miałam o tym pojęcia.

– Czy ten chłopak Mii nazywał się Travis Larson?

Ktoś, kto nie znał Lily, uznałby, że odpowiedziała bez zastanowienia. Ale Alice ją znała. A przynajmniej tak się jej wydawało. I dostrzegła krótką pauzę.

– Tak, spotkałam go. Raz. W Williamsburgu. Byliśmy na kolacji.

Kolacja oznaczała potencjalnych świadków. Niektórych faktów nie da się po prostu zanegować.

– Ale skąd miałam wiedzieć, że to ten sam gość, który najął Alice? Jesteście pewni, że Mia była w to zamieszana? Nie mieści mi się to wszystko w głowie.

– Znasz inny powód, dla którego mogła otworzyć ogień do funkcjonariuszy policji?

– Nie wiedziałam nawet, że ma broń.

– Cóż, ewidentnie miała i zapewne okaże się, że to z niej zastrzeliła swojego chłopaka. Zaprzeczasz, jakobyś wiedziała o szwindlu z galerią, więc cofnijmy się w czasie. Co wiedziałaś o ugodzie między Christie Kinley a Frankiem Humphreym?

– Nic.

– Była jedną z twoich najbliższych przyjaciółek, a nie powiedziała ci, że Frank Humphrey ją zgwałcił?

Lily znowu zaczęła się zastanawiać. Alice niemal widziała, jak układa w głowie klocki.

– Wiedziałam, że przydarzyło jej się coś złego. Nie było mnie na tej imprezie, może gdybym była, to by do tego nie doszło. Następnego dnia powiedziała mi, że film jej się urwał. Ale wiedziała – no wie pan, bolało ją tam – wiedziała, że coś mogło się zdarzyć. Coś związanego z seksem. A wtedy otworzyła torebkę, znalazła tam aparat i przypomniała sobie, że jakiś gość robił jej zdjęcia. Chwyliła aparat i wybiegła.

– Więc wiedziałaś o tych zdjęciach od samego początku.

– Ale nigdy ich nie widziałam. Wiem, że planowała uzyskać dostęp do szkolnej ciemni i je wywołać, żeby mieć dowody. Ale kiedy zapytałam ją o to tydzień później, zaczęła mówić,



że nie chce łączyć po sądach i tym podobne. Nigdy nie powiedziała mi, kim był ten facet. Zawsze sądziłam, że to któryś z dzieciaków. Parę miesięcy później usłyszałam od niej, że jej mama wysyła ją na rok do szkoły z internatem, bo strasznie się wkurzyła o to pijaństwo.

– Więc usiłujesz mi powiedzieć, że nie wiedziałaś o tym, że Mia była córką Christie i Franka Humphreya?

Znowu zaczęła się zastanawiać. Kalkulować.

– Mam dla ciebie radę, Lily. Jeśli wydaje ci się, że istnieje najmniejsza chociaż szansa, że to, co dziś powiesz, wyciągnie cię z tego bagna, to się grubo mylisz. Dzisiejsze przesłuchanie to dopiero początek. Jakąkolwiek wersję wydarzeń dzisiaj przedstawiś, ja poruszę niebo i ziemię w poszukiwaniu dowodów, które ją poprą lub pokażą, że kłamiesz. Przed twoim domem stoi mój podwładny. Zabezpiecza teren do momentu, aż dostaniemy nakaz. Przeszukamy twój komputer. Przeczytamy każdy e-mail, który kiedykolwiek wymieniałaś z Mią. Przejrzemy historię twojej wyszukiwarki i sprawdzimy, czy w wolnych chwilach nie wpisywałaś w Google Franka Humphreya. Albo czy nie interesowałaś się Alice przed spontanicznym zaprzyjaźnieniem się z nią na siłowni. Więc na twoim miejscu dobierałbym swoje następne słowa bardzo uważnie.

Westchnęła dramatycznie, jakby dla zaznaczenia, że tym razem to już na pewno będzie mówić prawdę.

– Nie miałam pojęcia o tym, że Frank Humphrey był w to zamieszany, nie wiedziałam nawet o ciąży Christie. Dowiedziałam się o tym wszystkim dopiero po jej śmierci. Pomagałam Mii posprzątać dom przed sprzedażą i tak znalazłyśmy te papiery.

– Jakie papiery?

– Wszystkie. Gloria – czyli mama Christie i Mii, a raczej chyba tylko Christie – więc Gloria musiała zachować sobie kopie, tak na wszelki wypadek. Zdjęcia z tamtej nocy. Kopia skargi, którą Christie złożyła na policji nazajutrz po imprezie. Ugoda. Świadectwo urodzenia Mii. Formalna adopcja ze strony Glorii. Byłyśmy w kompletnym szoku.

– I zaledwie parę miesięcy później przypadkowo spotykasz córkę Franka Humphreya i zostajesz jedną z jej najbliższych przyjaciółek? Dla mnie to wygląda, jakbyście z Mią spędziły ten czas na planowaniu zemsty.

– To nie tak. Owszem, byłyśmy złe, dorosły mężczyzna, który, kurwa, zgwałcił czternastolatkę i uszło mu to na sucho.

– Ale to ona i jej mama zgodziły się na tę ugodę.

– Matkę Christie ciężko było nazwać idealną, a Christie wiedziała, jak bardzo potrzebowała tych pieniędzy. Prawnik Franka Humphreya na pewno zagroził, że upubliczni

fotografie i będzie mówił, że Christie sama tego chciała. Więc tak, wzięły pieniądze, ale to nie rozgrzesza Franka Humphreya.

Alice z niechęcią musiała przyznać, że się z tym zgadza. Tak bardzo jej matka chciała wierzyć, że istnieje jakieś wyjaśnienie tego, co zrobiła jej Lily.

– Obie z Mią uważnie śledziłyśmy te seksualne skandale Humphreya. To było tak, jakby karma ugryzła go w tyłek. Pewnej nocy, kiedy surfowałam po sieci, szukając nowych wiadomości o nim, natrafiłam na wzmiankę o jego córce, która zapewniła mu alibi.

Chociaż rozmowa w pokoju obok była transmitowana przez głośniki, Alice zauważyła, że pochyla się bliżej szyby, jakby ta bliskość mogła jej pomóc zrozumieć.

– Znalazłam jej stronę na Facebooku. Dziwnie było wiedzieć, że ta kobieta, której droga skrzyżowała się tak dawno temu z drogą Christie, mieszka zaledwie parę przecznic ode mnie. Napisała na profilu, do której siłowni chodzi, więc, tak, byłam ciekawa. Chciałam się dowiedzieć, czy rodzina Franka Humphreya wie, jakim jest człowiekiem. Ale później, wie pan co? Alice okazała się zwyczajną osobą. I nigdy nie stosowała bynajmniej taryfy ulgowej wobec ojca. Polubiłam ją. Zaprzyjaźniłyśmy się.

„Ciekawe, czy Lily wie, że ją słyszę” – zastanawiała się Alice.

– Wspomniałaś, że widziałaś ugodę.

– Tak.

– Więc musiałaś też wiedzieć, że umowa była pomiędzy Christie a firmą o nazwie ITH.

– Tak.

Alice podejrzewała, że ekipy poszukiwawcze wkrótce znajdą w mieszkaniu Mii te dokumenty i że będą na nich odciski palców Lily.

Dostrzegła błysk w oku Lily, kiedy ta zrozumiała swój błąd. Siedziała obok Alice, kiedy ta przekazywała detektywowi Shannonowi kopię potwierdzenia wypłaty ze strony ITH. Później było o tym mówione jeszcze kilka razy. Nie mogła tego przegapić.

– Poszłam do Mii następnego dnia i zażądałam wyjaśnień.

Alice poczuła, że chce krzyknąć. Ta kobieta manipulowała nią od początku, a teraz próbowała to samo robić z Shannonem.

– Powiedziała mi, co zrobiła. Travis miał plan, jak sprzedawać porno bez pośrednictwa Internetu. Nie rozumiałam, jaki byłby w tym zysk...

– Ponieważ to było dziecięce porno, pani Harper. To właśnie rozprowadzała pani siostrzyczka do spółki ze swoim chłopakiem.

Lily przełknęła ślinę.

– Nie miałam o tym pojęcia, to oczywiste. Mia mówiła, to były filmiki dla dorosłych czy coś. Travis miał swój plan, a ode mnie dowiedział się, że Alice obraca się w świecie sztuki i szuka pracy. Mia dostrzegła okazję, by zrobić z niej kozła ofiarnego. Pieniądze ze sprzedaży szły za granicę. Mieli prowadzić interes przez jakiś czas, a później rozplątać się w powietrzu i zostawić ją na lodzie.

– Powiedziała, że zabiła Tralisa Larsona?

Kiwnęła głową.

– Wystraszyli go demonstranci pod galerią. Alice domagała się rozmowy z właścicielem galerii. Prasa usiłowała znaleźć rzekomego artystę. To była tylko kwestia czasu, nim ktoś znalazłby to, co naprawdę było na tych pendriveach. Travis chciał pogadać z Alice i ją uspokoić, ale Mia usłyszała, jak umówili się na spotkanie rano w galerii. Poszła tam i zażądała wyjaśnień. Planował ją wystawić. Chciał zrzucić wszystko na nią i przypisać się do Alice w nadziei, że dobiegnie się do pieniędzy jej rodziny.

Alice poczuła na sobie oczy Hanka. Plan, który opisała Lily, był bardzo w stylu Tralisa Larsona.

– Powiedziałas mi, że nie wiedziałas, że Mia ma broń.

– Miałam na myśli, że nie wiedziałam z początku. Powiedziała mi o tym po fakcie.

– I wtedy zdecydowałaś się pomóc jej we wrobieńiu Alice.

– Nie, to nieprawda. Próbowałam wymyślić, jak jej pomóc, nie zdradzając Mii.

– Nakablowałaś na Alice, kiedy spytałismy o te rękawiczki, znalezione niedaleko miejsca zbrodni. A później kazałaś jej uciekać, co praktycznie gwarantowało skazanie.

– Uznałam, że jej ojciec zatrudni paru prawników i ją z tego wyciągnie. Nie chciałam, by stało jej się coś złego. Może to zabrzmie dziwnie, ale zależy mi na niej. Jest moją przyjaciółką. Ale Mia... Mia miała problemy ze sobą. Poważne problemy, dobra? Ale była dla mnie praktycznie częścią rodziny. Nie wiedziałam, co mam robić. Musicie mi uwierzyć.

Łzy, które pociekły po jej policzkach, wyglądały na prawdziwe, ale Alice miała do przyjaciółki jeszcze jedno pytanie, którego nie zadał Shannon.

– Mogę porozmawiać z detektywem Shannonem? – zapytała.

Arthur Cronin nie był prawnikiem, który zawahałby się przed zapukaniem w szyćbę pokoju przesłuchań. Shannon wyglądał na poirytowanego, ale ruszył do drzwi.

– Przepraszam, panie detektywie, ale ona kłamie.

– Wiem. Przyznaje tylko to, czego nie da się ukryć i podważa wszystko inne.

– Chce, żebyście uwierzyli, że Mia zrobiła to wszystko sama, a ona pomogła jej dopiero po fakcie. Mia Andrews założyła moje rękawiczki, żeby zostały na nich ślady prochu,

i porzuciła je w pobliżu miejsca zbrodni. Ale jakim sposobem Mia je zdobyła?

Kiedy Shannon wrócił do pokoju przesłuchań i zadał dokładnie to samo pytanie, Lily przestała płakać i zażądała prawnika.

## *Rozdział 57*

*Dwa tygodnie później.*

– Muszę powiedzieć, że ta wasza wizyta jest o wiele przyjemniejsza od poprzednich.

Alice nalala kawy detektywom Johnowi Shannonowi i Williemu Danesowi, jakby byli jej starymi znajomymi, a nie ludźmi, którzy niedawno próbowali wsadzić ją za kratki na resztę życia.

– Znów ma pani rude włosy. – Zaobserwował Danes, wskazując niezgrabnie na jej głowę.

– Tak, na razie z butelki. Miałam rude odrosty. Wyglądałam jak Pepé le Pew na kwasie.

– Chcemy jeszcze raz panią przeprosić, zarówno oficjalnie, w imieniu nowojorskiego departamentu policji, jak i w naszym własnym. Z perspektywy czasu dostrzegamy, że próbowała nam pani pomagać. Byliśmy zbyt zapatrzeni w to, co uznawaliśmy wtedy za prawdę, by pani wysłuchać.

Opowiedzieli jej już słowami laika o ostatecznych wynikach śledztwa. Sąsiedzi Mii Andrews widzieli Tralisa Larsona w jej mieszkaniu już osiem miesięcy temu. Fotografia, na której całowała się z Larsonem – umieszczona później na facebookowym profilu Drew Campbell, żeby znalazła ją tam policja – wyglądała na autentyczną, ale na cyfrówce Mii znaleziono sześćdziesiąt innych, podobnie upozowanych zdjęć. Analiza aktywności na jej komputerze udowodniła, że prace Hansa Schulera w istocie były jej własnym dziełem. To ona również przyłączyła się do zamkniętego forum, zajmującego się „wyszukaną erotyką”. Tam też reklamowała ekspozycję w Galerii Highline i obiecywała „bonusowe tajne fotografie nie do namierzenia” tym, którzy postąpią zgodnie z zamieszczonymi wskazówkami. Trzydziestka ósemka, z której strzeliła sobie w głowę, była tą samą bronią, z której zabito Tralisa Larsona. W jej mieszkaniu znaleziono również laptop i teczkę Roberta Atkinsona.

– Czy będziecie kiedykolwiek pewni, że zabiła też mojego brata?

Danes zmarszczył brwi.

– Przykro mi, Alice. Nic, co było w jej mieszkaniu, nie łączy się z Benem. Odkryliśmy

jednak niedawne połączenia telefoniczne pomiędzy Benem a prawdopodobnym dilerem. Rozmowa z tym człowiekiem wskazała, że Ben znów zaczął zażywać. Czasami zdarza się tak, że jeśli ktoś przestaje brać – jak twój brat – to jego tolerancja spada. Jeśli znowu zacznie i zażyje tę samą ilość, co zwykle, dawka, która kiedyś była w sam raz, może okazać się zbyt wielka.

– Rozumiem.

– Oczywiście jest możliwe, że zmieszała jego narkotyki z czymś o większej czystości. A może przyszła tam po fakcie i przeczesła mieszkanie, tak jak podejrzewała pani, że ktoś to zrobił.

A może jej brat był zwykłym narkomanem, który doprowadził do ruiny swój loft za kilka milionów dolarów, zakupiony przez rodziców, po czym wbił sobie igłę ten jeden ostatni raz.

– W porządku, panie detektywie. Rozumiem.

Arthur uprzedził ją, czego się może spodziewać. Ta wizyta była częścią strategii ograniczania strat departamentu policji. Miejscy prokuratorzy zapewne przekonali ich, żeby urobić sobie Alice, zanim ta wystosuje pozew.

Jeśli jednak chodziło o nią, była tylko jedna rzecz, której od nich chciała.

– Dlaczego Lily Harper nie została aresztowana?

Danes spojrział na Shannona. Ten zdecydował się przejąć pałeczkę.

– Oświadczenie, które złożyła, nim zasłoniła się prawnikiem, okazało się prawdziwe. Jeśli naprawdę nie wiedziała o zamieszkaniu Mii w sprawę galerii przed morderstwem, nie można jej oskarżyć o współudział.

– Przez nią uwierzyliście, że jestem morderczynią.

– Ale prawo niestety nie wymaga od ludzi, by zdradzali nam prawdę. Nawet jeśli wiedziała, że Mia jest winna, nie miała obowiązku jej wydawać. Jedyne oświadczenie, które złożyła, dotyczyło identyfikacji pani rękawiczek. Potwierdziła, że należą do pani, a tak naprawdę było. Zostawienie pani na lodzie czyni z niej chujową osobę, ale nie współniczkę w zbrodni.

Arthur usiłował już wytłumaczyć jej ten aspekt prawa.

– Ale jak inaczej Mia mogła zdobyć moje rękawiczki? Musiała je dostać od Lily, a to dowodzi, że Lily od początku wiedziała, co Mia knuje.

Detektywi ponownie wymienili spojrzenia.

– Możecie, proszę, przestać spoglądać po sobie i zacząć ze mną rozmawiać jak z normalną osobą? Nie będę was pozywać, ale chcę, żebyście byli ze mną szczerzy. Zasłużyłam

na to. Zasluzylam co najmniej na absolutna szczerosc.

– Ma pani racje – powiedzial Shannon. – Przepraszam. Adwokat Lily znalazl wyjasnienie na te rekawiczki. Pamietaj pani to podejrzenie, ze Larson znalazl pania na tej wystawie, bo obwiecila pani na Facebooku, ze tam sie udaje?

Kiwnela glowa.

– Coz, nastepnego wieczora napisala pani cos o zabojczej pizzy w jakimś Otto?

Przypomniała sobie.

– Malzowa. To byla pizza malzowa.

– Zostawila pani wtedy plaszcz w szatni? – zapytal. Alice kiwnela glowa. – Prawnik Lily zauwazył, ze Mia mogla tam przyjsc w swoim identycznym plaszczu i wykręcic jakis numer z rekawiczkami w szatni.

– Albo, co bardziej prawdopodobne, Lily wiedziala, ze zawsze zostawiam go w szatni, bo w lokalu robi sie straszny tłum, a pozniej miala dwa tygodnie na wymyslenie historyjki.

– Chciala pani szczerosci, Alice, wiec mowie wprost. Bez sciemy. Sluszna uwaga z tymi rekawiczkami, ale nigdy nie bedziemy miec pewnosc. A zaden prokurator nie oskarzy Lily na podstawie naszej spekulacji na temat rekawiczek.

– Wiec Lily odchodzi wolno?

– Naciskamy prokuratora rejonowego, zeby oskarzyl ja o utrudnianie sledztwa. Nasza linia bedzie nastepujaca: majac pelna swiadomosc twojej niewinnosci, w momencie rozpoznania rekawiczek stala sie zasadniczo zobligowana do powiedzenia calaj prawdy. Doradzala ci tez ucieczke, co moze da sie pod cos podciagnac.

– Nie wyczuwam zbytniego optymizmu.

– Wszystko zalezy od prokuratora. Jednak jesli nawet przekonamy go do wniesienia pozwu, Lily zapewne uniknie wiazienia. A na procesie na pewno wyciagnie lzawa historie o swojej zmarlej przyjaciolce, jej sekretnej corce i tym wszystkim.

– Sa jednak i dobre wiadomosci – powiedzial Danes, probujac zmienic temat. – Pewnie slyszala pani, ze pani ojcu nic nie grozi.

Chociaz nakaz aresztowania Alice zostal pospiesznie wycofany, jego uzasadnienie przecieklo do mediow. Pewien rzutki reporter z „National Enquirer” odgrzebal stary artykul Roberta Atkinsona. Internetowi zajelo jedynie trzy dni, by obwołac oskarowego rezysera Franka Humphreya pedofilem i gwalcicielem.

Kiedy prokurator rejonowy zaazadal od niego poddania sie testowi DNA, Arthur chcial walczye. Wszelkie niezgloszone przestepstwa z 1985 roku dawno juz ulegly przedawnieniu. Mowil, ze wymiar sprawiedliwosci jedynie spelniat zyczenia brukowcow. Ale po raz

pierwszy od bardzo dawna ojciec Alice postanowił zrobić to, co należało. Podjął decyzję bacząc tylko na jedną korzyść – ujawnienie prawdy.

– Więc czy ktoś w ogóle wie, kto był ojcem Mii?

Ciekawą właściwością prawdy jest to, że zawsze potrafi zaskoczyć. Chociaż ojciec Alice pogodził się już ze świadomością, że w 1985 spłodził dziecko z nieletnią dziewczyną, okazało się, że jego DNA nie zgadza się jednak z DNA Mii Andrews. Co prawda Christie Kinley wierzyła, że jej ciąża była owocem tamtej nocy w gabinecie ojca Alice, ale była w błędzie.

Danes pokręcił głową.

– Z tego, co słyszeliśmy, mógł nim być dowolny mieszkaniec hrabstwa Westchester.

– A jak pan się trzyma? – zapytała. Przeszła przez piekło, ale to do Danesa strzelano.

– Wróciłem do roboty, jak pani widzi. Oczyszczono nas z wszelkiej odpowiedzialności, mnie i tego gościa z New Jersey. To nie powinno było tak się odbyć. Gdybym wziął pani słowa bardziej na poważnie, moglibyśmy mieć ją żywą.

– Cóż, wygląda na to, że sama wybrała zakończenie. To nie wasze kule ją zabiły.

Testy balistyczne potwierdziły, że strzał, który zabił Mię, pochodził z jej własnego rewolweru.

– Na to by wychodziło. Cała ironia w tym, że mogła zwyczajnie uciec wyjściem pożarowym, kiedy zapukaliśmy. Pewnie sądziła, że jest z nami kawaleria.

– Największą tajemnicą są te odciski Becci Stevenson w łazience galerii – powiedział Shannon. – Nie znaleźliśmy ani jednego dowodu na jakiegokolwiek jej związek z Mią, ale trzy dni temu nowojorski departament policji oficjalnie zadeklarował, że nie zajmujemy się już tą sprawą. Śledztwo wróciło do New Jersey. Tak czy siak, ma pani jeszcze jakieś pytania do nas?

Jednocześnie odstawili kubki po kawie na stół. Alice widziała, że woleliby jak najszybciej zostawić tę sprawę za sobą.

– Na razie nie, ale na pewno do panów zadzwonię, jeśli będę czegoś potrzebować. Doceniam też, że tu przyszliście.

Kierując się do drzwi, jeszcze raz przeprosili za najście.

Pomyślałaby, że po wyjściu detektywów będą ją dręczyć wieści o oczyszczeniu Lily z zarzutów. Zamiast tego w jej głowie dźwięczał tylko głos Danesa: „Pani ojcu nic nie grozi”.

Kiedy Arthur zadzwonił z wiadomościami, Alice była z rodzicami w ich mieszkaniu. Matka wydała z siebie głośne westchnienie, jakby fakt, że jej mąż nie zrobił dziecka

dziewczynie, którą zgwałcił, był powodem do świętowania. Przynajmniej on miał w sobie dość wstydu, by być ponurym.

Tego samego dnia, kiedy zgodził się na testy DNA, złożył Alice niezapowiedzianą wizytę, by wyznać wszystko, co pamiętał z osiemnastego kwietnia 1985 – czyli bardzo niewiele. Mama położyła się wcześniej spać, zdenerwowana ilością alkoholu, którą wlał w siebie przy kolacji. Alice wciąła się, by wytknąć ironię tego faktu, biorąc pod uwagę, jak potoczyły się ich życia przez następne ćwierćwiecze, ale ojciec nie chciał, by mu przerywano.

Wiedział, że Ben i jego znajomi piją na tyłach domu, ale było to tydzień po szesnastych urodzinach Bena, a cała sprawa wyglądała na niegroźne wygłupy licealistów. Arthur stwierdził, że ma dość zaraz po kolacji i poszedł do siebie. Alice zaczęła błagać ojca, by obejrzeć przedpremierową kopię Goonies, którą zdobył od Warner Brothers, więc oboje przenieśli się do pokoju kinowego. Wszystko to pasowało do własnych wspomnień Alice z tamtego wieczora.

Kiedy ojciec powoli przedstawiał swoją wersję wydarzeń, zrozumiała, że jakoś zdołał sam siebie przekonać, iż jego córeczka zapomniała czasy, kiedy pił.

– Byłem zły na twoją matkę, chociaż miała słuszość w tym, że za dużo wypilem. Ale wiedząc, że ma rację i że zamknęła się w naszym pokoju z mojego powodu, miałem ochotę wypić jeszcze więcej. Do dziś nie wiem, o czym są te cholerne Goonies, tak byłem wtedy narąbany. Straciłem przytomność. Nie żeby to był pierwszy raz w życiu. Ale wtedy naprawdę urwał mi się film. Obudziłem się rano w pokoju kinowym na podłodze, za cholerę nie mogąc sobie niczego przypomnieć. Kiedy natknąłem się na Arthura, powiedział coś w stylu, że „ona była za młoda nawet jak na ciebie”, a ja nie wiedziałem, o czym on w ogóle mówi. Powiedział mi, że wyszedł z domku dla gości na papierosa i zobaczył, jak rozmawiam z jakąś dziewczyną, jak sądził, jedną z koleżanek Bena. Jego wcześniejsza uwaga była oczywiście tylko żartem. Jak już sama wiesz – a nie jest mi łatwo z tobą o tym rozmawiać – ale, jak wiesz, nie zawsze byłem wierny twojej matce, mówiąc bardzo oględnie. I Arthur o tym wiedział. Ale tylko sobie żartował. Nigdy nie pomyślałbym nawet o flirtowaniu z dziewczyną w tym wieku.

Chciała na niego krzyczeć. Ale to zrobiłeś, tato. I kiedy dziewczyna ma tylko czternaście lat, nie nazywa się to „flirtowanie”. Ale nie powiedziała niczego i pozwoliła mi kontynuować monolog.

– A później, w niedzielę, przyszli policjanci i powiedzieli, że jakaś dziewczyna z imprezy oskarżyła mnie o gwałt. Powiedziała, że robiłem jej przy tym zdjęcia. Poszedłem do gabinetu, mój aparat zniknął. Powiedziała, że zabrała go, uciekając. Nie wiedziałem, co



powiedzieć. Wiedziałem, że jeśli powiem im o tym, jak to się upiłem i niczego nie pamiętam, to mnie zabiorą. Wtedy znalazłem ciebie w twoim pokoju. Zabrałem cię do gabinetu, żebyś z nimi porozmawiała, wiedząc, że opowiesz im, jak oglądaliśmy razem film. Wiedziałem, że takie alibi wystarczy, by mnie nie aresztowali od razu. Z miejsca zadzwoniłem do Arthura i dogadaliśmy się z tą dziewczyną i jej matką.

– Nazywała się Christie, tato. Christie Kinley, chociaż jej prawdziwe imię brzmiało Julie.

– Alice, wiem, że gniewałaś się na mnie już od jakiegoś czasu. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek wybaczysz mi to wszystko, przez co musiałaś przechodzić z powodu moich błędów. Ale próbuję to wyprostować. Dlatego poddam się testom DNA. Nie chcę już niczego tuszować. Możesz tego nie wiedzieć, ale po tym, jak byli u nas ci policjanci, nigdy już nie wzięłem alkoholu do ust. Ani kropli. Ponieważ myśl, że byłem do czegoś takiego zdolny... że nigdy nawet się nie dowiem, jak nisko upadłem tamtej nocy... Znienawidziłem siebie za to. Nigdy nie chciałem znowu stać się tym mężczyzną, którym byłem tamtej nocy. Nigdy więcej. Ale teraz widzę, że przez wszystkie lata myślałem, że coś mi się należy. Ponieważ rzuciłem picie... ponieważ zostawiłem tamtą noc za sobą... czułem, że coś mi się należy w zamian i ulegałem innym swoim słabościom. Ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że moje zachowanie było nie tylko zdradą wobec twojej matki i naszej przysięgi małżeńskiej – słów, które już dawno uznaliśmy bardziej za pobożne życzenia niż cokolwiek innego – ale również zdradą wobec ciebie, Bena oraz mnie samego jako mężczyzny. I to właśnie przyszedłem ci powiedzieć. Że cię przepraszam. Że narażenie mojej maleńkiej na niebezpieczeństwo to najgorsza zbrodnia, jaką mogłem popełnić. I choć robię się już stary, zamierzam to zmienić. Na lepsze. Żebyś pozwoliła, bym stał się na powrót twoim ojcem. Mam już tylko ciebie. Chcę znowu być twoim ojcem.

Alice płakała. On również. Bena już nie było. Ona żyła. Obiecała, że spróbuje wybaczyć.

Aby móc spełnić tę obietnicę, unikała informacji w mediach. Nie chciała widzieć zdjęć ojca podpisanych słowami „gwałciciel” i „pedofil” ani zdjęć matki: „Jak dużo wiedziała?” ani brata: „Czy przedawkował przez sekrety tatusia?”.

Ale siedząc teraz w sypialni i przeglądając swoje ulubione „Entertainment Weekly”, niespodziewanie natrafiła na boczną kolumnę poświęconą tej sprawie. Sprawdziła datę na okładce. Zeszły tydzień, przed wynikami testów DNA.

*GWAŁT, DZIECKO MIŁOŚCI CZY JEDNO I DRUGIE?*

*Uważa się, że znany reżyser Frank Humphrey, wielokrotny zdobywca Oscara, został w 1985 roku oskarżony o gwałt przez czternastoletnią dziewczynę, znajomą rodziny. Sprawa nie dostała się wówczas do publicznej wiadomości, gdyż obie strony poszły na ugodę. Nasze źródła donoszą, że Mia Andrews (na zdjęciu poniżej), która zastrzeliła się podczas próby zatrzymania przez policję w zeszłym tygodniu, mogła być dzieckiem z owego fatalnego związku. Syn Humphreya, Ben (41), przedawkował heroinę na dzień przed śmiercią Andrews.*

Alice zauważyła, że wpatruje się w fotografię Mii. Dziewczyna nie była jej wiernym sobowtórem, ale podobieństwo było na tyle uderzające, by Alice uwierzyła, iż ziarniste zdjęcie Mii całującej się z Travisem Larsonem zostało sprokurowane z użyciem jej własnej fotografii.

Otworzyła laptopa i zaczęła szukać w sieci, aż znalazła stronę, która opublikowała zdjęcie Christie Kinley. Alice wcześniej tego nie zauważyła, ale Christie przypominała młodszą wersję jej matki, podobnie jak wszystkie te kobiety, które ujawniły się w zeszłym roku, by zyskać status kochanek słynnego reżysera. Czy to wystarczało, by wyjaśnić podobieństwo pomiędzy Alice a Mią?

Alice znowu przyjrzała się fotografii Mii. Nie, dziewczyna wyglądała co prawda jak córka swojej matki, ale jeszcze bardziej przypominała Alice. I był tylko jeden sposób, w jaki mogło to być możliwe.

Zaczęła grzebać w torebce, aż znalazła wizytówkę, która trafiła tam w dniu, gdy Alice znalazła ciało Tralisa Larsona. Liczyła na to, że nigdy nie będzie musiała wybierać tego numeru. Detektyw Shannon podniósł słuchawkę.

– Cześć, Alice. Nie sądziłem, że tak szybko pani za nami zatęskni.

– To nie to. Obawiam się, że może być jeszcze jeden niedokończony wątek w tej sprawie.

## *Rozdział 58*

Jason Morhart z trudem wcisnął swój wóz na przeznaczone zapewne dla aut hybrydowych miejsce parkingowe na chodniku przed galerią handlową Bloomingdales.

Minęły trzy dni, odkąd nowojorski departament policji ogłosił, że zakończył śledztwo. Zawiazali na aktach sprawy piękną kokardkę i złożyli je w archiwum, nie wyjaśniając w żaden sposób zaginięcia Becci Stevenson.

Niektóre śledztwa wymagały, by zatrzymać się i spojrzeć na wszystko z innej

perspektywy. By zacząć od początku, nie zakładając niczego z góry i jeszcze raz przemyśleć wszystkie fakty w nowym świetle. Może gdyby Willie Danes i John Shannon zrobili tak, kiedy dowiedzieli się o Mii, kobieta nadal by żyła, a Jason nie budziłby się w środku nocy zlany zimnym potem, zastanawiając się, czy mógł jakoś zapobiec strzelaninie w Williamsburgu.

Ale teraz nadszedł czas, by samemu przemyśleć od początku zaginięcie Becci Stevenson. Zdał sobie sprawę, że przestał łamać sobie głowę nad możliwymi wyjaśnieniami, gdy tylko dowiedział się o odciskach dziewczyny w Galerii Highline. Od tamtej chwili żywił przekonanie, że zaginięcie nierozzerwalnie powiązane jest ze sprawą tamtego morderstwa. Pozwolił sobie spocząć na laurach, czekając, aż nowojorczyacy aresztują swoją podejrzaną, która z kolei doprowadzi go do Becci.

Ale nowojorska policja miała już wszystkie swoje odpowiedzi, a mu pozostały same pytania.

Gdzie była Becca? W jaki sposób jej odciski znalazły się w Galerii Highline? I jeszcze jedno pytanie, do którego ciągle wracał, na które musiał znać odpowiedź. Jak to możliwe, że Wielebny George Hardy „przypadkowo” zorganizował swój protest pod tą właśnie galerią?

Znalazł Hardyego i jego popleczników pod sklepem Little Angels. Najwyraźniej nie ruszyli się stamtąd od ich ostatniej rozmowy.

– Znowu tutaj?

– Wywołaliśmy tu w SoHo ostrą reakcję. Ludzie nie rozumieją, że krzyczenie na nas – wyzywanie nas od propagatorów nienawiści i religijnych oszołomów – tylko czyni nas silniejszymi. I zwiększa naszą sławę, co sprowadza do nas więcej owieczek. To miejsce było dla nas dobre, o tak.

– Nie wiem, czy śledził pan tę sprawę z Galerią Highline.

– Zgraja zatwardziałych grzeszników. Wiedziałem to od początku.

– Proszę posłuchać, Wielebny. Podejrzewam, że kocha pan Beccę.

– Pewnie, że tak. To moja córka. Moja krew.

– Myślę też, że się pan o nią martwi. Wierzę również, że przestrzega pan prawa wyższego niż ludzkie. Wierzę w końcu – nie, jestem przekonany – że pańska decyzja o pikietowaniu pod Galerią Highline jest jakoś powiązana z faktem, że znaleziono tam odciski palców pańskiej córki.

– Wierzy pan zatem w wiele rzeczy.

– Kiedy składam je wszystkie do kupy, Wielebny, oto do jakiej konkluzji dochodzę: wciąż posiada pan pewne informacje, których nie przekazał pan jeszcze policji. Zatajając je,

musiał żywić pan silne przekonanie, że w ten sposób chroni pan Beccę. Ale to było wtedy, a teraz o pana córce nadal nie ma żadnych wieści. Zgaduję, że zaczyna pan się zastanawiać, czy naprawdę jej pan pomógł.

Wielebny milczał.

– Nowojorska policja zamyka dochodzenie. To oznacza, że już tylko ja i mój wioskowy komisariat poszukujemy jeszcze Becci. A moim najlepszym śladem ciągle jest ten cholerny odcisk palca, co znowu przywodzi mnie do faktu, że urządził pan protest pod galerią, w której go znaleziono. Jeśli ma pan do przekazania jeszcze jakieś informacje, Wielebny, to jest właściwy czas, by się nimi podzielić.

Oczy Hardyego przesunęły się z Morharta na zebranych demonstrantów i z powrotem.

– Trochę dziś wieje. Może zna pan jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy napić się herbaty.

Szli przez ulice SoHo niczym Mutt i Jeff, Hardy nadal ze swoim megafonem i transparentem, Jason z saszetką, która identyfikowała go wszem i wobec jako gliniarza lub turystę. Znaleźli kawiarnię, gdzie zamówili sobie herbatę. Herbatę za sześć dolarów od głowy, ale jeśli instynkty Morharta się nie myliły, wydatek ten był w pełni uzasadniony.

– Jest pan inteligentnym mężczyzną, panie Morhart, i widzę, że zależy panu na bezpieczeństwie mojej córki.

– Tak właśnie jest, Wielebny. Chcę ją znaleźć. Chcę, żeby wróciła do domu.

– Powiem panu wszystko, co wiem, ale nie życzę sobie żadnych osądów z pana strony. Wiem w głębi serca, że wszystko, co robiłem, robiłem z troski o Beccę.

Czekał na wyrazy dezaprobaty ze strony Jasona, ale kiedy te nie nadeszły, zaczął mówić dalej.

– Spotkałem się z Beccą tamtej nocy, kiedy wyszła z domu koleżanki. Umówiliśmy się na końcu ulicy. Czasami tak robiliśmy. Zwykle rozmawialiśmy tylko przez telefon. Raz też przyjechała pociągiem do Nowego Jorku. Zdaje się, że powiedziała matce, że robi coś w ramach zajęć szkolnych. Jednak kiedy się tylko dało, jeździłem do Dover, żeby spotkać się z nią choć na parę minut. Wyjeżdżaliśmy z miasteczka. Chodziliśmy po parkach i tym podobnych miejscach w okolicy.

Jason miał ochotę wyrwać kubek z dłoni Hardyego i rozbić go na jego głowie, ale usiłował wyglądać na nieporuszonego.

– Żeby zrozumieć, co stało się tamtej nocy, musi pan wiedzieć, że poprzednim razem widziałem ją aż trzy tygodnie wcześniej. Wtedy, kiedy przyjechała tutaj. Plan zakładał, że

odwiedzimy parę miejsc i odwiozę ją do domu, ale wtedy powiedziała mi, że chce się spotkać ze swoimi przyjaciółmi w centrum. Nie podobał mi się pomysł, by zostawić ją na środku tej hedonistycznej dżungli, ale przypomniała mi, że jeśli z nią zostanę, to któryś z jej znajomych może mnie zauważyć i donieść matce. Mówiąc szczerze, rozpoznałem, że to po trosze szantaż emocjonalny, ale po nastolatce można się było chyba tego spodziewać, więc się zgodziłem.

Nie jestem jednak głupi. Zatrzymałem się na rogu, żeby upewnić się, że będzie bezpieczna w grupie swoich przyjaciół. Zamiast tego zobaczyłem, jak rozmawia z jakimś mężczyzną, który właśnie zamykał lub otwierał tę galerię na Waszyngtona. Dorosłym mężczyzną. I niezbyt budzącym zaufanie z wyglądu.

– Travis Larson.

Wielebny skinął głową.

– Oczywiście nie znałem wtedy jego nazwiska. Nie wiedziałem też, że to galeria. Wystawa była pusta. Ale widziałem, jak otworzył drzwi. Widziałem, jak moja córka wchodzi z nim do środka. Okłamała mnie. Moja własna córka. Użyła mnie, bym dostarczył ją prosto w ręce dorosłego mężczyzny.

– Kiedy to było?

Poruszył palcami na stole, licząc dni wstecz.

– Sześć niedziel temu.

Dokładnie trzy tygodnie przed zaginięciem. Był to też ten sam moment, kiedy na Facebooku pojawiły się zdjęcia Becci. Hardy uznał, że córka go okłamała, ale naprawdę spotkała się wówczas z przyjaciółmi. A przynajmniej wtedy uważała ich za przyjaciół.

– Proszę mówić dalej.

– Więc kiedy spotkałem się z nią tej ostatniej nocy, zapytałem o to. A niech mnie, ależ była na mnie zła, że ją obserwowałem.

Z tonu głosu Jason wywnioskował, że Hardy podziwiał charakter córki.

– Przysięgała na wszystkie świętości, że nie zna tego człowieka. Że musiała iść się wysikać, zobaczyła go przy sklepie i zapytała, czy może skorzystać z łazienki. Jeśli jej wierzyć, była tam tylko przez parę minut.

– I to wszystko?! Spędziliśmy tyle czasu, szukając powiązań Becci z galerią, a ona była tam tylko po to, by skorzystać z toalety?

– Cóż, chciała, bym w to właśnie uwierzył.

Jason chciał ponaglić mężczyznę, by przeszedł wreszcie do rzeczy, ale Wielebny był ewidentnie przyzwyczajony do przemawiania przed wierną publicznością.

– Zajechaliliśmy do Dairy Queen przy trasie 15 i kiedy poszła do toalety dla dziewcząt,

przyjrzałem się jej telefonowi. Niech pan mnie nie osądza. Była tylko dzieckiem, a ten telefon kupiłem jej specjalnie, żeby mogła ze mną rozmawiać. Uważałem, że mam do tego prawo. Ale kiedy zajrzałem do środka, odkryłem brud, w którym się tarzała. Świńskie rozmowy. I nie tylko. Zobaczyłem zdjęcie. Zobaczyłem to zdjęcie... mojej własnej córki.

Jason wiedział już, co będzie dalej. Chciał wskoczyć w tę historię i ją zatrzymać. Wbiec do Dairy Queen i powiedzieć temu człowiekowi, że właśnie popełnia potworny błąd.

– Co pan zrobił?

– Poszedłem do samochodu i czekałem na nią. Kiedy wsiadła, zrobiłem to, co powinien zrobić każdy ojciec na moim miejscu. Powiedziałem, że zgrzeszyła. Że nasz Pan wszystko widzi. Że handlarze ciałem zostaną osądzeni zarówno tutaj, jak i po tamtej stronie.

Sądząc po tym, jak Joann przedstawiła mu reakcję Georgea Hardyego na jej ciążę, Jason mógł sobie tylko wyobrazić, jakie obelgi usłyszała Becca. Nastolatka, którą wszyscy opisywali jako wrażliwą. Która po raz pierwszy otwarła się seksualnie wobec chłopaka, tylko po to, by zrobić sobie z niej pośmiewisko. Która niedawno dowiedziała się, że najbardziej zaufana osoba, jej matka, okłamała ją na temat okoliczności jej narodzin. Która zaledwie zaczynała poznawać zaginionego ojca i usłyszała od niego stek wyzwisk, których, jak Morhart wiedział, człowiek ten chętnie używał.

– Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś, George?

Oczy Wielebnego były podpuchnięte i miały czerwone obwódki, rezultat bezsennych nocy, łez i, jak podejrzewał Jason, regularnych dawek alkoholu.

– Poczekaj no, aż wszystko wytłumaczę po swojemu, dobrze, synu? Minęło parę dni i nie czułem się dobrze z tym, jak to zostawiliśmy. Próbowałem się do niej dzwonić, ale nie odpowiadała. Uznałem, że jest na mnie wściekła.

– Nie wiedział pan, że zginęła?

– A kto niby miał mnie powiadomić? Na pewno nie ta jej matka. Więc podjechałem znowu pod tę galerię, myśląc, że może spotkam tego mężczyznę. Zagadam z nim. Każę mu trzymać się z daleka od Becci. Ale wystawa nie była już pusta. Zobaczyłem na niej te zdjęcia. Zdjęcia mężczyzny, który gryzie się po własnym ciele, i tej dziewczyny z dziecięcym brzuszkiem. Nie powie mi pan, że była dorosła.

– Uznał pan, że ten człowiek z galerii robił Becce brzydkie zdjęcia.

– Oczywiście, że tak. Widziałem je na własne oczy. Pomyślałem, żeby od razu pójść na policję, no ale wtedy musiałbym przyznać, że to zdjęcia Becci.

– Martwił się pan o jej reputację.

– Tak, między innymi. Więc zrobiłem to, w czym ja i mój kościół jesteśmy najlepsi.

Przyciągnąłem uwagę do galerii.

– Organizując protest.

– Tak jest.

– Uznał pan, że jeśli prasa zmusi artystę do udowodnienia dorosłości modelki, zdjęcia znikną i nikt nie wspomni przy tym imienia pana córki.

– Widzi pan, nie jestem kompletnym idiotą. Ale jest jeszcze jedna bardzo ważna rzecz, którą musi pan wiedzieć. Tego dnia, gdy zacząłem protest, nadal nie miałem pojęcia, że Becca zaginęła. Dopiero nazajutrz dowiedziałem się o tym z radia.

– Tego samego dnia, kiedy w galerii znaleziono ciało Tralisa Larsona.

– O tym też usłyszałem, tak. Widzi pan już, do czego zmierzam?

– Milczał pan, myśląc, że Becca może być zamieszana w to morderstwo.

– Widziałem ją z tym mężczyzną. Mężczyzna wplątany był w jakieś podejrzone sprawy. Wydawało się to logiczne.

– Ale teraz nowojorska policja wie już, kto zamordował Larsona i że Becca nie miała z tym nic wspólnego.

– Zdaję sobie z tego sprawę, synu. Dlatego to wszystko teraz mówię.

– Jak się skończyło wasze spotkanie tamtej ostatniej nocy z Beccą?

Hardy bawił się uchem kubka po herbacie.

– Nie najlepiej. Wskoczyła z samochodu. Nie zatrzymywałem jej.

– Gdzie?

Jason zadzwonił do swojego kapitana, gdy tylko wrócił do wozu.

– Mam trop związany z Beccą Stevenson. Ostatni raz widziano ją w okolicy klubu żaglowego przy River Styx Road, obok jeziora Hopatcong. Była rozchwiana emocjonalnie.

– To solidny ślad?

– Jak skała.

– Co robiła przy jeziorze?

Jadła lody z mężczyzną, na którego miłości zależało jej bardziej, niż na własnym życiu. Jadła lody z mężczyzną, który zadał ostateczny cios jej wrażliwemu poczuciu tożsamości.

– Musimy skierować tam nurków, sir.

Następnie zadzwonił do Joann Stevenson. Przez całe życie tylko jedna rozmowa telefoniczna była dla niego trudniejsza. Ale najgorsze miało nadejść następnego ranka, kiedy będzie musiał powiedzieć Joann przez telefon, że znaleziono ciało jej córki. Chce być pewny,

że nie usłyszy tego od kogoś innego.

## *Rozdział 59*

– Nie da się ukryć, to prawdziwy smakołyk.

Arthur Cronin oglądał pieczeń wieprzową w brzoskwiniach, którą postawiła przed nim kelnerka. Począł, aż druga osoba z obsługi należycie poleje potrawę sosem.

– Nie codziennie się zdarza, żeby któryś z moich ulubionych znajomych zapraszał mnie na obiad. I do tego tak wykwinny.

– Cóż, niecodziennie ktoś ratuje mnie przed spędzeniem reszty życia w więzieniu.

– Nigdy bym na to nie pozwolił, skarbie, ale tym razem muszę przyznać, że twój przyjazny agent FBI z sąsiedztwa prawdopodobnie zrobił dla ciebie więcej niż wujek Artie. Jest jakaś szansa na romans?

– Po prostu robił to, co było właściwe, Art.

– Ale niech zgadnę, zadzwonił raz czy dwa z pytaniem, jak się trzymasz?

Uśmiechnęła się.

– Aha! Wiedziałem! A co z tym twoim nudziarzem? Tym całym Jeffem z Indiany, tak mu było?

– Doskonale wiesz, że nazywa się Jeff Wilkerson.

– Jak tam stosunki pana Wilkersona z twoim nowym przyjacielem z FBI?

– Właściwie to ostatnio ze sobą nie rozmawiamy.

– Znowu faza zstępująca związku, co?

Mówił teraz między kolejnymi łykami. Alice zmusiła się, by przełknąć nieco makaronu. Gdyby nie jadła, mógłby zacząć podejrzewać, że coś jest nie tak.

– Właściwie to Jeff poprosił mnie o rękę.

Art wypuścił widelec na talerz.

– No daj spokój! Czyżby Wilkie w końcu wydorósł? Gdzie pierścionek? Powiedz mi, że kupił ci pierścionek!

– Szsz – szepnęła. Wybrała tę restaurację, bo wiedziała, że będzie tu pusto, ale ich podniesione głosy mogli usłyszeć nawet biesiadnicy, którzy siedzieli pięć stołów dalej.

– Grzecznie odmówiłam.

– W końcu zrozumiałaś, że jesteś dla niego za dobra.

– Nie, to nie byłoby dobre. Nigdy nie będzie.

Czuła się dziwnie, opowiadając Artowi o swoim życiu uczuciowym, ale ich



konwersacja musiała brzmieć naturalnie.

– Dalej wszystko rozchodzi się o te dzieci?

– Tata musiał ci o tym powiedzieć.

Machnął ręką i fuknął.

– Dawno temu, kiedy się podłamałaś.

Kiedy Jeff poprosił ją o rękę, zgodziła się prawie od razu. Ale chciała się upewnić, czy na pewno do końca to sobie przemyślał. Nie chciała zawierać małżeństwa pod wpływem impulsu, będącego reakcją na wydarzenia poprzedniego tygodnia. Więc wyraziła swoje obawy.

– Ale przecież tak bardzo chciałeś mieć dzieci.

– Kocham cię, Alice. Jestem gotów ponieść dla ciebie każdą ofiarę. Naprawdę każdą – odpowiedział.

Ofiara. Być z nią oznaczało, że nie będzie miał własnych dzieci. Potomków jego krwi. Znała Jeffa. Zawsze będzie postrzegał to jako ofiarę.

Tych szczegółów nie zamierzała dzielić z Arthurem.

– To by się po prostu nie udało. Powinniśmy byli zdać sobie z tego sprawę już dawno temu, ale, cóż, co mogę powiedzieć? Jesteśmy idiotami. Czuję się teraz lepiej.

Nie czuła się lepiej. Straciła brata. I najlepszego przyjaciela, Jeffa. I fałszywą przyjaciółkę, Lily. A teraz była tutaj.

– Myślałam o tym wszystkim, co się zdarzyło, Art, i parę rzeczy ciągle nie daje mi spokoju.

– Jakich?

Ugryzł kolejny kęs wieprzowiny.

– Wiem, że testy DNA wykazały, że tata nie był ojcem Mii, ale to nie zmienia faktu, że była diabelnie do mnie podobna.

– Było pewne podobieństwo. Ale głównie w kolorze włosów, prawda?

– Nie. Nasze nosy. Cera. Wysokie czoła.

– Może to zabrzmieć nieco przesadnie, ale do czego zmierzasz?

– Jak to możliwe, że mimo tego podobieństwa i faktu, że Christie uważała Mię za córkę taty, to nie jesteśmy tak naprawdę z Mią spokrewnione?

– Nie wiem, ale myślenie o tym zaczyna mnie przyprawiać o ból głowy. To już historia, Alice. Ciesz się, że...

– Mnie też przyprawiało to o ból głowy. Dlatego nie mogłam przestać o tym myśleć. Widzisz, zagadka polega na tym, że jednak jestem spokrewniona z Mią.

– O czym ty mówisz? Zrobiliśmy pośmiertne testy DNA.

– I porównaliśmy je z DNA ojca, tak. Ale później zgłosiłam się na policję. Poprosiłam, żeby sprawdzili czy moje DNA pasuje do DNA Mii. Okazało się, że nasze podobieństwo genetyczne odpowiada temu, jakie zwykle zachodzi pomiędzy przyrodnimi siostrami.

– To nie ma sensu. Chyba, że... O Boże. To była impreza Bena. Może Ben...

– O tym też pomyślałam. Dlatego też porównali jej DNA z DNA Bena. Nie pasowało. Mia jest spokrewniona ze mną, ale nie z nim.

– Ktoś tu musiał zatem się pomylić. Nie jesteś z nią spokrewniona.

– I tu jest właśnie cały szkopuł. Ben kiedyś żartował, że muszę być adoptowana z powodu tych moich rudych włosów. Mama zawsze mówiła mi, że oboje z ojcem mieli jakichś rudych przodków dawno temu. Geny recesywne i tak dalej. Ale przypomniałam sobie to zdjęcie z meczu Jankesów, które masz w gabinecie. Z twoim siostrzeńcem. On też miał rude włosy i garbaty nos, zupełnie jak ja. Albo ty.

– Ja? Myślisz, że mam garbaty nos?

– Przestań, Art. Nie będzie trudno znaleźć próbkę twojego DNA. Podobno zostawiamy je wszędzie. Każę je porównać z moim. I z Mii. Prawda wyjdzie na jaw. Nocowałeś wtedy w domku dla gości. Ojciec niczego nie pamiętał, ponieważ nic się nie stało. Naprawdę spędził całą noc nieprzytomny w pokoju kinowym. Matka Christie Kinley nawciskała jej, że powinna adorować celebrytów. Co się stało? Po pijaku spytała cię, czy to ty jesteś ojcem Bena?

Arthur uderzył pięścią w stół, ale zapanował nad głosem, by nie ściągać na siebie więcej uwagi.

– Alice, z pewnością przeżyłaś okropne chwile. Ale to nie usprawiedliwia tych oskarżeń.

– Matka mówiła mi, że nie była idealną żoną. Musiała zrobić coś, co spowodowało poczucie winy na tyle silne, że tolerowała wszystkie przygody ojca. Jak długo trwał ten związek? Byliście ze sobą długo czy tylko jedną noc po pijaku?

– To szaleństwo.

Wstał, by wyjść, ale Alice wyciągnęła swojego asa z rękawa.

– Nowojorska drogówka zbiera zapisy wideo z międzystanowej 684 z tamtej nocy, kiedy Robert Atkinson miał wypadek. Kiedy tylko znajdą dowód, że twój samochód jechał za wozem Atkinsona, to będzie koniec, Arthur. Stawiam też, że znajdą twój odcisk albo dwa w mieszkaniu Mii.

– Zaraz powiesz, że to ja byłem tym drugim człowiekiem, który strzelał do Kennedy'ego.

– Zgaduję, że byłeś już w mieszkaniu Mii, kiedy mówiłeś mi przez telefon, jak to utknąłeś na moście Williamsburskim. Dostałeś się do środka pod jakimś pretekstem, pewnie byłeś uzbrojony. Znalazłeś broń, z której zabiła Larsona. Musiałeś jedynie wystrzelić parę kul, kiedy pojawiła się policja, po czym wykończyć ją samą jej własną bronią, którą następnie włożyłeś jej w rękę. Danes zastanawiał się, czemu zwyczajnie nie uciekła wyjściem przeciwpożarowym. Nie sądziłam, że jakieś było, dopóki mi o tym nie powiedział. Wybiegłeś z domu i podszedłeś do mnie na ulicy, jakbyś nie miał pojęcia, co się stało.

– Kocham cię. Kocham cię, jakbyś naprawdę była moją córką, ale to jest czyste szaleństwo.

– Jesteś prawnikiem, Arthur. Wiesz, jak to się rozegra. Będą testy DNA. Znajdą zapisy z twoim samochodem w pobliżu wozu Atkinsona. Wiedząc już, czego szukać, policja odszuka dowody twojej bytności w mieszkaniu Mii. Jeśli zdarzy się chociaż jedna z tych trzech rzeczy, nie zdołasz się z tego wyplątać ani kłamstwem, ani znajomością prawa, ani pieniędzmi. Jak mówiłeś o tych swoich klientach, którzy decydują się na życie zbiega? „Czy jesteś gotów porzucić swój dom, rodzinę i reputację?” Och, zapomniałabym, właściwie to bez Humphreyów nic takiego nie masz, prawda?

– Wychodzę.

– Nie mogę uwierzyć, że skrzywdziłeś Bena. On cię kochał.

Arthur zaczął ciężko dyszeć, wpatrując się w Alice ponad stołem. Wreszcie wycelował w nią palec.

– Nic mu nie zrobiłem.

– Doprawdy, ojciec chrzestny? Skoro znam już twoje sekrety, to czy mnie też znajdą martwą w łazience?

– Ben znowu zaczął brać. Był rozpuszczonym smarkaczem. A co do ciebie, nigdy, przenigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Niezależnie od wszystkiego. Praktycznie cię wychowałem.

– Bo jestem twoją córką. Krwią z twojej krwi.

Po jego ciężkim oddechu widziała, że z trudem utrzymuje spokój. Skinął głową, ale musiała usłyszeć, jak mówi to na głos.

– Moje DNA pasuje do DNA Mii. O tym już wiem. Chcę to tylko usłyszeć z twoich ust. Tylko tyle. Jeśli masz zamiar później uciec, proszę bardzo. Nie będę cię zatrzymywać. Ale prawda wyjdzie na jaw.

Kiedy w końcu przemówił, znów oddychał spokojnie.

– Chciałem, żeby Rose go porzuciła. To jest, kiedy okazało się, że jest w ciąży.

Mówiła, że równie dobrze możesz być jego córką, ale wiedziałem przecież, jak długo go nie było. A kiedy się urodziłaś... Tak, wtedy byłem już absolutnie pewny. Ale Rose nigdy nie zostawiłaby Franka. Wielbi go. Jego sztukę. Dowcip. Pasję. Żartowała sobie ze mnie, kiedy naciskałem zbyt mocno.

– A tamta noc z Christie Kinley?

– To nie był gwałt. Nie wiedziałem też, że ma tylko czternaście lat.

– Przez ciebie ojciec spędził te wszystkie lata, myśląc, że to on.

– Załatwiłem też ugodę z klauzulą tajności. I szczerze mówiąc, jeśli ta jedna noc na urwanym filmie i trochę strachu sprawiło, że przestał pić, to może wyświadczyłem mu przysługę. Gdyby to trwało dalej, teraz już by nie żył.

Zdała sobie sprawę, że ten człowiek potrafił usprawiedliwić wszystko.

– Proszę, powiedz mi, jak to naprawdę było z Benem.

– Boga biorę na świadka, nie miałem z tym nic wspólnego.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że to, czego dowiedział się o ojcu od Roberta Atkinsona mogło go złamać? Może to jednak ty wbiłeś mu igłę w ramię, tylko nie bezpośrednio.

– Nigdy nie chciałem skrzywdzić ani jego, ani ciebie.

Sięgnął po portfel, ale Alice machnęła ręką.

– Ja stawiam, pamiętasz? Co zrobisz teraz?

Na jego ustach pojawił się smutny uśmiech.

– Wiesz co, Alice? Byłaby z ciebie niezła prawniczka, bo miałaś rację. Kopałem coraz głębiej i głębiej, próbując ukryć prawdę sprzed dwudziestu pięciu lat. Popełniłem zbyt wiele błędów. Złapałaś mnie. Może spotkamy się po tamtej stronie.

Kiedy kierował się do wyjścia, był zaskakująco spokojny. Niczym człowiek, który rozważył już swoje opcje i pogodził się z dokonanym wyborem. Ale Alice nie miała się nigdy dowiedzieć, jaką decyzję podjął, gdyż oficerowie policji, przebrani za kelnerów, sprzątaczkę i klientów, otoczyli go ze wszystkich stron, zanim dotarł do drzwi.

Alice rozchyliła bluzkę i spojrzała na mikrofon, przypięty do jej lewej piersi. Mogłaby przysiąc, że Art mrugnął do niej, kiedy na jego nadgarstkach zamykały się kajdanki.

*Sześć miesięcy później*

Alice dyszała ciężko, kiedy dotarła do swojego odgałęzienia Council Crest Drive. Widok z tylnych okien jej wynajętego domu ciągnął ją z przemożną siłą ku wzgórzom na zachodzie,

ale nie wzięła pod uwagę, jak ciężką pracą będzie nawet dwudziestominutowa przebieżka w tej okolicy. Zwolniła do niespiesznego marszu, pozwalając pulsowi na ustabilizowanie się, a lekkiemu wiatrowi na osuszenie potu, który zebrał się wokół jej szyi.

Zawsze słyszała, że północny zachód kraju, stykający się z Pacyfikiem, jest idealnym miejscem do spędzania lata, ale teraz przekonała się o tym na własnej skórze. Nigdy nie przeszłoby jej nawet przez głowę, żeby próbować biegać po Nowym Jorku w czasie parnego sierpnia. Jednak tutaj, w Portland, w stanie Oregon, ledwie się spociła, choć okolica była górzysta.

Wyciągnęła pocztę z umieszczonej na słupku skrzynki. A. J. Benjamin. Zmieniła nazwisko sześć tygodni temu, ale ciągle jeszcze się do niego przyzwyczajała. A. J., inicjały Alice Janinę. No i oczywiście Benjamin. A. J. Benjamin brzmiało jak nazwisko brunetki, więc wróciła do brązowej Temptation. Przynajmniej na razie. Pamięć jednak jest krótka. Za rok lub dwa, kiedy ludzie zapomną, że w wiadomościach pojawiała się dziewczyna podobna do niej, będzie mogła wrócić do swego naturalnego koloru. Może nawet wróci do miana Alice Humphrey. Ale póki co nazwisko to tylko nazwisko, równie zmienne, co kolor włosów.

Był wtorek. Właśnie skończyła popołudniowy jogging. W Nowym Jorku mogła się cieszyć bieganiem w środku dnia tylko w czasach, gdy była bezrobotna. W Portland jedynym połączeniem z jej firmą tego dnia była wymiana informacji przez sieć. Minispódniczki i eleganckie bluzki nie należały do świata tej kobiety, przynajmniej nie we wtorki. Przesunęła palcem po touchpadzie laptopa, przywołując ekran do życia, po czym wyniosła komputer na werandę i zasiadła na płóciennym krześle. Voilà, była w pracy!

Po raz siódmy sprawdziła, czy zaprojektowana przez nią ulotka nie zawiera błędów. Muzeum Sztuki w Portland miało wydrukować jedynie ułamek liczby ulotek, które zrobiłby Metropolitan, a ta wystawa – przegląd wizerunków Portland autorstwa Edwarda Hoppera – w Nowym Jorku zapewne nawet nie doczekałby się kampanii reklamowej. Ale tu, w Portland, miała to być jedna z najbardziej obleganych ekspozycji roku. Alice chciała, by ulotka była perfekcyjna.

Kiedy Alice była już absolutnie pewna, że jest usatysfakcjonowana, przesłała plik e-mailem swojemu szefowi, uważając, by podpisać się jako A. J.

W skrzynce odbiorczej znalazła wiadomość od ojca.

Nadal próbowała go przekonać, że nie zmieniła nazwiska, by się od niego odciąć. A. J. Benjamin na Zachodnim Wybrzeżu oznaczała nowy początek, który Alice był bardzo potrzebny. O ironio, rozmawiała teraz z rodzicami częściej, niż kiedy mieszkała z nimi w jednym mieście. Obie strony wiedziały teraz, że muszą włożyć w komunikację większy

wysilek. Może to było powodem.

„Alice – A. J. przeznaczone było jedynie dla ludzi z jej nowego życia – pomyślałem, że może cię to zainteresować”.

Poniżej znajdował się odnośnik do ogłoszenia ślubnego, zamieszczonego w ostatni weekend w „New York Timesie”. Ona była szpitalną urzędniczką. On był detektywem z Dover w stanie New Jersey. Nie byli co prawda ludźmi ze śmietanki towarzyskiej, którzy zwykle pojawiali się w sekcji „Niedzielny styl”, ale nikt nie mógł przebić okoliczności, w jakich się zakochali – kiedy detektyw ryzykował życie, poszukując zaginionej córki swej przyszłej żony.

„Powiem ci coś jeszcze lepszego” – pisał dalej ojciec. „Ron Howard chce od nich kupić prawa do filmu. Kocham cię, tata”.

Na ekranie pojawiło się mrugające okienko komunikatora. Jedną z wad pracy na odległość. Jednak tym razem wiadomość nie pochodziła od kogoś z jej współpracowników z muzeum. Nadawcą był Hank Beckman. Właśnie oficjalnie zwolniono go z Biura. Brooklyn był nieco za drogi jak na to, co udało mu się uratować z emerytury, ale jeden z jego znajomych zasugerował Portland jako niezły kompromis pomiędzy wielkim miastem, a wioską w Montanie, skąd były agent pochodził. Rozważał właśnie zakupienie biletu na samolot, by w przyszłym tygodniu obejrzeć tę okolicę.

– „Znajomy” ci zasugerował, co? – Wysłała w odpowiedzi.

– *Może to ty powinnaś była zatrudnić się w FBI.*

Widzieli się kilkakrotnie, nim otrzymała tę posadę w Portland. Ale tych kilka spotkań, których nie dało się nazwać nawet randkami, nie mogło być powodem, by porzucać plany na rozpoczęcie nowego życia, którego tak desperacko potrzebowała.

– *Odbiorę cię z lotniska* – odpowiedziała.

Napisała następne zdanie i przeczytała je trzy razy.

– *Mam tu pokój dla gości. Jeśli chcesz, jest twój.* – Wysłała.

Nerwowo pukała w podłokietnik z drewna tekowego, czekając na odpowiedź.

– *Brzmi świetnie. Dzięki.*

Może ten nowy początek nie musiał być wcale aż taki nowy. Wiedziała, że nadal musi przemyśleć otrzymane w zeszłym roku lekcje. Jej wizja rodziny została poważnie zachwiana. Kiedy jej brat poznał, jak mniemał, prawdę o tamtej nocy w Bedford, zamiast ku swojej siostrze zwrócił się ku narkotekom. Teraz już nie żył. Podobnie jak przyrodnia siostra, o której istnieniu Alice nie wiedziała. Arthur nadal walczył z oskarżeniami, ale zapewne miał umrzeć w więzieniu. Próbowwała nie współczuć człowiekowi, który zgwałcił Christie Kinley i

odebrał życie własnej córce. Ale później przypomniała sobie, że Mia nie była jedyną córką Arthura. Nie, nie współczuła Artowi, ale nie wiedziała, czy kiedykolwiek pogodzi się z faktem, że jej biologiczny ojciec zdolny był do popełnienia takich grzechów.

A jedyny ojciec, jakiego Alice знаła, choć uzyskał przebaczenie od swej żony, nadal szukał w sobie siły, by odwdziżyć się tym samym. Nieważne, co mówiły testy DNA, Frank Humphrey był prawdziwym ojcem Alice. Musiała go tylko o tym przekonać.

Minęły miesiące, kiedy była bezrobotna, kiedy tak usilnie chciała uwolnić się od rodziny, kiedy doprowadziła się do opłakanego stanu. Pragnęła mieć pracę. Własne pieniądze. Mężczyznę. Trawiła każdą sekundę na tęsknotę za rzeczami, których nie posiadała. Tęsknotę za stanem istnienia, którego nawet nie potrafiła nazwać. Tęsknotę za czymś. Za czymś innym.

A później w jej mieszkaniu pojawili się dwaj policjanci z fotografią. To zdjęcie było niczym dzwonek na przebudzenie się. W tym szczególnym momencie zrozumiała, jak wspaniale potrafią być proste rzeczy. Czyste powietrze. Ten widok na Górę Hood. Całkiem niezła praca z miłymi ludźmi dla fajnej instytucji. Jeden dzień w tygodniu, kiedy mogła pracować na werandzie, ubrana w dres. Rodzice, którzy ją kochali. Paru nowych znajomych w Portland. Wkrótce może jeszcze jeden, jeśli Beckman zdecyduje się tu przeprowadzić.

Lepiej już być nie mogło.

### *Podziękowania*

Pomysł na niniejszą książkę po raz pierwszy pojawił się w mojej głowie podczas jednego z codziennych, porannych spacerów przez nowojorską West Village. Był to wczesny rok 2009, kiedy każdy nowy, mroźny dzień zdawał się przynosić kolejną falę nagłych i niezapowiedzianych bankructw. Znajoma restauracja, która była tu jeszcze w poniedziałek, we wtorek zmieniała się w puste okno wystawowe. Zauważyłam, że myślę o ludziach, którzy stracili pracę. Zastanawiałam się, czy dowiedzieli się o nadchodzącym bankructwie szybciej niż klienci. Zastanawiałam się, jakby to było przyjść rano do pracy i dowiedzieć się, że całe twoje zawodowe życie... przepadło.

Nosiłam w sobie to ziarno już prawie od roku, kiedy w końcu poczułam się gotowa do pisania. Miałam wrażenie, że znam Alice Humphrey, jej rodzinę i inne osoby, które spotkała w swoim życiu. Co ciekawe, w ciągu tych miesięcy ciągle wracała do mnie również historia pewnej zaginionej dziewczyny i jej obciążonej poczuciem winy matki. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, zdałam sobie sprawę, że one również przynależą do tej książki.

Uważni czytelnicy z pewnością rozpoznają na kartach Przepadłej bez wieści również

czenie innych niedawnych wydarzeń. Sfabularyzowane wersje prawdziwych historii, zarówno tych, z którymi się stykam jako prokuratorka, jak i tych, które jedynie śledzę z daleka, przenikają często do moich powieści. Oczywiście są sfabularyzowane, czyli zmyślane i nieprawdziwe, i nie powinny stwarzać wrażenia, że są moim komentarzem do jakiejś konkretnej osoby lub zdarzenia.

Bardzo dziękuję wszystkim osobom, dzięki którym głosy w mojej głowie owocują książkami, a nie pobytem w zakładzie dla obłąkanych. Ze Spitzer Literary Agency – mojemu niesamowitemu agentowi, Philipowi Spitzerowi, oraz jego współpracownikom, Lukaszowi Ortizowi i Lucasowi Huntowi. Z wydawnictwa Harper-Collins – Jonathanowi Burnhamowi, Heather Drucker, Markowi Fergusonowi, Angie Lee, Michaelowi Morrisonowi, Nicole Reardon, Jasonowi Sackowi, Kathy Schneider i Leah Wasielewskiej. Nie znajduję słów podziwu, by oddać profesjonalizm, inteligencję i zaangażowanie, które moja redaktor, Jennifer Barth, stale wnosi do naszej współpracy. Jestem jej za to do zgonnie wdzięczna.

Podziękowania należą się też Carrie Blank, Jonathanowi Hayesowi, Nikki Jones, McKennie Jordan, Danowi Judsonowi, Julianowi Ku, Joshowi Lambornowi, Davidowi Leshowi, Chrisowi Mascalowi, detektywowi Nowojorskiego Departamentu Policji Lucasowi Millerowi, Heidi i Gregowi Moawadam, Garyemu Moorebwi, Richardowi Rhorerowi, Anne-Lise Spitzer i Richardowi Urrutii.

Na koniec wreszcie muszę powiedzieć, że jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie dzięki mojemu superfajnemu mężowi, Seanowi.

### Specjalne podziękowania dla moich czytelników

Po raz kolejny chciałabym podziękować moim czytelnikom, bez których nie doznałabym przywileju opublikowania moich książek. Gdyby nie wy, któregoś dnia mogłabym obudzić się bezrobotna, niczym Alice Humphrey (miejmy nadzieję, że bez żadnych trupów w okolicy). Dziękuję za czytanie i wsparcie, którego udzielacie mojej pracy.

Poznałam wielu z moich czytelników przez moją stronę internetową, Facebooka i Twittera. Jestem bardzo szczęśliwa ze społeczności, którą udało nam się zbudować w sieci i chciałabym podziękować Holdenowi Richardsowi z Kitchen Media oraz Catherine Cairns z Cairns Design za pomoc techniczną. Jeśli czytacie moje książki i nie jesteście jeszcze częścią tej społeczności, gorąco was do tego zachęcam.